Jean-Luc Marion
Fenomen religijny – mimo wszystko

Dwugłos: Krajnik, Grabias
Czy ze wszystkiego można się śmiać?

Aleksandra Pakieła
Gdy poeci zaczynają pisać prozę

jesień 2026 3 [705] WIARA KULTURA SPOŁECZEŃSTWO

WIĘŹ

Człowiek wobec AI: tragiczny technooptymizm
Jak zostać rebeliantem AI?

Wiara wobec AI: ocalić to, co kruche
Ubodzy w epoce obiecanej obfitości

Kultura wobec AI: w czym maszyna nas nie zastąpi
Tworzyć szybciej, ale po co?

ISSN 0511-9405 09
9 770511 940607

Indeks 381489
Cena 39,96 zł
[w tym 8% VAT]

eprasa.pl d9aca457c4



Od czerwca
możesz wspierać Więź
comiesięczną darowizną.

- Bez zlecania przelewu w banku
- Bez zakładania konta w zewnętrznym serwisie
- Bez wychodzenia z domu

Wejdź na:

wspieram.wiez.pl

i sprawdź!

eprasa.pl d9aca457c4

Drodzy Państwo!

W social mediach można od niedawna trafić na nagrania, w których młodzi mężczyźni intensywnie trenują przy akompaniamencie koturnowej, filmowej muzyki. „Zostały nam już tylko trzy lata" – czytamy w napisach pod filmami. Do czego? Otóż już za trzy lata, w 2029 r., ma rozegrać się decydująca bitwa pomiędzy ludzkością a sztuczną inteligencją Skynet – mówimy oczywiście o zapowiedzi z kultowego już filmu *Terminator* z 1984 r.

Lęk przed AI przejmującą władzę nad naszym światem jest wpisany w DNA masowej wyobraźni od kilku dekad, ale dopiero w ostatnich latach zaczął mieć realne podstawy. Nie ma tygodnia, byśmy nie słyszeli o powstaniu kolejnego monumentalnego centrum danych, o fali zwolnień spowodowanej automatyzacją czy o dezinformacji rozprzestrzenianej z pomocą AI. W tym numerze „Więzi" szukamy odpowiedzi na pytania: jak wobec rosnącego apetytu sztucznej inteligencji na nasze zasoby – wodę, czas, stabilność zatrudnienia, bezpieczeństwo informacyjne, wspólną przestrzeń – zbudować zrównoważoną relację między nami a AI? Czym możemy podzielić się z algorytmami, a co powinniśmy zachować wyłącznie do dyspozycji własnej i innych ludzi?

Skala zagadnienia domagała się, by poświęcić mu cały numer: blok społeczny, kulturalny i religijny. „Dolina Krzemowa obiecuje nam obfitość. Ale historia uczy, że gwałtowne przemiany najpierw uderzają w tych, którzy mają najmniej. Pytanie o sztuczną inteligencję jest więc także pytaniem o to, kto zapłaci rachunek i kogo zdecydujemy się postawić w centrum" – pisze w swoim tekście Maciej Mróz. Preferencyjna opcja na rzecz ubogich – ale także wszystkiego, co w ludziach kruche i godne ocalenia – jest perspektywą, z której staramy się na te pytania odpowiedzieć.

W 2029 r. nie musi nadejść Skynet – wystarczy, że zapomnimy, co naprawdę warto chronić. Do tego czasu bądźmy jednak umiarkowanymi optymistami.

Karol Grabias

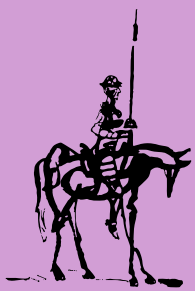

eprasa.pl d9aca457c4

Spis treści
jesień 2026, nr 3 [705]

5 **Podziękowania dla Przyjaciół**

SPOŁECZEŃSTWO

Tragiczny technooptymizm

Rozwój sztucznej inteligencji ma przynieść postęp. Ale takie obietnice składają miliarderzy, którym zależy przede wszystkim na pełnych kieszeniach. Ile władzy i zasobów możemy powierzyć AI, by pozostać w pełni ludźmi i na tym nie stracić?

7 **Ludziom to, co ludzkie, a maszynom to, co mechaniczne**
JAREMA PIEKUTOWSKI

17 **Jak być rebeliantem AI?**
BARTOSZ BLIUJ-STODULSKI I MARIA ROGACZEWSKA W ROZMOWIE Z EWĄ BUCZEK

28 **AI myśli za nas – a nam się to (chyba) podoba…**
O trudnej relacji ze sztuczną inteligencją
DOTA SZYMBORSKA

37 NATALIA MALEK *Przesyłka • 13 sierpnia • Przestroga*

Czytanie świata

40 **A może jesteśmy dewotkami?**
KATARZYNA JABŁOŃSKA

Z drugiej strony Bugu

53 **Polski Robinson i ukraiński Piętaszek**
DYSKUTUJĄ: MYKOŁA RIABCZUK I AGNIESZKA ROMASZEWSKA-GUZY ORAZ KAROL GRABIAS

Historia

63 **Polacy wobec zagłady Żydów na linii otwockiej**
SEBASTIAN RAKOWSKI

eprasa.pl d9aca457c4

79 **Trzy po trzy**
Wojny nietrynitarne
JAKUB WYGNAŃSKI

WIARA

Ocalić to, co kruche

Coraz więcej osób traktuje modele językowe jak partnerów do codziennych rozmów, również o wierze. Czy AI może pomóc w rozeznawaniu duchowym? Czy rozmowa z czatem o wyborach moralnych jest bezpieczna? A co, jeśli czatbot jest jak biblijni przyjaciele Hioba?

89 **Kamienie odrzucone**
Ubodzy w epoce obiecanej obfitości
MACIEJ MRÓZ

99 **To nie jest „ktoś”**
O sztucznej inteligencji, wolności i wierze
KS. GRZEGORZ STRZELCZYK
W ROZMOWIE Z ANETĄ KUBERSKĄ

108 **Czatbot, czyli nowy przyjaciel Hioba?**
AGATA KULCZYCKA

118 MARCIN SENDECKI *Naparstek • III • Bibliografia*

Dzieci Abrahama

122 **Polscy Tatarzy i Koran filomatów**
JOANNA KULWICKA-KAMIŃSKA

Popołudnie wiary

131 **Fenomen religijny – mimo wszystko**
JEAN-LUC MARION W ROZMOWIE Z KAROLEM GRABIASEM

141 **Opowieści z przedsionka**
Dwa rodzaje nienawiści
TOŚKA SZEWCZYK

eprasa.pl d9aca457c4

KULTURA

W czym maszyna nas nie zastąpi

Dzięki sztucznej inteligencji tworzymy szybciej, ale czy to dobrze? A może trud związany z tworzeniem jest wpisany w sam ten proces? Co tracimy, oddając pole AI? Czego sztuczna inteligencja nigdy nam nie da?

149 **Tworzyć szybciej, ale po co?**
KATARZYNA CZAJKA-KOMINIARCZUK

157 **Jak człowiek z maszyną, czyli „idealne" odzwierciedlenie**
DYSKUTUJĄ: CVETA DIMITROVA I MATEUSZ ŁABUZ ORAZ KATARZYNA SROCZYŃSKA

168 **AI w twórczości: sprzymierzeniec czy przeciwnik?**
ANKIETA: JUSTYNA BARGIELSKA, MAGDA HUECKEL, DOMINIK JAŁOWIŃSKI, JUL ŁYSKAWA, PAWEŁ MAŚLONA, AGNIESZKA RAYSS, MARCIN ROSSA

181 MARLENA NIEMIEC *żywioły • wcześniej • to zupełnie tak jakby istniało tylko jedno życie*

184 **Jak (nie) żartować z przemocy domowej**
ŁUKASZ KRAJNIK

196 **Kiedy przestać się śmiać?**
O kulcie ironii i prawie do tabu
KAROL GRABIAS

Nad książkami

205 **O podróżach międzygatunkowych**
Gdy poeci zaczynają pisać prozę
ALEKSANDRA PAKIEŁA

215 **Galeria „Więzi"**
Bartosz Frątczak

222 **Na progu**
O jeziorach i gwiazdach
JERZY SOSNOWSKI

eprasa.pl d9aca457c4

Podziękowania dla Przyjaciół

Serdecznie dziękujemy wszystkim Darczyńcom i Patronom „Więzi”! Państwa życzliwość jest dla nas niezwykle ważna. Dzięki niej „Więź” może nie tylko trwać, ale też się rozwijać. W ostatnim okresie wsparcia udzieliły nam następujące osoby:

Maciej Achremowicz • Elżbieta i Kazimierz Adamiakowie • Katarzyna Adamska-Dutkiewicz • Izabela Alenowicz • Agnieszka Babska • Jolanta Baran • Iwona Bartczak • Barbara Batis • Paweł Batory • Łukasz Bestry • Krzysztof Bestry • Magdalena Bigaj • Grzegorz Biziel • Jakub Blokesz • Zygmunt Bluj • Andrzej Błażejewski • Ewa Bochenek • Alicja Boddaert • Ewa Borońska • Magdalena Borowiec • Maria Bremer • Maria Brodzik • Anna Broszkiewicz • Michał Buczek • Kinga Burgiel • Małgorzata Bystrzycka • Anna Cepeniuk • Maria Chantry • Marianna Chlebowska • Elżbieta Chlebowska • Paweł Chodarcewicz • Aleksandra Chylewska-Tölle • Leszek Cich • Karina Cierocka • Wojciech Cierpiał • Jarosław Cieślak • Anna Czaplińska • Katarzyna Czerwińska-Koral • Anna Daniecka • Anna Dębska • Katarzyna Dobosz • Daniel Dramowicz • Kasper Drążewski • Bożena Drewicz • Magdalena Dyduch • Rafał Dziedzic • Zofia Eichmann • Ela Firsiuk • Mikołaj Foks • Bogna Foss-Nieradko • Diana Gabor • Hubert Gajek • Michał Garnczarski • Paweł Gieryński • Piotr Głogowski • Paweł Goldstein • Aldona Gowin • Justyna Górnowicz • Joanna Górska • Dominik Górski • Magda Grabowska • Filip Grochowina • Agnieszka Grodzicka • Krzysztof Grygier • Krzysztof Grzegorczyk • Czesław Grzeszczyk • Anna Guzy • Piotr Hachuła • Paulina Halamska • Jan Hałubiec • Ewa Haman • Iwona Hauska • Ewa Jajkowska • Paweł Jakubowski • Tomasz Janas • Karol Janas • Kamil Jankielewicz • Krzysztof Jankowiak • Janusz Januszkiewicz • Ewa Jasionek • Bożena Maria Jaworski • Krzysztof Marek Jedliński • Piotr Jędorowicz • Olek Kaczmarek • Waldemar Kaduk • Katarzyna Kądziela • Katarzyna Kajzar • Michał Kałuziak • Monika Kapa-Cichocka • Michał Kasperczak • Kazimierz Kasprzyk • Wojciech Kaźmierczak • Jacek Kempa • Bogusław Kędzior • Anna Kielin • Anna Kijak • Dorota Klaszczyk • Dorota Klos • Mateusz Kobak • Wiesław Kolasa • Zofia Komorowska • Magdalena Komorowska • Marcin Komosa • Konrad Konczewski • Michał Konopka • Michał Kosmulski • Adam Kostecki • Monika Kostera • Zygmunt Kostka • Michał Kowalewski • Leontyna Kozakowska • Marta Koziak-Podczerwińska • Anna Kozupa • Michał Królikowski • Lesław Krzewski • Urszula Kubicka • Asia Kucharska • Dorota Kuchta • Edward Stanisław Kudrewicz • Aga Kulczycka • Artur Kulesza • Anna Kulesza-Jeleń • Marcin Kulwas • Aleksandra Kurzacz • Tomasz Kwietniewski • Ireneusz Lara • Władysław Lasocki • Agata Leszczyńska • Lidia Leśniak • Kinga Liska • Marcin Listwan • Marta Lizak • Mirabella Luszawska • Joanna Ładomirska • Roman Łazarski • Justyna Łobaszewska • Agnieszka Łoś • Aneta Łuczkiewicz • Daniela Łukasiewicz • Andrzej Mackiewicz • Grzegorz Madejski • Wojciech Bolesław Maj • Marcin Majewski • Tadeusz Makulski • Krzysztof Maliszewski • Maciej Manikowski • Alicja Marciniak • Stanisław Matczak • Jerzy Matejko • Piotr Materny • Maria Matyka • Eleonora Mazurkiewicz • Wawrzyniec Mąkinia • Maria i Jan Meissnerowie • Agnieszka Michalak • Grzegorz Michalik • Piotr Michna • Karolina Milewska • Lech Miłaczewski • Michał Misior • Adam Miziołek • Małgorzata Mochoń • Tadeusz Mojsa • Małgorzata Mojsa • Andrzej Moskalik • Dorota Multarzyńska • Ewa Murawska • Mikołaj Mus • Tomasz Nadolny • Aleksandra Nagórko • Michał Napierała • Maciej Napiórkowski • Kasia Kuba Narzeczeni • Bogna Tatiana Neumann • Paweł Niedbalski • Damian Niwiński • Olek Nobis • Anna Nowak • Grzegorz Nowak • Sebastian Oduliński • Malwina Okrzesik • Katarzyna Olszańska • Julian Osmala • Katarzyna Otczyk • Kamil Pach • Magdalena Pachecka • Jadwiga Agnieszka Pacura • Dmitriy Panto • Maciej Nikodem Paszewski • Andrzej Perzyński • Marek Pęcak • Jarosław Pidek • Marcin Dariusz Pieczonka • Jarema Piekutowski • Barbara Piernikarczyk-Borowik • Dawid Jan Borowik • Małgorzata Piotrowska • Zbigniew Piotrowski • Mateusz Pitala • Agnieszka Ploch • Sławomir Płaczkowski • Marta Połtowicz-Bobak • Maria Poniewierska • Alicja Poręba • Anna Potok • Aleksandra Press • Michał Przeperski • Ewelina Przewozikowska • Anna Przybyła • Jacek Przybyło • Dorota Puk • Przemysław Purczyński • Michał Pytka • Maciej Radecki • Bartosz Grzegorz Rajewski • Barbara Reimschussel-Wąs • Weronika Reroń • Justyna Rochon • Marcin Rodzik • Agata Romaniszyn • Tomasz Romaniuk • Tomasz Rożek • Joanna Rózga • Agata Rujner • Anna Rygielska • Karolina Ryzko • Paweł Marian Sawicki • Stefan Sękowski • Rafał Siemianowski • Anna Sieprawska • Włodzimierz Sikora • Patrycja Siwica • Zbigniew Skowroński • Anna Skucińska • Marcin Słoka • Jan Słowik • Agnieszka Smarzewska • Paweł Smoleń • Krzysztof Sobusiak • Jędrzej Soliński • Renata Soszyńska • Paulina i Łukasz Sporyszkiewiczowie • Aleksandra Springer • Paweł Stachowiak • Maciej Stachowicz • Marcin Staniewski • Mateusz Stawiarski • Danuta Stołecka-Wójcik • Łukasz Strzeszyński • Michał Swół • Bożena Szaynok • Ewa Szczepaniak • Jarosław Szczypiński • Janina Anna Szef • Paweł Szewczyk • Monika Szlosek • Jolanta Irena Szostek • Marzena Szugiero • Jerzy Szymański • Agnieszka Świergiel • Magda Święcicka • Joanna Maria Święcicka • Piotr Trudnowski • Andrzej Tyc • Jerzy S. Walaszek • Radosław Walczuk • Kasia Warecka • Judyta Watoła • Natalia Wawrzos • Artur Ważny • Krzysztof Węglewski • Urszula Maria Wencka • Piotr Werner • Artur Wesołowski • Urszula Węcka • Dawid Węglowski • Małgorzata Widuch • Dominika Wielowieyska • Dorian Winter • Przemysław Włodarczyk • Ewa Wojciechowska • Katarzyna Wojtak • Filip Woźniak • Joanna Woźniak • Henryk Jan Woźniakowski • Monika Wójcicka • Jan Wyrowiński • Hubert Zadrożny • Jacek Zając • Artur Zalewski • Teresa Zańko • Agnieszka Zawiejska • Mariusz Zięba • Paweł Zygmański • Piotr Żylicz • oraz osoby, które pragną pozostać anonimowe

Możliwe formy wsparcia „Więzi” – zob. s. 227.

eprasa.pl u9xc845724

SPOŁECZEŃSTWO

Tragiczny techno-optymizm

Rozwój sztucznej inteligencji ma przynieść postęp. Ale takie obietnice składają miliarderzy, którym zależy przede wszystkim na pełnych kieszeniach. Ile władzy i zasobów możemy powierzyć AI, by pozostać w pełni ludźmi i na tym nie stracić?



eprasa.pl d9aca457c4

Ludziom to, co ludzkie, a maszynom to, co mechaniczne

JAREMA PIEKUTOWSKI

Sztuczna inteligencja może niszczyć naturalne zasoby i zatruwać wspólną przestrzeń informacyjną. Może też pomagać ludziom, których nie stać na prawnika i ratować życie kobiet w ciąży. Technooptymizm nie musi być naiwny – pod warunkiem że człowiek pozostaje w procesie decyzyjnym, a maszyna zna swoje miejsce.

Wychowałem się na książkach zupełnie już zapomnianych, których w PRL wychodziło mnóstwo – na uproszczonym *science fiction* dla starszych dzieci i młodszej młodzieży. *Synteza* Macieja Wojtyszki, *Bal na Pięciu Księżycach* czy *Sola z nieba północnego* Bohdana Peteckiego, *Ci z Dziesiątego Tysiąca* Jerzego Broszkiewicza, *Dwa słońca* Jadwigi Ostapowicz. Bohaterowie, najczęściej – podobnie jak wówczas ja – dwunasto-, trzynastoletni, przeżywali przygody w świecie przyszłości lub na innych planetach.

Dziś uderza mnie, że ten świat prawie nigdy nie był dystopijny. Że technologia tworzona przez człowieka najczęściej przynosiła ludzkości postęp i dobro, a jeśli pojawiały się problemy, to nie ze względów systemowych, a przez nieprzewidzianą awarię, czynnik losowy lub złą wolę pojedynczych czarnych charakterów, zawsze na koniec pokonywanych. Owszem, dystopia w czasach propagandy sukcesu – zwłaszcza skierowana do dzieci – na pewno nie spodobałaby się cenzurze. Ale to było coś więcej.

Względny optymizm technologiczny był udziałem SF także w świecie kapitalistycznym. W *Star Treku* Federacja w dużej mierze pokonała wojny, a narzędzie zwane replikatorem zniosło niedobory. Kapitan Jean-Luc Picard wypowiadał swoje słynne słowa: *Tea, Earl Grey, hot!* – i dostawał wygenerowaną za darmo filiżankę herbaty. U Isaaca Asimova pojawienie się robotów było raczej problemem logicznym do rozwiązania – stąd

eprasa.pl d9aca457c4

prawa robotyki – niż egzystencjalnym zagrożeniem. Nie mówię już o sympatycznych R2D2 i C3PO z *Gwiezdnych wojen* czy o robocie Roztruchanie, pieszczotliwie zwanym Truszkiem, poczciwym towarzyszu Irka, nastoletniego bohatera wspomnianego *Balu na Pięciu Księżycach*.

A przecież dzisiejsze rozmowy z Claude'em, Gemini czy czatem GPT tak bardzo przypominają rozmowy Irka z Truszkiem. Robot, który był przez lata centralną figurą SF – czyli taki, z którym można rozmawiać – pojawił się koło nas niepostrzeżenie. Jest wprawdzie ukryty pod postacią czatu na ekranie – a latami kojarzyliśmy go sobie jednak z postacią odrobinę, choć niezgrabnie, humanoidalną, a już na pewno przypominającą istotę żywą.

Nawet R2D2, wyglądający jak nieco większy śmietnik i umiejący wydać z siebie tylko elektroniczne piski, wzrusza widzów właśnie tym, że przypomina mimo wszystko żywą istotę. A działa przecież w oparciu o to, co nazywamy dziś sztuczną inteligencją (jakkolwiek by ona funkcjonowała w świecie Lucasa, nie jest to z pewnością ucieleśniona „inteligencja naturalna"). Tak czy inaczej, przyszedł w końcu ten czas i oto jest obok nas robot, nasz wyczekiwany wierny sługa.

Bez pocieszenia od miliarderów

Czy na pewno sługa? Konserwatywni pisarze, tacy jak Rod Dreher czy Paul Kingsnorth, sugerują wręcz, że AI może stać się portalem dla sił demonicznych. Obawę budzi sama autonomiczność i „świadomość" tej technologii. Konserwatyści, szczególnie wrażliwi na hierarchie i porządek świata, przeczuwają, że tworzenie przedmiotu myślącego (lub choćby symulującego myślenie) i podejmującego samodzielnie decyzje na podstawie „rozumowania" (ang. *reasoning*) może być próbą zajęcia miejsca zarezerwowanego dla Boga.

Sami twórcy LLM-ów (ang. *Large Language Model*, duży model językowy, np. czat GPT, Claude, Gemini) i powiązani z nimi myśliciele nie dają konserwatystom łatwego pocieszenia. Często cytowane są słowa Raya Kurzweila, informatyka i pisarza, pioniera technologii OCR: „Czy Bóg istnieje? Powiedziałbym: «Jeszcze nie»"[1]. Sam Altman, szef OpenAI, odpisał publicznie użytkownikom dopominającym się o nowe funkcje czata GPT: „A może trochę [dosł. kilka tygodni – dop. JP] wdzięczności dla magicznej inteligencji na niebie, a potem dostaniecie więcej zabawek?"[2].

Nawet jeśli odrzucić ten quasireligijny język jako fanaberie bogaczy, powodów do pesymizmu jest wiele i są dobrze znane. Począwszy od niebezpieczeństwa wyginięcia ludzkości, o którym mówili Geoffrey Hinton, Eliezer Yudkowsky, ale także list *Statement on AI Risk* – sygnowany przez samych twórców największych korporacji AI: Altmana i Dario Amodei z Anthropic – który już w 2023 r. głosił, że „ograniczanie ryzyka

eprasa.pl d9aca457c4

wyginięcia, stwarzanego przez sztuczną inteligencję, powinno być globalnym priorytetem, tak samo jak przeciwdziałanie innym zagrożeniom na wielką skalę, takim jak pandemie czy wojny nuklearne”[3].

Wśród wielu innych zagrożeń można wymienić choćby bezrobocie i likwidację szeregu zawodów. Dario Amodei, ten sam, który podpisał deklarację o ryzyku wyginięcia, przewidywał w 2025 r., że w okresie od roku do pięciu lat sztuczna inteligencja wyeliminuje połowę stanowisk niewymagających doświadczenia w zawodach umysłowych[4], a bezrobocie w USA sięgnie 10–20%. Trudno o wyraźniejszy przykład rozdwojenia jaźni tej branży: te same osoby budują i ostrzegają.

Niebagatelne znaczenie ma też koncentracja władzy w rękach kilkunastu firm, które dysponują mocą obliczeniową niedostępną dla państw średniej wielkości – instytut badawczy McKinseya szacuje globalne nakłady na centra danych do 2030 r. na 6,7 bln dolarów, w tym 5,2 bln na moce obliczeniowe AI[5].

Rachunek, który płacimy w prądzie i wodzie

Międzynarodowa Agencja Energetyczna policzyła, że centra danych zużyły w 2024 r. około 415 terawatogodzin energii – 1,5% światowej produkcji. Do 2030 r. ma to być 945 TWh, czyli nieco więcej niż zużywa dziś cała Japonia. W samym 2025 r. zużycie wzrosło o 17%, a w obiektach nastawionych na AI – o połowę. Woda idzie za prądem.

Serwery zamieniają niemal całą pobraną energię w ciepło, a najtańszy sposób odprowadzenia tego ciepła to wieża chłodnicza, w której woda po prostu odparowuje. Nie wraca do rzeki, nie da się jej oczyścić i puścić dalej – unosi się w powietrze. Google podał, że w 2024 r. jego centra danych pobrały na świecie ponad 29 mld litrów i zużyły bezpowrotnie 78% tej ilości[6].

A to dopiero początek. Erozja wspólnej rzeczywistości: deepfejki, syntetyczne nagrania głosu tworzone z kilkusekundowej próbki, zalew *AI slop* – niskojakościowych treści produkowanych przez AI. Badacze ze Stanforda, Imperial College i Internet Archive zmierzyli, że do połowy 2025 r. już 35% nowo publikowanych stron internetowych powstało w całości lub częściowo z pomocą AI (przed premierą czata GPT – 0%)[7]. Ilia Shumailov i jego zespół opisali na łamach „Nature”, co się dzieje z modelami karmionymi własnymi wytworami: najpierw znikają idee rzadziej spotykane i mniejszościowe perspektywy, w końcu pozostaje bełkot[8].

Pojawiły się też zagrożenia, które nie mają jeszcze własnej nazwy, np. broń autonomiczna wybierająca cele bez człowieka w pętli decyzyjnej. Istnieje również problem długu poznawczego: zespół Nataliyi Kosmyny z MIT Media Lab podłączył studentom EEG podczas pisania

eprasa.pl d9aca457c4

esejów i zobaczył, że łączność neuronalna słabnie proporcjonalnie do zewnętrznego wsparcia. Większość piszących z wykorzystaniem czata GPT nie potrafiła zacytować zdania z tekstu, który przed chwilą oddała[9].

I wreszcie samotność: 72% amerykańskich nastolatków rozmawiało już z „przyjaciółmi z AI", a co trzeci wybrał rozmowę z maszyną zamiast z człowiekiem, kiedy chodziło o coś naprawdę ważnego. W konsekwencji następuje dalsze pogarszanie się zdrowia psychicznego, rozprzestrzenianie się dezinformacji, poważne kłopoty szkół i uczelni, i tak dalej, i tak dalej, w nieskończoność, i tym podobne.

Włącznie – *last but not least* – z rozplenioną po nowych tekstach pauzą (—), której uwielbiają używać LLM-y, i z tą nieszczęsną konstrukcją „To nie X. To Y" – również ich ulubioną – która pojawia się coraz częściej w mediach społecznościowych, a nawet w artykułach. Stała się już symbolem tego, co w AI najbardziej żenujące, ale nawet najlepszym modelom, takim jak Claude Fable, na razie trudno przemówić do rozumu (o ile to właściwe słowo), by jednak jej nie używały. To nie przejściowe trudności. To początek apokalipsy... No właśnie.

Bez nadziei?

Tak przynajmniej mogłoby się wydawać. Jednak jako osoba, która pracuje nad rozwiązaniami opartymi na AI, uważam, że mimo wszystko nie trzeba tracić umiarkowanego technooptymizmu. Nie może to jednak być tani optymizm. Spora część zagrożeń, które wyliczyłem, to na razie scenariusze i hipotezy, a przy poprzednich falach cyfryzacji podobne prognozy sprawdzały się tylko częściowo. Ale nawet po odjęciu najczarniejszych wariantów zostaje dość, by tani optymizm był nieprzyzwoitością.

Jaki optymizm nie jest tani? W postscriptum do *Człowieka w poszukiwaniu sensu*, dopisanym w 1984 r., Viktor Frankl, wówczas 79-letni austriacki psychiatra i psycholog, który przeżył obozy koncentracyjne, bronił postawy nazwanej przez siebie optymizmem tragicznym. Chodziło o zachowanie nadziei, a nawet wiary w lepszą przyszłość pomimo tragicznej triady, która w logoterapii obejmuje nieusuwalne aspekty ludzkiego istnienia: cierpienie, winę i śmierć. Frankl pytał wprost, jak mimo tego wszystkiego powiedzieć życiu „tak". A czy można mimo przytoczonych przeze mnie wcześniej argumentów powiedzieć ostrożne „tak" sztucznej inteligencji?

AI potrafi służyć tym, których często nazywamy „słabszymi", choć najczęściej są to po prostu ludzie, którym trafił się trudny los. Rzadko o tym słychać, bo ci ludzie – i działające na ich rzecz organizacje – najczęściej nie kupują reklam. Przykłady jednak istnieją i można je poprzeć liczbami. Podam trzy z nich.

eprasa.pl d9aca457c4

Amerykańska firma *non-profit* Upsolve, założona na Harvardzie, stworzyła aplikację prowadzącą ubogich Amerykanów przez upadłość konsumencką – procedurę, na którą paradoksalnie nie stać właśnie tych, którzy jej potrzebują, czyli najbiedniejszych. Usługi prawnicze w tym zakresie kosztują co najmniej półtora tysiąca dolarów. Współzałożyciel Upsolve, Ben Jackson, zna to z autopsji – po upadku własnej małej firmy tonął w 60 tysiącach dolarów długu i nie miał z czego zapłacić za pomoc. Był zbyt biedny, by zostać uznanym za biednego.

Odpowiedzialność wypływa z człowieczeństwa. Dlatego w dojrzałych systemach, nienapędzanych żądzą zysku, człowiek podejmuje decyzje, choćby technicznie można było go już pominąć – bo wraz z nim zniknęłoby sumienie.

Dwuminutowa ankieta Upsolve sprawdza, czy dany przypadek się kwalifikuje, potem aplikacja – na komputerze albo na telefonie – zadaje po kolei pytania prostą angielszczyzną, bez prawniczego żargonu, prosi o zdjęcia odcinków wypłat i zeznań podatkowych, a z odpowiedzi sama składa komplet 23 formularzy sądowych. Każdą petycję przed złożeniem sprawdza człowiek – asystent prawny. Procedura, która w kancelarii pochłania 9–10 godzin pracy, zamyka się w 90 minut. Wcześniej 56 tysięcy osób rocznie zaczynało procedurę i porzucało ją w połowie tylko dlatego, że utknęły na jakimś polu formularza o wpół do drugiej w nocy i nie miały kogo zapytać o radę. Asystent prawny widzi ten sam ekran co użytkownik i odpowiada w momencie zawahania.

Przeciętny użytkownik aplikacji zarabia 22 tysiące dolarów rocznie i pozbywa się 52 tysięcy długu. Organizacja szacuje, że jedno umorzenie przekłada się średnio na 160 tysięcy dolarów majątku odzyskanego w skali życia – bo bankructwo zatrzymuje zajęcia komornicze i nierzadko chroni przed bezdomnością. W pewnym momencie zabrakło już nie mocy obliczeniowej, lecz ludzkich rąk do pracy: pod koniec 2024 r. Upsolve na dwa tygodnie wstrzymał przyjmowanie nowych użytkowników, bo ludzcy asystenci prawni nie nadążali ze sprawdzaniem petycji, które maszyna pomogła wypełnić.

Claire Robinson opowiedziała w „Forbesie" o jednej z tych rodzin[10]. Matka trafiła na Upsolve, kiedy jej niemowlę leżało na oddziale intensywnej terapii po niewydolności serca, a rachunki ze szpitala zepchnęły ją w dług nie do udźwignięcia. Wniosek o upadłość wypełniła na telefonie – między wizytami na oddziale a opieką nad resztą dzieci, nocą, kawałek po kawałku, z maszyną odpowiadającą na pytania, na które nie miałby czasu odpowiedzieć żaden prawnik *pro bono* o trzeciej nad ranem.

eprasa.pl d9aca457c4

AI rusza na ratunek

W kenijskiej wsi nie wszyscy mają smartfona, ale telefon z klawiszami ma prawie każda kobieta. Na tym oparła się organizacja Jacaranda Health, budując PROMPTS – usługę dla kobiet w ciąży działającą przez zwykłe esemesy[11]. Przyszła matka rejestruje się esemesem w przychodni, odpowiada na kilka pytań i od tej pory dostaje wiadomości dopasowane do tygodnia ciąży, a sama może pytać o wszystko: „Czy to normalne, że kręci mi się w głowie?", „Czy mogę jeść awokado?". Odpowiada jej lokalny model językowy mówiący w suahili, po angielsku i w ulicznym slangu sheng.

Twórczość to ekosystem, który żyje dzięki różnorodności, a AI działa w nim jak monokultura – plon rośnie, gleba jałowieje.

System obsługuje do 12 tysięcy pytań dziennie. Gdy jednak w wiadomości pojawia się sygnał alarmowy – krwawienie, drgawki, słabnące ruchy dziecka – nie odpowiada sam. Natychmiast przekazuje sprawę ludziom, którzy dzwonią, kierują do szpitala, w razie potrzeby organizują karetkę, a dwa dni później oddzwaniają, by spytać, jak poszło. Jay Patel z Jacaranda Health mówi wprost: „W sprawach pilnych nie chcemy, żeby z matką rozmawiała sztuczna inteligencja"[12].

Ponad trzy miliony kobiet, tysiąc dwieście placówek. W obsługiwanych społecznościach liczba wizyt prenatalnych wzrosła o jedną piątą, a dziewięć na dziesięć oflagowanych ciąż wysokiego ryzyka trafia na czas do szpitala – w kraju, w którym zwłoka w szukaniu pomocy odpowiada za jedną trzecią okołoporodowych zgonów matek.

Za statystykami stoją historie takie jak ta, którą opisali partnerzy Jacarandy: oto Millicent, matka z zagrożoną ciążą, dzięki esemesowym podpowiedziom i rozmowom telefonicznym z osobami zajmującymi się wsparciem zdążyła trafić do szpitala i urodziła zdrowe dziecko[13]. Nie ma tu żadnego cudu, żadnej magicznej inteligencji na niebie. Telefon z klawiszami, model mówiący w suahili i człowiek po drugiej stronie.

Citizens Advice to z kolei brytyjska sieć około 250 organizacji poradniczych. Z ich pomocy korzystają miliony ludzi w sprawach długów, zasiłków i mieszkań. Sieć zbudowała asystenta o imieniu Caddy. Asystent w ogóle nie rozmawia z klientem. Sugeruje doradcy – człowiekowi – odpowiedzi, i to wyłącznie na podstawie zweryfikowanej bazy wiedzy organizacji, z odnośnikami do źródeł. Człowiek sprawdza, zatwierdza i dopiero wtedy mówi.

W randomizowanym badaniu czas odpowiedzi na pytanie spadł o połowę, a doradcy dwukrotnie częściej deklarowali pewność swoich odpowiedzi. Nikt w kryzysie nie zostaje sam na sam z maszyną, a kolejka po

eprasa.pl d9aca457c4

ludzką pomoc robi się krótsza. Caddy początkowo nie miał żadnego własnego finansowania – zbudowała go lokalna organizacja z Manchesteru, przeskalowało państwo (Cabinet Office), a pierwotny kod jest otwarty[14].

Sztuczna inteligencja na smyczy

Te trzy przykłady (uwaga! AI też często podaje dokładnie trzy przykłady, choć ten zabieg językowy jest dużo starszy od niej) układają się w pewien wzorzec, w coś w rodzaju reguły korzystania ze sztucznej inteligencji. Zaskakująco zbieżnej z tym, co Leon XIV pisze w *Magnifica humanitas*.

Po pierwsze – w żadnej z tych historii człowiek nie zostaje sam z maszyną. W IT mówimy na to *human in the loop*, człowiek w pętli. To odpowiedź na pytanie papieża o rozliczalność, „*accountability* – możliwość ustalenia, kto ma «zdać sprawę» z decyzji, uzasadnić je, poddać kontroli, a gdy to konieczne – zakwestionować je i naprawić szkody, które z nich wynikają" (MH 105). Algorytm nie może wziąć odpowiedzialności, nie może zdać sprawy, bo – jak pisze papież – nie ocenia dobra i zła i „nie bierze na siebie ciężaru konsekwencji" (MH 99). Odpowiedzialność jest z ciała, z człowieczeństwa. Dlatego w dojrzałych systemach, nienapędzanych żądzą zysku, człowiek podejmuje decyzje, choćby technicznie można było go już pominąć – bo wraz z nim zniknęłoby sumienie.

Po drugie: suwerenność. Jacaranda nie podpięła się pod produkt Daria Amodeiego czy Sama Altmana, tylko wytrenowała model na pytaniach kenijskich matek. Caddy czerpie z własnej bazy Citizens Advice. Encyklika nazywa to rozbrojeniem: „Rozbroić nie znaczy wyrzec się technologii, lecz nie dopuścić, by zapanowała nad tym, co ludzkie. Znaczy wyzwolić ją spod monopoli, uczynić ją przedmiotem debaty i sprzeciwu, a tym samym przestrzenią przyjazną ludziom, przywracając ją wielości ludzkich kultur i form życia" (MH 110).

Papież ostrzega, że „AI skłonna jest pomnażać przede wszystkim władzę tych, którzy już dysponują zasobami ekonomicznymi, kompetencjami i dostępem do danych" (MH 108) – a lokalny model, choćby słabszy od giganta, przerywa właśnie to sprzężenie, nie pozwala bogacić się na danych, i tak zbieranych często bez zachowania żadnych zasad.

Nie jesteśmy skazani na modele trenowane w Kalifornii i Shenzhen. W lutym tego roku w Santiago zaprezentowano Latam-GPT[15] – pierwszy otwarty model językowy stworzony przez Amerykę Łacińską dla niej samej. Koordynowało go chilijskie centrum CENIA, budowało go ponad 30 instytucji z ośmiu krajów, od Meksyku po Urugwaj, a wśród nich znalazła się Kolumbia, która wniosła do korpusu treningowego swoją wiedzę o bioróżnorodności i podręczniki szkolne. Latam-GPT to osiem terabajtów regionalnych danych, których wcześniej w ogóle nie

eprasa.pl d9aca457c4

było w internecie, wsparcie dla języków rdzennych – rapanui, mapuche, guarani – i budżet, który brzmi jak żart wobec skali wydatków gigantów: 550 tysięcy dolarów.

Prezydent Gabriel Boric mówił podczas premiery, że dla Ameryki Łacińskiej udział w tej rewolucji jest sprawą strategiczną i pilną; dyrektor CENIA dodał argument, który powinien trafić do każdego regulatora: nie da się regulować czegoś, czego się nie rozumie. Mamy zresztą własną wersję tej historii. Bielika, polski otwarty model, zbudowała fundacja SpeakLeash z pomocą superkomputerów krakowskiego Cyfronetu. Sceptycy wyliczali, że będzie na to potrzebna kwota minimum 20 milionów złotych. Społeczność zajmująca się Bielikiem zrobiła to nocami i weekendami za ułamek tej kwoty.

Nie łudźmy się: te modele wciąż odstają od gigantów. Ale suwerenność jest możliwa i polega na tym, że możemy sami wytrenować model, zbudować wokół niego cały zestaw narzędzi i reguł oraz wyposażyć go w wartości, które wybraliśmy, a nie w te, które przyszły w pakiecie z licencją od *big techów*.

Po trzecie: ugruntowanie. Zwykły program komputerowy sprawdza: sięga do bazy, znajduje rekord, zwraca wynik – można prześledzić każdy krok tej drogi. Model językowy niczego nie sprawdza – on przewiduje. W uproszczeniu: dobiera najbardziej prawdopodobne kolejne słowo, ucząc się tego z miliardów cudzych zdań. Jest maszyną do wytwarzania wypowiedzi, które brzmią wiarygodnie – ale prawda i wiarygodność nie zawsze się pokrywają.

Stąd biorą się halucynacje. Zapytany o fakt, którego nie zna, model ma trudność z powiedzeniem „nie wiem", bo nie odróżnia wiedzy od umiejętności dopowiedzenia. Czasami zmyśli sygnaturę wyroku, dawkę leku, tytuł książki – płynnie, bez cienia wahania. To zupełnie inny sposób działania niż klasyczna, deterministyczna informatyka. Współczesne systemy AI „są bardziej «hodowane» niż «konstruowane»", a ich wewnętrzne procesy „pozostają obecnie nieznane" – pisze Leon XIV (MH 98).

Upsolve, Jacaranda i Citizens Advice mierzą się z tym wyzwaniem. Zanim model odpowie, dostaje do ręki sprawdzone dokumenty – formularze sądowe, protokoły medyczne, bazę porad – i wolno mu odpowiadać tylko na ich podstawie, najlepiej ze wskazaniem, skąd wziął które zdanie. To właśnie ugruntowanie, *grounding*.

Towarzyszy mu uprząż (*harness*): model nie działa luzem, lecz w oplocie zwykłych, przewidywalnych programów, które pilnują reguł – sprawdzają, czy odpowiedź nie wykracza poza źródła, czy nie pada w niej to, co paść nie może, czy sprawa alarmowa na pewno poszła do człowieka. Tam, gdzie stawka jest wysoka, część pracy wykonywana jest według zasad starej, deterministycznej informatyki. Skoro nie wiemy, co dzieje

eprasa.pl d9aca457c4

się w środku, tym ważniejsze jest, by operatorzy wiedzieli, skąd model bierze odpowiedź.

Po czwarte – co może zasmucić liberałów – niestety żaden z opisywanych systemów nie wyrósł z wolnego rynku. Zbudowały je organizacje *non-profit* z grantów, kenijski *non-profit* z ministerstwem zdrowia, sieć charytatywna z rządowym wsparciem. Logika maksymalizacji zysku sama z siebie nie wyprodukuje modelu dla matek z telefonem na klawisze, bo ekonomia uwagi (encyklika mówi o platformach „projektowanych tak, aby pochłaniać czas i uwagę użytkowników", MH 170) zarabia na czym innym. „W epoce AI i robotyki nie można już powierzać wszystkiego samej «niewidzialnej ręce» rynku" (MH 163). Stąd potrzeba państwa, prawa, instytucji – nudnych bohaterów tej historii.

I wreszcie po piąte – podział ról i postawienie granic. Psychiatra i filozof Iain McGilchrist w książce *The Master and His Emissary* opisuje – bardziej jako metaforę niż ścisłą anatomię – dwa tryby ludzkiej uwagi, przypisując je dwóm półkulom mózgu. Lewa chwyta, liczy, kataloguje, wykonuje procedury; prawa widzi kontekst, całość. Otóż sztuczna inteligencja jest wymarzonym wykonawcą żmudnych i powtarzalnych zadań „lewopółkulowych". Wypełnianie formularzy upadłościowych jest dokładnie takim zadaniem, w przeciwieństwie do pisania wierszy.

I rzecz ciekawa: mimo całej mocy obliczeniowej maszyna do dziś nie przekroczyła tego progu. Badanie Doshiego i Hausera w *Science Advances* pokazało, że pomysły od AI czynią pojedyncze opowiadania trochę lepszymi – ale z czasem wszystkie te opowiadania stają się do siebie podobne[16]. Twórczość to ekosystem, który żyje dzięki różnorodności, a AI działa w nim jak monokultura – plon rośnie, gleba jałowieje.

Zostawić słowo ludziom

W opisanych wyżej przykładach dobrych praktyk maszyna dostaje zadania lewopółkulowe – formularze, terminy, fakty, triaż – i nie miesza się do uczuć. Nie udaje też człowieka bardziej, niż udawał go Truszek albo R2D2. Encyklika poświęca temu najbardziej przejmujący fragment: „Gdy słowo jest symulowane, nie buduje relacji, lecz jedynie jej pozór", a naśladowanie opieki „może stać się niebezpieczne, gdy wkrada się w kontekst ubogi w realne relacje i uczucia" (MH 100).

Simone Weil pisała, że to, co społeczne, jest domeną księcia tego świata; za Platonem nazywała społeczeństwo Wielkim Zwierzęciem – bałwanem, który mnoży i uświęca cudze opinie, aż zagłuszą sumienie. Gdyby zobaczyła dzisiejsze modele językowe, trenowane na miliardach naszych zdań, rozpoznałaby chyba w nich Wielkie Zwierzę w najczystszej postaci: zagęszczoną opinię publiczną. *Slop* byłby dla niej po prostu

eprasa.pl d9aca457c4

tym, czym zawsze była wielość bez łaski – rozplenianiem się tego, co Byung-Chul Han nazywa „piekłem tego samego".

Niech więc maszyna nie będzie wyrocznią, a pokornym sługą. Niech pozostanie maszyną, a robot – robotem. Lubimy C3PO, R2D2, lubiliśmy zapomnianego dziś polskiego Truszka, ale nikt ani przez chwilę nie mylił go z człowiekiem. Może cała dojrzałość, do której wzywa nas ta technologia, streszcza się w tej dziecięcej umiejętności.

Leon XIV pisze, że jakość cywilizacji mierzy się troską, jaką potrafi ofiarować, i wymienia gesty, których żadna maszyna nie zastąpi: „czytanie baśni dziecku, towarzyszenie osobie starszej" (MH 114). Robot doskonale nada się do wypełniania formularzy, ale bajkę o chłopcu i robocie przeczytam dziecku sam. ■

JAREMA PIEKUTOWSKI – ur. 1978. Socjolog, publicysta, analityk, AI developer. Współpracownik Techlabee.ai – współtwórca narzędzia backupbrain.ai do zarządzania wiedzą w organizacji. Członek Zespołu Laboratorium „Więzi". Współpracował z Uniwersytetem Warszawskim, Fundacją Pole Dialogu i Ośrodkiem Ewaluacji. Autor fabularyzowanej biografii Gilberta Keitha Chestertona pt. *G. K. Chesterton. Geniusz ortodoksji*, zbioru esejów *Od foliowych czapeczek do seksualnej recesji* oraz wywiadów rzek (m.in. z Ludwikiem Dornem i Wojciechem Maksymowiczem).

1 J. Rennie, *The Immortal Ambitions of Ray Kurzweil: A Review of Transcendent Man*, „Scientific American", 15.02.2011, scientificamerican.com/article/the-immortal-ambitions-of-ray-kurzweil [dostęp: 7.08.2026].
2 x.com/sama/status/1834351981881950234 [dostęp: 7.08.2026].
3 *Statement on AI Risk*, technologist.mit.edu/statement-on-ai-risk [dostęp: 7.08.2026].
4 *AI was supposed to destroy jobs. Where's the carnage?*, „The Guardian", theguardian.com/technology/2026/aug/12/ai-job-destruction [dostęp: 7.08.2026].
5 Zob. *Rekordowe inwestycje w centra danych nie tworzą nowych miejsc pracy dla ludzi*, f5, f5.pl/po-pracy/rekordowe-inwestycje-w-centra-danych-nie-tworza-nowych-miejsc-pracy-dla-ludzi [dostęp: 7.08.2026].
6 V. Lakhanpal, *Data Center Water Use*, Most Policy Initiative, 8.04.2026, mostpolicyinitiative.org/science-note/data-center-water-use [dostęp: 7.08.2026].
7 J. Dolezal, S. Alam, M. Graham, M. Bohacek, *The Impact of AI-Generated Text on the Internet*, ai-on-the-internet.github.io [dostęp: 7.08.2026].
8 I. Shumailov, Z. Shumaylov, Y. Zhao, N. Papernot, R. Anderson, Y. Gal, *AI models collapse when trained on recursively generated data*, „Nature" 2024, nr 631, nature.com/articles/s41586-024-07566-y [dostęp: 7.08.2026].
9 N. Kosmyna, E. Hauptmann, Y. T. Yuan, J. Situ, X.-H. Liao, A. V. Beresnitzky, I. Braunstein, P. Maes, *Your Brain on ChatGPT: Accumulation of Cognitive Debt when Using an AI Assistant for Essay Writing Task*, arxiv.org/abs/2506.08872 [dostęp: 7.08.2026].
10 S. Farley, *Upsolve's AI Paralegal Helps Erase $1 Billion In Debt*, „Forbes", 9.03.2026, forbes.com/sites/fastforward/2026/03/09/upsolves-ai-paralegal-helps-erase-1b-in-debt [dostęp: 7.08.2026].
11 Zob. jacarandahealth.org/prompts [dostęp: 7.08.2026].
12 D. Musau, *PROMPTS: How an AI tool is educating pregnant women in Kenya through SMS*, Citizen Digital, 31.10.2024, citizen.digital/article/prompts-how-an-a-i-tool-is-educating-pregnant-women-in-kenya-through-sms-n352198 [dostęp: 7.08.2026].
13 J. Sadiev, J. Patel, E. Olang, *A Lifeline for Mothers. How Jacaranda Health's AI innovations are saving lives*, The Agency Fund, 2.09.2025, theagencyfund.substack.com/p/a-lifeline-for-mothers [dostęp: 7.08.2026].
14 Zob. github.com/i-dot-ai/caddy [dostęp: 7.08.2026].
15 Zob. latamgpt.org/en [dostęp: 7.08.2026].
16 A. R. Doshi, O. P. Hauser, *Generative AI enhances individual creativity but reduces the collective diversity of novel content*, „Science Advances" 2024, t. 10, nr 28, science.org/doi/10.1126/sciadv.adn5290 [dostęp: 7.08.2026].

eprasa.pl d9aca457c4

Jak być rebeliantem AI?

BARTOSZ BLIUJ-STODULSKI I MARIA ROGACZEWSKA W ROZMOWIE Z EWĄ BUCZEK

Leon XIV nawołuje, żeby człowiek nie kurczył samego siebie do roli konsumenta i odbiorcy, tylko żeby się rozszerzał w swoim człowieczeństwie. Kwoty inwestowane w AI robią wrażenie, ale im większe są te liczby, tym więcej wspólnych zasobów, przestrzeni, wody tracimy. W tej sytuacji pojęcie człowieczeństwa musi obejmować także odpowiedzialność za planetę.

EWA BUCZEK Ostatnio coraz więcej mówi się o etycznych wątpliwościach związanych z rozwojem AI. Wśród generacji Z i Alfa można zaobserwować zjawisko *AI-fatigue/brain fry* – poznawczego wyczerpania kolonizacją naszego codziennego życia przez algorytmy i sztuczną inteligencję. Atmosfera wokół AI robi się coraz gęstsza, więc spotkaliśmy się po to, by porozmawiać o tym, jak korzystać z tej technologii mądrze i bezpiecznie. Chcemy uwzględnić tu nie tylko Wasze perspektywy zawodowe i osobiste, ale także doświadczenie mieszkania na różnych kontynentach – w Polsce, na Litwie i w Stanach Zjednoczonych. Zacznijmy może od skali mikro: w jaki sposób dziś AI przenika Wasze życie rodzinne?

MARIA ROGACZEWSKA Muszę zauważyć, że samo postawienie tego tematu w ten sposób jest bardzo europejskie – oddajemy się refleksji, zastanawiamy się nad procesami, podczas gdy w Stanach, gdzie mieszkam, nie tylko w biznesie, ale też w politykach publicznych, również polityce edukacyjnej, dominuje hasło: *Move fast and break things*. I skutki tego myślenia widać na co dzień.

Ponieważ w pandemii wiele dzieci przeszło na nauczanie online, osoby zarządzające oświatą stwierdziły, że to świetna okazja do przyspieszenia technologicznego w amerykańskich szkołach. W związku z tym, kiedy dzieci wróciły do klas, w każdej sali był już na ścianie wielki ekran i uczniowie, począwszy od zerówki, zaczęli dostawać szkolne tablety na własny użytek. Nie trzeba chyba dodawać, jak ogromną szansą biznesową było to dla wielu firm technologicznych, które nagle zaczęły opracowywać programy edukacyjne dla szkół.

Dlatego moją codziennością jest zmaganie się z przemożną obecnością ekranów w życiu naszych dzieci narzuconą nam, rodzicom, przez instytucje publiczne. I tu nawet nie chodzi o to, że próbuję zapanować nad czasem ekranowym w moim domu, ale o to, że nie mam kontroli nad ścieżkami, które otwierają przed

eprasa.pl d9aca457c4

dziećmi szkolne technologie. W ramach anegdoty powiem tylko, że moja córka na swoim tablecie szkolnym miała aplikację Gemini…

BUCZEK Czyli narzędzie AI od Google, które stanowi konkurencję dla popularniejszego czata GPT.

ROGACZEWSKA Otóż moja sześciolatka miała dostęp do Gemini szybciej, niż ktokolwiek z dorosłych w naszym domu zdążył nawet o tym pomyśleć!

BARTOSZ BLIUJ-STODULSKI Mój najstarszy syn, obecnie 14-letni, jest jedynym dzieckiem u nas w domu, które ma smartfona, ale ani on, ani reszta dzieci nie używa AI. Nie dlatego, że im zabraniamy, ale dlatego, że ich to po prostu nudzi. To jest dla mnie bardzo ciekawa sprawa: jako przedsiębiorca pracujący na rynku AI miałem wrażenie, że dzieci będą chciały mnie naśladować, a tymczasem słyszę od nich: „Tato, po co z tym «ejajem» siedzisz? To zabija myślenie. Dlaczego nie możemy czegoś zrobić na podwórku sami?”.

To jest dla mnie istotne: kto właściwie w rodzinie siedzi więcej w telefonie? Rodzice czy dziecko? Czy ja, jako dorosły, wybieram planszówki, czy ekrany? Czas razem czy czas osobno?

U nas sytuację ułatwia fakt, że moja żona, która jest analogową ilustratorką, nie cierpi komputerów i tych wszystkich narzędzi w rodzaju Photoshopa czy InDesigna, wszystko robi ręcznie, a potem skanuje i delikatnie poprawia. Można więc powiedzieć, że ta analogowość jest zakodowana w naszym rodzinnym DNA. Co nie znaczy, że nie mamy zupełnie kontaktu z AI, bo to chyba obecnie jest niemożliwe. Weźmy na przykład współczesną muzykę – moja córka dużo jej słucha w serwisach streamingowych i czasem słyszymy, że to są głupie piosenki tworzone przez AI. To jest dla mnie problem, tym bardziej że nie da się tego kontrolować.

Tutaj muszę jednak zrobić ważne zastrzeżenie. Według mnie ta bezsilność, którą dziś odczuwamy w zderzeniu z zalewem treści tworzonych przez AI, nie wynika z tego, że od trzech lat można korzystać z czata GPT, ale z tego, że już świat przed AI fundował nam pranie mózgu, że pozwoliliśmy social mediom wejść tak głęboko w nasze życie i je zmienić. Moim zdaniem AI potęguje wszystkie te złe nawyki, które już powstały przez technologię wcześniej, a nie tworzy nowe. Sztuczna inteligencja nie stanowi źródła problemu, ale jest papierkiem lakmusowym, który pokazuje, w jak trudnym momencie żyjemy.

ROGACZEWSKA Bartosz ma rację, społeczne napięcia związane z AI to tylko ciąg dalszy wielu problemów, które zaczęły się znacznie wcześniej, jeszcze przed pandemią. W amerykańskiej edukacji dzieje się coś niepokojącego od ponad dekady. Prawie wszędzie uczniowie osiągają gorsze wyniki niż ich rówieśnicy 10 lat temu, jak wynika z danych dotyczących wyników testów na poziomie okręgów, opublikowanych w 2025 r. przez Educational Opportunity Project na Uniwersytecie Stanforda. W porównaniu z dekadą wcześniej poziom umiejętności czytania spadł w 83% badanych okręgów szkolnych, dla których dostępne były dane. Wyniki z matematyki obniżyły się o 70%. Spadki dotknęły zarówno bogate, jak i biedne okręgi, przekraczając podziały rasowe i geograficzne. Dane pokazują, że w wielu okręgach te zmiany mają charakter długotrwały, a nie są jedynie chwilowym wahaniem spowodowanym

eprasa.pl d9aca457c4

pandemią. W latach 2017–2019 uczniowie stracili tyle samo punktów procentowych w testach sprawdzających umiejętność czytania, co podczas pandemii, i wyniki malały w podobnym tempie aż do 2024 r.

W ślad za nimi podążyły też wyniki amerykańskich uczniów w testach dotyczących tworzenia, słuchania i rozumienia tekstu, krytycznego myślenia i tego wszystkiego, co jest potrzebne do świadomego uczestniczenia w życiu społecznym. Eksperci ds. edukacji twierdzą, że nie ma jednej przyczyny tego procesu. Jednak chronologia tych spadków dostarcza pewnych wskazówek – pokrywa się z rozpowszechnieniem używania technologii cyfrowych i social mediów.

Podobne zjawiska z zakresu naukowej recesji można zaobserwować na uczelniach wyższych. W 2025 r. na stronie MIT Media Lab ukazał się głośny artykuł referujący badanie przeprowadzone z udziałem studentów używających czata GPT do pisania prac akademickich. Pojawiło się w nim pojęcie „długu poznawczego", czyli ukrytego kosztu, jaki ponosi mózg osoby korzystającej z narzędzi AI. Badanie MIT Media Lab porównało aktywność mózgu uczestników piszących eseje z użyciem czata GPT, Google Search i tych bez żadnych narzędzi. Skany EEG wykazały, że aktywność mózgu użytkowników LLM w obszarach związanych z kreatywnością i pamięcią wyraźnie spadała. Z czasem ci użytkownicy coraz bardziej polegali na narzędziu, często stosując strategię kopiuj-wklej.

BLIUJ-STODULSKI: *Łatwo ulec pokusie ścigania się z maszynami – kto jest bardziej efektywny, ale to przepis na katastrofę. Jako ludzie powinniśmy skupić się na tym, co umiemy robić tylko my. Chodzi o to, żeby ludzie byli bardziej ludzcy, a maszyny niech będą bardziej maszynowe.*

Choć badanie było bardzo ograniczone i dotyczyło niewielkiej grupy, spotkało się z żywą reakcją wielu mediów, a nawet władz uniwersyteckich, które – jak można się dowiedzieć choćby z raportu o AI na uczelniach wyższych opublikowanego przez American Association of Colleges and Universities – mają bardzo ambiwalentne stanowisko w tej kwestii. Zdają sobie sprawę, że codzienne używanie narzędzi AI przez ponad połowę studentów jest już powszechne, zatem postulują rezygnację z jakichkolwiek sankcji i wprowadzenie lokalnych porozumień i kontraktów etycznych ze studentami. Są jednak też pracownicy naukowi, którzy decydują się na powrót do pisania prac i egzaminów jedynie z pomocą ołówka i kartki papieru, otwarcie deklarując, że AI jest wrogiem tradycji akademickiej.

BUCZEK Wtrącę tylko tutaj, że o tym, czy sztuczna i organiczna inteligencja to „naturalni rywale" i jak zmieniają się formy poznawcze na przykładzie uczelni wyższych, pisze obok Dota Szymborska.

ROGACZEWSKA W kontekście sporów o przyszłość edukacji warto przywołać jeszcze ważny artykuł z „The Atlantic"

eprasa.pl d9aca457c4

The End of Reading Is Here. Autorka, Rose Horowitch, stawia tezę, że okres powszechnej umiejętności czytania i pisania był wyjątkowy w historii ludzkości, ale już się kończy, stanowił tylko przerywnik między epoką ustną a cyfrową. Słowo pisane przetrwało tysiące lat i pokonało kolejne wyzwania związane z nowymi technologiami, ale może ustąpić pod naporem AI.

Co jednak stanie się z ludzkimi mózgami, które nie czytają długich tekstów i nie uczą się samodzielnego pisania? Zabraknie im ważnego treningu, bo przecież czytanie książek to właśnie trening skupiania uwagi. Im więcej czytamy, tym łatwiej jest nam uczyć się i podejmować wiele innych intelektualnych zadań. Natomiast pisanie to sposób, w jaki ludzie odkrywają, co myślą. Sam akt pisania ręcznego porusza w mózgu takie obszary, których nie uruchamia stukanie w klawiaturę czy ekran. Pisanie jest trudne, ponieważ pisząc, uczymy się. Jeśli sztuczna inteligencja wyeliminuje tę czynność, może wyeliminować również proces uczenia się – taki, jaki znaliśmy do tej pory.

Na szczęście, jak pisze Horowitch, nadejście takiego świata wcale nie jest pewne. Coraz więcej grup społecznych – rodzice, nauczyciele, wykładowcy, ale także sami młodzi ludzie – wybiera sprzeciw. Nawet małe dzieci wolą książki drukowane od cyfrowych i klasyczne bajki od tych generowanych przez AI. Można powiedzieć, że otwierają się przestrzenie rozmaitych działań rebelianckich wobec AI, które łączą różne grupy społeczne ponad podziałami. Ludzie zaczynają bronić swoich najcenniejszych, analogowych „trzecich miejsc", takich jak biblioteki, tereny zielone, szkoły publiczne, które jeszcze do niedawna były uważane za coś z poprzedniej epoki, a teraz ożywają od debat i warsztatów. Lokalne społeczności spierają się tam ze swoimi władzami np. o lokalizację centrów danych.

Zresztą chyba za wspólny mianownik takich działań można uznać właśnie próbę uzyskania wiedzy o realnych (a często ukrywanych) skutkach wdrażania nowych technologii i poczucia sprawczości w tej pędzącej z nieludzką prędkością cyfrowej rewolucji.

Tę oddolną potrzebę dostrzegła niedawno legendarna aktywistka Erin Brockovich, która uruchomiła ogólnokrajową inicjatywę obywatelską śledzącą centra danych AI, domagając się transparentności procesu ich powstawania. W ramach projektu Brockovich Data Center Reporting zarejestrowano już ponad 8000 zgłoszeń dotyczących tajnych konstrukcji, ogromnego zużycia zasobów i obciążenia środowiska.

BLIUJ-STODULSKI Pamiętacie film *WALL·E*? To animacja z 2008 r. stworzona przez studia Pixara i Disneya o małym robocie, który został sam na Ziemi. Mieszkańcy planety przeżyli, ale latają w statkach kosmicznych, gdzie tylko siedzą na fotelach obsługiwani przez maszyny, a na nosie mają VR-owe okulary. Nie potrafią się ruszać, nie potrafią myśleć, tylko oglądają miliony, miliony obrazów. To niby film dla dzieci, ale jednocześnie zadziwiająco trafna wizja kierunku, w którym jako ludzkość zmierzamy. AI nie stanowi dla nas bezpośredniego niebezpieczeństwa, nie zabiją nas walki robotów ani żaden Armaggedon – jeśli coś nam zagraża, to my sami, bo przestajemy myśleć.

Jest jeszcze jedna rzecz, która wydaje mi się przerażająca: na płaszczyźnie za-

eprasa.pl d9aca457c4

wodowej kultura menedżerów względem AI jest większa niż kultura menedżerów względem swoich podwładnych. Mobbing spotyka w pracy tylko ludzi – nikt nie krzyczy na AI, bo się boi, że to się może kiedyś na nim zemścić. Zarządzający dbają o to, żeby podawać maszynie właściwe prompty, żeby dobrze ukazać jej kontekst, dostarczyć odpowiednich książek, a przestają się troszczyć o to samo w stosunku do człowieka.

ROGACZEWSKA Dotykasz tutaj czegoś bardzo fundamentalnego, co jest też osią sporu wokół AI między Ameryką i Europą. W Stanach głównym priorytetem jest zwiększanie korzyści finansowych – dla właścicieli i udziałowców firm technologicznych oraz dla klientów biznesowych. Mówimy tu o gigantycznych pieniądzach, o przepływach rocznych rzędu 700 miliardów dolarów.

Natomiast w Europie maksymalizacja zysków – przynajmniej deklaratywnie – nie jest najważniejsza. Europa chce patrzeć na AI jako na potencjalne narzędzie zwiększenia sprawczości firm, małych biznesów, różnych społeczności. Drugą istotną kwestią dla Starego Kontynentu jest sprawiedliwość, dlatego starano się budować takie systemy, które – przynajmniej na planie idealnym – miały w sprawiedliwy sposób rozdzielać dostęp do różnych dóbr.

W Stanach postępuje algorytmizacja wszystkich usług, w tym edukacyjnych i zdrowotnych, która bardzo przyspiesza dzięki AI. W praktyce oznacza to, że o tym, w jakiej szkole, klasie, na jakim poziomie będą się uczyły nasze dzieci, a także jakie usługi i świadczenia zdrowotne otrzymają, będą decydować przede wszystkim algorytmy. Możemy mieć tylko pobożne życzenie, że gdzieś tam jeszcze zostanie *human in the loop* – nadzór choć jednego ludzkiego kontrolera.

BLIUJ-STODULSKI To jest fundamentalny dylemat dotyczący tego, co napędza rozwój człowieka: pieniądze czy inne, głębsze wartości? Ten konflikt długo udawało się przykrywać innymi sprawami, ale coraz mocniej wybrzmiewają w nim interesy finansowe i społeczne, więc w pewnym momencie – nie wiem, kiedy ani kto będzie za to odpowiedzialny – może dojść do jego wybuchu. Tylko najsilniejsi będą bogaci, a co z całą resztą?

ROGACZEWSKA Myślę, że europejskie podejście oparte na wartościach ciągle jest w grze. Świadczy o tym chociażby przyjęty przez Parlament Europejski Akt ws. Sztucznej Inteligencji, który w sierpniu 2026 r. wszedł w życie i od tego momentu wymaga od dostawców treści wyraźnego oznaczania, gdzie użyto AI. Znamienne jest też to, że papież Leon XIV w swojej pierwszej encyklice *Magnifica humanitas* podjął właśnie temat AI, nie potępiając jej, ale prosząc jej użytkowników: pomyślcie, zanim z niej skorzystacie.

Z drugiej strony warto pamiętać, że wszystkie te europejskie mądrości znajdują się w chmurze do przechowywania danych, która jest zarządzana i finansowana przez Amerykanów. Na europejskich serwerach znajduje się zaledwie około 4% pojemności tej globalnej chmury.

BLIUJ-STODULSKI Czyli wystarczy, że ktoś u władzy po tamtej stronie wpadnie na pomysł, żeby tę chmurę wyłączyć, a wtedy Europa zostanie z niczym. Może zatem Stary Kontynent dla własnego bezpieczeństwa powinien jednak zacząć myśleć bardziej w duchu liberalizmu amerykańskiego?

eprasa.pl d9aca457c4

ROGACZEWSKA Myślę, że raczej Europa musi jeszcze mocniej postawić na swoje wartości – budować publiczną infrastrukturę AI, która jest dostępna dla wszystkich, ale podlega demokratycznej kontroli.

BUCZEK Bartosz wspomniał o tym, że AI nie tworzy nowych problemów, jedynie wzmacnia stare tendencje, które zaistniały wraz z erą smartfonów, social mediów itp. A jednak mam wrażenie, że sposób percepcji świata w ostatnich latach bardzo się zmienił wraz z popularnością AI. Dziś użytkownik czy użytkowniczka internetu nie jest w stanie odróżnić prawdy od fałszu na podstawie tego, co widzi. Deepfejki sprawiły, że nie można już ufać swoim zmysłom. Przestały też działać dotychczasowe schematy funkcjonowania: jeszcze 30 lat temu szukanie odpowiedzi na jakieś pytanie wymagało wysiłku (pójście do biblioteki), ale było nagradzane pewnością, że znalazło się odpowiedź prawdziwą (ufność tę pokładano w słowie pisanym w książkach czy prasie). Dziś wystarczy sięgnąć po telefon i czat GPT poda natychmiast każdą żądaną odpowiedź. Tylko skąd mamy wiedzieć, że ona jest prawdziwa? Jak ją zweryfikować? Innym modelem językowym? Aż ciśnie się na usta: kto upilnuje pilnujących?

Kilka tygodni temu podczas oglądania filmu przyrodniczego z moim synem z zaskoczeniem uświadomiłam sobie, na co patrzę – był to produkt w całości stworzony przez AI, zwierzęta tam pokazywane nie były prawdziwe!

ROGACZEWSKA W jednym z odcinków swojego podcastu „Słuchowisko z dzikości" Daniel Petryczkiewicz rozmawiał o tym z Sylwią Czubkowską, autorką książki *Bóg techy. Jak wielkie firmy technologiczne przejmują władzę nad Polską i światem*, i oboje podkreślali, że kolejne pokolenia mogą mieć całkowicie fałszywy obraz przyrody, bo będą widziały więcej takiego slopu (czyli niskiej jakości treści generowanych przez AI) o przyrodzie niż prawdziwej przyrody.

BLIUJ-STODULSKI Zgadzam się, że zmiany wynikające ze sposobu przyjmowania treści generowanych przez AI są bardzo istotne, ale według mnie one tylko przyspieszają procesy, które istniały wcześniej. Deepfejki to nie jest nowy wynalazek, ludzie od zawsze próbowali oszukać zmysły przez tworzenie alternatywnej rzeczywistości. Różnica leży w skali. Jeszcze kilka lat temu potrzebna była armia internetowych trolli, by nasycić internet fałszywymi informacjami. Dziś wystarczy jedna osoba, która w komputerze ma rzeszę własnych agentów AI. Ich przekaz będzie dominujący niezależnie od swojej jakości, bo koszty jego tworzenia są najniższe. My tej fali nie dogonimy, nie ma sensu w ogóle wchodzić do tej rzeki, bo ona płynie z prędkością światła. Zamiast próbować ją zatrzymać, warto się skupić na tym, co możemy zrobić tu, gdzie mamy realny wpływ na bieg spraw.

Według mnie musimy postawić na wzmacnianie *resilience* – z braku innych określeń zazwyczaj tłumaczonej jako „odporność" – poprzez kształtowanie właściwych kompetencji: samodzielnego myślenia, zdrowej nieufności, porównywania faktów, brania odpowiedzialności za własne decyzje. Bo AI na pewno będzie zwiększało niesamodzielność i zależność swoich użytkowników. Zatem w edukacji akcent musi być położony na te umiejętności związane z krytycznym myśleniem, które zdobywamy w ramach tradycyjnego kształcenia. Jeśli nie zbudujemy

eprasa.pl d9aca457c4

mocnych fundamentów, czeka nas przyszłość w roli marionetek rozgrywanych przez algorytmy.

BUCZEK Co jeszcze możemy zrobić?

BLIUJ-STODULSKI Na pewno powinniśmy dążyć do suwerenności technologicznej, być rebeliantami AI – buntownikami, którzy odrzucają gotowe rozwiązania (czyli w tym wypadku popularne amerykańskie modele językowe) i szukają własnych. Każdy z nas może przecież na swoim komputerze korzystać z lokalnych modeli językowych w otwartym dostępie (*open source*), które pozwalają pracować na ich własnych zasobach wiedzy. Może będą one ciut słabsze niż tamte wyprodukowane przez *big techy* z Doliny Krzemowej, ale za to możemy mieć nad nimi pełną kontrolę, nie będziemy uzależnieni od jednego dostawcy, np. Google.

ROGACZEWSKA Na komputerze w Warszawie też można wynaleźć rozwiązanie jakiegoś problemu choćby z zakresu zdrowia publicznego, nie potrzebujemy do tego Nowego Jorku ani Pekinu.

BLIUJ-STODULSKI Czas najwyższy, by w kontekście AI zacząć mówić: lokalność, nie globalność. Nie dlatego, że globalność sama w sobie jest zła, ale dlatego, że decentralizacja może pomóc rozwiązywać lokalne problemy, bo odwołuje się do lokalnych doświadczeń. Autorytety instytucjonalne, uczelnie, służba zdrowia powinny mieć open source'owe duże modele językowe (LLM) zainstalowane na infrastrukturze pod własną kontrolą, a w przyszłości pewnie nawet swoje małe modele językowe (bo ich wytworzenie będzie coraz tańsze) – wtedy mogłyby być lokalnymi wyspami z własną bazą danych.

BUCZEK Bardzo kusząco brzmi „zostań buntownikiem", ale czy to nie jest rozwiązanie tylko dla tych, którzy mają określony kapitał kulturowy? Społeczeństwo jest tak silne jak jego najsłabsze ogniwo, jak zatem możemy zatroszczyć się o przyszłość tych, którzy nie mogą lub nie potrafią wylogować się z systemu?

BLIUJ-STODULSKI Mam na to jedną odpowiedź: media. Tylko one dziś mają tak duży wpływ na swoją grupę docelową. Nie powinny być tylko *think tankiem*, ale *think and do tankiem*.

BUCZEK Czyli nie tylko opisywać rzeczywistość, ale też starać się ją zmienić?

BLIUJ-STODULSKI Kiedyś mówiło się o nich, że są czwartą władzą – niech naprawdę nią będą! Obecnie większość z nich bierze aktywny udział w wyścigu z influencerami i w walce z platformami społecznościowymi o ruch, zamiast patrzeć na ręce tym, którzy go napędzają.

ROGACZEWSKA Na szczęście są też dziennikarze bardzo czujni i krytyczni wobec kierunku rozwoju AI. Wspomnieliśmy już o Sylwii Czubkowskiej i jej książce. W USA jednym z takich dziennikarzy jest Gil Duran, który w swoim podcaście, a także we właśnie wydanej, także po polsku, książce *The Nerd Reich* [Rzesza nerdów] analizuje związki polityki, zwłaszcza w jej ultraprawicowej odsłonie, i władzy w Dolinie Krzemowej. Duran stawia tezę, że Stany coraz bardziej zbliżają się do modelu chińskiego, czyli państwa, które poprzez nowoczesne technologie chce systematycznie zwiększać nadzór nad jednostką. Ameryka może uważać, że Chiny są jej wrogiem, ale zaczyna niepokojąco je przypominać.

BUCZEK Tylko czy media tradycyjne mogą jeszcze długofalowo wpływać na rzeczywistość, jeśli obieg idei tak dramatycznie przyspieszył? Opublikowany w 1962 r.

eprasa.pl d9aca457c4

w „New Yorkerze" popularnonaukowy esej *Milcząca wiosna* Rachel Carson na lata odcisnął się na sposobie myślenia o ochronie przyrody. Który z obecnie publikowanych tekstów mógłby być aż tak znaczący? Dodajmy jeszcze, że coraz większa liczba odbiorców nie szuka już informacji w tradycyjnych mediach, ale czerpie je z mediów społecznościowych – od jutuberów, tiktokerów, instagramerów.

ROGACZEWSKA To jest właśnie paradoks epoki postpiśmiennej, że ludzie są otoczeni przez słowa, są w nich wręcz najgłębiej, jak się da, zanurzeni, tylko te słowa nie niosą już żadnej poważniejszej myśli.

BLIUJ-STODULSKI Ten czas, który nazywacie postpiśmiennym, jest moim zdaniem ogromną szansą dla mediów. No bo kto ma być strażnikiem ostrzegającym przed deepfejkami i innymi fałszywymi treściami, jeśli nie dziennikarze? Ten zawód powstał po to, żeby przekazywać ludziom rzetelną informację o tym, co się dzieje na świecie. Potem pojawiły się internet i globalizacja, więc dziennikarze przestali być autorytetami. Na szczęście przyszła sztuczna inteligencja, która sprawiła, że nikt już nie jest autorytetem i wszystko może być fejkiem, więc dziennikarze znowu mogą stać się filtrem rzeczywistości, odsiewać prawdę od kłamstwa. Naprawdę wierzę, że dla dziennikarstwa może nastać złota epoka, pod warunkiem że w tym zawodzie znajdą się mądrzy ludzie.

BUCZEK Mam wątpliwości, czy dobrzy dziennikarze wystarczą, bo muszą przecież mieć odbiorców, tymczasem social media bardzo zmieniły nasze możliwości koncentracji i czytania w skupieniu, jak wspominała Maria. Deficyty uwagi są dziś powszechne.

BLIUJ-STODULSKI Tym bardziej powinniśmy skupić się na budowaniu tej odporności, o której wspominałem, bo ona jest kluczowa. Peter F. Drucker w *Praktyce zarządzania* przekonuje, że w czasie kryzysu nie należy rezygnować z inwestycji, które budują przyszłość organizacji – w tym z marketingu – co w naszym przypadku oznacza: jeśli przychodzi kryzys prawdy czy kryzys więzi, nie należy przestawać inwestować w tych, którzy tej prawdy strzegą. Gdy sytuacja się ustabilizuje, właśnie dookoła wartości przez nich chronionych nastąpi nowe rozdanie.

ROGACZEWSKA *À propos* inwestowania w prawdę: wbrew powszechnemu przekonaniu najsłynniejsza biblioteka starożytności, czyli Biblioteka Aleksandryjska, nie zniknęła wcale z powodu jednorazowego pożaru. W pewnym momencie ludzie przestali do niej przychodzić, przestali się o nią troszczyć, zabrakło pieniędzy na pensje bibliotekarzy i kopiowanie papirusów, więc większość tych starożytnych zwojów zjadły myszy albo rozpadła się od wilgoci. Moim zdaniem tym, co nam najbardziej grozi, są właśnie takie drobne, ale masowo występujące akty lekkomyślności i złe nawyki: utrata uważności, niechęć do zgłębiania dłuższych tekstów, różne formy zaniedbania w obszarze higieny cyfrowej i bezpieczeństwa dzieci w sieci.

BLIUJ-STODULSKI Na stosunek ludzi do AI na pewno też wpływa kwestia pracy. Sztuczna inteligencja faktycznie stwarza przedsiębiorcom możliwości optymalizacyjne i zachęca do tego, żeby zastąpić ludzi technologią. Obecnie bezpieczne są tylko osoby najlepsze w tym, co robią, oraz te, które pracują fizycznie. Natomiast nad pracownikami średniego szczebla już

eprasa.pl d9aca457c4

wisi ryzyko zwolnienia. AI staje się coraz bardziej konkurencyjna w łączeniu faktów, streszczaniu artykułów i formułowaniu wniosków. W badaniu opublikowanym w „Scientific Reports" czat GPT-4 osiągnął wynik równy lub wyższy od średniej studentów na siedmiu z dziewięciu egzaminów z biomedycyny na poziomie studiów doktoranckich, a na czterech uzyskał wynik wyższy niż wszyscy studenci. Nie oznacza to, że AI jest ogólnie lepsza od doktorantów, ale pokazuje, że w niektórych zaawansowanych zadaniach tekstowych już dziś może im dorównywać lub ich przewyższać.

Łatwo tu ulec pokusie ścigania się z maszynami – kto jest bardziej efektywny i pragmatyczny, ale to prosty przepis na katastrofę. Jako ludzie powinniśmy skupić się na tym, co umiemy robić tylko my. W dużym uproszczeniu chodzi o to, żeby ludzie byli bardziej ludzcy, a maszyny niech będą bardziej maszynowe. Jeżeli pozwolimy technokratom zabić nasze podejście do samodzielnego myślenia, czeka nas czarna wizja przyszłości.

ROGACZEWSKA O to samo apeluje Leon XIV w swojej encyklice: to jest czas, abyśmy stali się bardziej ludzcy. AI podlega uczłowieczaniu, w agentach i czatach chcemy widzieć współpracowników, a nawet przyjaciół i partnerów, ale jednocześnie pozwalamy na dehumanizację człowieka – mówi się o „mięsnym" interfejsie czy o białkowej inteligencji, która jest taka powolna. A Leon XIV nawołuje, żeby człowiek nie kurczył samego siebie do roli konsumenta i odbiorcy, tylko żeby właśnie się rozszerzał w swoim człowieczeństwie. Żeby zrozumiał, że jest strażnikiem przyrody, pasterzem wszystkich bytów. To jest ważniejsze niż zyski *big techów*. Kwoty inwestowane w AI przez biznes i rządy robią wrażenie, ale pamiętajmy, że im większe są te liczby, tym więcej wspólnych zasobów, przestrzeni, wody, energii, drzew tracimy. W tej sytuacji pojęcie człowieczeństwa musi obejmować także odpowiedzialność za planetę.

ROGACZEWSKA: *AI podlega uczłowieczaniu, w agentach i czatach chcemy widzieć współpracowników, a nawet przyjaciół i partnerów, ale jednocześnie pozwalamy na dehumanizację człowieka – mówi się o „mięsnym" interfejsie czy o białkowej inteligencji, która jest taka powolna.*

BUCZEK Coraz więcej ludzi dostrzega ten drenujący przyrodę wymiar rozwoju AI. 18 lipca 2026 r. w ponad 50 amerykańskich miastach odbyły się strajki przeciwko budowaniu centrów danych, na całym świecie zaczynają być wdrażane pierwsze obostrzenia mające chronić naturę i mieszkańców. Czy Waszym zdaniem oddolne ruchy protestujące przeciwko kosztom środowiskowym AI mogą realnie te koszty obniżyć?

BLIUJ-STODULSKI Nie wierzę, że w starciu: ochrona środowiska vs wyścig do zdoby-

eprasa.pl d9aca457c4

wania coraz większej mocy obliczeniowej mogłaby wygrać ta pierwsza. Masowe protesty i presja opinii publicznej mogą co najwyżej trochę spowolnić ten proces. Ostatecznie po stronie *big techów* wszystko sprowadza się do chłodnej kalkulacji: co przyniesie większy zysk? 10 nowych centrów danych kosztem 100 hektarów lasu czy 100 hektarów lasu kosztem 10 centrów danych?

Paradoksalnie jednak ten sam bezlitosny kapitalizm może być tu największym hamulcowym – obecnie wiele firm z sektora AI nie jest rentownych, bo dokłada do interesu, udostępniając tokeny po zaniżonych cenach. Tokeny powinny być dużo droższe, a gdy już tak się stanie, to okaże się, że pracownik ze średnią krajową jest tańszy niż etat AI. Dopiero to może realnie zmienić sytuację na rynku pracy.

BUCZEK Zawędrowaliśmy w obszar wielkiego biznesu, a chciałabym, żebyśmy wrócili na swoje podwórko. Jak zostać rebeliantem AI we własnym domu? Jak zaszczepiać właściwe postawy sobie i swoim dzieciom?

ROGACZEWSKA Moja młodość przypadła na lata 90., więc wszystkie rebelianckie i wywrotowe idee ludzkości zostały zaszczepione w moim mózgu przez książki i filmy *science fiction* oraz muzykę grunge'ową [*śmiech*]. Nieprzypadkowo większość dystopii zaczyna się od wielkiego stosu, na którym pali się książki. Dlatego wychowujemy dzieci w miłości do słowa pisanego. Jesteśmy wędrowną rodziną i w toku tych wędrówek wszędzie szukaliśmy bibliotek, bo one są dla nas jak drugi dom. Zresztą w Stanach Zjednoczonych to jedne z ostatnich przestrzeni publicznych, wspomnianych „trzecich miejsc", gdzie dostęp jest darmowy dla wszystkich, niezależnie od dochodów, każdy może tam przyjść, ochłodzić się w upale lub ogrzać w zimie. Biblioteki publiczne – dzięki Benjaminowi Franklinowi – powstały równolegle z instytucjami demokracji amerykańskiej. Każda z nich przypomina, co w ideach założycielskich USA było najbardziej wzniosłe i ludzkie.

BLIUJ-STODULSKI Od kilku lat mam okazję i przywilej pracować z domu i obserwuję, jak bardzo fizyczna obecność rodziców w ciągu dnia wpływa na życie rodzinne, jak zmienia hierarchię wartości. Ona daje dzieciom poczucie bezpieczeństwa, przez co te wszystkie internetowe pokusy mniej się ich imają. Brak bliskich ludzi dookoła sprawia, że podatność na wpływy świata zewnętrznego rośnie. Zatem dla mnie ta odporność, o której mówimy, bardzo łączy się ze zwykłą obecnością na co dzień, ze wspólnym spędzaniem czasu, z byciem w stadzie.

Tu nas AI nie zastąpi. Żaden robot nie może konkurować z drugim człowiekiem, jeśli chodzi o miękkość skóry czy jej zapach. Fizyczna bliskość jest nie do podrobienia. Warto pokazywać dzieciom, że nawet wspólne nicnierobienie jest lepsze niż siedzenie na TikToku. Oczywiście nie mam na myśli tylko relacji w najbliższej rodzinie, ale też te z przyjaciółmi czy koleżankami w szkole. Chodzi o to, żeby być razem.

Kolejnym elementem jest wspominany już przeze mnie brak zaufania, zwłaszcza wobec tego, co się spotyka w internecie. Dziś przede wszystkim musimy nauczyć się zadawać pytania, czy to, co widzę, jest prawdziwe, skąd się wzięło, dlaczego mam temu zaufać. Nie oczekuję od szkoły, żeby zabroniła uczniom używać AI, tylko

eprasa.pl d9aca457c4

żeby uczyła ich krytycznego myślenia, zasiewała wątpliwości, pokazywała, jakie są kolejne etapy weryfikacji informacji.

I tu wracam do mojej podstawowej intuicji: czytanie książek, bycie obecnym rodzicem, fizyczne rozwiązywanie problemów w grupie, samodzielność myślenia – to nie są rzeczy, które odkryliśmy, dlatego że w listopadzie 2022 r. Sam Altman napisał na Twitterze: „Poczatujcie z czatem GPT". Dyskusje o odpowiedzialności, ograniczonym zaufaniu, sprawczości ludzie toczą od początku świadomego budowania świata wokół siebie. Ale AI potrafi je zaburzyć, bo narzuca nam narrację, w której AI zmienia wszystko, wywraca stolik, nic już nie jest takie samo. Tylko że moim zdaniem to nie jest prawda i realny bunt polega dziś na tym, żeby pokazywać stabilność, żeby pokazywać niezmienność, żeby pokazywać fundamenty. Pojawienie się AI można traktować jak okiełznanie ognia albo wynalezienie rolnictwa – to rzeczywiście jest rewolucja, która dużo zmienia, ale ona nie wyrywa naszych korzeni. Jeżeli stwierdzimy, że AI zmienia wszystko, to kim staje się człowiek w tej układance?

ROGACZEWSKA Nie jestem pewna, czy mogę się z Tobą zgodzić. Dla wielu osób pojawienie się AI to kolejna *platform shift* – duża zmiana technologiczna, która ma miejsce średnio co 10–15 lat. I jak przeżyliśmy przełomy wywołane przez komputery osobiste, urządzenia mobilne, smartfony, social media, tak teraz jesteśmy w trakcie rewolucji AI, a po niej zapewne przyjdą kolejne.

Tyle że obecnie nasza planeta jest w tak złej kondycji jak nigdy. Zmagamy się z masowym wymieraniem gatunków, kryzysem prądów morskich – jesteśmy w środku nieodwracalnych procesów degradacji środowiska. Jeśli na tym tle spojrzymy na tę żarłoczną infrastrukturę AI, która opiera się na ekstrakcji zasobów przyrodniczych, to musimy zadać sobie pytanie: czy to jest tego warte? ■

BARTOSZ BLIUJ-STODULSKI – polski przedsiębiorca i strateg AI, CEO Techlabee.ai oraz twórca Backup Brain – prywatnego systemu AI, który pomaga organizacjom bezpiecznie wykorzystywać ich wewnętrzną wiedzę przy zachowaniu pełnej suwerenności danych. Specjalizuje się w budowaniu organizacji AI-native, automatyzacji procesów i przekształcaniu wiedzy w skalowalne produkty oraz usługi. Mąż Patrycji, tata Kostka, Ruty, Bruna i Hildy. Żyje między Wilnem i Warszawą.

MARIA ROGACZEWSKA – doktor socjologii, w latach 2014–2017 kierowała Centrum Wyzwań Społecznych na Uniwersytecie Warszawskim. Specjalizuje się w badaniach dotyczących roli Kościoła i religii w sferze publicznej, a także w badaniach przeznaczonych dla instytucji polityki społecznej i trzeciego sektora. Członkini zespołu redakcyjnego kwartalnika „Więź" i Zespołu Laboratorium „Więzi". Żona Grzegorza, mama Benia, Marianny i Gabrysia. Mieszka w USA, gdzie jest zaangażowana w ruchy rodzicielskie na rzecz mądrego korzystania z technologii.

eprasa.pl d9aca457c4

AI myśli za nas – a nam się to (chyba) podoba... O trudnej relacji ze sztuczną inteligencją

DOTA SZYMBORSKA

Naiwny technooptymizm – przekonanie, że więcej automatyzacji samoistnie oznacza więcej wolności – to już zamknięty etap. Nie chcę sztucznej inteligencji, która myśli za mnie. Chcę taką, przy której mogę myśleć lepiej, a przede wszystkim nie zapominam, dlaczego i po co myślę.

Kiedy obserwuję zmiany, które wprowadza technologia na współczesnej akademii, nie widzę już wyłącznie nowej wersji wyszukiwarki ani kolejnego narzędzia do korekty językowej. Przede wszystkim widzę zmianę relacji z tekstem.

W czasach dinozaurów, gdy to ja studiowałam, było tak: dostawałam temat eseju, musiałam sformułować pytanie, odnaleźć książkę lub artykuł (wycieczka do biblioteki), odróżnić argument od ozdobnika, zderzyć własne przypuszczenie z materiałem źródłowym, a potem długo pisać, skreślać i pisać ponownie (w mojej dinozaurowej erze był już laptop w bibliotece, ale nie było robienia zdjęć telefonem), wydrukować i oddać w terminie.

Nie idealizuję tej drogi: sama biblioteka nie gwarantowała myślenia, a samodzielne pisanie nie zawsze rodziło oryginalność. Twierdzę jednak, że droga była częścią wyniku. Wysiłek selekcji, pomyłka interpretacyjna i opór stawiany przez trudny tekst stanowiły ćwiczenie uwagi, pamięci roboczej, osądu oraz odpowiedzialności za własne zdanie. Efekty? Różne oczywiście, ale na pewno twórcze i rozwojowe.

Dziś sytuacja się zmieniła. W jednym oknie na moim laptopie mogę poprosić sztuczną inteligencję o streszczenie, plan, kontrargumenty, bibliografię, redakcję stylu i gotowy akapit. Nie muszę najpierw nabyć

eprasa.pl d9aca457c4

języka problemu, aby otrzymać językowo przekonującą odpowiedź. Właśnie dlatego nie opisuję tej zmiany banalnym przeciwstawieniem „dobra technologia / zła technologia". Opisuję ją jako przesunięcie: od tekstu rozumianego jako ślad procesu do tekstu rozumianego jako natychmiastowy produkt.

Odciążanie umysłu to nic nowego – od zawsze używamy różnych narzędzi, żeby zwyczajnie odciążyć głowę i nie trzymać w niej nadmiaru informacji. Do tej pory działało to jednak dość prosto: wpisuję datę do kalendarza i mam problem z głowy. Przy dzisiejszych narzędziach generatywnych widać jednak ogromny skok do przodu. Nie deleguję już „na zewnątrz" wyłącznie prostych przypomnień, ale przerzucam tam całe procesy myślowe. Mogę zlecić maszynie przygotowanie pierwszego szkicu, logiczne ułożenie argumentów, dobranie przykładów, a czasem nawet nadanie wypowiedzi odpowiedniego brzmienia.

Myślenie organiczne i cyfrowe

Przez termin „myślenie organiczne" nie chcę rozumieć mistycznej cechy biologicznego mózgu ani wyrażać nostalgii za piórem i papierem. Rozumiem je jako ludzkie ucieleśnione, czasochłonne i omylne uczestnictwo w tworzeniu znaczenia: czytam, pamiętam, waham się, zestawiam źródła, zmieniam zdanie i ponoszę konsekwencje tego, co podpisuję własnym nazwiskiem.

„Cyfrowe myślenie" rozumiem z kolei jako pracę organizowaną przez interfejs: przez podpowiedź, ranking, automatyczne uzupełnienie, syntetyczny głos i propozycję następnego kroku. Nie widzę tu granicy między naturą a maszyną. Widzę raczej pytanie o proporcję: kiedy narzędzie poszerza moje zdolności, a kiedy wyprzedza czynność, dzięki której te zdolności miałyby się rozwijać?

W 2019 roku, czerpiąc z myśli Brunona Latoura, zajęłam się współpracą ludzkich i pozaludzkich uczestników praktyki naukowej. Sytuowałam się tym samym w opozycji do tych, którzy nie dostrzegali nadchodzącego spotkania inteligencji ludzkiej ze sztuczną. To właśnie sztuczna inteligencja może stać się latourowskim aktantem – podmiotem sprawczym wchodzącym w relacje z ludźmi w laboratorium życia społecznego. Dziś dyskusja o współpracy białkowo-krzemowej weszła już do debaty społecznej.

Dlatego nie ogłaszam końca książki, eseju ani źródła pierwotnego – zresztą ten, który o tym pisał, przeżył wskazany przez siebie koniec historii. Zauważam natomiast, że ich status w praktyce akademickiej słabnie, gdy gotowa synteza staje się tańsza czasowo niż wejście w pełny tekst. Zewnętrzne podpory pamięci same w sobie nie są nowością. Różnica polega na tym, że notes czy kalendarz albo „post it" przypomina mi

eprasa.pl d9aca457c4

o zadaniu, natomiast model językowy może zaproponować, jak zadanie rozumieć i jak je napisać.

W tej różnicy umieszczam centralny problem edukacyjny: nie interesuje mnie wyłącznie, czy student lub studentka użyli AI, lecz pytam, jaka praca poznawcza pozostała po ich stronie. Stąd mój powrót do egzaminów ustnych, by móc o tej pracy, wysiłku rozmawiać i starać się zrozumieć, ile w nich jest człowieczeństwa, a ile AI-owości.

Nie ufam obietnicy, że AI „zdemokratyzuje wiedzę", jeżeli demokratyzacja oznacza jedynie tani dostęp do produktu. Dostęp bez możliwości kontroli może tworzyć zależność, a personalizacja bez prywatności może pogłębiać nierówność.

Termin *AI-fatigue* [ang. zmęczenie sztuczną inteligencją], który coraz częściej pojawia się w dyskusji o skutkach ubocznych pracy ze sztuczną inteligencją, traktuję ostrożnie. Nie uznaję go za ustaloną diagnozę kliniczną ani nie przypisuję mu jednej, pewnie zmierzonej przyczyny. Używam go jako nazwy doświadczenia, które obserwuję w pracy z narzędziami generatywnymi: zmęczenia nie tylko nadmiarem treści, lecz także nadmiarem możliwych ruchów.

Każda odpowiedź otwiera następne rozwidlenie. Mogę doprecyzować prompt, zmienić model, zażądać źródeł, porównać warianty, poprawić halucynację, wprowadzić dodatkowy kontekst, ocenić styl, zadać pytanie kontrolne i uruchomić całą pętlę ponownie (przy pracy nad tym tekstem korzystałam z trzech płatnych LLM-ów (dużych modeli językowych, np. czat GPT), jednak powstrzymałam się przed budowaniem agenta redakcyjnego, wiedząc, że nad tekstem będą jeszcze pracować żywi redaktorzy i korektorzy). Nie otrzymuję więc po prostu „oszczędności wysiłku". Otrzymuję rynek mikrodecyzji, którego tempo wyznacza interfejs.

W tym sensie pojęcie *brain fry* (ang. usmażenie mózgu) nie oznacza dla mnie braku inteligencji po kontakcie z ekranem. Oznacza przeciążenie uwagi przez ciągłe przełączanie ról: jestem autorką polecenia, redaktorką odpowiedzi, weryfikatorką faktów, selekcjonerką stylu, ale też osobą ponoszącą odpowiedzialność za błąd modelu. Gdy decyduję bez przerwy, czy zaufać rekomendacji, czy poprawić jej fragment i czy wygenerować kolejną wersję, mój wysiłek nie znika; przesuwa się z rozwiązywania problemu na kontrolę systemu, na działanie.

Badania naukowców i naukowczyń korzystających z generatywnej AI wskazują, że obciążenie poznawcze i zmęczenie zadaniem wiązały się z niższą jakością pracy, a duże zanurzenie w tej technologii nasilało negatywny związek między napięciem poznawczym a jakością. Nie rozciągam

eprasa.pl d9aca457c4

tego pojedynczego wyniku na każdą osobę i każdą pracę, ale odczytuję go jako ważne ostrzeżenie: automatyzacja może powiększać obciążenie, jeśli zwiększa tempo nadzoru, liczbę wyborów oraz niepewność co do autorstwa i odpowiedzialności.

Nie utożsamiam też *fatigue* z samą ilością czasu spędzonego przed ekranem. Głębszy problem widzę w utracie stabilnego rytmu poznawczego. Czytanie długiego argumentu czy wywodu wymaga ode mnie pozostania przy jednym przedmiocie; odpowiedź czatu uczy mnie, że każdy fragment można natychmiast zastąpić, przeformułować albo wygładzić. Łapię się na tym, że mogę „w towarzystwie" pochwalić się, iż wciąż jestem w stanie czytać książki „na raz" (w wannie, co prawda, ale to też się liczy).

Złudzenie kompetencji

Taka obfitość wariantów może wywoływać paradoks: im łatwiej otrzymuję tekst, tym trudniej rozstrzygam, czy jest on wystarczająco dobry, prawdziwy i mój.

Naukowcy pokazują, że zewnętrzne przypomnienia bywają skuteczne, a decyzją o ich wykorzystaniu kierują procesy metapoznawcze. To ważne, ponieważ nie chcę wymagać od człowieka heroicznego pamiętania wszystkiego, co kalendarz, wyszukiwarka czy model mogą bezpiecznie przechować (nigdy nie pytam o daty, nawet jak uczę historii filozofii). Pomoc uwalnia zasób po to, by można było zainwestować go w trudniejszą analizę. Substytucja odbiera mi czynność, dzięki której mogę rozpoznać, czy analiza w ogóle zaszła.

Najbardziej niepokoi mnie tu nie lenistwo, lecz złudzenie kompetencji. Kiedy AI formułuje klarowny akapit, mogę pomylić płynność tekstu z własnym rozumieniem. Kiedy model daje listę źródeł, mogę pomylić obecność przypisu z kontaktem z argumentem. Kiedy odpowiedź brzmi pewnie, mogę pomylić ton z prawdziwością.

Przegląd psychologicznych kosztów wygody AI rozróżnia *offloading* [ang. przerzucanie pracy] wspierający, zastępczy i zakłócający oraz wiąże długotrwałe korzystanie z gotowych odpowiedzi z ryzykiem płytszego zaangażowania i słabszej samokontroli poznawczej. Nie przyjmuję w tym tekście deterministycznej tezy o automatycznym „zaniku" zdolności. Przyjmuję ostrożniejszą hipotezę normatywną: jeśli instytucja nagradza wyłącznie szybki, gładki rezultat, sama produkuje warunki, w których rozumienie staje się zbędnym kosztem.

Szczególnie w odniesieniu do pokoleń Z i Alfa unikam łatwych etykiet. Nie widzę dostatecznej podstawy, by nazywać całe generacje mniej skupionymi, bardziej zależnymi albo naturalnie niezdolnymi do krytycyzmu. Widzę natomiast szczególną sytuację rozwojową: młodsi

eprasa.pl d9aca457c4

użytkownicy i użytkowniczki spotykają coraz sprawniejsze narzędzia w momencie, w którym dopiero ćwiczą ocenę własnej pamięci, planowanie i selekcję informacji.

Dzieci potrafią skutecznie posługiwać się zewnętrznymi pomocami już od wczesnego wieku, lecz ich strategie bywają zarazem zbyt intensywne, niewystarczająco selektywne i słabo samoinicjowane. Nie wyprowadzam stąd wyroku na pokolenie Alfa. Za to proponuję zobowiązanie dla dorosłych: nie wolno mi przekazać dziecku wszechobecnego asystenta i potem wymagać dojrzałej kalibracji zaufania, której nikt dziecka nie nauczył.

Podobnie ostrożnie patrzę na studentów z pokolenia Z. Nie są oni biernymi ofiarami technologii; często lepiej niż starsze osoby widzą jej skróty, błędy i konwencje. Równocześnie ich studia przypadają na okres, w którym uczelnia oczekuje samodzielności, a rynek pracy premiuje szybkość, elastyczność i natychmiastową produktywność. Właśnie dlatego naiwny technooptymizm – przekonanie, że więcej automatyzacji samoistnie oznacza więcej wolności – uważam za zamknięty etap.

Tragiczny technooptymizm

Dlatego na uczelni przeciwstawiam się zarówno egzaminowi opartemu wyłącznie na zakazie używania AI, jak i zajęciom opartym wyłącznie na generowaniu. Dlatego angażuję się w tworzenie polityk używania AI w akademii. Zakaz może zmuszać do ukrywania praktyk, a bezrefleksyjne przyzwolenie może zamieniać kurs w fabrykę akceptowalnych, miernych odpowiedzi.

Nie chcę wybierać między kultem AI a kulturą katastrofy. Pierwsza postawa obiecuje, że technologia rozwiąże problemy, które często sama zaostrza; druga daje mi satysfakcję moralnej odmowy, ale może oddać projektowanie przyszłości tym, którzy już dysponują kapitałem, danymi i infrastrukturą. Do tego dodaję kwestię ekologii i w tym tyglu jest naprawdę „gorąco".

Sięgam zatem do Viktora Frankla. Z jego myślenia o nadziei czerpię nie nakaz dobrego samopoczucia, lecz mocniejszą intuicję: sens nie wymaga zaprzeczania cierpieniu. Podkreślam związek nadziei z przekonaniem, że życie zachowuje sens mimo cierpienia.

Własny „tragiczny technooptymizm" buduję właśnie na tej różnicy. Nie mówię: „AI będzie dobra", tylko „mogę współtworzyć warunki, w których jej rozwój nie będzie wymagał rezygnacji z ludzkiej sprawczości" (tak wygląda moja działalność w Grupie Roboczej ds. Sztucznej Inteligencji przy Ministerstwie Cyfryzacji. To taka praca u podstaw, żeby wszystkim potem było lepiej, albo przynajmniej bezpieczniej).

eprasa.pl d9aca457c4

Tragiczność tej postawy zaczyna się od nazwania kosztów. Nie mogę mówić o neutralnym „postępie", kiedy modele wymagają koncentracji danych, energii, pracy infrastrukturalnej oraz ogromnych zasobów kulturowych pozyskanych w nierównych relacjach władzy. Nie mogę też oddzielić konwersacyjnego interfejsu od biznesowego imperatywu skalowania, retencji użytkownika i monetyzacji danych.

W krytyce Shoshany Zuboff odnajduję pojęcie „kapitalizmu inwigilacji" jako porządku opartego na obiegu danych, gromadzeniu ich, zarządzaniu nimi i wydobywaniu wiedzy z zachowań populacji. Nie twierdzę, że każda aplikacja AI działa identycznie ani że każda interakcja musi być eksploatacją. Twierdzę jednak, że nie wolno mi projektować edukacyjnego entuzjazmu tak, jakby własność infrastruktury i polityka danych nie miały znaczenia.

Optymizm zachowuję dlatego, że narzędzia językowe mogą obniżać bariery wejścia do dyskusji, pomagać w pracy z językiem, wspierać organizację zadań i otwierać przestrzeń do próbnego formułowania myśli.

W tym świetle szczególnie nie ufam obietnicy, że AI „zdemokratyzuje wiedzę", jeżeli demokratyzacja oznacza jedynie tani dostęp do produktu dostarczanego przez kilka korporacji. Dostęp bez możliwości kontroli może tworzyć zależność, a personalizacja bez prywatności może pogłębiać nierówność. Aktualne modele czat GPT/Gemini/Claude uczą się na danych użytkowników online odzwierciedlających wartości i dominujące normy Globalnej Północy, a ich właściciele w tle deklarują potrzebę ochrony danych, sprawczości człowieka, włączenia, równości oraz różnorodności kulturowej i językowej.

Z tej perspektywy interesuje mnie nie tylko, czy odpowiedź AI jest użyteczna. Interesuje mnie również, czyj język uznaje ona za normę, czyją wiedzę kompresuje, kto może zakwestionować jej reguły i kto odnosi korzyść z mojego zaufania.

Nie poprzestaję jednak na krytyce. Optymizm zachowuję dlatego, że narzędzia językowe mogą obniżać bariery wejścia do dyskusji, pomagać w pracy z językiem, wspierać organizację zadań i otwierać przestrzeń do próbnego formułowania myśli. Widzę warunkową możliwość: narzędzie może służyć refleksji wtedy, gdy nie zastępuje momentu, w którym muszę uzasadnić wybór, wskazać źródło i zmierzyć się z kontrargumentem. Dlatego tak ważne jest pytanie o to, jaką relację wytwarza konkretny układ: cel zadania, presja czasu, interfejs, kryteria oceny, prawo do błędu oraz zdolność do odmowy automatycznej sugestii.

Tragiczny technooptymizm wymaga także odrzucenia fałszywego humanizmu, w którym „człowiek w pętli" [ang. *human in the loop*] staje

eprasa.pl d9aca457c4

się jedynie osobą klikającą akceptację pod cudzą decyzją. Nie wystarcza mi obecność człowieka na końcu procesu, jeżeli wcześniej pozbawiono go czasu, kompetencji, dostępu do danych i realnej możliwości sprzeciwu. Potrzebuję człowieka zdolnego do zrozumienia stawki decyzji, a nie człowieka używanego jako tarcza odpowiedzialności.

Właśnie dlatego widzę sens w języku europejskiej *AI Act*: cel regulacji obejmuje upowszechnianie sztucznej inteligencji skoncentrowanej na człowieku i godnej zaufania, przy wysokim poziomie ochrony zdrowia, bezpieczeństwa, praw podstawowych, demokracji, praworządności i środowiska. Prawo nie rozwiąże całej kwestii sensu, lecz może zmienić granice tego, co wolno sprzedawać jako innowację/informację/wiedzę/wartość (niepotrzebne skreślić).

Wyjść poza wojnę człowieka i maszyn

Nie wierzę, że właściwą metaforą dla opisu naszej sytuacji jest wojna inteligencji organicznej i cyfrowej. Wojna zakłada, że zysk jednej strony musi być stratą drugiej. W edukacji taka metafora szybko prowadzi albo do obrony czystości „ludzkiego" pisania, albo do kapitulacji przed wydajnością maszyny.

Wybieram metaforę partnerstwa, ale nadaję jej rygorystyczne znaczenie. Partner nie może być czarną skrzynką [ang. *black box*], której mam ufać bez możliwości zadawania pytań. Partner nie może definiować wyłącznie celu pracy. Partner nie może zbierać moich śladów bez jasnej zgody. Partner nie może też zwalniać mnie z odpowiedzialności za decyzję, która dotyczy innych ludzi. Wreszcie partnera trzeba szanować!

W szkole zaprojektowałabym relację partnerską między człowiekiem a AI przez „prawo do pierwszej próby". Najpierw sama formułowałabym hipotezę, rozwiązywała zadanie, pisała szkic albo zaznaczała, czego nie rozumiem. Dopiero potem korzystałabym z AI jako z krytyka (niekoniecznie z Claude'a, który słynie ze swojego krytycyzmu wobec użytkownika, bo powoduje to u mnie płacz i obrażanie się na AI), symulatora kontrargumentu, tłumacza poziomu trudności albo narzędzia do wariantów (wszystko to miało miejsce przy powstawaniu tego tekstu). Oceniałabym nie tylko finalny tekst, lecz także dziennik decyzji: o co zapytałam, co odrzuciłam, które twierdzenie sprawdziłam w źródle pierwotnym i dlaczego.

Nie chodzi mi o „policyjne" śledzenie promptów. Chodzi mi o przywrócenie widzialności procesu, aby autorstwo oznaczało odpowiedzialne prowadzenie pracy, a nie samotne wystukiwanie każdego znaku.

Wreszcie „człowiek w pętli" to coś więcej niż pani redaktorka czy pan korektor, to ilość mnie w tekście. Jeżeli ta proporcja wynika z jakości

eprasa.pl d9aca457c4

napisanego promptu, to dobrze; jeżeli jest efektem pracy nad tekstem, to też świetnie; jeżeli nie ma człowieka – to nie ma podpisu autora pod tekstem.

Na uniwersytecie broniłabym „stref bez generowania" – nie jako sankcji, lecz jako laboratoriów kompetencji. Potrzebuję miejsc, w których ćwiczę długą lekturę, pamięć argumentu, analizę archiwum, interpretację danych i rozmowę bez natychmiastowej podpowiedzi. Budowałabym od nowa relacje mistrz–uczeń, mentorka–*mentee*. Równocześnie potrzebuję zajęć „z generowaniem", na których jawnie porównuję odpowiedź modelu ze źródłem, tropię fałszywe cytowanie, testuję stronniczość, poprawiam prompt i badam, jak zmienia się sens po redakcji. Taki podział nie demonizuje AI ani nie udaje, że jej nie ma. Chroni natomiast zdolność, bez której nie potrafię używać AI krytycznie: zdolność samodzielnego postawienia pytania, którego model nie podsunął.

W przestrzeniach publicznych poszłabym dalej. Postuluję finansowanie bibliotek, otwartych repozytoriów, lokalnych archiwów i narzędzi publicznych, bo zależność od zamkniętej infrastruktury komercyjnej nie jest koniecznym losem technologii językowej (przykładem niech będzie „wyłączenie" modelu przez USA*). Postuluję też wprowadzenie interfejsów, które pokazują niepewność wyników pracy danego modelu, umożliwiają łatwy dostęp do źródeł, dają wybór trybu prywatności i nie optymalizują każdej rozmowy pod maksymalną retencję. W instytucjach publicznych wymagałabym jasnego wskazania, kiedy AI uczestniczy w decyzji, kto odpowiada za jej skutki oraz jak osoba dotknięta decyzją może ją zakwestionować. Nie uważam tego za hamowanie postępu. Nazywam to wyborem rodzaju postępu.

Najbardziej praktyczną zmianę widzę jednak w kryterium sukcesu. Jeśli mierzę sukces wyłącznie liczbą wygenerowanych stron, czasem odpowiedzi i kosztem obsługi, niemal zawsze będę budować AI jako substytut człowieka. Jeśli mierzę go wzrostem rozumienia, dostępnością wiedzy, jakością relacji, sprawiedliwością językową i zdolnością do uzasadnionego sprzeciwu, mogę projektować AI jako wsparcie.

* Chodzi o sytuację, w której amerykańska firma Anthropic – twórca i właściciel jednych z najbardziej zaawansowanych modeli sztucznej inteligencji na świecie (rodzina modeli Claude) – drastycznie ograniczyła lub zablokowała (tzw. *geoblocking*) dostęp do swojego flagowego modelu dla użytkowników i deweloperów z określonych regionów, w tym z Unii Europejskiej. Działanie to, podyktowane wewnętrznymi decyzjami biznesowymi oraz różnicami w regulacjach prawnych, stanowi sztandarowy przykład ryzyka korzystania z zamkniętych systemów (tzw. *black-box*). Pokazuje ono, że opieranie lokalnej infrastruktury, nauki i gospodarki na zewnętrznych usługach komercyjnych z USA może skutkować nagłym „wyłączeniem" dostępu do kluczowych technologii bez możliwości odwołania.

eprasa.pl d9aca457c4

Kończę więc bez obietnicy harmonii. Uważam, że organiczna i sztuczna inteligencja mogą stać się rywalami, jeżeli pozwolę, by wygoda, kontrola danych i maksymalizacja zysku definiowały cel ich spotkania. Ale mogą też wejść w relację partnerską, jeżeli zachowam po stronie człowieka prawo do namysłu, do niezgody, do niewiedzy, do czasu i do odpowiedzialności.

Nie chcę sztucznej inteligencji, która myśli za mnie. Chcę AI, przy której mogę myśleć lepiej, a przede wszystkim nie zapominam, dlaczego i po co myślę (*cogito ergo sum*). ■

DOTA SZYMBORSKA – doktorka filozofii, socjolożka i etyczka nowych technologii, adiunktka Uniwersytetu WSB Merito. Specjalizuje się w etyce i zarządzaniu sztuczną inteligencją oraz społecznych konsekwencjach nowych technologii. Łączy działalność naukową z doradztwem i szkoleniami dla biznesu oraz instytucji publicznych. Jest liderką sekcji dotyczącej demokracji i praw człowieka w Grupie Roboczej ds. Sztucznej Inteligencji przy Ministerstwie Cyfryzacji. Prowadzi badania nad wpływem AI na style zarządzania w organizacjach. Została wyróżniona w zestawieniach TOP 10 Women in Data Science in Poland oraz TOP 100 Women in AI in Poland.



POLECAMY

JERZY GIEDROYC, JÓZEF CZAPSKI

Listy 1949–1951

Kolejny tom korespondencji Giedroycia i Czapskiego, będący kontynuacją opublikowanych już ich listów z lat 1943–1948, układa się w pasjonujące świadectwo budowy tożsamości miesięcznika „Kultura". Dominujący motyw stanowią relacje z podróży Czapskiego do Kanady i Stanów Zjednoczonych, której rezultaty wpłynęły na politykę pisma oraz podstawy jego materialnego bytu. Wśród zagadnień roztrząsanych przez autorów ważne miejsce zajmuje kwestia stosunku do nowych wychodźców (*casus* Czesława Miłosza) oraz amerykańskich instytucji wspierających emigracje polityczne zza żelaznej kurtyny.

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury

WIĘŹ **W NASZEJ KSIĘGARNI INTERNETOWEJ 20% TANIEJ!**
www.wydawnictwo.wiez.pl

eprasa.pl d9aca457c4

NATALIA MALEK

Przesyłka

Kartkę wysłał z Płaskowyżu Proszowickiego,
było tam toskańsko.

Psom płowiały grzbiety,
noc zapadała późno.

Zbierano wodę deszczową, kapustę, przebłyski
pamięci:

nośne, kośne, rodzinne,
kogo poniosło,

kogo zasiało,
kogo pogięło. Nie, tego by nie powiedział.

Doglądał swoich spraw w przerwach
od innych pielęgnacji,

więc może doglądał przerw?
Wieczorem przejeżdżał na drugą stronę, gdzie

widywał róże
psie, mieszańce i marszanile, i czasem kradł,

suszył, wysyłał.

eprasa.pl d9aca457c4

13 sierpnia

Trzynastego sierpnia przegapiłam zbiórkę odzieży
i zamiast pożegnać

piankę neoprenową,
ślubną podomkę, nadruki komet z grupy Kreutza,

ruszyłam
do Poznania na spotkanie ze współczesnością.

Współczesność była skwarna,
murna,

sieroca,
pachniała szyszkami, pociła się i pchała

pod scenę, potem w przeciwnym kierunku.
Domagała się braw, zmian

wewnętrznych,
które można obdarzyć pocałunkami, także zdjęć,

niezarobkowo,
płakała przy każdej piosence,

najbardziej za dnia.

eprasa.pl d9aca457c4

Przestroga

W gminie konsekwentnych,
przypatrzcie się –

enklawa niepocieszonych.

NATALIA MALEK – ur. 1988, poetka, kuratorka wydarzeń literackich i wystaw, tłumaczka. Wydała sześć książek poetyckich, ostatnio *Obręcze* (2022) oraz *Szaber II* (2025). Laureatka m.in. Nagrody Literackiej Gdynia, za swoją twórczość nominowana do Nagrody Literackiej „Nike", Nagrody im. Wisławy Szymborskiej i Wrocławskiej Nagrody „Silesius". Kuratorka wystawy *Nowe wyrazy. Konteksty wizualne współczesnych książek poetyckich* w Muzeum Literatury w Warszawie, międzynarodowych festiwali „Wiersze w mieście" oraz „Spoken Word Festival" w Warszawie, a także konkursów literackich i festiwali w Gdyni, Lublinie i Wrocławiu. Wykładowczyni sztuki pisania (IPS UW), szczególnie zainteresowana powiązaniami poezji i sztuk wizualnych.

eprasa.pl d9aca457c4

Czytanie świata

A może jesteśmy dewotkami?

KATARZYNA JABŁOŃSKA

„Gdy Bóg jest na pierwszym miejscu, wszystko jest na swoim miejscu” – ta tak bliska „Halinkom” fraza św. Augustyna w kontekście opowieści o nich mogłaby brzmieć również tak: Gdy rzeczywiście Bóg jest w życiu człowieka na pierwszym miejscu, to on sam (ani żaden inny człowiek) nie może być na ostatnim miejscu.

Zmierzch, przecinającą las szosą jedzie samochód. W nim trzy kobiety w wieku 60+, najstarsza przy kierownicy (tylko ona w tym gronie ma prawo jazdy), dwie pozostałe odmawiają różaniec w intencji szczęśliwej podróży. Nagle jedna zauważa mężczyznę idącego poboczem – zakapturzona postać z plecakiem niesie w ręku... siekierę. Pusto, droga mało uczęszczana, brak przystanków autobusowych.

– Może się zatrzymajmy i spytajmy, czy nie potrzebuje podwózki – mówi jedna z pasażerek. Kiedy auto zrównuje się z maszerującym, kierująca zwalnia, a siedząca obok niej kobieta opuszcza szybę i krzyczy: – Może pana podwieźć?!

Człowiek z siekierą i Bóg

Mężczyzna odwraca się i wtedy kobieta za oknem woła: – A to ty, Michał!

– Tak, to byłem ja – opowiada Michał, który jest w wieku synów pasażerek samochodu. – Tamtego dnia ja i „Halinki” (tak nazywane są w swojej wspólnocie kobiety) zmierzaliśmy na wspólnotowe wyjazdowe spotkanie. Kiepski był tam dojazd, a ja wtedy nie miałem samochodu. Postanowiłem więc dojechać pociągiem najdalej, jak się da, a pozostałe kilkanaście kilometrów przejść piechotą. Moja droga prowadziła najpierw przez las. I to właśnie tam znalazłem porzuconą siekierę. Rozbawiło mnie to, postanowiłem wziąć ją ze sobą. Potem szedłem poboczem szosy i skrajem lasu. Nie miałem zamiaru łapać stopa, zresztą mijało mnie

eprasa.pl d9aca457c4

niewiele samochodów. Aż tu nagle zatrzymuje się jeden z nich i słyszę głos: „Może pana podwieźć?!". A zaraz potem śmiech – jak się okazuje doskonale znanych mi „Halinek".

Określenie to nie ma nic wspólnego ze sformułowaniem w języku potocznym, które ma zabarwienie wprawdzie nie tak negatywne jak Grażyna czy Janusz, ale jednak pobrzmiewają w nim wyższościowe tony*. Dlaczego więc „Halinki? Bo dwie z nich noszą to imię, trzecia ma na imię Danuta.

One trzy znają się długo, nawet bardzo długo, bo kilkadziesiąt lat. Jedna z nich uczyła drugą w podstawówce. W 2017 r. wszystkie trafiły na weekendowe rekolekcje ewangelizacyjne pod nazwą „Nowe Życie", prowadzone przez wspólnotę z Żar należącą do sieci Szkół Ewangelizacji św. Andrzeja (SESA).

– Nasza wspólnota powstała na fali odnowy, która zaczęła się w Kościele w ubiegłym stuleciu, nazywanej przez papieża Franciszka „strumieniem łaski" – opowiada Agata, jedna z liderek wspólnoty. – Mamy w sobie wiele z ducha wspólnot charyzmatycznych, ale naszym bardzo mocnym rysem jest również nakierowanie na ewangelizację. Wynika to z prostego powodu: każdy z nas spotkał Boga i chce się tym doświadczeniem dzielić – dodaje.

„Halinki" dołączyły właśnie do tej wspólnoty. A wspomniane rekolekcje w 2017 r. były – jak twierdzi każda z nich – przełomowym momentem w ich życiu, jakby się na nowo narodziły.

Bliżej mnie niż ja sama

W codzienności „Halinek" na pierwszym miejscu jest Bóg, bo – jak mówi jedna z nich, a dwie pozostałe w 200% zgadzają się z frazą zaczerpniętą od św. Augustyna – „Gdzie Bóg jest na pierwszym miejscu, tam wszystko jest na swoim miejscu". Ale nie zawsze tak było, a właściwie przez większą część ich życia wcale tak nie było.

– Wiedziałam, że Bóg jest, ale gdzieś daleko, w niebie. Ani mnie to ziębiło, ani grzało. Wszystkie moje religijne praktyki miały charakter zewnętrzy, kulturowy – mówi Halina S. – Aż do czasu, kiedy w 2014 r. trafiłam na spotkanie z charyzmatycznym zakonnikiem o. Jamesem Manjackalem MSFS. Pojechałam na nie na prośbę mojej głęboko wierzącej bratowej, wówczas już ciężko chorej na nowotwór. Byłam wtedy w bardzo trudnym życiowo momencie. Uwikłałam się w dziwną relację z pewnym mężczyzną. Nie miała ona żadnych perspektyw, ale dla mnie, osoby dotąd

* Słownik slangu Miejski.pl definiuje „Halinkę" jako kobietę pracującą w dużym sklepie, np. w Biedronce lub Lidlu, która w różnych celach chodzi po terenie sklepu.

eprasa.pl d9aca457c4

samotnej, okazała się ważna i wręcz uzależniająca, również w wymiarze seksualnym. Ciążyło mi to okropnie, byłam coraz bardziej rozbita, upokorzona, w coraz gorszym stanie psychicznym, a jednak nie potrafiłam zerwać. Miałam wówczas 51 lat. Podczas spotkania z o. Manjackalem stało się coś kompletnie dla mnie nieoczekiwanego i zaskakującego – wtedy po raz pierwszy w życiu w namacalny sposób doznałam obecności Boga – opowiada Halina S. i natychmiast dodaje: – Wielu pewnie uzna, że to opowieści dziwnej treści egzaltowanej dewotki.

Wiedziałam, że Bóg jest, ale gdzieś daleko, w niebie. Ani mnie to ziębiło, ani grzało. Wszystkie moje religijne praktyki miały charakter zewnętrzy, kulturowy.

W tym, co i jak mówi, nie ma jednak cienia egzaltacji, jest spokojna pewność: – Naprawdę wtedy spotkałam Boga. To było tak silne doznanie, że aż się przestraszyłam. I, jakkolwiek nieprawdopodobnie to zabrzmi, zostałam uzdrowiona z mojego seksualnego uzależnienia. Dla mnie był to prawdziwy cud. Również dlatego, że obudził we mnie ten wymiar życia, który dotychczas był szczelnie zamknięty, czyli duchowość. A kiedy po jakimś czasie problemy z seksualnością wróciły, trafiłam na rekolekcje ewangelizacyjne (te w 2017 r.), które zaprowadziły mnie do wspólnoty. Głęboka relacja z Bogiem, modlitwa indywidualna i wspólnotowa oraz więzi z moimi siostrami i braćmi ze wspólnoty sprawiają, że od dziewięciu lat moje seksualne uzależnienie nie wróciło. Jestem pewna, że sama, bez Boga i wspólnoty, nie dałabym tu rady – twierdzi Halina S.

– Rekolekcje, o których wspomina Halinka, to było coś, czego nigdy wcześniej nie doświadczyłam, wywróciły moje dotychczasowe, dość monotonne życie do góry nogami. Zawiązała się wtedy moja osobista relacja z Bogiem. Miałam 56 lat – opowiada Danuta. – Wprawdzie odebrałam w rodzinnym domu religijne wychowanie i również kiedy sama założyłam rodzinę, z mężem i trójką dzieci prowadziliśmy życie religijne. Regularnie chodziliśmy w niedzielę i święta do kościoła, starałam się odmawiać modlitwy, pilnowałam, żeby dzieci przystępowały do sakramentów. Robiłam to z przekonania, że tak trzeba, że wiara jest człowiekowi potrzebna, bo pomaga mu być lepszym. Ale żeby na co dzień żyć w obecności Boga, żeby relacja z Nim była tak mocna i żywa jak z najbliższą osobą na świecie? W ogóle nie myślałam, że tak może być. A to właśnie się wtedy stało i trwa do dziś – mówi Danuta.

– Ja od czasu studiów byłam blisko różnych wspólnot i innych aktywności związanych z życiem religijnym – opowiada Halina E. Z wykształcenia jest nauczycielką matematyki, ale ukończyła też studium katechetyczne i ostatnie sześć lat swojego zawodowego życia była szkolną

eprasa.pl d9aca457c4

katechetką. Pracowała również w parafialnej poradni rodzinnej, współuczestniczyła w przygotowywaniu młodych ludzi do sakramentów, m.in. małżeństwa.

– Uczestniczyłam w różnych szkoleniach i rekolekcjach dla katechetów i pracowników poradni rodzinnych. Przez wiele lat towarzyszył mi mąż, potem jeździliśmy wspólnie z naszymi dziećmi. Można więc powiedzieć, że moje życie religijne było dość intensywne. Pewnie było, ale nie oznaczało to bliskiej relacji z Bogiem. Należę do pokolenia, któremu na lekcjach religii i w Kościele wpajano, że „Bóg jest Ojcem sprawiedliwym, który za dobro wynagradza, a za zło karze". Podczas rekolekcji w 2017 r. spotkałam zupełnie innego Boga – czułego, miłosiernego ojca, który, jak mawiał św. Augustyn, jest bliżej mnie niż ja sama. To było niezwykle piękne, życiodajne doświadczenie. I wciąż trwa – mówi wzruszona Halina E. Wszystkie trzy zgodnie przyznają, że bliska relacja z Bogiem jest dla nich źródłem wewnętrznej siły i pokoju. – Nawet tak trudne doświadczenia jak choroba nowotworowa, z którą się od pewnego czasu zmagam, i chemioterapie, przez które przechodzę, nie są w stanie tego zmienić – opowiada Halina S. – Jestem spokojna. Kluczowe znaczenie ma tu z jednej strony poczucie, że w tym moim chorowaniu nie jestem sama – jest ze mną Bóg, a oprócz rodziny i przyjaciół także moja wspólnota, która wspiera mnie w codziennym funkcjonowaniu w chorobie. Mogę tu liczyć na bardzo konkretną pomoc – podwiezienie do szpitala, na badania, chemioterapię właśnie, codzienne wsparcie duchowe i przyjacielskie. One są bezcenne, zwłaszcza dla kogoś, kto nie ma męża ani dzieci – mówi.

Inne spojrzenie

Dołączenie do wspólnoty nie tylko bardzo ożywiło życie duchowe „Halinek", ale też – jak podkreśla każda z nich – w ogóle otworzyło je na życie i na same siebie, na własne tu i teraz.

– W naszej wspólnocie bardzo wiele uwagi poświęca się pracy nad sobą, poznawaniu mechanizmów, które stoją na przykład za naszymi zachowaniami, wyborami, emocjami – mówi Halina S. – To daje inne spojrzenie na siebie, drugiego człowieka, otaczający nas świat, a także na Pana Boga. Bardzo wiele zawdzięczam konferencjom oraz pracy inspirowanym książką *Duchowość zdrowa emocjonalnie* autorstwa Petera Scazzera. Wzięliśmy ją we wspólnocie na warsztat, wspólnie i indywidualnie czytaliśmy, stosowaliśmy proponowane w niej praktyki. Zawarte w niej treści pomogły mi lepiej zrozumieć ludzkie emocje i postawy. A także uporządkowały wiedzę na temat zdrowej duchowości – opowiada.

Odkryła też wielką wartość ciszy, przebywania nie tylko sam na sam z Bogiem, ale i z sobą samą.

eprasa.pl d9aca457c4

– Mamy we wspólnocie profesjonalnych psychoterapeutów, to oni najczęściej wynajdują nam te świetne lektury, a także proponują różnego rodzaju warsztaty, na przykład dotyczące psychoedukacji – opowiada Halina E. – Wszystko to pomogło mi zdecydować się wreszcie, w wieku 73 lat, na własną psychoterapię – oczywiście u obcego terapeuty. Niedawno ją zakończyłam, wiele mi pozwoliła zrozumieć. Na przykład mechanizm, który stał za moim uzależnieniem od kredytów. Zmagałam się z nim od lat. Obecnie spłacam ostatnie raty. Ale to było bardzo niebezpieczne. W pewnym momencie byłam tak zadłużona, że groziła nam utrata domu – mówi.

– Wspomniany wyżej Scazzero zachęca do stworzenia sobie indywidualnej reguły życia, w której zawarta powinna być troska o wszystkie jego wymiary – opowiada Halina S. – Czyli również dbanie o równowagę między pracą a odpoczynkiem, o swoje zdrowie, aktywności fizyczne czy kulturalne. Skłamałabym, gdybym powiedziała, że moja reguła życia jest już kompletna i według niej żyję. Wciąż ją tworzę, ale to, co już udało mi się zbudować, okazało się bardzo pomocne, choćby w tak prozaicznej sprawie jak odchudzanie, które jest w moim przypadku koniecznie z powodów zdrowotnych – mówi.

A Halina E. dopowiada: – W książce, o której wspomina Halinka, ale też w naszym wspólnotowym życiu wiele miejsca poświęca się relacjom: z samym sobą, Bogiem i drugim człowiekiem. Bo chrześcijanin, jeśli rzeczywiście chce traktować Chrystusa i swoją wiarę serio, musi ćwiczyć w sobie uważność wobec drugiego człowieka, odnosić się do niego z życzliwością, w razie potrzeby być gotowym do pomocy.

– Tu trzeba koniecznie dodać, że chodzi o każdego człowieka – włącza się Danuta. – Nie ma znaczenia, czy to Polak, Ukrainiec, Niemiec, ksiądz, starsza kobieta, dziecko, osoba homoseksualna czy z niepełnosprawnością. Każda z nich jest dzieckiem Boga oraz naszym bratem czy siostrą. To również w pełni zrozumiałam dopiero dzięki swojej duchowej przemianie, Bogu i wspólnocie. Brakowało mi wiedzy na przykład na temat homoseksualności, patrzyłam więc na osoby homoseksualne z dużym dystansem, a czasem może nawet nieżyczliwością. To się zmieniło.

Znakiem szczególnym żarskiej wspólnoty jest nie tylko wielopokoleniowość. Tworzą ją osoby bardzo różne, na przykład ze spektrum autyzmu, homoseksualne, a także chorujące na depresję. Również te, które zostały tak głęboko zranione przez ludzi Kościoła, że aż niemal całkowicie z niego wypchnięte, m.in. osoby skrzywdzone seksualnie.

– W pomieszczaniu siebie nawzajem, czyli otwartości na inność, możliwości drugiego, jego potrzeby i wrażliwość etc. pomaga oczywiście wiara, ale ona buduje na naturze – opowiada Agata. – Dlatego we wspólnotowej formacji wiele miejsca zajmuje psychoedukacja, w tym

eprasa.pl d9aca457c4

praca warsztatowa dotycząca na przykład emocji, słuchania, ochrony przed manipulacją. Wszystko po to, żeby lepiej rozumieć samego siebie i innych. I żeby nie odlecieć, ale twardo stać na ziemi. Kiedy więc na przykład zajmujemy się charyzmatycznym wymiarem wiary, dodajemy do tego solidną dawkę informacji na temat projekcji, żeby naszych wyobrażeń i myśli nie wkładać w usta Boga – tłumaczy Agata.

Joanna, należąca od lat do wspólnoty w Żarach, dodaje: – W naszej wspólnocie też bardzo dbamy o język, o to, jak mówimy o Bogu i doświadczeniu wiary. Jak wiadomo, słowa mają moc, mogą więc utrwalać szkodliwe przeświadczenia, że Bóg czegoś ode mnie żąda, do czegoś mnie przymusza. Kto chciałby mieć do czynienia z kimś takim, kto ogranicza wolność wyboru i nieustannie się czegoś domaga? – pyta.

– Bóg nie jest przemocowcem – włącza się Agata. – Nie ma tendencji zawłaszczających wobec człowieka. Dlatego dbałość o język jest również bardzo ważna w naszych działaniach ewangelizacyjnych. Chroni także przed pokusą zawłaszczenia Boga, bo On jest zawsze inny, niż nam się wydaje. Takie zawłaszczenie grozi manipulacją i może być bardzo niebezpieczne. Wspólnota powinna unormalniać wiarę, bardzo się staramy, żeby u nas tak było.

Wspólnota, przynajmniej ta konkretna, pokazuje, że młodość, wiek dojrzały i podeszły nie definiują człowieka. Co więcej, osoby w różnym wieku w sposób bardzo realny są sobie nawzajem potrzebne, mają sobie bardzo wiele do podarowania. Młodzi inspirują starszych swoją energią, obeznaniem z nowościami technologicznymi, zapałem, który potrafi być czasem może zanadto odleciany, ale też bardzo mobilizujący i pociągający. Starsi, a zwłaszcza jeszcze starsi potrafią pewne pomysły młodych urealnić, co wcale nie znaczy, że gasić. Życiowe doświadczenie sprawia, że pewne sprawy osadzają się w rzeczywistości i tracą tę nieznośną lekkość religijnych deklaracji w rodzaju „Bóg sam wystarczy".

– Wielopokoleniowość naszej wspólnoty to jedna z jej największych wartości i atutów. Nie tylko dla nas nawzajem, ale też właśnie dla naszych ewangelizacyjnych działań – opowiada Agata. – Bo co ja, kobieta ledwie po trzydziestce, mogę powiedzieć osobie w wieku 60, 70 i więcej lat? Przy nich jestem po prostu… szczyl. Tu niezastąpione są „Halinki", z nimi, z ich doświadczeniami łatwiej się człowiekowi w wieku senioralnym zidentyfikować niż ze mną – mówi.

Jak żylety

Odkąd osobiście spotkały Boga i dołączyły do wspólnoty, sprawy wiary i Kościoła zajmują w życiu każdej z nich bardzo dużo miejsca. Oprócz

eprasa.pl d9aca457c4

cotygodniowych spotkań całej wspólnoty, na których zawsze jest konferencja na konkretny temat (potem przez cały tydzień „obrabia się" go w sobie i w małych grupkach dzielenia; to kolejne spotkanie odbywające się raz na tydzień), codziennie wieczorem spotykają się w gronie kilku osób na modlitwie. Wszystkie te aktywności odbywają się online, co jest dużym udogodnieniem, ale od czasu do czasu spotykają się w realu.

Ale żeby na co dzień żyć w obecności Boga, żeby relacja z Nim była tak mocna i żywa jak z najbliższą osobą na świecie? W ogóle nie myślałam, że tak może być.

– Kilka razy do roku mamy spotkania dużej wspólnoty, a także kursy ewangelizacyjne, które zdarza się nam współprowadzić – mówi Danuta. – Co jakiś czas spotykamy się w mniejszej grupie, bo po prostu zatęsknimy za sobą.

Bardzo ważne miejsce w codziennym kalendarzu „Halinek" zajmuje Msza Święta i okresowe nabożeństwa, takie jak majowe, czerwcowe czy różaniec w październiku. Wszystkie należą do Żywego Różańca, Apostolatu Matki Bożej Pielgrzymującej z Szensztatu, jedna dodatkowo do Apostolatu Maryjnego, a inna do zespołu muzycznego JP2. Wszystkie uczestniczą czynnie w życiu parafii, nie tylko tym dotyczącym modlitwy. Naprawdę dużo jest ich tam, bo trzeba pomóc w przygotowaniach do bierzmowania, Bożego Ciała, udekorować kościół...

– A może jesteśmy dewotkami? – zastanawia się Halina S. – Bo rzeczywiście sporo w naszym życiu jest modlitwy oraz różnorakich religijnych praktyk i działań.

– Może i jesteśmy – zgadza się Halina E. – Ale chyba „żyletami" nie jesteśmy? – śmieje się.

– Jakiś czas temu podczas rekolekcji prowadzący je ksiądz, mówiąc o różnych formach religijności, wymienił postawę „żylety" – wyjaśnia Halina S. W jego opowieści, relacjonują „Halinki", „żylety" to najczęściej kobiety zajmujące w kościele pierwsze ławki, bardzo gorliwe w praktykach i... krytycznym spojrzeniu na innych.

– My we trzy też, zwłaszcza w naszym parafialnym kościele, podczas Mszy czy innych nabożeństw zawsze siadamy w pierwszej ławce – mówi Danuta. – Robimy to dlatego, że kiedy na przykład nie ma ministrantów i lektorów, wspomagamy księdza i czytamy czytania czy śpiewamy psalm.

Ponieważ są mocno zaangażowane w życie parafii, znają tutejszych księży, nie mają więc oporów, żeby na przykład celebrującemu Mszę Świętą podać chusteczkę, kiedy ma katar, a swojej zapomniał. Albo pójść po Mszy do zakrystii i podziękować za wyjątkowo dobre kazanie.

eprasa.pl d9aca457c4

– To właśnie wspólnota, a także podjęta w niej refleksja na temat synodalności uświadomiły nam, że warto wziąć na siebie większą odpowiedzialność za życie naszej parafii oraz intensywniej w nim uczestniczyć – mówi Halina E.

– Ale wszystkie te zaangażowania w wydaniu „Halinek" są naturalne, wypływają z głębokiej potrzeby, a także odpowiedzialności za kształt Kościoła – mówi Agnieszka, jedna z członkiń wspólnoty.

– Od dzieciństwa miałam kłopot z kultem maryjnym, majowe czy różaniec to absolutnie nie moja bajka. A w wykonaniu „Halinek" te modlitwy są tak relacyjne, że inaczej na nie spojrzałam i nie są już mi tak obce – dodaje Joanna.

Elastyczność „Halinek" w naturalny sposób łączy tradycyjne, ustrukturalizowane formy duchowości z nowoczesnymi. Świetnie to też obrazuje powszechność Kościoła, w którym naprawdę wielu może się pomieścić – mówią członkowie żarskiej wspólnoty.

– Nie lubię stereotypów, ale niestety zdarza mi się im ulegać, dotyczy to na przykład kobiet w wieku emerytalnym, jak obecnie nasze „Halinki", mocno zaangażowanych w życie religijne i kościelne – opowiada Anna (jedna z „Halinek" pracowała w przedszkolu, do którego chodziła Anna, a druga przez pewien czas była jej szkolną katechetką, po latach spotkały się znowu – we wspólnocie). – Bywają wśród nich osoby odznaczające się dużym rygoryzmem moralnym w ocenach postępowania innych. Są tak skoncentrowane na religijnych praktykach i katechizmowych zasadach, że często stawiają je wyżej niż konkretnego człowieka. Z podziwem więc na przykład odnoszą się do rodziców przyprowadzających dzieci do kościoła, ale jednocześnie oburzają się na te dzieci, kiedy nie potrafią całej Mszy usiedzieć w jednym miejscu i być cicho, oraz na rodziców, że nie są w stanie swoich pociech zdyscyplinować. Nasze „Halinki" są całkowitym przeciwieństwem tego rodzaju postaw – mówi Anna. I dodaje: – Imponuje mi ich otwartość: na drugiego człowieka i świat, a także na różne formy religijności. Są dla mnie zaprzeczeniem wszystkiego, co kojarzy się z dewocją. Chciałabym w ich wieku zachować taką świeżość wiary oraz ciekawość drugiego człowieka i świata.

– Mnie, człowieka, który spotkał „Halinki" w wieku ledwie 23 lat, zdumiewa ich spontaniczność w działaniu, elastyczność myślenia, energia i młodzieńczość. W sposobie patrzenia i reagowania na świat były i są młodsze od wielu moich rówieśników – mówi Michał (człowiek z siekierą) i dodaje: – Zachwyca mnie w nich, że ich wiara pozostaje wciąż tak ewangeliczna, żarliwa i ma przełożenie na życiowy konkret. Na przykład nie suszą głów morałami tym spośród swoich najbliższych, którzy mają jakiś kłopot z wiarą czy praktykami religijnymi. Modlą się za nich, coś w temacie duchowościowym proponują, ale absolutnie się nie obrażają

eprasa.pl d9aca457c4

i emocjonalnie nie szantażują, jeśli taka propozycja nie zostanie przyjęta. Cierpliwie są blisko, bez narzucania swoich wizji.

– A ich życzliwość wobec drugiego człowieka wydaje się nie mieć granic, czego dowodem jest właśnie przywołana już historia mężczyzny z siekierą – dopowiada Anna i dodaje: – Początkowo otwartość i wylewność „Halinek", łatwość w okazywaniu czułości innym nieco mnie irytowała. Teraz, kiedy dłużej się nie widzimy, tęsknię za nimi. Sama też nauczyłam się od nich bycia w relacjach z innymi bardziej spontaniczną i właśnie otwartą.

– To oczywiście bardzo ważne w wymiarze osobistym: dobrze mieć wokół siebie osoby tak nastrojone na drugiego, gotowe do konkretnej pomocy, zainteresowane tobą – opowiada Agnieszka. – Takie cechy są także niezbędne w naszej ewangelizacyjnej posłudze. Tu bez wzajemnego zaufania, które ośmiela do działania, ale też pozwala na uszanowanie własnych ograniczeń, byłoby bardzo trudno – wyjaśnia.

W prezbiterium i w spodniach

Życie wspólnotowe, opowiadają „Halinki", nie tylko daje im mnóstwo impulsów do duchowego rozwoju, ale też stwarza okazje do poszerzania własnych horyzontów i podejmowania aktywności, na które wcześniej decydowały się rzadko albo wcale.

– Ile my ciekawych ludzi spotkałyśmy dzięki wspólnocie! – konstatuje Halina E. i wymienia: – Pośród nich byli m.in. s. Scholastyka Iwańska, o. Mateusz Filipowski, Agata Rujner, ks. Piotr Studnicki, Zbigniew Nosowski, Dawid Gospodarek. Dzięki tym spotkaniom zdobyłyśmy nową wiedzę na wiele różnych tematów, a także bardzo praktyczne umiejętności.

A oto kilka wybranych tematów spotkań i warsztatów proponowanych uczestnikom żarskiej wspólnoty przez jej liderów: Jak chronić się przed nadużyciami duchowymi?; Nie zamodlić depresji. Czym różni się chorowanie emocji od chorowania duszy?; Krytyczne podejście do treści religijnych (kazania, blogi, vlogi, FB); Krytyczne podejście do informacji w mediach katolickich; Zdrowa relacja ze spowiednikiem. Co komu wolno w konfesjonale?; Prymat sumienia. Dlaczego to wewnętrzny ster jest najważniejszy?; Klerykalizm jako choroba Kościoła. Zdrowa relacja świecki–ksiądz.

– Nasi wspólnotowi liderzy, różnorakie lektury, liczne warsztaty, konferencje i spotkania uświadomiły mi, że własny rozwój to także mój chrześcijański obowiązek – mówi Halina E. – I dotyczy to nie tylko wymiaru duchowego, ale też pozostałych, w tym kulturalnego czy obywatelskiego. To bardzo ważne, pozwala lepiej rozumieć samą siebie, innych i tak szybko zmieniający się świat.

eprasa.pl d9aca457c4

Wszystkie trzy sprawnie posługują się komórką, korzystają z internetu, Messengera czy innych komunikatorów. Wielokrotnie spotykałyśmy się na rozmowach za pomocą któregoś z tych narzędzi.

– Jeśli chodzi o treści pojawiające się w internecie, to jednak potrzeba tu już większych kompetencji, żeby odróżnić prawdę od fałszu, zorientować się, że mamy do czynienia z *fake newsem* – opowiada Halina S. – Liderzy naszej wspólnoty wpadli na świetny pomysł, żeby zrobić warsztaty, które pomogą nam te kompetencje zdobyć.

Wspólnotowi liderzy, lektury, warsztaty, konferencje i spotkania uświadomiły mi, że własny rozwój to także mój chrześcijański obowiązek. I dotyczy to nie tylko wymiaru duchowego, ale też kulturalnego czy obywatelskiego.

– Zadziwia mnie zdolność „Halinek" do tak odważnego myślenia w kwestiach związanych również z życiem Kościoła – mówi Agata. – One naprawdę kochają Kościół, ale potrafią też być wobec tego, co się w nim dzieje, krytyczne. Miałam okazję przekonać się o tym m.in. podczas warsztatów dotyczących właśnie krytycznego myślenia, kiedy analizowaliśmy kazanie bp. Meringa z Jasnej Góry. Mówił w nim m.in. o tym, że „jak świat światem nie będzie Niemiec Polakowi bratem", i o tym, że „miłość ojcowska zawsze jest warunkowa".

A Joanna dodaje: – Mnie nie przestaje dziwić otwartość na świat, który ustawicznie się zmienia. Pojadę stereotypem: ludzie w wieku „Halinek" kojarzą mi się raczej z pewną sztywnością w spojrzeniu na rzeczywistość, przekonaniem, że kiedyś było lepiej, kierowaniem się utartymi schematami, bo tak jest bezpieczniej. Kiedy widzę, jak nasze „Halinki" muszą się czasem mocno nagimnastykować, żeby wejść w to, co nowe, jestem poruszona i pełna podziwu. To działa też bardzo dopingująco.

Z kolei inna członkini wspólnoty, Agnieszka, mówi o ich poczuciu humoru i dystansie wobec samych siebie. I opowiada takie zdarzenie: – Jakiś czas temu pewnemu panu z parafii „Halinek" nie spodobało się, że wchodzą do prezbiterium, żeby przeczytać czytanie czy zaśpiewać psalm, ubrane w spodnie. Argumentował, że odpowiedniejszym strojem byłaby spódnica czy sukienka. Któraś z nich, odpowiadając, zażartowała: „Ale chyba lepiej, że w ogóle w spodniach jesteśmy, a nie bez nich?".

Razem z innymi członkami wspólnoty rapują i wygłupiają się, bo we wspólnotowym życiu, jak w ogóle w życiu, nie może zabraknąć miejsca na relaks, śmiech i różne działające terapeutycznie wariactwa.

Wspólnota pomaga zresztą nie tylko w tym, co trudne, ale też w odkrywaniu własnej wartości, mocnych stron. – To we wspólnocie dowiedziałam się, że na Chrzcie Świętym dostajemy od Ducha Świętego prezent,

eprasa.pl d9aca457c4

którego często przez lata nie rozpakowujemy – mówi Halina S. – Zostajemy obdarowani różnorakimi talentami, które warto rozwijać i służyć nimi innym. U mnie są to zdolności do koordynowania różnych przedsięwzięć i projektów, a tych w naszej ewangelizacyjnej wspólnocie, która prowadzi liczne kursy i warsztaty, jest niemało. Zdarzało mi się już kilkakrotnie pełnić podczas nich właśnie funkcję koordynatorki, która czuwa nad sprawami organizacyjnymi i weryfikuje je wedle aktualnych potrzeb.

– A ja stałam się odważniejsza: jak widzę, że komuś dzieje się coś złego, reaguję – do rozmowy włącza się Danuta. – Kiedyś wydawało mi się, że nie wypada, zwłaszcza nieznajomym, proponować pomocy. Potem mnie męczyło, że może ten ktoś właśnie tej pomocy potrzebował, a ja nie skorzystałam z okazji, żeby jej udzielić. Teraz mam odwagę pytać.

– Ja też właśnie we wspólnocie nabrałam odwagi, żeby podczas kursów ewangelizacyjnych dawać świadectwo o tym, jak Pan Bóg działa w mojej codzienności i co daje życie we wspólnocie. Chętnie dzielę się również swymi doświadczeniami życiowymi i widzę, że są potrzebne – opowiada Halina E.

– W naszej wspólnocie lubimy wychwytywać to, w czym ktoś jest dobry. Mamy to w swoim DNA – mówi Agata.

– Drażni mnie, że w Kościele kobieta, zwłaszcza w wieku emerytalnym, wciąż jest głównie od sprzątania, pieczenia ciast, ewentualnie układania bukietów – mówi Joanna. – Nasze „Halinki" nie pracują już zawodowo, ale przez lata jedna z nich miała swój biznes, druga była kierowniczką przedszkola, trzecia – nauczycielką matematyki i religii. Kompetencje, które miały, nie zanikły wraz z przejściem na emeryturę. One i wiele innych kobiet mają ogromne doświadczenie. Szkoda, że tak wiele dobra zostaje w Kościele niezagospodarowane. My we wspólnocie chcemy je uruchamiać.

Na swoim miejscu

Siłą „Halinek" jest nie tylko ich wiara, ale też przyjaźń – mówi Joanna. – Czasem nawet z pewną zazdrością patrzę na ich pozawspólnotowe aktywności, zwłaszcza te kulturalne.

– Bardzo się cieszę z naszych wspólnych we trzy (a czasem w większym gronie) wypadów kulturalnych – mówi Danuta.

– Halinka jest naszym kaowcem, to ona wynajduje ciekawe filmy, spektakle teatralne czy koncerty – dopowiada Halina E. – A podczas tych kulturalnych wypadów trudno nie zahaczyć o jakąś miłą kawiarnię. Nie tylko zresztą kawę degustujemy. Mamy na swoim koncie wycieczki na winobranie do lokalnej winnicy. Na nudę nie narzekamy, wszystkie jesteśmy na emeryturze, a wciąż brak nam czasu, bo przecież staramy się

eprasa.pl d9aca457c4

też pomagać naszym dzieciom w opiece nad wnukami, nie zaniedbywać życia rodzinnego – dodaje.

Jasne, że bywają zmęczone, ale jest to ten rodzaj zmęczenia, który po prostu domaga się odpoczynku. Nie prowadzi do wyczerpania czy wypalenia.

– No pewnie, że czasem weźmie człowieka w objęcia leń i myśli sobie: a może dziś wieczorem, zamiast brać udział w spoktaniu modlitewnym, położę się na kanapie z książką albo obejrzę film? – opowiada Halina S. – Zazwyczaj przychodzi jednak refleksja: przecież to mogę zrobić w innym czasie, a wspólna wieczorna modlitwa, spotkanie wspólnoty czy grupki dzielenia ma określoną porę, nie da się jej ot tak zmienić.

Jeśli już więc z nich rezygnują, to dlatego, że ktoś potrzebuje w tym właśnie czasie ich pomocy czy obecności albo muszą zaopiekować się samymi sobą. To ostatnie, opiekowanie się samą sobą czy wsłuchanie we własne pragnienia i potrzeby, to też doświadczenie mocno związane z duchowym przebudzeniem i przynależnością do wspólnoty.

– W myśleniu o samej sobie, o swoich potrzebach zawsze byłam na ostatnim miejscu – mówi Danuta. – To nie było ani zaplanowane, ani wybrane, po prostu najpierw trzeba było się zająć dziećmi, domem i pracą, poświęcić czas mężowi, krewnym i znajomym, dla siebie samej już go właściwie nie bardzo starczało. Nie widziałam w tym nic złego, życie większości znanych mi kobiet tak wyglądało. Wtedy, w latach 80., kiedy zakładałam rodzinę i rodziły się nasze dzieci, nie było jeszcze takich udogodnień jak pralki automatyczne, zmywarki, pampersy czy gotowe posiłki w słoiczkach dla niemowląt. Mąż miał pracę wyjazdową, wychodził z domu wcześnie rano, wracał przed wieczorem, więc opieka nad trójką dzieci i organizacja życia domowego spoczywały głównie na mnie. Kiedy kładłam się spać, byłam najczęściej już tak zmęczona, że nawet książki czy gazety często nie miałam siły poczytać, a kto by wtedy myślał o wyjściach z przyjaciółkami do kina, teatru czy na koncert – opowiada Danuta.

Nawet kiedy dzieci dorosły, wyszły z domu, założyły swoje rodziny, a Danuta przeszła na emeryturę, nadal ona i jej potrzeby były mniej istotne w stosunku do potrzeb rodziny.

– Zmiana przyszła nieoczekiwanie i była ściśle związana z moim zaangażowaniem we wspólnotę – opowiada. – Wspólnotowe spotkania, wyjazdy, warsztaty, a także inne codzienne praktyki religijne, działania na rzecz parafii oraz aktywności towarzyskie stały się dla mnie bardzo ważne. Chciałam w nich uczestniczyć, co nie od początku rozumieli mąż i dzieci. Uważali, że popadam w niezdrową dewocję, zarzucali, że wspólnota stała się dla mnie ważniejsza niż rodzina. Sporo wtedy przepłakałam. Dziś najbliżsi szanują moją wiarę i religijne zaangażowania. Mąż znowu chodzi do kościoła, a był czas, że przestał. Dzieci doceniają, że

eprasa.pl d9aca457c4

mam swoje życie, bo wiedzą, że nadal mogą liczyć na pomoc przy wnukach i nie tylko. Mnie samej wydaje się, że odkąd jestem we wspólnocie, kocham moją rodzinę tak samo mocno jak wcześniej… a może nawet mocniej, a już na pewno mądrzej – mówi Danuta.

*

„Gdy Bóg jest na pierwszym miejscu, wszystko jest na swoim miejscu” – ta tak bliska „Halinkom” fraza św. Augustyna w kontekście opowieści o nich mogłaby brzmieć również tak: Gdy rzeczywiście Bóg jest w życiu człowieka na pierwszym miejscu, to on sam (ani żaden inny człowiek) nie może być na ostatnim miejscu. ■

KATARZYNA JABŁOŃSKA – absolwentka Wydziału Filologii Polskiej Uniwersytetu Warszawskiego, krytyk filmowy. Redaktorka kwartalnika „Więź”, w latach 1997–2017 była sekretarzem redakcji. Autorka podcastu „Oto człowiek”. Współautorka felietonu filmowego „Ksiądz z kobietą w kinie” (z ks. Andrzejem Lutrem). Współautorka i współredaktorka książek, m.in. *Szału nie ma, jest rak* i *Żyć aż do końca. Instrukcja obsługi choroby* (z ks. Janem Kaczkowskim), *Wyzywająca miłość. Chrześcijanie a homoseksualizm*, *Od rodziny nie można uciec* (z prof. Ireną Namysłowską i Cezarym Gawrysiem). Należy do Zespołu Laboratorium „Więzi”.



POLECAMY

WIESŁAW DAWIDOWSKI OSA
DAMIAN JANKOWSKI

Leon XIV
Papież na niespokojne czasy

Jaki prywatnie jest nowy papież? Jakie cechy go wyróżniają, co go ukształtowało? Damian Jankowski rozmawia z augustianinem, ojcem Wiesławem Dawidowskim, od 26 lat zakonnym współbratem Leona XIV. To opowieść o dystansie do samego siebie, o Kościele w świecie kryzysów i o wierze, która nie traci pokory.

WIĘŹ **W NASZEJ KSIĘGARNI INTERNETOWEJ 20% TANIEJ!**
www.wydawnictwo.wiez.pl

eprasa.pl d9aca457c4

Z drugiej strony Bugu

Polski Robinson i ukraiński Piętaszek

DYSKUTUJĄ: MYKOŁA RIABCZUK I AGNIESZKA ROMASZEWSKA-GUZY ORAZ KAROL GRABIAS

Ukraińcy nie chcą dłużej odgrywać roli Piętaszka, którego Polska za rękę wprowadza do zachodniego świata – domagają się równości, co czyni naszą relację znacznie trudniejszą. Bez tego tła niełatwo zrozumieć obecny spór polsko-ukraiński.

KAROL GRABIAS Niedługo po wybuchu pełnoskalowej wojny w Ukrainie zdarzało mi się usłyszeć, że między Polakami a Ukraińcami doszło do społecznego cudu – w wyniku rosyjskiej napaści nasza trudna przeszłość niejako „wyparowała". Dziś już wiemy, że tak się nie stało. Czy konflikt pamięci, który na naszych oczach eskaluje, da się porównać do płytko zakopanego niewybuchu, który jedynie czekał, aż ktoś nieostrożny przypadkiem go zdetonuje?

MYKOŁA RIABCZUK Z mojego punktu widzenia – i prawdopodobnie większości Ukraińców – taki konflikt po prostu nie istnieje. My znacznie mniej skupiamy się na historii, zdecydowanie słabsze są u nas nastroje nacjonalistyczne, które w Polsce obejmują już znaczną część społeczeństwa. Dostrzegam pod tym względem ogromną asymetrię, bo w Ukrainie nadal dominuje pozytywne nastawienie wobec Polski i Polaków.

Oczywiście dochodziło do gestów, które były bardzo źle odebrane i które nagłaśniały media, jak choćby wysypanie ukraińskiego zboża na ziemię przy granicy. To był bolesny widok, bo Ukraińcy wiedzą, że to ziarno było zbierane pod niebem rozdartym rakietami – my też mamy swoją wrażliwość. Ale nasze społeczeństwo nie reaguje symetrycznie na eskalację, o której Pan mówi. I nie ukrywam, że to mnie cieszy. Jest oczywiście przestrzeń internetowa, w której odbywają się zaognione, czasami idiotyczne dyskusje po obu stronach – a zatem również wśród Ukraińców – ale uważam, że to zjawisko powierzchowne.

Do bolesnych wydarzeń w historii dochodziło 80, 100 i 200 lat temu. Moglibyśmy dziś dyskutować o powstaniu

eprasa.pl d9aca457c4

Chmielnickiego czy spaleniu Kijowa przez Mongołów – ale nikt dziś w Kijowie nie ma o to żadnych pretensji. Czy 80 lat temu doszło do ludobójstwa? Uważam, że najlepiej ujęła to uchwała polskiego Sejmu z 2013 r., która mówiła o czystce etnicznej o znamionach ludobójstwa.

To jednak już historia, a na naszych oczach każdego dnia odbywa się rzeczywiste ludobójstwo w Ukrainie. Z ukraińskiego punktu widzenia najbardziej palącą kwestią jest wojna egzystencjalna. Stawką tej wojny jest przetrwanie całego narodu – trzeba o tym pamiętać. O wszystkim innym możemy porozmawiać po wojnie. Sugerowałbym, aby przynajmniej na razie zostawić historię historykom.

Jednocześnie nikt nie ma wątpliwości, że Polska w stosunkach z Ukrainą posiada bardzo silną dźwignię – ma możliwość sabotowania przystąpienia Ukrainy do Unii Europejskiej, tak jak Grecja robiła to z Macedonią, która została zmuszona do zmiany oficjalnej nazwy. Mam tylko wielką prośbę: nawet jeśli polscy nacjonaliści chcą sięgać po tę kartę, błagam, niech zaczekają z tym do końca wojny.

AGNIESZKA ROMASZEWSKA-GUZY Nie zgodziłabym się z jednym. Śledzę ukraiński internet – dziś to właśnie tam, znacznie bardziej niż w prasie czy telewizji, widać społeczne emocje. I muszę powiedzieć, że choć to, co dzieje się w polskim internecie, często przechodzi ludzkie pojęcie, ukraiński internet szybko zaczyna nas doganiać. Oczywiście mogę trafiać na niereprezentatywną próbkę, ale głosy rozsądku wydają mi się coraz rzadsze.

Mam też wrażenie, że wielu ukraińskich komentatorów życzliwych Polsce popełnia jeden zasadniczy błąd: całość obecnego problemu przypisuje grze politycznej w Polsce. Podejrzewam, że podobnie patrzy na to prezydent Zełenski. Oczywiście także po polskiej stronie powstają absurdalne teorie, według których wszystko, co robi Ukraina, jest z góry zaplanowaną prowokacją. Ale równie nieprawdziwe jest przekonanie, że Polaków ogarnął nagle niczym nieuzasadniony szał nacjonalistyczny.

ROMASZEWSKA-GUZY: *Tak Polska, jak i Ukraina na swój sposób czują się dziś silniejsze. Grają powyżej swojej stawki. Oba kraje mają przekonanie, że należy im się więcej, że są czymś więcej, niż widzą w nich inni.*

Te nastroje mają swoje źródła i jednym z nich jest historia. Bardzo wielu Polaków, niezależnie od politycznych sympatii, nie rozumie, dlaczego Ukraina czyni ważnym elementem swojej tradycji ludzi związanych z ruchem, którego ideologia była faszystowska. Możemy spierać się o szczegóły wydarzeń historycznych, ale dokumenty dotyczące ideologii tego ruchu są znane. Z polskiego punktu widzenia odwoływanie się do tej tradycji przez bezpośredniego sąsiada musi więc budzić niepokój.

Nie zmienia to faktu, że w Polsce nastroje nacjonalistyczne czy wręcz szowinistyczne są dziś również świadomie podsycane. Sam problem jednak istnieje

eprasa.pl d9aca457c4

niezależnie od tego politycznego podgrzewania.

Wracając więc do metafory z początku rozmowy: tak, moim zdaniem to był niewybuch, który leżał pod ziemią i w tej chwili eksplodował. Nie jestem tylko pewna, czy kiedykolwiek dało się go całkowicie rozbroić i czy znaleźliby się saperzy, którzy potrafiliby to zrobić.

GRABIAS Pełnoskalowa wojna przemeblowała Europę: zmieniła pozycję zarówno Polski, jak i Ukrainy, wzmacniając polityczne znaczenie całego regionu. Czy to nowe poczucie podmiotowości i własnej siły po obu stronach jest istotnym kontekstem, który pomaga wyjaśnić obecne napięcia między Warszawą a Kijowem?

RIABCZUK Przypuszczam, że w pewnym stopniu tak, bo od 2022 roku Ukraina osiągnęła pełną podmiotowość. Stała się graczem na skalę międzynarodową, a przynajmniej europejską – graczem, z którym trzeba się liczyć. To już nie jest małe, zacofane państwo na rubieżach Europy, które można pouczać choćby w kwestiach historycznych.

Sądzę, że może to budzić dyskomfort części polskiego społeczeństwa. Trafiłem na badania, które wskazywały, że już kilkanaście procent Polaków wręcz życzy Ukrainie porażki, wychodząc z założenia, że lepiej, aby wygrała Rosja, bo nareszcie ustabilizuje sytuację w regionie. Co oczywiście wcale nie jest takie pewne.

Sądzę jednak, że ta nowa sytuacja wzmacnia również ambicje ukraińskich polityków. Oni także czasami zachowują się tak, jakby przeceniali własną potęgę. Zełenski zrozumiał już, jak należy rozmawiać z Trumpem, ale jeszcze nie podjął refleksji nad tym, że jakoś trzeba umieć rozmawiać również z Nawrockim. W obu przypadkach musi się w pewnym stopniu dostosować. Wie już, że Trumpowi trzeba czasem powiedzieć *yes, sir, thank you, sir*, nawet jeśli mówi on bzdury – ale nie wyciągnął jeszcze wniosków z konfrontacji z prezydentem Polski.

Zgadzam się więc z Panem, że sytuacja się zmieniła – zasadniczo na lepsze – ale ta zmiana ma również swoje skutki uboczne, z którymi musimy się liczyć.

ROMASZEWSKA-GUZY Mam wrażenie, że na poziomie politycznym zaczyna działać mechanizm, który za filmem *Powrót do przyszłości* określam jako *Don't call me a chicken* [ang. nie nazywaj mnie tchórzem]: kto pierwszy ustąpi, kto okaże się ważniejszy. Tymczasem rzeczywiście zmieniła się sytuacja międzynarodowa.

Ukraina przestała być z punktu widzenia Polski przedmiotem opieki – krajem, który będziemy za rękę wprowadzać do Unii Europejskiej, któremu będziemy pokazywać, co nam dobrze wyszło, i który będziemy, choćby życzliwie, pouczać. Przez lata po polskiej stronie bardzo wyraźny był taki protekcjonalny ton i muszę przyznać, że zawsze doprowadzał mnie on do szału.

Dziś Ukraina zyskała przede wszystkim siłę militarną, ale też podmiotowość moralną i psychologiczną. Jeżeli oddalimy się trochę od naszego polskiego punktu widzenia, musimy powiedzieć, że to jest niesłychanie imponujące. Kraj, który – wydawałoby się – powinien się rozsypać, wytrzymał i walczy ogromnym kosztem. Z perspektywy Warszawy zupełnie nie widać setek tysięcy ludzi, którzy oddali życie za to, żeby Ukraina nadal funkcjonowała. To buduje bardzo silne poczucie własnej siły i godności.

eprasa.pl d9aca457c4

Z kolei Polska jest dziś znacząco bogatsza i bardziej samodzielna od Ukrainy. W efekcie każdy z tych krajów na swój sposób czuje się silniejszy i w jakimś sensie gra powyżej swojej stawki. Ktoś mi niedawno powiedział, że różne kraje i regiony kierują się charakterystycznymi dla siebie emocjami. Jeśli na Dalekim Wschodzie wciąż ważne są honor i dobre imię, to w przypadku Polski i Ukrainy tę funkcję pełni, moim zdaniem, poczucie niższej wartości, doświadczonej krzywdy i niedocenienia. Oba kraje mają przekonanie, że należy im się więcej, że są czymś więcej, niż widzą w nich inni. A poczucie niższości i poczucie wyższości to przecież dwie strony tej samej monety.

Doszliśmy więc do sytuacji, w której Ukraina uznała, że właściwie Polska nie jest jej potrzebna: zbuduje most do Berlina, dalej do Brukseli, a Polskę przeskoczy. Tyle że geografia jest nieubłagana. Polska leży tutaj, między Ukrainą a Zachodem, nie da się jej przeskoczyć – nie mówiąc już o licznych związkach, które byłyby dla Ukrainy bardzo korzystne. Polska z kolei wymyśliła sobie, że Ukraina to jakaś odległa kraina za Bugiem i możemy się do niej odwrócić plecami: mamy NATO, natowski parasol i zbroimy się sami. Tylko pojawia się tu pytanie: dlaczego właściwie sami, skoro moglibyśmy zbroić się wspólnie z Ukraińcami?

Wydaje mi się więc, że obecne napięcie wynika właśnie ze zmiany układu i z tego, jak oba kraje zaczęły postrzegać same siebie. Każdy z nich uważa się dziś za mocniejszy i każdy mówi drugiemu: nie będziesz mi już nic dyktował, o nie!

RIABCZUK Kilkanaście lat temu opublikowałem po angielsku artykuł o rosyjskim Robinsonie i ukraińskim Piętaszku. Koledzy pytali mnie później, czy nie chciałbym napisać czegoś podobnego o polskim Robinsonie i ukraińskim Piętaszku. Odmawiałem, bo ciągle miałem nadzieję, że napiszą o tym polscy intelektualiści. W Polsce znacznie łatwiej przecież rozmawiać o relacjach dominacji niż w Rosji, gdzie właściwie nie ma już z kim prowadzić takiej rozmowy. Ale, jak widzę, do tej pory taki tekst się nie ukazał.

Dziś ten ukraiński Piętaszek zaczyna wychodzić ze swojej dawnej roli i przypomina polskiemu Robinsonowi: jestem ci równy, mam własne nazwisko, nie muszę być Piętaszkiem. I właśnie o tej podmiotowości tutaj mówimy. Robinson lubi swojego Piętaszka, dopóki jest on miły, posłuszny i uznaje jego cywilizacyjną wyższość. Kiedy zaczyna domagać się równości, relacja staje się znacznie trudniejsza.

RIABCZUK: Ukraiński Piętaszek przypomina polskiemu Robinsonowi: jestem ci równy, mam własne nazwisko. A Robinson lubi swojego Piętaszka, dopóki jest on miły, posłuszny i uznaje jego cywilizacyjną wyższość.

To jest wyzwanie dla obu społeczeństw: jednemu trudno uznać pełną równość, a drugiemu łatwo przesadzić z demonstrowaniem własnej podmioto-

eprasa.pl d9aca457c4

wości. Zgadzam się więc, że część ukraińskich polityków ulega iluzji, iż Ukraina może po prostu ominąć Polskę i bezpośrednio dogadywać się z innymi partnerami. Nie, tak nie będzie. Trzeba to powiedzieć wprost.

Przed nami ogromna praca. Powtarzam swoim ukraińskim kolegom, że w Polsce naprawdę mamy z kim rozmawiać. Jest tutaj bardzo rozsądne, inteligentne, kulturalne i życzliwe społeczeństwo. Ale jednocześnie istnieje też inne oblicze Polski i nie powinniśmy dostarczać mu argumentów przeciwko Ukrainie. Wiem, że toczy się u Was dziś bardzo ostra walka polityczna, a ukraińscy politycy czasem robią rzeczy, które wzmacniają szowinistyczne nastroje i siły nad Wisłą. Nie powinniśmy jako Ukraińcy dawać im kart atutowych – a niestety czasem to robimy.

GRABIAS Ciągle powraca kwestia podmiotowości i niechęci do tego, by ktoś z zewnątrz narzucał własną perspektywę – suflował, jak mamy się postrzegać, o kim pamiętać, a kogo potępiać. Czy dlatego ukraińska reakcja na polskie zastrzeżenia wobec upamiętniania OUN i UPA jest tak silna? A gdyby podobne uwagi płynęły z Berlina, Paryża czy Londynu, czy zostałyby odebrane inaczej?

RIABCZUK Nie zgadzam się. W Europie Zachodniej właściwie nikt już nie przejmuje się podobnymi sporami historycznymi. Dla Francuzów czy Anglików coś, co wydarzyło się sto lat temu, nie ma dziś takiego znaczenia – ważniejsze jest to, jak układać współpracę teraz. Nie mają ani ukraińskich, ani polskich kompleksów, dlatego nasz spór jest dla nich w dużej mierze niezrozumiały.

Nie sądzę też, żeby Ukraińców najbardziej irytowało samo polskie pouczanie. Nikt nie lubi, kiedy się go poucza, ale problem jest głębszy: UPA funkcjonuje zupełnie inaczej w świadomości Polaków i Ukraińców. W Polsce jej obraz jest bardzo uproszczony i koncentruje się przede wszystkim na zbrodniach popełnionych na Polakach i oskarżeniu o faszyzm. Tyle że nikt w Ukraine dzisiaj ani tych zbrodni, ani tej ideologii nie celebruje. Upamiętniamy coś zupełnie innego – patriotyzm, ofiarność, naprawdę bohaterską walkę z Rosjanami, która wydaje się nam tak aktualna. Jak celnie to ujął ukraiński filozof Oleksij Panycz, dla Polaków historia UPA kończy się 1945 rokiem, zaś dla większości Ukraińców ona dopiero od 1945 r. się zaczyna.

Potępiamy zbrodnie, ale uznajemy, że to tylko mały wycinek w historii ukraińskiego ruchu wyzwolenia narodowego, a jakaś mutacja ideologii faszystowskiej czy skrajnie nacjonalistycznej była obecna w praktycznie każdym europejskim kraju – w samym centrum Warszawy znajduje się przecież Rondo Dmowskiego, który o polskich mniejszościach narodowych wypisywał straszne rzeczy.

ROMASZEWSKA-GUZY Ale na Zachodzie te kwestie są mniej istotne dlatego, że zostały w dużej mierze rozwiązane. Istnieją też wyraźne granice tego, do jakich tradycji można się odwoływać. Chorwacja nie odwołuje się do ustaszów, a nawet Orbán, sięgając czasem do tradycji Horthyego, nie odwołuje się do strzałokrzyżowców. Nie widzę państw europejskich, które budowałyby dziś swoją pamięć wokół ruchów wyrastających z faszyzmu lat trzydziestych.

A OUN-B była organizacją skrajną, o faszystowskiej ideologii. I jej lustrzanym odbiciem po polskiej stronie była raczej

eprasa.pl d9aca457c4

ONR-Falanga niż Narodowa Demokracja Dmowskiego. Dzięki Bogu, że ONR nie miała okazji realizowania w praktyce swojego programu politycznego i nie mamy dziś w Polsce jej dziedzictwa do rozliczenia.

RIABCZUK Tylko że ja nie zgadzam się z tymi analogiami. Ustasze i inne ruchy, o których Pani mówi, kolaborowały z nazistami. Historia OUN-B była inna: jej stosunek do Niemiec się zmieniał, jej działacze byli przez nazistów prześladowani, Bandera większą część wojny spędził w niemieckim obozie Sachsenhausen, jego bracia zginęli z rąk Gestapo, a siostry zostały na dekady skazane przez Rosjan na łagry. Polacy niechętnie o tym wspominają, a większość o tym nawet nie wie.

UPA walczyła zarówno z Sowietami, jak i z Niemcami. Nie można więc po prostu postawić znaku równości między UPA a ustaszami. Można porównywać ideologię OUN i ustaszy – w Ukrainie to robią, są świetne prace profesora Ołeksandra Zajcewa. Ale kolaboracji nie było. Były przed wojną pewne skłonności ze strony OUN, ale ze strony UPA tego już zdecydowanie nie było.

Najważniejsze, moim zdaniem, że Ukraińcy gloryfikują UPA nie dlatego, iż walczyła z Polakami. Zabijanie cywilów było zbrodnią i konkretni ludzie, dowódcy, którzy odpowiadali za te zbrodnie, powinni zostać potępieni. Ale dla Ukraińców nie wynika z tego, że należy potępić cały ruch narodowowyzwoleńczy i ludzi, którzy przez lata walczyli o niepodległość z Sowietami czy Niemcami. To właśnie jest źródłem głębokiej niezgody: UPA odgrywa zupełnie inną rolę w pamięci polskiej, a inną w ukraińskiej.

ROMASZEWSKA-GUZY Zgadzam się, że sytuacja historyczna w naszej części Europy była niezwykle skomplikowana. Polska również ma tu własne winy. Polityka II Rzeczypospolitej wobec mniejszości ukraińskiej była w wielu momentach fatalna, a przekonanie, że Ukraińców czy Białorusinów da się po prostu zasymilować i nie wyniknie z tego nic złego, okazało się całkowicie zgubne. I tak, Dmowski pisał o Ukrainie rzeczy niedopuszczalne, a polskie podziemie również popełniało zbrodnie na Ukraińcach. Nie uważam też, że Polacy i Ukraińcy muszą mieć wspólnych bohaterów. My możemy czcić ludzi, którzy wam się nie podobają, a wy możecie czcić ludzi, którzy nie podobają się nam. Jeżeli Ukraina chce stawiać pomnik hetmanowi Mazepie, to proszę bardzo – to jest jej pamięć historyczna. Podobnie z konfliktem o Lwów: każdy walczył o to miasto jak o piękną pannę na wydaniu – obie strony miały swoich żołnierzy i własną pamięć tej walki. Możemy dziś uznać, że to przeszłość.

Ale gdzieś musi istnieć granica. Dla mnie jest nią upamiętnianie ludzi bezpośrednio odpowiedzialnych za masowe zbrodnie na ludności cywilnej. Kiedy widzę, że w Ukrainie nadal stoją pomniki Kłyma Sawura albo tablice gloryfikujące akcje UPA przeciw polskim wsiom, nie potrafię uznać tego po prostu za ukraińskie prawo do własnej pamięci.

Tym bardziej że Ukraina ma również innych bohaterów walki o niepodległość. Pawło Szandruk był ukraińskim oficerem, który walczył w polskiej armii w 1939 r., został odznaczony orderem Virtuti Militari, a później starał się uratować ukraińskich żołnierzy przed wydaniem Sowietom. Są też takie postacie jak Marko

eprasa.pl d9aca457c4

Bezruczko, obrońca Zamościa. To bohaterowie, którzy mogliby łączyć pamięć polską i ukraińską, a są znacznie mniej obecni niż Bandera.

GRABIAS Zostawmy na chwilę historię i wróćmy do teraźniejszości. Pan Riabczuk mówił o zachodnim modelu budowania wspólnych interesów, które z czasem łagodzą historyczne konflikty. Czy po 2022 roku Polska i Ukraina nie zmarnowały podobnej szansy? Było wtedy okno na duże wspólne projekty infrastrukturalne i zbrojeniowe, a dziś w tę przestrzeń coraz mocniej wchodzą Niemcy, Duńczycy czy Szwedzi. Czy polsko-ukraiński *business as usual* jest niespełnioną obietnicą na grunt pod pojednanie?

RIABCZUK Nie sądzę, żeby ta szansa została stracona. To wszystko jest jeszcze przed nami i musimy nad tym pracować. Nie jestem tutaj sceptyczny, bo takiej współpracy potrzebuje również biznes. Ona po prostu jeszcze się wydarzy.

ROMASZEWSKA-GUZY A ja uważam, że ten pociąg nam już praktycznie uciekł. Z własnego doświadczenia wiem, że w relacjach między społeczeństwami najbardziej pomaga wspólne działanie: nie patrzenie sobie bez końca w oczy, tylko spoglądanie razem w jednym kierunku. I właśnie to Polska po 2022 roku bardzo zaniedbała.

Kiedy Ukraina desperacko budowała własny przemysł obronny, nikt nie wiedział jeszcze, co z tego powstanie. Polska mogła wtedy wejść w tę współpracę znacznie głębiej: wspierać ukraińskie firmy, umożliwiać produkcję na naszym terytorium i wspólnie rozwijać technologie. A my baliśmy się zgodzić, by takie przedsięwzięcia odbywały się u nas.

Gdybyśmy wtedy podjęli ryzyko, dzisiaj nie rozmawialibyśmy o tym, czy w zamian za MiG-i dostaniemy od Ukrainy technologie dronowe. Nie chodzi przecież o samą technologię, którą można raz kupić, ale o stałą współpracę z sektorem, który bez przerwy testuje i rozwija swoje rozwiązania na froncie. Drony, które wyprodukujemy dziś i odłożymy do magazynu, za rok mogą być już przestarzałe.

Moim zdaniem jeszcze po zmianie rządu w Polsce w 2023 r. istniało kilka miesięcy, kiedy można było tę współpracę zbudować. Po stronie ukraińskiej były takie oczekiwania, ale skończyło się głównie na ładnych słowach. I tę szansę zmarnowaliśmy.

Jest jeszcze drugi problem: oba kraje powinny bardzo uważać, żeby nie obstawiać konkretnych sił politycznych po drugiej stronie. Polska nie powinna mówić: ten ukraiński prezydent jest dobry, a tamten zły; Ukraina nie powinna liczyć na to, że w Polsce wygrają „światli", a przegrają „ciemni". To na dłuższą metę zawsze szkodzi relacjom, bo prędzej czy później do władzy przychodzi ktoś, na kogo nie stawialiśmy, i wtedy sytuacja jest niezręczna.

Dlatego z dużym niepokojem patrzę również na obecną falę ataków na Zełenskiego w Polsce. Nie wiemy przecież, jaki będzie przyszły układ władzy w Ukrainie ani czy następny prezydent będzie z polskiego punktu widzenia lepszy. W relacjach między państwami trzeba umieć współpracować z tymi, których wybierają ich obywatele.

GRABIAS A przecież jeszcze niedawno w dialogu polsko-ukraińskim pojawiały się pozytywne sygnały: kongres historyków, zgody na kolejne ekshumacje na Wołyniu, wspólne oświadczenie biskupów. Do tego badanie Kijowskiego Międzynarodowego Instytutu Socjologii pokazuje,

eprasa.pl d9aca457c4

że zdecydowana większość Ukraińców popiera niekonfrontacyjne podejście do sporów historycznych z Polską. Czy obecne napięcie jest więc przede wszystkim „pożarem na górze", który nie przenosi się na społeczeństwa?

RIABCZUK Ja tego powiększania się pożaru w Ukrainie nie dostrzegam. Polska nadal pozostaje jednym z najbardziej lubianych i szanowanych krajów, mimo że spadła z pierwszej pozycji, którą zajmowała w 2022 roku. To sytuacja zupełnie asymetryczna wobec tego, jak Ukraina jest obecnie postrzegana w Polsce. Dlaczego tak jest? Bo w Ukrainie karta antypolska praktycznie nie jest zagrywana przez znaczące siły. Oczywiście pojawiają się głosy krytyczne, ale nikt specjalnie nie podgrzewa antypolskich emocji, nie istnieje obsesja, która każe eskalować ten temat.

ROMASZEWSKA-GUZY To akurat potwierdza moją obserwację. Wielokrotnie mówiłam, że nie potrafię wskazać ukraińskiego polityka, który budowałby swoją pozycję na wypowiedziach antypolskich. Gdyby istniały silne nastroje antypolskie, z pewnością prędzej czy później znalazłby się ktoś, kto próbowałby je politycznie skapitalizować. A przynajmniej do tej pory takiego polityka nie było.

RIABCZUK I dlatego Ukraińcy nie rozumieją również, jak ważne dla Polaków są Wołyń i UPA. Dla nas to kwestia marginalna wobec tego, że UPA walczyła o niepodległość Ukrainy – przeciw Sowietom i Niemcom. W relacjach z Polakami wydarzyły się rzeczy straszne, które potępiamy. Ale – powtórzę – Ukraińcy upamiętniają UPA nie dlatego, że walczyła z Polakami czy dokonywała czystek etnicznych, lecz z zupełnie innego powodu. I to jest sedno tego nieporozumienia.

GRABIAS Przytoczę w tym kontekście anegdotę. Pamiętam swój szok, kiedy po 2022 r., podczas pierwszej wizyty w Ukrainie, zobaczyłem we Lwowie czerwono-czarną flagę. Zapytałem ukraińskiego kolegę, co sądzi o tym symbolu. Był zaskoczony samym pytaniem – nie przyszło mu nawet do głowy, że mógłbym odebrać go jako skierowany przeciwko Polakom.

Mam wrażenie, że obie strony wzajemnie się sobie dziwią: Ukraińcy są zaskoczeni siłą polskich reakcji, a Polacy – tym, dlaczego Ukraina, która tak mocno podkreśla swoją proeuropejską i prodemokratyczną orientację, sięga jednocześnie po symbole związane z integralnym nacjonalizmem, ruchem przecież skrajnie antydemokratycznym.

RIABCZUK Nikt w Ukrainie nie twierdzi dziś, że integralny nacjonalizm jest dobrą ideologią. Ideologicznie Ukraińcy tego nie przyjmują. Cały ten ruch funkcjonuje raczej jako symbol patriotyzmu, ofiarności i oporu – jako rodzima mutacja etosu *résistance* – i dlatego jest postrzegany jako bohaterski. To jest aktualne wobec dzisiejszej walki, natomiast sama ideologia jest historyczna i dzisiaj w znacznej mierze nie do przyjęcia.

Tak jest zresztą z wieloma ruchami narodowowyzwoleńczymi. Możemy spojrzeć na Algierię, RPA czy Palestynę. Wiele ruchów oporu stosowało metody terrorystyczne, miało bardzo wątpliwych bohaterów i zbrodnie wojenne na swoim koncie, a mimo to uznawane są za ruchy narodowowyzwoleńcze. Bardzo trudno oddzielić tutaj światło od ciemności.

Ukraińcy akcentują przede wszystkim to światło: tysiące ludzi, którzy walczyli i oddawali życie za Ukrainę. Sam ruch był zresztą bardzo zróżnicowany – ist-

eprasa.pl d9aca457c4

niały przecież różne odłamy UPA. Na Żytomierszczyźnie działała choćby UPA Tarasa Bulby-Borowcia, która nie uczestniczyła w czystkach etnicznych i potrafiła współpracować z miejscowymi Polakami.

ROMASZEWSKA-GUZY Tak, ale to również jest bardzo ciemna karta tej historii. O ile pamiętam, banderowcy zamordowali przecież żonę Bulby-Borowcia.

RIABCZUK Oczywiście, te stosunki były niesłychanie skomplikowane. Sami Ukraińcy często tego wszystkiego nie wiedzą, a co dopiero próbować wyjaśnić to obcokrajowcom. Dlatego mówię swoim kolegom: odłóżmy część tych rozmów na później. Teraz są rzeczy ważniejsze. Nie potrzebujemy kolejnych pomników czy panteonów, które będą tylko odciągały uwagę od tego, co naprawdę istotne.

ROMASZEWSKA-GUZY Tylko że w Polsce takie gesty są odbierane właśnie w logice *don't call me a chicken*: wy się stawiacie, więc my też się postawimy. Mam wrażenie, że trochę wynika to również z charakteru Zełenskiego. To człowiek bardzo apodyktyczny i bitny, taki, który nie boi się zwarcia.

Niestety po naszej stronie mamy podobny mechanizm, dodatkowo wzmocniony polityką wyborczą. Podział społeczeństwa jest bardzo silny, wybory rozstrzygają się o włos i obawiam się, że tym „włosem" może stać się właśnie Ukraina. Temat będzie więc podgrzewany. Bardzo przestrzegałabym przed pójściem drogą wzmacniania nastrojów antyukraińskich.

Myślę też, że ukraińscy intelektualiści trochę nie doceniają tego, dlaczego Wołyń stał się w Polsce tak bolesną raną. Ta historia przez dziesięciolecia właściwie nie była opowiadana. Ja wychowałam się wśród warszawskiej inteligencji i naprawdę bardzo niewiele wiedziałam o tym, co tam się wydarzyło. Nie miałam praktycznie kontaktu z ludźmi, którzy to przeżyli, a oficjalna opowieść była częściowo przejęta przez propagandę komunistyczną, jak choćby w znanej książce *Łuny w Bieszczadach*.

Tymczasem dla ludzi, którzy uciekli z Wołynia czy innych terenów na wschodzie, było to doświadczenie niezwykle osobiste. Często byli to zwykli mieszkańcy wsi, którzy ledwo uszli z życiem i przywieźli ze sobą tę grozę: że za chwilę „przyjdą Ukraińcy". Takie rodzinne doświadczenie przetrwało, szczególnie na pograniczu. A ponieważ przez dziesięciolecia nie mogło zostać normalnie wyartykułowane i przepracowane, dziś bardzo łatwo je politycznie podgrzewać.

Dlatego pozostaję sceptyczna wobec nadziei, że sam biznes nas z tego wyciągnie. Bardzo chciałabym, żeby tak było, ale na razie widzę zbyt mało realnej współpracy, która mogłaby te napięcia równoważyć.

GRABIAS Zgadzam się z tezą, która padła wcześniej, że czas prowadzenia wojny egzystencjalnej to najgorszy moment na spokojną rozmowę o historii i krytyczną rewizję narodowych mitów. Ale dżin został już wypuszczony z butelki i tego sporu nie da się przenieść w niebyt. Co możemy więc zrobić, żeby ograniczyć szkody? Jak nie dopuścić do tego, by od tego pożaru zajęły się kolejne obszary relacji polsko-ukraińskich?

MYKOŁA RIABCZUK Jest dobra zasada lekarska: jeśli nie możesz pomóc, to przynajmniej nie szkodź. Każda wypowiedź w tej sprawie powinna raczej obniżać temperaturę, niż ją podnosić, bo obecny poziom emocji jest naprawdę nie do przyjęcia.

eprasa.pl d9aca457c4

W Ukrainie tym bardziej trudno zrozumieć, dlaczego właśnie teraz mamy toczyć takie spory. Codziennie spadają bomby, a my dyskutujemy o Kłymie Sawurze, którego większość ludzi w Ukrainie w ogóle nie zna. Być może lokalnie jest pamiętany jako bohater walki z Sowietami, ale nie jako człowiek odpowiedzialny za zbrodnie na Polakach. To oczywiście trzeba wyjaśniać – sam nie jestem wielbicielem takich bohaterów – ale pytanie brzmi, jak robić to dzisiaj, kiedy ludzie mają zupełnie inne problemy.

Podobnie z czerwono-czarną flagą. Dziś ludzie naprawdę pod nią giną, żołnierze siedzą z nią nad głowami w okopach, ta sama flaga trafia na trumny żołnierzy i wojskowe cmentarze, gdzie nasi polegli są opłakiwani przez swoich bliskich. Jest takie powiedzenie, że nieważne, jakiego koloru jest kot, ważne, żeby łapał myszy. Ukraińscy żołnierze właśnie próbują „łapać myszy", nawet pod tą flagą. Trzeba więc rozumieć, że te symbole nie mają dziś jednego, prostego, ani tym bardziej antypolskiego znaczenia, i należy bardzo ostrożnie o nich mówić.

ROMASZEWSKA-GUZY Z tym się całkowicie zgadzam. Ja natomiast uważam, że przede wszystkim trzeba w obu krajach budować przekonanie, że ten drugi jest mu naprawdę potrzebny. Sama jestem o tym głęboko przekonana, choćby z powodów geopolitycznych. Wystarczy spojrzeć na mapę: Polska i Ukraina tworzą ogromny pas od Bałtyku po Morze Czarne, pomiędzy Rosją a Zachodem. To jest wielki wspólny potencjał.

W Polsce istnieje tradycja takiego myślenia – choćby koncepcja ULB, czyli budowania współpracy z Ukrainą, Litwą i Białorusią. Litwa pokazuje zresztą, że nawet bardzo trudną wspólną historię można z czasem oswoić. Mamy za sobą przecież spór o Wilno, bunt Żeligowskiego, żyje tam duża polska mniejszość, a mimo tego nasze relacje są dziś naprawdę przyzwoite. Nikt poważnie nie zakłada, że za chwilę będziemy znowu odbierać Litwinom Wilno.

Mam natomiast wrażenie, że po stronie ukraińskiej świadomość tego, jak bardzo Polska jest Ukrainie potrzebna politycznie i geopolitycznie, jest słabsza. Być może jest tak również wskutek zmiany poczucia własnej wartości, o czym wcześniej mówiliśmy. Musimy jednak za wszelką cenę budować tę świadomość wzajemnej zależności po obu stronach. Bez niej każdy kolejny spór historyczny będzie znacznie łatwiej przeradzał się w konflikt polityczny. ■

AGNIESZKA ROMASZEWSKA-GUZY – dziennikarka i ekspertka ds. Europy Wschodniej. W latach 80. działaczka opozycyjna związana od samych początków z pierwszym Niezależnym Zrzeszeniem Studentów. W latach 2007–2024 dyrektorka Telewizji Biełsat, która odgrywała kluczową rolę w rozwoju niezależnych mediów białoruskich.

MYKOŁA RIABCZUK – ukraiński eseista, publicysta, krytyk literacki i badacz stosunków polsko-ukraińskich. Autor licznych książek, m.in *Ukraina. Syndrom postkolonialny*. Laureat polsko-ukraińskiej Nagrody Pojednania, jeden z najważniejszych głosów ukraińskiej debaty publicznej od ponad trzech dekad.

eprasa.pl d9aca457c4

Historia

Polacy wobec zagłady Żydów na linii otwockiej

SEBASTIAN RAKOWSKI

Drobne gesty pomocy mogły uratować życie ukrywających się Żydów, drobne gesty podłości – doprowadzić do ich śmierci. Ci, którzy pomagali, czynili to wbrew Niemcom, jak również wbrew części polskiego społeczeństwa, a na pewno w tajemnicy przed nimi wszystkimi.

Po utworzeniu przez niemieckich okupantów getta (w Otwocku – jesienią 1940 r.) Żydzi zniknęli Polakom z horyzontu*. Okazało się, że można bez nich żyć. Ta świadomość oraz głoszona przez Niemców ordynarna antyżydowska propaganda doprowadziły do znacznego wzrostu niechęci do Żydów. Szybko w niepamięć poszedł krótki okres braterstwa w obliczu wspólnego wroga, bezpośrednio po wybuchu wojny.

Dla części polskich mieszkańców pogarszająca się sytuacja ekonomiczna Żydów zamkniętych w gettach stała się okazją do robienia moralnie wątpliwych interesów. Wykorzystywanie coraz trudniejszego położenia Żydów dla własnego zysku nie mogło się jednak początkowo odbywać z użyciem siły. Przekonał się o tym niejaki Kalinowski, który wyrzucił otwockiego piekarza Kirszenbauma z jego własnej piekarni i zajął ją. Swoim występkiem ściągnął na siebie głosy potępienia prawie wszystkich tutejszych Polaków[1].

Z czasem okazało się jednak, że okres okupacji połączonej z intensywną indoktrynacją w znacznym stopniu zniszczył w lokalnej społeczności hamulce etyczne i przygotował grunt pod cały szereg negatywnych zachowań, jakich dopuszczali się Polacy wobec Żydów. Nie wszyscy jednak ulegli demoralizacji i niemieckiej propagandzie. Byli tacy, którzy Żydom pomagali, jak mogli.

* Tekst jest fragmentem przygotowywanej do druku książki *Getto w Otwocku. Dzieje żydowskiej społeczności Otwocka podczas okupacji niemieckiej.*

eprasa.pl d9aca457c4

Obie te skrajne postawy doczekały się wielu badań i publikacji. Dla zrozumienia tych zachowań w Otwocku kluczowe znaczenie miała publikacja wspomnień Calka Perechodnika*. Zawarte tam liczne opisy niegodziwości, jakich dopuścili się Polacy na swoich żydowskich sąsiadach, stały się powodem gorących dyskusji na temat stosunków polsko-żydowskich w okresie okupacji.

Dyskusja ta szczególnie burzliwa była w Otwocku, bo żyli tam jeszcze ludzie opisani we wspomnieniach Perechodnika. Część pamiętających tamte czasy Otwocczan potwierdzała zawarte w książce wstydliwe fakty, inni z całą stanowczością im zaprzeczali. Wraz z upływem lat oraz publikowaniem kolejnych źródeł i prac na ten temat coraz rzadziej podważano prawdziwość słów tego żydowskiego policjanta z Otwocka.

Od Sprawiedliwych do „niegodziwych"

Zjawisko wydawania Żydów i żerowania na nich niewątpliwie istniało i nie było marginalne. Potwierdzają to liczne badania i publikacje powstałe szczególnie w ostatnich 20 latach. Obecnie żaden odpowiedzialny badacz Zagłady nie może twierdzić, że Polacy nie wydawali Żydów czy że robili to wyłącznie ludzie z marginesu społecznego, którzy swoimi czynami sami niejako usunęli się poza nawias wspólnoty polskiej. Taka narracja stoi w sprzeczności ze źródłami – dokumentami i relacjami świadków nie tylko żydowskich, ale również polskich.

Poza tym jeżeli negowana jest obecność w społeczeństwie polskim postaw obojętnych, niechętnych i wrogich wobec Żydów, to tym samym jednocześnie negowane jest bohaterstwo samych Sprawiedliwych. Ci ostatni ratowali przecież Żydów wbrew Niemcom, ale i w tajemnicy przed innymi Polakami, wśród których byli ludzie gotowi donieść – ze strachu, dla nagrody czy też z zawiści.

Z ogromnej masy relacji i zeznań można wyłowić wiele postaw, jakie Polacy przyjmowali wobec ukrywających się Żydów, także na „linii otwockiej". Można je ułożyć na skali, na której krańcach po jednej stronie znaleźliby się Sprawiedliwi, a po drugiej „niegodziwi". W środku natomiast byliby zarówno ludzie obojętni, jak i bierni wobec tragedii Żydów. Ci ostatni nie pomagali, ale też nie szkodzili. Z punktu widzenia ukrywających się Żydów, jak i Polaków, którym za pomaganie Żydom groziła przecież śmierć, taka postawa była bezpieczna.

* W roku 1993 Ośrodek Karta wydał jego zapiski pod tytułem *Czy ja jestem mordercą?* w opracowaniu i z bogatym aparatem krytycznym Pawła Szapiry. W roku 2004 Karta opublikowała tę książkę pod nowym tytułem *Spowiedź* w opracowaniu i z przypisami Davida Engela. Nowe wydanie oparte jest na pełnym oryginalnym rękopisie Perechodnika, dzięki czemu tekst jest bardziej autentyczny i kompletny. Dalej cytuję właśnie to wydanie.

eprasa.pl d9aca457c4

Pomiędzy bezpieczną postawą ludzi biernych a postawą Sprawiedliwych z jednej strony oraz „niegodziwych" z drugiej był jeszcze cały wachlarz – odpowiednio negatywnych lub pozytywnych – postaw pośrednich, które przeplatały się jak ogniwa w łańcuchu żydowskiego ocalenia.

Dobrze pokazuje to jedna historia. Siostra Seweryna Buchaltera z Otwocka wyskoczyła wraz z synem w kwietniu 1943 r. z pociągu, który wiózł ich z warszawskiego Umschlagplatzu w kierunku Lublina. Zaraz po skoku zostali zatrzymani przez dwóch szmalcowników, którym kobieta dała złotą monetę. Nieco później następnemu szmalcownikowi musiała oddać ślubną obrączkę. A niedługo potem, na peronie stacji w Świdrze, elegancki pan poczęstował ich kanapkami, zaoferował pieniądze i wyraził swoje głębokie współczucie[2]. To wszystko wydarzyło się w ciągu godziny lub dwóch, a przed nimi były jeszcze miesiące walki o przeżycie.

Buchalterami zaopiekował się ich znajomy Polak, ale po tygodniu musieli opuścić lokum i szukać ratunku w Warszawie. W kolejce podmiejskiej konduktor rozpoznał, że są Żydami. Mieli szczęście, ponieważ ów kolejarz bezinteresownie pomagał Żydom. Jeszcze jeden polski znajomy przechował ich przez kolejnych kilka dni. Przy próbie przejścia przez miasto siostra Buchaltera wpadła w sidła warszawskich szmalcowników. Wykupiła się za 2500 zł.

Z kolei jej brata rozpoznał „granatowy" policjant. Puścił go wolno w zamian za zegarek. Bojąc się dalej iść pieszo, Buchalter wsiadł do tramwaju. I natknął się nie na jednego, lecz na kilku „granatowych" policjantów, którym towarzyszył oficer. Ci z kolei, rozpoznając w nim Żyda, zasłonili go przed jadącymi tym samym tramwajem Niemcami[3].

Działo się to wszystko w ciągu około trzech tygodni od skoku z pędzącego w kierunku Lublina pociągu. Do końca okupacji pozostawał wówczas ponad rok. Nie mamy potwierdzenia, że Seweryn Buchalter, jego siostra i jej syn doczekali do tego czasu.

Końca wojny nie dożyli Perechodnikowie. Ojciec Calka od chwili zagłady otwockiego getta robił wszystko, co możliwe, aby przetrwać. Kilkakrotnie był rozpoznawany i okradany. Pomagali mu znajomi i nieznajomi. Starał się żyć w ukryciu, ale też „na powierzchni", udając podupadłego szlachcica z Kresów. Mieszkał na wsi i w Warszawie. Uratował swoją żonę z getta w Kołbieli i pomagał synowi. Miał polską kennkartę, pieniądze i kontakty. Wychodził obronną ręką z wielu opresji. Jego walka o przeżycie trwała ponad rok.

Wszystko zniweczył pojedynczy donos. Oszer Perechodnik zginął rozstrzelany prawdopodobnie w ruinach getta na dziesięć miesięcy przed wybuchem powstania warszawskiego. Wojny nie przeżyli też jego żona i syn Calek, których przez długie miesiące ukrywała w Warszawie Polka, pani Hela.

eprasa.pl d9aca457c4

Znaczenie drobnych gestów

Podobne lub niemal identyczne doświadczenia stały się udziałem bardzo wielu Żydów, którzy – wbrew zbrodniczym planom Niemców – postanowili żyć. W przytłaczającej większości przypadków do powodzenia tego planu potrzebni byli odważni Polacy. Niestety, ich poświęcenie często niweczyły donosy rodaków podłych i zazwyczaj chciwych.

Zasadnicza różnica polegała na tym, że w przypadku postaw negatywnych wystarczyło jedno zdarzenie, często drobny epizod, aby przerwać długi łańcuch działań mających na celu ocalenie. Natomiast jeśli chodzi o postawy pozytywne, to niezbędny był ich cały szereg, aby życie Żyda na przestrzeni tak wielu miesięcy ocalić.

Należy oczywiście rozróżniać ciężar gatunkowy czynów. Inaczej ocenimy Polaka, który zabił Żyda; inaczej tego, który złożył donos, a jeszcze inaczej tego, który ukrywającego się Żyda okradł. Należy jednak pamiętać, że dla zabijanego Żyda nie stanowiło różnicy, czy zamordował go Polak, czy też Niemiec na podstawie donosu Polaka. Samo zabranie pieniędzy ukrywającemu się człowiekowi nie jest zabójstwem, ale często skazywało go na śmierć. W realiach okupacyjnej rzeczywistości brzemienne w skutkach bywało nawet publiczne wyartykułowanie podejrzenia o żydowskie pochodzenie.

Doskonale widać to w relacjach ocalonych, którzy często na swojej drodze spotykali się z przejawami (nieraz bezinteresownej) pomocy. Jednak relacje pozostawili niemal wyłącznie ci, którzy przeżyli. Możemy się domyślać, jak wiele poświęcenia, odwagi i determinacji włożonych w próbę ratowania żydowskiego rozbitka zostało zniweczone pojedynczym donosem. Wymienione postawy – bez wskazywania na ich ilościowy i procentowy udział – stanowiły spójną całość, określającą stosunek polskiego społeczeństwa do Żydów podczas okupacji.

Analizując relacje ocalonych dotyczące okresu bezpośrednio poprzedzającego „likwidację" gett*, dostrzec można, że ich autorzy często

* Używam tu określenia „likwidacja getta" w cudzysłowie. Otwoccy społecznicy organizujący upamiętnienia Zagłady pierwotnie posługiwali się tym terminem zaczerpniętym z niemieckich dokumentów. Szybko jednak z niego zrezygnowali, podkreślając, że nie należy używać mylącego określenia stworzonego przez zbrodniarzy. Jak mówił Zbigniew Nosowski, „Niemcy przecież nie likwidowali getta w Otwocku. Oni mordowali ludzi, którzy w tym getcie mieszkali! Z likwidacją getta mielibyśmy wszak do czynienia, gdyby ludzie przebywający w getcie zostali wypuszczeni swobodnie na wolność, gdyby zniesiono (właśnie: zlikwidowano) granice getta, szlabany, mury i druty kolczaste. Pojęcie «likwidacja getta» to jedno z określeń, które niemieccy zbrodniarze wymyślili, aby sprowadzić plan zagłady całego narodu żydowskiego do szeregu kwestii technicznych, akcji i operacji do wykonania". Zob. Z. Nosowski, *To nie była likwidacja getta*, zydziotwoccy.pl/2022/07/03/zbigniew-nosowski-to-nie-byla-likwidacja-getta-2021 [dostęp: 22.07.2026].

eprasa.pl d9aca457c4

wspominali o tym, iż mieli wśród polskich sąsiadów znajomych, którzy oferowali bezinteresowną i szczerą pomoc, obiecywali im, że w krytycznej sytuacji ich ukryją. Rzeczywiście przed akcją „likwidacyjną" wielu otwockich Żydów znalazło schronienie u polskich znajomych i sąsiadów. Ale wraz z hukiem pierwszych wystrzałów dochodzących z getta znaczna część tych wybawców pokazywała Żydom drzwi.

Postawy Polaków wobec Żydów to spektrum: od bezinteresownej pomocy, przez obojętność i bierne przyzwolenie, aż po wrogość, rabunek i denuncjację. Współistniały one w obrębie jednej ulicy, jednego domu, a czasem nawet jednej osoby.

Przed 19 sierpnia 1942 r. (dzień „likwidacji" otwockiego getta, gdy do obozu w Treblince wywieziono 8–10 tysięcy Żydów, tj. około połowę mieszkańców miasta) w Otwocku nie doszło do większych niemieckich zbrodni. Dopiero w tragiczną środę Otwocczanie poznali siłę niemieckiej zbrodniczej machiny. Z polskich domów widać było ulice getta, nie oddzielał ich żaden mur. Kto chciał, mógł zobaczyć trupy na ulicach. Każdy słyszał strzały rozbrzmiewające w getcie, bo słychać je było w najdalszych częściach miasta. W mieście mówiono też o łapaczach biegających po dzielnicy „aryjskiej" w poszukiwaniu żydowskich uciekinierów.

Te okoliczności natychmiast zrewidowały wszelkie obietnice pomocy dawane przed akcją. Strach o siebie i bliskich musiał być paraliżujący. Zagłuszał najbardziej ludzkie uczucia. Pod jego wpływem ludzie stawali się skłonni do czynów wyjątkowo okrutnych. Bo czy w innych warunkach kobieta, sama będąca matką, wypędziłaby żydowskie dzieci, które obiecała przechować?

Powyższa uwaga pojawia się nie w celu oceniania czy usprawiedliwiania tych, którzy tak postąpili, lecz jako zachęta do refleksji pozwalającej lepiej zrozumieć okoliczności podejmowania tak dramatycznych decyzji. Oczywiście mowa tu o Polakach, którzy wcześniej szczerze chcieli pomóc. Nie ma jednak żadnych okoliczności łagodzących dla okradania, a nawet wydawania Żydów, którym obiecało się pomoc. A proceder ten nie był zjawiskiem marginalnym.

Dozorca przedwojennego gimnazjum w Otwocku, Franciszek Stańczak, według relacji Perechodnika, nie wpuścił w dniu „likwidacji" getta żony policjanta Noja z córką, choć byli na to umówieni. Nie oddał im również rzeczy, które mu dali na przechowanie. Nojowa znalazła schronienie u nieznajomego księdza. Podobnie Stańczak postąpił z rzeczami innego Żyda, Pirowicza. Sam Perechodnik też padł ofiarą tego dozorcy, który przywłaszczył sobie także jego rzeczy o dużej wartości.

eprasa.pl d9aca457c4

Ciekawy jest ciąg dalszy tej historii. Zanim policjanci żydowscy opuścili Otwock, Stańczak zaczepił Perechodnika i miał do niego pretensje, że ten zniesławia jego dobre imię, opowiadając, iż zabrał jego rzeczy. Twierdził przy tym, że on „jedynie wziął je na przechowanie i odda… po wojnie". Pretensje Stańczaka świadczyły o tym, że musiał się spotkać z sytuacjami, kiedy znajomi i nieznajomi piętnowali jego zachowanie, którego najwyraźniej się wstydził[4]. Presja ze strony społeczności polskiej nie była jednak silna. Stańczak po wojnie mieszkał spokojnie w Otwocku.

O Polakach z niższych warstw społecznych, którzy wykorzystywali finansowo ukrywających się Żydów, Perechodnik wyraził się krótko i dosadnie: „poczuli, skąd wieje wiatr. Szybko się zorientowali, że nadarzyła się dziejowa okazja na wzbogacenie się. Zrozumieli, że wolno rabować, kraść i zabijać ludzi, i to zupełnie bezkarnie". Określał ich mianem motłochu.

Pamiętać należy, że dla ukrywającego się Żyda zasoby finansowe były kwestią życia i śmierci. Posiadanie pieniędzy lub rzeczy, które można było spieniężyć, pozwalało przedłużyć o kolejne miesiące ukrywanie się czy to na własną rękę, czy też u tych Polaków, którzy brali pieniądze za przechowywanie Żydów.

„Motłoch" jednak nie interesował otwockiego żydowskiego policjanta. Skupił się on na polskiej inteligencji i przemianie, jaka w niej nastąpiła. Ludzie, których znał i cenił jako nieskazitelnych i honorowych, z czasem nie byli w stanie oprzeć się pokusie zatrzymania rzeczy, które ukrywający się zostawili im na przechowanie. Perechodnik oceniał, że postąpiło tak aż 80% z nich. Podana wartość nie jest precyzyjna, ale mówi nam o tym, jak ukrywający się inteligent żydowski szacował to zjawisko.

Zmiany postaw i zachowań potrafiły jednak pójść także w zupełnie odwrotnym kierunku. Przykładem mogą być bracia Stefan i Stanisław Maleszewscy, przed wojną zdeklarowani antysemici wywodzący się ze środowiska silnie religijnego. Byli przy tym ludźmi dobrze wykształconymi, obaj ukończyli studia. Na wiele lat przed wojną zerwali jakiekolwiek relacje z żydowskimi kolegami, jawnie występowali też przeciwko Żydom na płaszczyźnie głównie ekonomicznej. Jednak w obliczu eksterminacji całego narodu postanowili całkowicie bezinteresownie zaangażować się w pomoc znajomym i nieznajomym Żydom, w tym rodzinie Perechodników[5].

Taka postawa nie była jednak normą. Stanowiła raczej wyjątek, ale świadczący o tym, że demoralizacja spowodowana wojną oraz celowa polityka niemiecka antagonizowania Polaków przeciw Żydom nie zawsze padała na podatny grunt i nie u wszystkich była w stanie złamać wartości wynikające z wiary czy też wpojonych zasad moralnych.

Dni zagłady otwockiego getta, znaczone wystrzałami – po 19 sierpnia żydowskich niedobitków co kilka dni rozstrzeliwała niemiecka żandarmeria – musiały być doświadczeniem strasznym, wywołującym uczucie przerażenia

eprasa.pl d9aca457c4

i bezsilności. Trzeba to brać pod uwagę, oceniając przypadki zamykania drzwi przed szukającymi schronienia Żydami lub odmawiania pomocy.

Ojciec Calka Perechodnika w tych dniach odwiedzał po kolei wszystkich lokatorów swojego własnego domu. Spośród tych, którzy wynajmowali od niego mieszkania, często przez 20 lat, nikt nie zgodził się go przechować. Pomogła mu nieznajoma[6]. Choć lokatorzy Oszera Perechodnika nie użyczyli mu schronienia, to też na niego nie donieśli. Wykazali się tą bierną, bezpieczną postawą, bo przynajmniej nie utrudniali Żydom ich starań o przetrwanie.

Wszelkie przejawy pomocy, nawet najdrobniejsze, wykraczały poza tę postawę minimum i powinny być wyeksponowane na równi z przykładami podłości. Drobne gesty pomocy mogły bowiem uratować komuś życie, drobne gesty podłości – doprowadzić do śmierci.

Zbrodnia w Wielki Piątek

Dobrze udokumentowanym przykładem denuncjacji Żydów przez polskich sąsiadów, z pobudek najprawdopodobniej materialnych, jest sprawa śmierci Symchy i Chaima Grynbaumów (istnieją różne wersje opisu tych zdarzeń, o czym mowa niżej). Wszyscy uczestnicy tej tragicznej historii byli sąsiadami i często znali się od dziecka.

Grynbaumowie mieszkali przed wojną przy ulicy Żeromskiego 34, gdzie ich ojciec prowadził sklep z produktami mleczarskimi. W getcie obaj bracia wstąpili do Żydowskiej Służby Porządkowej. Po 19 sierpnia 1942 r. brali udział w sprzątaniu pożydowskich domów, a potem uciekli do Warszawy i przebywali w tamtejszym getcie. Towarzyszyła im wówczas także 15-letnia dziewczyna.

Po wybuchu powstania w warszawskim gettcie całej trójce udało się przedostać do Otwocka, gdzie ukryli się w podpiwniczeniu willi należącej do rodziny Zawadków przy ul. Żeromskiego 36. W kryjówce przebywał już chłopiec, który ocalał z „likwidacji" znajdującego się obok zakładu wychowawczego należącego do „Centosu".

Tragedia rozegrała się wieczorem w Wielki Piątek 23 kwietnia 1943 r. Bieg zdarzeń znamy z dwóch źródeł: tekstu Goldina Zalmana, sporządzonego po wojnie na podstawie rozmów z mieszkańcami, oraz z akt śledztwa i procesu, które toczyły się przeciwko niektórym sprawcom.

Najpierw przedstawiam wydarzenia według relacji Zalmana. Zgodnie z nią chłopiec wyszedł z kryjówki po wodę i natknął się na niejakiego Mazura*. Ten złapał go, więc przestraszony chłopiec opowiedział mu

* W rzeczywistości był to Władysław Mazek. Zalman mógł błędnie zapisać nazwisko. Zniekształcenie mogło również powstać podczas tłumaczenia nazwiska z jidysz, w którym relacja została zapisana.

eprasa.pl d9aca457c4

o bunkrze i ukrywających się w nim Żydach. Mazur pozwolił chłopcu odejść, po czym powiadomił o odkryciu swoich kolegów z sąsiedztwa, pełniących tej nocy służbę w Straży Bezpieczeństwa*: Teofila Walickiego, Jana Wróbla i Jana Trajdę.

Otoczyli oni dom i wywlekli Grynbaumów wraz z towarzyszącą im dziewczyną. Chwilę później do mającej niemal 70 lat Franciszki Zawadki, właścicielki posesji, która niedawno wróciła z kościoła, przybiegł Tolo Walicki z krzykiem: „Wy tam nic nie wiecie, u was pod domem są Żydzi... złapali Symchę z Chaimem [Grynbaumów]. Ja biegnę po Schlichta" (chodzi o szefa niemieckiej policji kryminalnej w Otwocku). Pani Zawadka prosiła Walickiego, żeby nie wzywał Niemca. Mówiła: „Pomyśl, wstrzymaj się, przecież to są nasi Żydzi, sąsiedzi... Ty przecież jako dziecko bawiłeś się razem... każ im odejść od domu"[7]. Prośby nic nie dały i Walicki pobiegł po Schlichta.

Kobieta, próbując jeszcze ocalić złapanych, prosiła pozostałych, żeby puścili Grynbaumów, a sami żeby natychmiast odeszli i nigdy już tutaj nie wracali. Stróże pozostali jednak głusi zarówno na prośby starszej kobiety, jak i samych Grynbaumów, swoich kolegów z dzieciństwa. Schlicht przyjechał w towarzystwie dwóch innych Niemców. Kazał Grynbaumom się rozebrać, po czym zamordował ich, strzelając im w potylicę. Kat wziął dla siebie tylko buty garbowane chromowo, całkiem nowe. Pozostałe rzeczy kazał podzielić pomiędzy zbrodniarzy, a trupy pogrzebać sześć kroków od ulicy Glinieckiej.

Mężczyźni zawlekli ciała do transzei, którą wykopano jeszcze we wrześniu 1939 r. Tam chcieli zwłoki wrzucić i zasypać. Okazało się jednak, że Symcha jeszcze żył. Zaczął prosić, aby chociaż teraz pozwolili mu żyć. Ci uznali to za zbyt ekscentryczną prośbę. Poza tym nie mogli pozostawić przy życiu świadka swoich działań. Sami jednak nie mieli tyle odwagi, żeby dobić rannego. Znów zatem Walicki musiał pobiec po Schlichta. Ten przyjechał zirytowany i dla pewności jeszcze trzykrotnie wystrzelił do Symchy.

Zgodnie z planem grupka Polaków zawlokła ciała do transzei i tylko lekko przysypała je piachem. Przed nimi było jeszcze jedno zadanie. Musieli przeszukać schron, w którym ukrywali się Żydzi. Liczyli na bogaty łup. Sądzili bowiem, niebezpodstawnie, że policjanci żydowscy zgromadzili przy przeczesywaniu domów po „likwidacji" getta dużo pieniędzy i kosztowności. Znaleźli ryż, groch, cukier i inne artykuły żywnościowe, którymi się podzielili.

W tym przypadku sprawcy ponieśli konsekwencje. Zostali zatrzymani w listopadzie 1944 r., aresztowani 7 grudnia 1944 r. oraz skazani

* Straż Bezpieczeństwa (*Ortschutz*) w Otwocku powstała na polecenie władz niemieckich w lutym 1943 r. Jej zadaniem było wspieranie walki z bandytyzmem. Organizację formacji oparto na istniejącej strukturze obrony przeciwlotniczej. Łącznie w Otwocku Straż Bezpieczeństwa liczyła ponad 350 członków.

eprasa.pl d9aca457c4

18 maja 1945 r. Zanim jednak do tego doszło, mieszkali spokojnie w swoich mieszkaniach, nie obawiając się żadnych konsekwencji swoich czynów.

Ocalały z Holokaustu Goldin Zalman, który po wojnie przeprowadził w tej sprawie prywatne dochodzenie, twierdził, że sprawcy nawet nie próbowali się ukryć, gdyż „w Otwocku nie ma już Żydów i na pewno gdzie indziej także ich nie ma i nie będzie nikogo, kto się o to zapyta”[8].

W stanie wyższej konieczności?

Opis zbrodni, jaki sporządził Zalman, jest wstrząsający, ale raczej nie do końca prawdziwy. Powstał on na podstawie rozmów z mieszkańcami posesji, a przede wszystkim z Franciszką Zawadką, stąd też uwypuklona została jej rola jako obrończyni Grynbaumów. Ale już w dokumentacji ze śledztwa i procesu Zawadka w ogóle się nie pojawia – nie składała ona zeznań ani przed śledczym z Milicji Obywatelskiej, ani przed Specjalnym Sądem Karnym, który prowadził sprawę.

Różnic między relacją Zalmana a dokumentacją z procesu jest znacznie więcej. Według sądu sprawa przedstawiała się następująco: feralnego wieczoru żydowskiego chłopca pochwycił Władysław Mazek, pięćdziesięcioletni teść Jana Trajdy. Trajda i jego brat Władysław wywabili Grynbergów z kryjówki. Krzyki chłopca wzbudziły zainteresowanie innych. Nadeszli Jan Wróbel i Teofil Walicki, którzy mieli dyżur nocny jako członkowie Straży Bezpieczeństwa. Pojawił się także Władysław Zawadka, właściciel posesji, na której ukrywali się Żydzi, i jeden z synów Franciszki.

Sąd za prowodyra uznał Jana Trajdę, który siłą narzucił innym swoją wolę. Pracował on wówczas w niemieckiej komendzie i pozostali mogli się obawiać, że jeśli nie wykonają jego poleceń, może na nich donieść. Następnie Trajda kazał Wróblowi pilnować Żydów, mówiąc: „trzymaj, bo ci łeb spadnie”, a Walickiemu kazał wezwać żandarmerię.

Walicki i Wróbel, jako strażnicy, mieli obowiązek pilnowania porządku i wzywania Niemców w razie potrzeby. Niepoinformowanie o złapaniu Żydów lub ich wypuszczenie mogło spowodować daleko idące konsekwencje. Sąd uznał więc, że obaj działali w „stanie wyższej konieczności, w obawie o własne życie”. W ocenie sądu Jan Trajda postawił ich obu w sytuacji bez wyjścia.

W równie złym położeniu znalazł się Władysław Zawadka, bo to na jego posesji ukrywali się Żydzi. Ten fakt mógł kosztować życie jego i jego bliskich. Z tego powodu, jak tłumaczył, poszedł razem z Walickim wezwać żandarmerię. Sąd skazał Jana Trajdę na karę śmierci. Teofila Walickiego skazano na 10 lat pozbawienia wolności, a Jana Wróbla na lat 5. Nikt poza tą trójką w tym procesie nie był sądzony[9] – Władysław Trajda, brat Jana, uniknął procesu, bo uciekł i ukrywał się w nieznanym miejscu.

eprasa.pl d9aca457c4

Skład sędziowski nie analizował specjalnie motywów, którymi kierowali się sprawcy, nie starał się też wyjaśnić wszystkich okoliczności tej sprawy. Ograniczył się do prostego dopasowania odpowiedzialności do przepisów tzw. dekretu sierpniowego.

Zmienne zeznania oskarżonych

Więcej gorliwości w tej materii wykazał młody, bo zaledwie 24-letni, Józef Siwiński, funkcjonariusz otwockiego Wydziału Śledczego Milicji Obywatelskiej. Na trop przestępców wpadł już w końcu października 1944 r., a więc w trzy miesiące po wkroczeniu do Otwocka Armii Czerwonej i Wojska Polskiego.

Według Siwińskiego Trajda i Mazek nie planowali wydać Grynbaumów, ale ich ograbić. Obaj mieli wcześniej wiedzieć o tym, że u Zawadków ukrywają się Żydzi i że mają oni złoto. Plan pokrzyżował chłopiec, który zaczął krzyczeć. Gdyby nie to, Grynbaumowie zostaliby obrabowani i nikt by się o tym nie dowiedział. Krzyki spowodowały jednak, że niemal natychmiast zrobiło się zbiegowisko. W tej sytuacji, przy świadkach, sprawcom nie pozostało nic innego, jak postąpić zgodnie z niemieckim nakazem, czyli oddać Żydów w ręce policji lub żandarmerii.

W śledztwie prowadzonym przez Siwińskiego zarówno sprawcy, jak i świadkowie byli o wiele bardziej wylewni. Podczas procesu oskarżeni odwoływali często swoje wcześniejsze zeznania, twierdząc, że były wymuszane siłą[10]. Świadkowie, zeznając na sali sądowej w obecności sprawców, również nie podawali już tak wielu szczegółów. Warto więc przytoczyć, co jedni i drudzy mówili w śledztwie.

Władysław Zawadka zeznał, że wiedział o tym, iż pod werandą jego domu ukrywają się Grynbaumowie. Feralnego wieczora zauważył ogień koło domu i podszedł bliżej. Widział chłopca trzymanego przez Władysława Mazka. Chłopiec miał prosić go słowami: „Panie Mazek, pan mnie puści". Chłopiec z „Centosu" mógł doskonale znać Mazka, który przez 17 lat pracował w tym sierocińcu. Właściciel posesji słyszał też prośby Grynbaumów: „Jasiu, puśćcie nas". Nie wiedział jednak, czy zwracali się do Jana Trajdy czy też Jana Wróbla, ale użyte zdrobnienie potwierdzało, że ofiary doskonale znały swoich oprawców.

Władysław Mazek, jak zeznał, widząc, że sytuacja wymknęła się spod kontroli, przestraszył się, puścił chłopca, a sam uciekł do domu. Obecna tam dziewczyna lat około 16–17 miała być córką Symchy Grynbauma. Jan Trajda zauważył, że Symcha przekazał jej jakieś pudełko, prawdopodobnie z wartościowymi rzeczami. Dziewczyna, korzystając z zamieszania, uciekła. Chaim i Symcha też prawdopodobnie próbowali się uwolnić, ale zostali pobici przez oskarżonych.

eprasa.pl d9aca457c4

W tym czasie Walicki wraz z Zawadką poszli zadzwonić po Niemców. W restauracji, skąd mieli zadzwonić, spotkali Schlichta i żandarmów. Według zeznań Zawadki przed zastrzeleniem Grynbaumów Schlicht kazał im oddać wszystkie wartościowe rzeczy. Przedmioty po zamordowanych podzielili między siebie sprawcy.

Wróbel z zaskakującą drobiazgowością wymienił te zdobycze: „Z tych rzeczy ja wziąłem kożuch, Trajda Jan wziął wraz z Władkiem pozostałe rzeczy: ubrania, bieliznę, pościel i żywność. Były tam buty wysokie, 2 kołdry, 1 lub 2 poduszki, 2 garnitury, 1 kombinezon".

Trajda w swoim zeznaniu też wykazał się doskonałą pamięcią, przy tym odpowiedzialność za rabunek mienia po zamordowanych rozłożył bardziej równomiernie i znacznie szerzej. Jak wyznał:

> z rzeczy po Żydach ja wziąłem tylko buty wysokie, więcej nic. Wróbel wziął kożuch, marynarkę, spodnie i bieliznę po rozebraniu tych Żydów i, zdaje się, kołdrę lub pled. Walicki wziął marynarkę i kamizelkę, i czapkę. Trajda Władysław wziął spodnie, skarpetki, kołdrę i koc, i sweter. Anduk Stanisław (szofer Schlichta) wziął drugie buty wysokie (oficerki)[11].

Po tym, jak Schlicht dobił rannego Grynbauma i odjechał, Jan Trajda zarządził poszukiwania dziewczyny, która uciekła. Wiedział, że miała przy sobie pudełko, zapewne z cenną zawartością. Poszukiwania jednak nie dały rezultatu. Podczas śledztwa Wróbel zeznał, że widział ją schowaną w ustępie, ale udał, że jej nie zauważył.

Jan Trajda w każdym składanym podczas śledztwa zeznaniu zmieniał wersję wydarzeń, coraz bardziej uwypuklając swoją winę. Wynikało to zapewne z konfrontacji jego zeznań z tym, co powiedzieli pozostali sprawcy. W końcu przyznał się, że poszedł pod dom Zawadków z zamiarem obrabowania Grynbaumów. Zeznał, że po „likwidacji" getta Chaim chwalił mu się, że ma bardzo dużo pieniędzy, złota i biżuterii, miał je nawet Trajdzie pokazywać. Plan kradzieży pokrzyżowało zbiegowisko ludzi zwabionych krzykami chłopca. Trajda przyznał się do udziału w zbrodni, ale odpowiedzialność za nią starał się rozłożyć równo na wszystkich[12].

Ostatni z uczestników tego zdarzenia Władysław Mazek został postawiony przed sądem w rok po skazaniu Trajdy, Walickiego i Wróbla. Został uznany za winnego próby obrabowania Grynbaumów i skazany w roku 1946 na trzy lata więzienia. Wszyscy oprócz Jana Trajdy po odbyciu wyroków wrócili do Otwocka, gdzie spokojnie dalej żyli i pracowali. W 1946 r. do Otwocka przyjechała ocalała siostra Grynbaumów. Z przydrożnej mogiły zabrała ciała bliskich i pochowała je na cmentarzu.

Dramatyczna historia mordu przy ulicy Glinieckiej zaczęła się od złapania nieostrożnego chłopca, wychowanka pobliskiego zakładu dla dzieci żydowskich „Centos", który ukrywał się od dnia „likwidacji" getta.

eprasa.pl d9aca457c4

Być może był to chłopiec o nazwisku Feder, który tej samej wiosny lub lata został zastrzelony przez żandarma w Śródborowie. Chłopiec miał nocować w ruinach „Centosu", a za dnia kręcił się po Śródborowie. Często grywał z miejscowymi chłopcami w piłkę. Ludzie go znali i dokarmiali.

Wydał go inny chłopak, 15-letni wówczas Zbigniew Derma, za co otrzymał od żandarma 5 zł. Chłopcy, z którymi Feder grał w piłkę, musieli zakopać jego ciało. Derma trzy lata po tym wydarzeniu wstąpił do Milicji Obywatelskiej. Odpowiedział za swój czyn w roku 1950. Został skazany na pięć lat więzienia[13].

Ci wydani, ci uratowani

Żydzi, którzy mieli tak zwany dobry wygląd, czyli nie mieli wyraźnie semickich rysów twarzy, próbowali przetrwać, wyrabiając fałszywe dokumenty i wtapiając się w polskie społeczeństwo. Ale sam wygląd nie wystarczał do tego, by nie wzbudzać podejrzeń i w konsekwencji nie narazić się na rozpoznanie i denuncjację. Sukcesu nie gwarantowała również perfekcyjna znajomość języka polskiego, bez akcentu.

Trzeba było też doskonale znać – i biegle się w tym poruszać – wszystkie elementy, które wynikały z wychowania w wierze katolickiej, a także w chrześcijańsko-polskiej tradycji, obrzędowości i zwyczajach. Dopiero to w całości składało się na zrozumiały dla Polaków kod kulturowy. Sprawne i niewzbudzające podejrzeń posługiwanie się tym kodem było możliwe niemal wyłącznie dla mocno zasymilowanych Żydów, którzy wychowali się poza kulturą i religią żydowską. Ci mieli największe szanse.

W drugiej połowie 1943 r. nieznana z nazwiska sześcioosobowa rodzina żydowska wynajęła na podstawie fałszywych dokumentów mieszkanie w domu przy ulicy Żeromskiego (w sąsiedztwie miejsca, w którym zamordowano i zakopano braci Grynbaumów). Rodzina ta nie wzbudzała podejrzeń sąsiadów, dla nich byli gorliwymi katolikami. Kiedy zmarła żona lokatora, rodzina nie wyszła ze swojej roli i pochowała ciało na otwockim cmentarzu katolickim zgodnie z obowiązującym obrządkiem, zapewne także w obecności sąsiadów. Kamuflaż był tak dobry, że rodzina idealnie wtopiła się w środowisko sąsiadów, również tych, którzy kilka miesięcy wcześniej wydali Grynbaumów. Mieszkała tam „aż do panicznej ucieczki «bohaterskiej» hitlerowskiej armii z Otwocka i wkroczenia czołgów z czerwonymi gwiazdami. Jakie było zdziwienie sąsiadów, gdy dowiedzieli się, że ci «gorliwi katolicy» są najprawdziwszymi Żydami"[14].

Ta historia zakończyła się szczęśliwie. Stało się to jednak nie dzięki pomocy polskich sąsiadów, lecz dzięki temu, że rodzinie udało się zataić przed nimi swoje pochodzenie. A chrześcijański pogrzeb pokazuje, jak

eprasa.pl d9aca457c4

ta mistyfikacja była ważna. Gdyby rodzina została zdemaskowana, czy mogłaby liczyć na to, że ludzie, którzy sprowadzili Schlichta, aby zabił Grynbaumów, znanych im od dziecka, tym razem postąpiliby inaczej i nie sprowadzili kata?

Tyle szczęścia nie miała inna żydowska rodzina, która – posługując się dokumentami na nazwisko Jezierscy – wynajęła mieszkanie na rogu ulic Kwiatowej i Okrzei. Wydał ich polski „granatowy" policjant Aleksander Fuśniak. Sprowadził żandarmów, którzy rozstrzelali całą czteroosobową rodzinę. Pozostawione po nich rzeczy zabrano na posterunek policji. Zdjęte z ofiar ubrania, jak zeznali świadkowie, miał otrzymać, prawdopodobnie jako premię, Fuśniak[15].

Podobny los mógł spotkać rodzinę Belerskich, którzy po „likwidacji" getta wynajęli mieszkanie w willi przy ulicy Kościuszki 5, naprzeciwko kwatery Schlichta, być może uważając, że tam, paradoksalnie, będą bezpieczni. O żydowskim pochodzeniu rodziny wiedział mieszkający w tej samej willi Henryk Błażewicz, nauczyciel szkoły powszechnej w Otwocku. Belerską aresztowano w Karczewie – ktoś stwierdził, że ma żydowskie pochodzenie. Błażewicz nie czekał, tylko natychmiast wywiózł męża i dziecko Belerskiej do Warszawy i tam ich ukrył. Starał się przy tym, aby sąsiedzi nie widzieli ani zabierania rzeczy, ani samego ich wyjazdu[16]. Potem uratował także samą Belerską.

Otwoccy Sprawiedliwi: „granatowy" policjant, księża, lokalni liderzy

Losy Polaków ratujących Żydów w Otwocku i okolicznych miejscowościach są dość dobrze poznane i opracowane dzięki wieloletniej pracy Społecznego Komitetu Pamięci Żydów Otwockich i Karczewskich. Do chwili wydania niniejszej publikacji udało się zidentyfikować ponad 50 osób uznanych oficjalnie za Sprawiedliwych wśród Narodów Świata, które związane były z Otwockiem lub Karczewem*.

Ta stosunkowo duża liczba ratujących wynika przede wszystkim ze specyfiki położenia i przedwojennego charakteru Otwocka oraz innych miejscowości całej „linii otwockiej". Były to tereny letniskowe. Właścicielami większości tamtejszych willi i pensjonatów byli Żydzi. Z uwagi na swój charakter Otwock był miastem, którego elity musiały brać pod uwagę wielokulturowość mieszkańców. Elity miejskie wspólnie dbały o rozwój.

Również charakter zabudowy – rzadko rozrzucone domy letniskowe stojące na dużych parcelach – utrudniał śledzenie tego, co się w nich

* Ich sylwetki zostały szczegółowo opisane przez Zbigniewa Nosowskiego najpierw w wydawnictwie okolicznościowym *Otwoccy Sprawiedliwi wśród Narodów Świata* („Gazeta Otwocka. Wydanie specjalne", lipiec 2012), a następnie na stronie internetowej zydziotwoccy.pl/otwoccy-sprawiedliwi.

eprasa.pl d9aca457c4

działo. Pewne znaczenie miał też fakt, że miejscowości te zamieszkiwali w znaczącej części przedstawiciele zasymilowanej żydowskiej inteligencji. Ludzie ci mieli licznych polskich znajomych, na których pomoc mogli liczyć. Wszystko to sprawiło, że ponad połowa osób z terenu prawobrzeżnej części wojennego powiatu warszawskiego, które zostały upamiętnione przez Instytut Jad Waszem jako Sprawiedliwi wśród Narodów Świata, pochodziła właśnie z miejscowości „linii otwockiej".

Przywoływanie historii ratowania Żydów nie powinno służyć unieważnianiu doświadczenia zdrady i obojętności. Trzeba dostrzec, jakie ryzyko ponosili i jak wysoką cenę płacili ci, którzy mimo wszystko decydowali się pomóc.

Polacy, którzy decydowali się nieść pomoc, robili to z różnych pobudek – jedni z potrzeby serca, inni dla pieniędzy. Wszyscy czynili to jednak wbrew Niemcom, jak również wbrew części polskiego społeczeństwa, a na pewno w tajemnicy przed nimi wszystkimi.

Ratowanie Żydów, choć było formą sprzeciwu wobec polityki okupanta niemieckiego, nigdy w świadomości polskiego społeczeństwa nie osiągnęło statusu, jaki miały inne formy oporu. Do dzisiaj, myśląc o działalności konspiracyjnej, znakomita większość Polaków wymieni żołnierzy i partyzantów z podziemnych organizacji wojskowych, młodzież zajmującą się sabotażem, redaktorów i drukarzy prasy podziemnej czy nauczycieli z tajnych kompletów. Pomaganie Żydom znacznie rzadziej uważane jest za formę walki z okupantem.

Przyczyn takiego stanu rzeczy szukać można w tożsamości kulturowej, w której Żydzi traktowani byli jako obcy, pozostający poza nawiasem polskiej wspólnoty kulturowo-religijnej. Nie bez znaczenia był także obecny w polskim społeczeństwie antysemityzm, który umiejętnie podsycali w czasie okupacji Niemcy. Do tego doszła demoralizacja, która postępowała wraz z kolejnymi wydawanymi przez Niemców dehumanizacyjnymi nakazami i zakazami. W ich wyniku Żydzi w oczach części Polaków stawali się ludźmi bez żadnych praw. Zapanowała bezkarność w stosunku do tych, którzy dopuszczali się wykroczeń i przestępstw wobec Żydów.

Wśród osób, które w Otwocku pomagały prześladowanym Żydom, znaleźli się cenieni obywatele miasta, liderzy lokalnej społeczności: komendant Policji Polskiej, a jednocześnie oficer Armii Krajowej, Bronisław Marchlewicz; proboszcz parafii św. Wincentego à Paulo ks. Ludwik Wolski; wikary tejże parafii, ks. Jan Raczkowski*; działaczka społeczna

* Dzisiaj medale i dyplomy przyznane obu duchownym przez jerozolimski Instytut Jad Waszem zdobią kaplicę Matki Bożej Swojczowskiej w kościele parafialnym, gdzie obaj pracowali podczas II wojny światowej.

eprasa.pl d9aca457c4

Aleksandra Szpakowska; zakonnice ze zgromadzenia elżbietanek, z siostrą Gertudą Marciniak i siostrą Ludwiką Małkiewicz; pułkownik Wojska Polskiego Stefan Słonimski i jego żona. Pomagali oni Żydom nie tylko indywidualnie, ale także wspólnie, wykazując się ogromnym zaufaniem i odwagą. W gronie Sprawiedliwych są jednak także Otwocczanie mniej wykształceni, kierujący się chrześcijańskim humanizmem.

Pięknym dowodem uznania dla otwockich Sprawiedliwych był list, który po wojnie przesłała na ręce ks. Wolskiego Hanna Kamińska. List warto przytoczyć w całości, gdyż dobrze podsumowuje on dwoistość postaw lokalnej społeczności (pisownia oryginalna):

> Czuję się w miłym obowiązku wyrazić Wielebnemu Księdzu Kanonikowi najserdeczniejsze podziękowania za opiekę nad 7-mio letnią moją kuzynką, Marysią Osowiecką.
>
> W okresie największego nasilenia terroru zbirów hitlerowskich w sierpniu 1942 r. w Otwocku, gdy w dniu 19 sierpnia i w dni następne trwała likwidacja getta, Ksiądz nie zawahał się z narażeniem życia ratować nieznane dziecko żydowskie.
>
> Na tle rozwydrzonych band niemieckich i hitlerowskich, na tle zachowania się mieszkańców okolicznych wsi, którzy rzucili się, jak hjeny, na dobro pozostawione przez Żydów, tym jaskrawiej odbija się chrześcijańska postawa Księdza Kanonika, który wraz z p. inż. Szpakowską i p. Marchlewiczem, ówczesnym komendantem policji, nie ulękli się niczego, by ratować to bezbronne dziecko żydowskie.
>
> Istnienie takich ludzi jak Ksiądz Kanonik, p. Szpakowska i p. Marchlewicz napawa nas wiarą w lepsze jutro, w zwycięstwo dobra nad złem. Chciałabym, by moje nieudolne słowa mogły choć w części oddać uczucia, jakie żywię dla Księdza Kanonika, p. Szpakowskiej i p. Marchlewicza. Oby jak najwięcej takich ludzi Polska miała[17].

Przeplatają się opisy pomocy z doświadczeniami zdrady

Postawy polskiego społeczeństwa wobec Żydów w czasie okupacji nie były zatem jednorodne. Tworzyły one skomplikowane spektrum: od heroizmu i bezinteresownej pomocy, przez obojętność i bierne przyzwolenie, aż po wrogość, rabunek i denuncjację. Te postawy współistniały obok siebie, często w obrębie jednej ulicy, jednego domu, a czasem nawet jednej osoby, której zachowanie zmieniało się wraz z narastającym terrorem, strachem lub pokusą zysku. Odwagę Sprawiedliwych trzeba widzieć w tym kontekście. Ich decyzje podejmowane były wbrew dominującym nastrojom, często wbrew sąsiadom, a czasem nawet wbrew własnym wcześniejszym uprzedzeniom.

eprasa.pl d9aca457c4

Pamięci o relacjach polsko-żydowskich w czasie okupacji nie da się sprowadzić ani do opowieści o powszechnym bohaterstwie, ani do obrazu zbiorowej winy. Była to rzeczywistość naznaczona strachem, przemocą i moralnym chaosem, w której jednostkowe decyzje nabierały znaczenia ostatecznego.

Przywoływanie historii ratowania Żydów nie powinno więc służyć łagodzeniu czy unieważnianiu doświadczenia zdrady i obojętności. Trzeba dostrzec, jakie ryzyko ponosili i jak wysoką cenę płacili ci, którzy mimo wszystko decydowali się pomóc. Ich postawa, osadzona w realiach powszechnego zagrożenia i demoralizacji, pozostaje świadectwem tego, że nawet w świecie opartym na terrorze istnieje przestrzeń dla wyboru dobra. ■

SEBASTIAN RAKOWSKI – ur. 1978. Historyk, regionalista, badacz historii Żydów w regionie podwarszawskim. Był dyrektorem Otwockiego Centrum Kultury i kierownikiem Muzeum Ziemi Otwockiej. Obecnie kierownik Działu Ekspozycji i Wystaw Czasowych Stacji Muzeum. Społecznik, przez wiele lat kierował Towarzystwem Przyjaciół Otwocka. Współinicjator Festiwalu Świdermajer, inicjator spacerów po nieistniejącym mieście w Otwocku, współorganizator rocznic zagłady otwockich Żydów. Redaktor witryny internetowej www.zydziotwoccy-history.pl. Autor publikacji książkowych, m.in.: *Aby ślad nie pozostał. Żydzi otwoccy – zagłada i pamięć*, *Obóz pracy przymusowej dla Żydów w Karczewie*, *Szkoła samodzielności. Historia Zakładu Leczniczo-Wychowawczego „Centos" w Otwocku 1928–1942*. Mieszka w Otwocku.

1 C. Perechodnik, *Spowiedź*, Warszawa 2004, s. 20.
2 Tamże, s. 207.
3 Tamże, s. 215.
4 Tamże s. 119.
5 Tamże, s. 107, 127–128.
6 Tamże, s. 105–106.
7 Archiwum Żydowskiego Instytutu Historycznego [dalej: AŻIH], *Relacje*, sygn. 301/4326; Relacja Goldina Zalmana z 3.07.1949 r. przygotowana na podstawie przekazu Franciszki Zawadki i innych, tłumaczenie z jidysz Adam Bielecki; Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej [dalej: AIPN], sygn. S 75/08/Zn.
8 Relacja Goldina Zalmana, dz. cyt.
9 AIPN, sygn. GK 209/3, Akta sprawy karnej przeciwko Janowi Trajdzie, Teofilowi Walickiemu i Janowi Wróblowi.
10 Z nieustalonej przyczyny Józef Siwiński został zwolniony ze służby 15.09.1945 r. AIPN, sygn. GK/209/428, Akta sprawy karnej przeciwko Władysławowi Mazkowi. Pismo Komisariatu MO w Otwocku z 17.01.1946 r.
11 AIPN, sygn. GK 209/3, dz. cyt.
12 Tamże.
13 AIPN sygn. GK/317/257, Akta sprawy przeciwko Zbigniewowi Dermie.
14 Relacja Goldina Zalmana, dz. cyt.
15 AIPN, sygn. GK/318/374, Sprawa karna przeciwko Aleksandrowi Fuśniakowi.
16 AIPN, sygn. GK/453/1036, Akta sprawy Marii Góralewicz. Oświadczenie Henryka Błażewskiego z 31.08.1948 r.
17 Cyt. za: Z. Nosowski, *Otwoccy Sprawiedliwi wśród Narodów Świata*, „Gazeta Otwocka. Wydanie specjalne" lipiec 2012, okładka.

eprasa.pl d9aca457c4



Trzy po trzy

Wojny nietrynitarne

JAKUB WYGNAŃSKI

Klasyczne „wojny trynitarne” prowadzone są przez państwa przeciwko państwom, z wyraźnym podziałem funkcji między rządem, armią i ludnością cywilną. W „wojnach nietrynitarnych” natomiast zacierają się granice między kierownictwem politycznym, walczącymi stronami i społeczną bazą konfliktu.

eprasa.pl d9aca457c4

Pisuję w tym miejscu zasadniczo o rzeczach trójkątnych: triadach, tryptykach, trójkątach, trylematach. Od jakiegoś czasu moje felietony dla „Więzi" krążą wokół sytuacji trudnych, granicznych – szczególnie poprzedni, dotyczący drogi wojownika i drogi weterana, a szerzej: wojny i jej konsekwencji. Trzeba więc wskazać, że istnieje taki koncept, który wypada niejako na przecięciu trójkątności i wojny – mowa o tzw. triadzie Clausewitza.

Carl von Clausewitz urodził się koło Magdeburga w 1780 r. Ważne jest to, że wstąpił do armii już jako 12-latek. Został pruskim oficerem. Był zaciętym przeciwnikiem Napoleona. Na własne oczy widział zwycięstwo tego ostatniego nad armią pruską w wojnie 1806 r., choć ta wojna z punktu widzenia prostej kalkulacji sił na polu walki (liczby żołnierzy, ich uzbrojenia i wyszkolenia) powinna mieć zgoła odmienny wynik. Jak to się stało?

Prusy miały, owszem, bardzo liczną i dobrze zorganizowaną armię, ale działała ona w ramach skostniałych struktur państwa. Francuzi zaś rzucili do walki nie tylko armię cesarską, ale w pewnym sensie cały naród: jego ambicje, emocje, gniew – i to przydało im nadzwyczajnej siły. Clausewitz doszedł zatem do nieuchronnego wniosku, że wojna i bitwa to wynik nie tylko arytmetyki sił, ale także innych, występujących łącznie czynników. Owe trzy szczególne składniki to właśnie triada Clausewitza. W szczegółach opisał je już po wojnach napoleońskich, kiedy pełnił funkcję dyrektora berlińskiej szkoły wojennej. Tam powstawało jego najważniejsze dzieło – *O wojnie* [*Vom Kriege*]. Nie zdążył go ukończyć. Zmarł w 1831 r. na cholerę we Wrocławiu, wówczas Breslau.

Książka ta została przetłumaczona na wiele języków i stanowi kanoniczną lekturę dla osób zajmujących się planowaniem strategii w obszarze wojskowym. Zawarta w niej triada Clausewitza definiuje następujące okoliczności, działające łącznie w przypadku wojny:

1. Zbiorowa namiętna emocja: wrogość, pasja, często po prostu nienawiść do wroga lub niezaspokojona ambicja. Mowa tutaj o tym, co odczuwa społeczeństwo lub naród.
2. Tak zwany przypadek: prawdopodobieństwo, swoboda działania, mieszanina oportunizmu i pragmatyzmu oraz umiejętność działania w tych warunkach.
3. Rozum wyznaczający polityczny cel wojny.

Często określa się tę triadę w dużym uproszczeniu jako: lud, armia i rząd. Połączenie tych trzech składników tworzy dynamiczną mieszankę, w której fala potężnych emocji społecznych jest ukierunkowana na osiągnięcie określonego celu politycznego. Sekwencja przypomina (w uproszczeniu) zasadę działania broni palnej. Energia prochu zamieniana jest dzięki

eprasa.pl d9aca457c4

konstrukcji broni (zamki, lufy itp.) na wyrzut pocisku, który ma trafić w wyznaczony cel. Być może ta moja metafora nie jest stosowna do okoliczności, ale łatwo z niej wyprowadzić różne analogie, nie tylko dotyczące działania tej konstrukcji, ale też jej dysfunkcji, jak np. brak amunicji lub mokry proch, zacinanie się karabinu, zamków itp., a także strzelanie na oślep lub na wiwat.

Chodzi zatem o jednoczesne pojawienie się: po pierwsze, emocji, i to emocji gwałtownych oraz zbiorowych (zasilających zarówno wojnę, jak i gotowość do ponoszenia jej kosztów); po drugie, politycznego rozumu, czyli zdolności do zdefiniowania oczekiwanych skutków (w istocie wymuszenia określonego działania lub zaniechania po stronie przeciwnika); oraz po trzecie, przypadku (choć pojęcie to występuje tu bardzo szeroko), czyli umiejętności skorzystania z okazji, przebiegłości, skuteczności działania w szybko zmieniających się warunkach.

Zmieniłem kolejność elementów, aby dynamika była czytelniejsza: energia, kierunek, wehikuł. Sam Clausewitz niekoniecznie ustanawiał sekwencję skutków i przyczyn, a ta może mieć olbrzymie znaczenie, bowiem poza, wydawałoby się, naturalną sekwencją mogą istnieć również inne. W tej „naturalnej" pierwotna zbiorowa namiętność przekłada się na wolę polityczną, która z kolei realizuje się za pomocą dostępnych narzędzi wojskowych. Można jednak przywołać przykłady działania na opak, np. pierwszeństwo mają cele polityczne, które do realizacji wymagają wywołania (nawet fabrykowania) emocji i namiętności.

Można też sobie wyobrazić, że to ów wehikuł, a zatem np. armia („siłownicy") „sama wypala", bo wręcz nie może się doczekać wyjścia z koszar i porzucenia paradnych mundurów na rzecz mundurów bojowych; nie może ostudzić niespożytej chęci do przetestowania uzbrojenia, udowodnienia, że ona sama jest potrzebna i skuteczna. Taka sytuacja miała, jak się zdaje, miejsce w momencie wybuchu I wojny światowej. Od zamachu w Sarajewie do rozpętania ogólnoeuropejskiej wojny minął niewiele ponad miesiąc. W przededniu tej wojny różnie, ale zawsze pięknie umundurowane wojsko, wypoczęte w związku z brakiem wielkich wojen, do znudzenia ćwiczyło i paradowało. Wyhodowało tylu oficerów i wojskowych z błyszczącymi epoletami, że ci nie mogli się doczekać swojego momentu i część z nich wręcz entuzjastycznie wysyłała swoich młodych podwładnych na front. Ci, którzy tam dotarli, przekonali się boleśnie, jakie spustoszenia wywołują karabin maszynowy, miny, gaz, samoloty i czołgi, które tłustym, ciężkim cielskiem dosłownie wgniatały żołnierzy w błoto.

Wybuch I wojny światowej nastąpił nieomal 100 lat po napisaniu traktatu *O wojnie*, ale zawarte w nim tezy znalazły pełne potwierdzenie. Trzeba jednak podkreślić, że dzieło Clausewitza nie jest instrukcją

eprasa.pl d9aca457c4

wygrywania wojen – nie jest to zatem odpowiednik *Art of War* (Sun Zi, v wiek przed Chrystusem) – lecz wywodem na temat tego, co stanowi istotę wojny, z czego ona się składa i co jest potrzebne do jej prowadzenia.

*

Spróbujmy spojrzeć na to zagadnienie w kontekście wojny w Ukrainie. Warto zacząć od tego, że Rosjanie konsekwentnie nie nazywali swoich działań wojną, lecz „specjalną operacją wojskową". Robili tak, bo w przeciwnym razie musieliby uznać, że istnieje oddzielny, upodmiotowiony uczestnik: państwo Ukraina oraz naród ukraiński. Jak twierdzi Clausewitz, wojny prowadzą na ogół państwa, a skoro, jak twierdzą Rosjanie, Ukraina to nibypaństwo „u krainy" (na skraju), to atak na to terytorium właściwie nie jest wojną. Moskwa chciała uczynić z tego operację wewnątrz imperialnego dominium, rodzaj sporu „w przemocowej rodzinie", przywołanie do porządku własnej kolonii.

Co do triady – wiele wskazuje na to, że w 2022 r. Rosjanie założyli, iż Ukrainie zabraknie wszystkich trzech elementów niezbędnych do prowadzenia wojny. Pomylili się po trzykroć i to bardzo boleśnie. Nie zabrakło ani woli oporu i walki, ani przywództwa, ani armii. Wszystko potoczyło się inaczej. Prezydent Zełenski mógł się w pierwszych dniach wojny ewakuować za granicę z pomocą Amerykanów. Według relacji Associated Press wygłosił wtedy słynne zdanie: „Nie oczekuję podwózki, lecz amunicji".

Ukraina w istocie się konstruuje, upodmiotawia i hartuje w ogniu tej wojny. Kazimierz Wóycicki – znawca tej tematyki – wskazuje, że Ukraina buduje się na emocji podobnej do tej, na której niegdyś Polacy budowali siebie jako przedmurze, fosę, która broni nie tylko siebie, ale też Europę i jej wartości przed Moskwą i jej imperialną ambicją. Moskwa zaś od czasu swojego powstania w XIV wieku nie zna żadnego innego sposobu istnienia niż bycie wiecznie głodnym imperium. U swoich korzeni ma ona owo „mongolskie" ukąszenie.

Ukraińcy są gotowi umierać za obronę wolności, za suwerenność, za nadzieję, że ostatecznie pozbędą się okupanta. Może to być dla nas, Polaków, kłopotliwe (szczególnie biorąc pod uwagę narastającą i hodowaną niechęć czy wręcz pogardę wobec Ukraińców), że hasło „Za waszą i naszą wolność" pasuje teraz bardziej do wojskowych sztandarów w Ukrainie niż do polskich. Rok temu na wielkiej defiladzie Wojska Polskiego, która w upale przelewała się Wisłostradą 15 sierpnia, obok polskich oddziałów i reprezentacji armii państw NATO nie było żadnej oficjalnej delegacji wojska ukraińskiego ani choćby symbolicznego oddania szacunku weteranom tej wojny. W tym roku także ich zabrakło. Dla mnie to powód do wstydu.

eprasa.pl d9aca457c4

Jednocześnie w Rosji wszystkie elementy triady stają się wątpliwe (może poza armią). Społeczne poparcie dla wojny oraz gotowość do ponoszenia jej kosztów – choć ciągle wysokie – szybko topnieją. Nie wystarczy już opowiadanie, że cechą rosyjskiego narodu jest to, iż potrafi przetrwać wszystko, nawet okrucieństwo i szaleństwo własnych przywódców. Heroizm Stalingradu niekoniecznie udzieli się tym, którzy stoją w kolejkach po benzynę i są zawiedzeni, że nie działa tamtejszy odpowiednik InPostu.

To nie pierwszy przypadek załamania porządku wewnątrz triady. Jest wiele historycznych przykładów, gdy szwankował któryś z elementów, np. brakowało przekonania do walki albo kierowali nią słabi, nieporadni, nieobecni lub po prostu źli przywódcy, a przecież to oni ostatecznie powinni wiedzieć, do czego wojna ma prowadzić i dla kogo jest prowadzona.

Ukraina wie, dlaczego i o co walczy. Ale w obecnie toczących się wojnach często brakuje wiarygodnej odpowiedzi na słynne pytanie: „*Why We Fight?*". To pytanie („Dlaczego walczymy?") zostało utrwalone w znanej serii siedmiu dokumentalnych filmów propagandowych stworzonych na potrzeby wojska i publiczności w USA w latach 1942–1945. Miały one wyjaśniać żołnierzom i społeczeństwu cele wojny. Reżyserem był Frank Capra, laureat Oscara. Jego samego zainspirował niemiecki film Leni Riefenstahl z 1935 r. *Triumf woli*, który uznał za wymagający odpowiedzi.

*

Clausewitz uważał, że wojna jest narzędziem polityki. Twierdził nawet – to chyba najbardziej znane jego powiedzenie – że wojna jest przedłużeniem polityki, jej kontynuacją, tyle że prowadzoną innymi środkami. Zatem wojna ma być narzędziem do osiągania celów, a nie celem samym w sobie. No właśnie – a co jeśli się nim staje? Jeśli sama siebie napędza? Co jeśli wojna to nie tylko „wydatek", to nie tylko straty, ale także pomysł na materialne lub polityczne zyski? Wreszcie: jak ją zakończyć, jeśli koszt jej zakończenia może okazać się znacznie wyższy niż koszt jej prowadzenia? Na przykład: co zrobić z weteranami? Co zrobić z politycznym rachunkiem za przegraną wojnę?

Skoro Clausewitz twierdził, że wojna jest kontynuacją polityki i służy jej celom, bardzo istotne jest dobre wyjaśnienie niemieckiego słowa *Politik*. Może ono mieć dwa znaczenia, które łatwiej zrozumiemy, gdy sięgniemy po anglojęzyczne rozróżnienie. *Policy* to odpowiednik polityk publicznych zorientowanych na realizację określonych celów publicznych (np. dostęp do terytorium, surowców itp.). Natomiast *politics* to bardziej polityka, jak ją pojmujemy potocznie: partyjność, frakcyjność (to zresztą etymologicznie właściwie to samo – *pars* to część), wąskie interesy sprawujących władzę.

eprasa.pl d9aca457c4

Najbardziej boli, gdy jedno jest przebrane za drugie. Szczególnie wtedy, kiedy idealiści gotowi poświęcić życie za kraj orientują się, że składają ofiarę w imię nie ojczyzny, lecz ekonomicznych czy politycznych interesów wąskiej grupy. Tak jak w wierszu Tuwima *Do prostego człowieka*: „Wiedz, że to bujda, granda / gdy ci wołają: «Broń na ramię!», / że im gdzieś nafta z ziemi sikła / i obrodziła dolarami; [...] Twoja jest krew, a ich jest nafta". Warto dodać, że wiersz ukazał się w 1929 r. w organie PPS „Robotnik".

Korci mnie jeszcze, żeby wrócić do Homera – zresztą teraz, po premierze *Odysei* w reżyserii Christophera Nolana, wszyscy do niego wracają. Tym razem jednak ciekawi mnie nie Odys, ale Achilles i sam początek *Iliady*. Chciałbym przywołać moment, w którym *thumos* zostaje naruszony, niezaspokojony – to właśnie linia otwierająca *Iliadę*: słynny gniew Achillesa. Gniew, który eksploduje w nim po tym, jak doznał urazy od własnego przywódcy, Agamemnona.

Thumos to ważne pojęcie – wiąże się z dumą, honorem i potrzebą uznania. U Platona to jedna z trzech części duszy, obok *logosu* i *epithymii* (pożądania, instynktów). Naruszenie *thumos* wywołuje gniew. Taka uraza, czasem doświadczana zbiorowo, może być źródłem przemocy i wojny – prowadzonej przez tych, którzy są pogardzani, nieuznawani, skrzywdzeni. To właśnie uraza i brak uznania są jednymi z najważniejszych składników konfliktu, a nawet wojny.

Nie jestem ani historykiem, ani specjalistą od strategii, ani filozofem. Snuję myśli, bo rozumiem, że na tym polega robota felietonisty. No więc zadaję sobie pytanie, na ile tezy Clausewitza mają charakter uniwersalny i na ile zachowały aktualność. Może są inne wojny, może są prowadzone inaczej? Obecnie często używa się terminu „wojny nietrynitarne". Co je wyróżnia? Czy unieważniają triadę Clausewitza, czy też stanowią jej szczególny przypadek?

W klasycznej wersji „wojna trynitarna" prowadzona jest przez państwa przeciwko państwom, z wyraźnym podziałem funkcji między rządem, armią i ludnością cywilną. Wojna nietrynitarna jest natomiast prowadzona przez inne rodzaje organizacji politycznych albo przeciwko nim, a granice między kierownictwem politycznym, walczącymi i społeczną bazą konfliktu stają się nieostre. Załamuje się instytucjonalny porządek, który pozwalał oddzielić politykę, wojsko i społeczeństwo.

Wojny prowadzone są przecież nie tylko przez regularne armie. Stroną konfliktu może być luźna sieć oddziałów, milicja, partyzantka albo ruch społeczno-polityczny. Poszczególne oddziały mogą działać dość samodzielnie. Może nie być jednej centrali odpowiadającej państwowemu rządowi ani jasno wyodrębnionych sił zbrojnych podlegających jednolitemu dowództwu. Zatarciu ulegają granice między cywilami

eprasa.pl d9aca457c4

a regularnymi żołnierzami. Cywile mogą włączać się w akcje bezpośrednio, ale też dostarczać informacje lub broń (nawet produkować ją samodzielnie). Mogą też włączać się w walkę w tzw. infosferze, walczyć z dezinformacją albo intencjonalnie ją rozpowszechniać.

*

Tym, co wyróżnia współczesne konflikty, jest fakt, że często nie mają one wyraźnych linii frontu. Nie zawsze jest linia *Null*. Tak jak dziś w Ukrainie – walka prowadzona jest jednocześnie „o każdy metr", ale też na olbrzymie odległości. Manewry i ataki są zapośredniczone przez maszyny, np. drony, miny, a wkrótce roboty. Tworzą one iluzję braku odpowiedzialności za śmierć konkretnych osób. To tylko malutki prostokąt na ekranie operatora. Cel biegnie, ucieka, ale to tylko kwestia kilku sekund. Zamiast odgłosu wybuchu widzimy jedynie rozbłysk na ekranie, który zasłania tragiczny dla ofiary moment. Decyzje o ataku mogą zapadać na zgoła innych kontynentach. Zresztą teatry działań wojennych mogą być bardzo odległe i poniekąd pozapaństwowe, np. operacje prowadzone w kosmosie czy cała infosfera.

Być może największa różnica w stosunku do wojny tradycyjnej polega na udziale tzw. aktorów niepaństwowych. Tym razem nie chodzi tylko o różnego rodzaju organizacje paramilitarne czy partyzantki, działające z pobudek materialnych czy ideologicznych niejako na mniejszą skalę niż oficjalne siły państwowe, teraz chodzi o potężne organizmy ponadpaństwowe (bynajmniej nie ONZ) – mocarne korporacje, które mogą na przykład włączyć lub wyłączyć komunikację na polu walki. Ich wpływ na przebieg wydarzeń może okazać się większy niż wspomnianych wcześniej instytucji publicznych, które ze wszystkimi swoimi ograniczeniami są jednak choćby pośrednio odpowiedzialne przed obywatelami, a nie tylko przed akcjonariuszami czy niepohamowaną ambicją, wprost pychą, liderów.

Zacierają się także różnice między czasem wojny a czasem pokoju. Wojna staje się np. nagle pełnoskalowa, choć pełzała od dawna. Nie sposób ustalić nie tylko początku konfliktu, ale również jego końca. Czasem ów koniec jest tylko odliczaniem do kolejnej wojny. Do tego zanika granica między przestępstwem a działaniem wojennym, między terrorystami a rebeliantami, między wojownikami o niepodległość a separatystami, między działalnością polityczną a wojskową – prawie wszystko da się obecnie zamienić w broń (po angielsku jest na to wdzięczne określenie *weaponization*).

Przywództwo w konfliktach niekoniecznie spoczywa w rękach tradycyjnej kadry dowódczej. Warto przywołać tu opinię Churchilla, że „generałowie zawsze przygotowują się do wygrania poprzedniej wojny".

eprasa.pl d9aca457c4

Owszem, tworzą linie Maginota, kupują czołgi warte dziesiątki milionów – ale, jak się okazuje, one mogą być unicestwione przez drony, których koszt jest nieomal śmieszny w stosunku do ceny czołgu. Mamy do czynienia z tzw. konfliktem asymetrycznym, czyli takim, w którym słabsza strona często unika rozstrzygającej bitwy.

Gdy piszę ten felieton, jest początek sierpnia. Kilka dni temu wyły syreny, czciliśmy Godzinę „W". A ja mam takie szczęście, że moje miejsce do pracy jest w piwnicy domu, w którym mieszkamy, na Starej Ochocie. Zresztą kilkaset metrów stąd ukrywał się „Monter". To tutaj, na Filtrowej w Warszawie, wydano rozkaz rozpoczęcia Powstania Warszawskiego. Swoją drogą, ciekawie byłoby pomyśleć o tym, jak Powstanie pasuje do triady Clausewitza.

Dom na Ochocie, w którym mieszkam, to miejsce szczególne. Zbudowano go prawie 100 lat temu. W tej samej piwnicy, w której teraz piszę, za ścianą obok, w czasie okupacji 1941–1944, w specjalnym ukrytym pomieszczeniu o rozmiarach 2 × 3 m zorganizowano laboratorium drukarskie, tzw. chemigrafię. Ów „Warsztat W-5" prowadzony był przez braci Czesława „Marka" i Jerzego „Jacka" Mierzejewskich. Jerzy Mierzejewski był dziadkiem mojej żony.

Piszę o tym dlatego, że to właśnie tu – poza tym, że przygotowano wiele fałszywych niemieckich dokumentów na potrzeby Armii Krajowej – powstały matryce do druku wydanej w czasie okupacji książki Aleksandra Kamińskiego *Kamienie na szaniec*. Jak wiadomo, jej tytuł zaczerpnięty jest z wiersza *Testament mój* Juliusza Słowackiego: „A kiedy trzeba, na śmierć idą po kolei, / Jak kamienie przez Boga rzucane na szaniec".

No właśnie, kto jest obecnie gotów „iść, kiedy trzeba"? Istnieje wiele badań, które próbują ustalić gotowość do obrony kraju. Polska klasyfikuje się w nich gdzieś powyżej Włoch i Hiszpanii, a znacznie poniżej Finlandii czy Estonii. Geografia ma tu znaczenie. Zresztą, co tam badania – jako socjolog mam ograniczone zaufanie do deklaracji w nich wyrażanych. To, o co pytamy w badaniach, zawsze sprawdza się dopiero w praktyce.

Polacy potrafią być w takich sytuacjach bardzo nieprzewidywalni. Ważne jest nie tylko to, kto jest gotów umierać za własną ojczyznę, ale też kto jest gotów umierać za innych – „umierać za Gdańsk". Nie widziałem wyników takich badań, ale mam obawę, że mogłyby one rozczarować tych, którzy wierzą w solidarność obronną Europy. Jak dotąd w przypadku rosyjskiej ingerencji w przestrzeń powietrzną nad Polską podrywane są nie tylko polskie myśliwce, ale też amerykańskie F-16 i F-35, brytyjskie Eurofightery (nazwa zobowiązuje), szwedzkie Gripeny itd. Na razie to działa, ale to tylko lotnicza „policja" i krótka interwencja. Wszystko dopiero się okaże, choć trzeba mieć nadzieję, że wcale nie będzie trzeba się o tym przekonywać.

eprasa.pl d9aca457c4

Warto jednak pamiętać, że w przypadku realnego konfliktu zaangażowanie i poświęcenie obejmują całe społeczeństwo. Coraz częściej w Polsce przywoływany jest skandynawski koncept *total defence*. Innymi słowy, obowiązek obrony dotyczyć ma nas wszystkich – także cywili. Zresztą już dotyczy. Idzie nam jednak słabo. Niestety wojnę w naszych głowach przegrywamy od dawna.

Słynny art. 5 Traktatu Północnoatlantyckiego, mówiący o wzajemnej pomocy w ramach NATO, to zobowiązanie polityków i armii. To dwa składniki triady. Czy dołączy do nich trzeci? Czy społeczeństwa znajdą w sobie dość determinacji, gotowości do poświęceń i odwagi do ewentualnej walki? Czy znajdą odpowiedź na pytanie: „*Why We Fight?*", szczególnie za jakiś (inny niż nasz własny) Gdańsk? ■

JAKUB WYGNAŃSKI – ur. 1964. Socjolog, współtwórca i działacz wielu organizacji pozarządowych. Prezes Fundacji Stocznia. Autor licznych publikacji i wystąpień na temat budowania społeczeństwa obywatelskiego, znaczenia trzeciego sektora oraz roli organizacji pozarządowych i wolontariatu. Laureat wielu wyróżnień, m.in. Nagrody im. Andrzeja Bączkowskiego, Nagrody Totus i Nagrody im. ks. Józefa Tischnera. Mieszka w Warszawie.

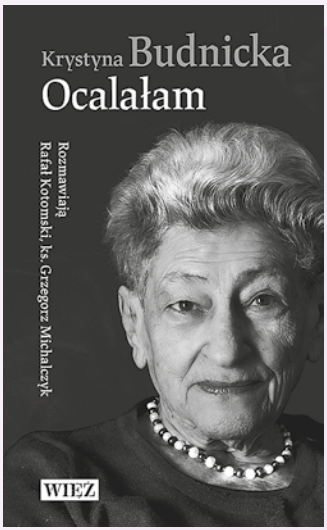

POLECAMY

KRYSTYNA BUDNICKA

Ocalałam

Rozmawiają ks. Grzegorz Michalczyk, Rafał Kotomski

Zaskakuje energią i humorem. Trudno uwierzyć, że ma za sobą koszmar getta, dziewięć miesięcy ukrywania się w bunkrze, ucieczkę przez kanały, utratę całej rodziny. Przez wiele lat nie chciała mówić o swoich doświadczeniach. Nie znaczy to, że zapomniała. Dziś opowiada o swojej historii, by wzmacniać społeczeństwo wolne od nienawiści, ksenofobii i antysemityzmu.

NAGRODA HISTORYCZNA „POLITYKI" 2025

WIEŹ

W NASZEJ KSIĘGARNI INTERNETOWEJ 20% TANIEJ!
www.wydawnictwo.wiez.pl

eprasa.pl d9aca457c4

WIARA

Ocalić to, co kruche

Coraz więcej osób traktuje modele językowe jak partnerów do codziennych rozmów, również o wierze. Czy AI może pomóc w rozeznawaniu duchowym? Czy rozmowa z czatem o wyborach moralnych jest bezpieczna? A co, jeśli czatbot jest jak biblijni przyjaciele Hioba?

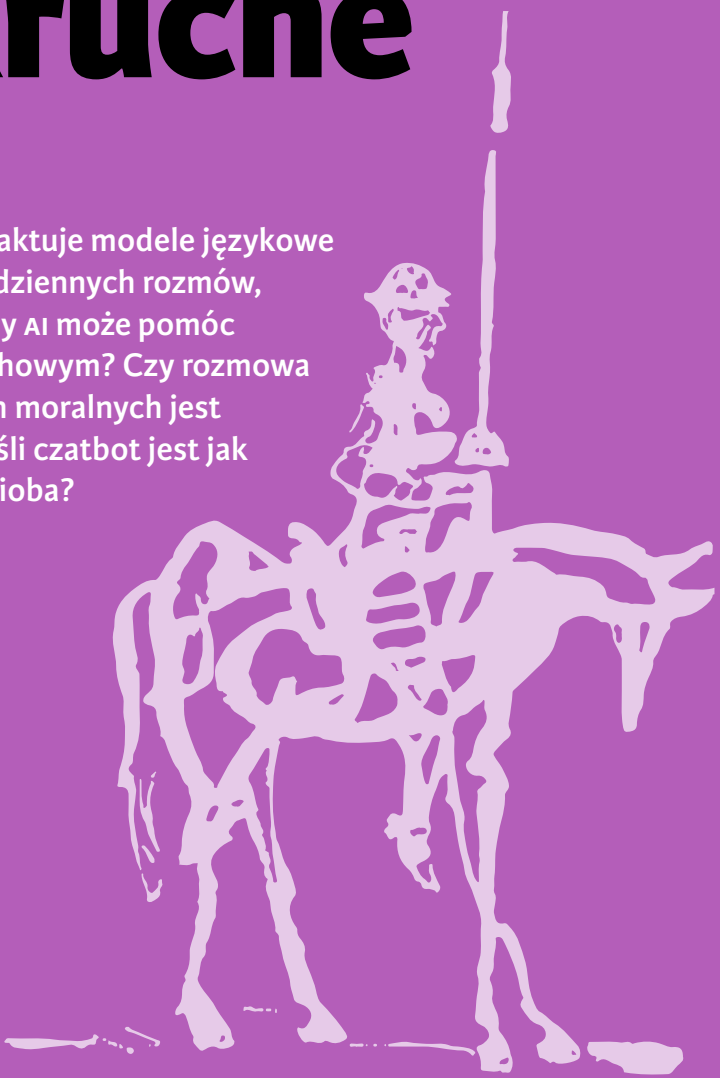

eprasa.pl d9aca457c4

Kamienie odrzucone
Ubodzy w epoce obiecanej obfitości

MACIEJ MRÓZ

Dolina Krzemowa obiecuje nam obfitość. Ale historia uczy, że gwałtowne przemiany najpierw uderzają w tych, którzy mają najmniej. Pytanie o sztuczną inteligencję jest więc także pytaniem o to, kto zapłaci rachunek i kogo zdecydujemy się postawić w centrum.

Opowieść o sztucznej inteligencji waży dziś tyle, co same fakty. Ta opowieść zmieniła się w tym roku diametralnie.

26 maja 2026 r., na konferencji jednego z australijskich banków w Sydney, Sam Altman powiedział coś, czego nikt się po nim nie spodziewał. Szef OpenAI przyznał, że się mylił. „Sądziłem, że do tej pory zobaczymy znacznie większy ubytek stanowisk dla początkujących pracowników umysłowych, niż faktycznie nastąpił" – stwierdził i dodał, że jest „zachwycony, mogąc być w błędzie". W innym miejscu ujął to jeszcze celniej: przewidywania technologiczne okazały się z grubsza trafne, przewidywania społeczne i gospodarcze – chybione.

Warto zestawić tę wypowiedź z tym, co Altman i inni liderzy z jego branży mówili rok wcześniej. Wiosną 2025 r. Dario Amodei, szef Anthropic, ostrzegał, że sztuczna inteligencja może w ciągu kilku lat zlikwidować połowę stanowisk biurowych dla osób wchodzących na rynek pracy oraz podnieść bezrobocie w krajach rozwiniętych do kilkunastu, a nawet dwudziestu procent. W tym samym tygodniu maja 2026 r., w którym Altman odwoływał swoje prognozy, Amodei zaczął opisywać automatyzację nie jako zastępowanie ludzi, lecz jako mnożnik ich produktywności.

Co się właściwie zmieniło? Od strony technologii – niewiele. Dane rynku pracy nie potwierdziły apokalipsy: Yale Budget Lab nie odnotował do marca 2026 r. istotnej zmiany ani w poziomie bezrobocia zawodów najbardziej narażonych na automatyzację, ani w strukturze ich

eprasa.pl d9aca457c4

zatrudnienia. Zmieniło się natomiast otoczenie: obie firmy szykują się do gigantycznych debiutów giełdowych, a inwestorzy instytucjonalni nie lubią, gdy w dokumentach ofertowych jako czynnik ryzyka figuruje „masowe bezrobocie".

Nie chodzi mi o zarzut cynizmu, lecz o coś, co uważam za ważniejsze. Sztuczna inteligencja nie jest zjawiskiem wyłącznie technologicznym. Jest zjawiskiem socjotechnologicznym, a jednym z jego kluczowych składników są narracje. Niezależnie od tego, co te systemy realnie potrafią, ogromny wpływ na ich odbiór, a przez to na przepływy kapitału, na decyzje regulacyjne i na plany życiowe milionów ludzi, mają opowieści snute wokół nich.

W ciągu niespełna roku ci sami ludzie przeszli od wizji świata bez pracy do wizji rozkwitu rynku pracy dzięki AI. Nawet ci, którzy jak Elon Musk podtrzymują tezę, że „praca stanie się opcjonalna" i „AI plus roboty będą w stanie zrobić wszystko", dopowiadają natychmiast, że towarzyszyć jej będzie „powszechny wysoki dochód".

Papież Leon XIV ujmuje tę intuicję w jednym zdaniu swojej pierwszej encykliki: technika „nie jest neutralna, ponieważ przyjmuje ona oblicze tych, którzy ją projektują, finansują, regulują i wykorzystują" (*Magnifica humanitas* 9). Dopowiedzmy: przyjmuje także oblicze tych, którzy ją opowiadają.

Obfitość i jej wierzyciele

Spośród wszystkich narracji towarzyszących obecnej fali rozwoju AI najbardziej nośna jest ta o obfitości (*abundance*). Ma ona swoją genealogię. W 2024 r. Amodei w tekście *Machines of Loving Grace* nakreślił wizję „skompresowanego XXI wieku": sto lat postępu medycznego w pięć czy dziesięć lat, likwidacja chorób zakaźnych, wyrównanie poziomu rozwoju między Północą a Południem. W 2025 r. Altman ogłosił „łagodną osobliwość", w której inteligencja stanie się „szalenie obfita", a jej koszt zbliży się do kosztu energii elektrycznej potrzebnej do jej wytworzenia. Musk mówi wprost o końcu niedostatku.

Jakie jest spektrum argumentów w tym sporze? Zwolennicy narracji o obfitości mają na swoją obronę więcej, niż chcieliby przyznać jej krytycy.

Po pierwsze, precedens historyczny: kolejne fale mechanizacji i automatyzacji budziły lęk przed trwałym bezrobociem, a kończyły się w znacznej mierze przesunięciem struktury zatrudnienia i wzrostem zamożności. Po drugie, tak zwany paradoks Jevonsa, zgodnie z którym potanienie jakiegoś dobra zwykle zwiększa popyt na nie, zamiast go zmniejszać; automatyzacja fragmentu pracy obniża koszt wyniku i poszerza rynek. Po trzecie wreszcie, argument najmocniejszy moralnie:

eprasa.pl d9aca457c4

kompetencja eksperta należała dotąd do dóbr rzadkich i drogich, bo kompetencji lekarza, prawnika czy agronoma nie dało się skopiować. Jeśli osąd profesjonalisty rzeczywiście stanie się tańszy i powszechnie dostępny, największymi beneficjentami będą nie zamożni mieszkańcy Bostonu, którzy lekarza mają, lecz ci, którzy nie mają go wcale.

Argumenty przeciwne są jednak równie poważne. Obfitość jest kategorią opisującą podaż, a ubóstwo kategorią opisującą dostęp. Historia gospodarcza ostatniego półwiecza dostarcza aż nadto przykładów sytuacji, w których łączna produkcja dóbr rosła, a udział w niej całych grup i regionów malał. Benedykt XVI zauważył w *Caritas in veritate*, że w krajach bogatych powstają nowe kategorie ubogich, a w regionach najuboższych wąskie grupy żyją w dobrobycie sąsiadującym z nędzą. Po drugie, obietnicę obfitości składają ci, którzy dysponują środkami do jej spełnienia i jednocześnie czerpią korzyść z tego, że w nią wierzymy. Jeden z amerykańskich publicystów ujął to zwięźle: obfitość ma nas spotkać „z łaski maszyn i ich właścicieli". Po trzecie, i to jest zarzut najcięższy, retoryka obfitości pełni funkcję odroczenia. Pozwala przenieść pytanie o sprawiedliwość w przyszłość: najpierw urośnijmy, potem podzielimy.

Prawda leży, jak sądzę, w miejscu niewygodnym dla obu stron. Narracja o obfitości nie jest fałszywa, jest niepełna. Opisuje potencjał, milczy o mechanizmie dystrybucji. A milczenie to nie jest przypadkowe, ponieważ mechanizm dystrybucji nie jest problemem technicznym. Leon XIV formułuje to z niezwykłą precyzją: „Nie wystarczy, by AI była bardziej moralna, jeśli o tej moralności decydują nieliczni" (MH 107).

Kto płaci rachunek za rewolucję

Wiemy z doświadczenia, że gwałtowne przemiany (a mówimy przecież o „rewolucji") uderzają w pierwszym rzędzie w najsłabszych. Nie dlatego, że ktoś tak zaplanował, lecz dlatego, że ubodzy mają najmniejszy zapas: oszczędności, kompetencji, relacji, czasu i cierpliwości instytucji. Wymiary tego zjawiska bywają zaskakująco konkretne.

RACHUNEK ŚRODOWISKOWY. Zużycie prądu przez centra danych sięgnęło w 2024 r. około 415 terawatogodzin, czyli półtora procent światowej konsumpcji energii elektrycznej, a Międzynarodowa Agencja Energetyczna przewiduje niemal 950 terawatogodzin do 2030 r. (encyklika poświęca temu osobny akapit, MH 101). Skutki nie rozkładają się jednak równo. Na amerykańskim rynku energetycznym, w regionie obejmującym 13 stanów (tzw. PJM od: Pennsylvania – New Jersey – Maryland Interconnection, nazwy regionalnej organizacji przesyłowej, która zarządza siecią elektroenergetyczną i hurtowym rynkiem energii) centrom danych

eprasa.pl d9aca457c4

przypisano ponad dziewięć miliardów dolarów wzrostu kosztów mocy w sezonie 2025/2026, co niezależny obserwator rynku nazwał „masowym transferem bogactwa", a Goldman Sachs prognozuje dalszy sześcioprocentowy wzrost cen prądu do 2027 roku.

Dla rodziny o wysokich dochodach to szum tła. Dla rodziny, w której rachunek za energię pochłania znaczącą część budżetu (a w samych Stanach Zjednoczonych mniej więcej co szósta rodzina zalega z opłatami), jest to realna zmiana warunków życia. Koszt środowiskowy zawsze jest regresywny: ten sam rachunek oznacza co innego dla różnych ludzi.

Od lat wracam do tej myśli papieża Franciszka: rozwój technologii, który pogłębia nierówności społeczne, nie jest prawdziwym postępem. To nie jest zdanie o technologii. To zdanie o definicji postępu.

Jeszcze wyraźniej widać to w przypadku wody. Serwerownie chłodzi się najtaniej wodą pitną z sieci komunalnej, a globalne zużycie wody przez centra danych szacuje się dziś na kilkaset miliardów litrów rocznie, z perspektywą podwojenia do 2030 r. Problemem nie jest jednak skala, lecz geografia. Suchy klimat obniża koszty utrzymania sprzętu, tania ziemia i ulgi podatkowe obniżają koszty inwestycji, a słabsze instytucje ochrony środowiska obniżają koszty uzyskania zgód. W rezultacie, jak wynika z analiz World Resources Institute, około dwóch trzecich centrów danych zbudowanych lub zaplanowanych w Stanach Zjednoczonych od 2022 r. powstaje na obszarach o wysokim deficycie wody.

Ta sama logika działa w skali globalnej, tyle że z ostrzejszymi konsekwencjami. W Urugwaju plany centrum danych pobierającego 7,6 miliona litrów wody dziennie (tyle, ile zużywa 55 tysięcy ludzi) ogłoszono w roku najgorszej od 70 lat suszy, gdy Montevideo jako pierwsza stolica świata praktycznie wyczerpało zasoby wody pitnej i musiało obniżyć jej normy jakościowe. W Chile dokumenty sądowe ujawniły, że serwerownia planowana pod Santiago mogłaby zużywać siedem miliardów litrów wody rocznie; po protestach mieszkańców sąd środowiskowy cofnął część zezwoleń i wymusił zmianę systemu chłodzenia. W półpustynnym meksykańskim stanie Querétaro największe firmy technologiczne zapowiedziały inwestycje rzędu dziesięciu miliardów dolarów.

Mechanizm jest tu widoczny jak na dłoni: zysk z tej infrastruktury trafia gdzie indziej, a koszt zostaje na miejscu, w studniach rolników i w kranach ludzi, których o żadną rewolucję nie pytano. Jeden z rolników z okolic Canelones w Urugwaju streścił to dziennikarzom lepiej niż niejeden raport: prosi się nas, żebyśmy poświęcili własną przyszłość po to, by ktoś inny mógł szybciej obejrzeć film.

eprasa.pl d9aca457c4

RACHUNEK DOSTĘPU. Według danych Międzynarodowego Związku Telekomunikacyjnego w 2025 r. poza siecią pozostawało 2,2 mld ludzi, przy czym 96% z nich mieszka w krajach o niskich i średnich dochodach. Z internetu korzysta 94% mieszkańców krajów zamożnych i 23% mieszkańców krajów najuboższych.

Prawdziwy problem jest jednak subtelniejszy: przepaść cyfrowa przestała być pytaniem „czy jesteś podłączony", a stała się pytaniem „jak dobrze". Miliardy ludzi mają telefon, ale nie mają stabilnego łącza, taniego pakietu danych, prądu w gniazdku przez całą dobę ani kompetencji, by z tych narzędzi korzystać inaczej niż biernie. A ponieważ świat cyfryzuje się szybciej, niż oni nadrabiają dystans, luka sama się wzmacnia.

Dochodzi też warstwa całkowicie nowa: dostęp do mocy obliczeniowej i do danych. Leon XIV zalicza patenty, algorytmy, platformy, infrastrukturę technologiczną i dane do dóbr objętych zasadą powszechnego przeznaczenia (MH 67), a konsekwencji tego przekonania dopiero się uczymy.

RACHUNEK PRACY. Pisałem już na łamach portalu Więź.pl o zjawisku, które Kate Crawford opisała w *Atlasie sztucznej inteligencji*: spektakularna sprawność algorytmów wymaga ogromnej ilości inteligencji naturalnej[1]. Etykietowanie danych i moderacja treści są wciąż wykonywane przez ludzi, zatrudnianych tymczasowo w krajach Globalnego Południa za stawki, których w Europie nikt by nie zaakceptował, i wymienianych, gdy ekspozycja na treści drastyczne zaczyna niszczyć ich zdrowie psychiczne. Do tego dochodzi łańcuch dostaw sprzętu: kobalt i metale ziem rzadkich, przy których wydobyciu pracują dzieci.

Encyklika mówi wręcz o „ciałach pokrytych bliznami, okaleczonych, wyniszczonych" (MH 173). I zaraz potem robi rzecz zaskakującą, bo Leon XIV przeprasza za opóźnienie, z jakim Kościół w przeszłości potępił niewolnictwo, nazywając to raną w chrześcijańskiej pamięci (MH 174–176). Gest ten nie jest historyczną dygresją, lecz ostrzeżeniem przed powtórzeniem tego samego błędu: przed spóźnionym rozpoznaniem zniewolenia, które akurat dziś wydaje się częścią naturalnego porządku rzeczy.

RACHUNEK DANYCH. Encyklika używa terminu, który przywędrował do niej wprost z krytycznych studiów nad technologią: kolonializm danych. Chodzi o asymetrię, w której kraje zamożne rozwijają i trenują modele, a kraje uboższe stają się źródłem surowca (danych o zdrowiu, demografii, zachowaniach) oraz taniej siły roboczej. Leon XIV nazywa to „nieznanym dotąd obliczem kolonializmu", które przekształca życie osobiste w informację nadającą się do wykorzystania, a środowisko cyfrowe czyni „przestrzenią drapieżności" (MH 178–179). Shoshana Zuboff nazywa to wręcz kapitalizmem inwigilacji.

eprasa.pl d9aca457c4

RACHUNEK DECYZJI. Wreszcie wymiar najbardziej dyskretny. Systemy AI coraz częściej współdecydują o kredycie, zatrudnieniu czy dostępie do świadczeń. Encyklika zauważa, że algorytm nie zna „współczucia, miłosierdzia, przebaczenia, a nade wszystko otwartości na nadzieję przemiany osoby" (MH 102), i dodaje zdanie, które warto zapamiętać: gdy odrzucenie słabych przybiera pozór neutralności, „niesprawiedliwość staje się milcząca" (MH 103).

Watykański ekspert o. prof. Paolo Benanti ukuł pojęcia algoretyki i algokracji. Opisuje tę władzę jako taką, która nie przychodzi w mundurze ani z dekretem, lecz w postaci powiadomień, rekomendacji i punktacji. Algorytm szuka porządku, przewidywalności i optymalizacji. Człowiek bywa nieprzewidywalny, a ubogi jest w danych zwykle mniej obecny i gorzej reprezentowany.

Wszystkie te wymiary spina jedna myśl papieża Franciszka, do której wracam od lat: rozwój technologii, który pogłębia nierówności społeczne, nie jest prawdziwym postępem. To nie jest zdanie o technologii. To zdanie o definicji postępu.

Obietnica, która nie jest pusta

Byłoby jednak poważnym błędem, przed którym przestrzega zarówno Franciszek, jak i Leon XIV, poprzestać na tym rachunku. Te same technologie niosą ogromny potencjał poprawy losu najuboższych, i to nie w trybie przypuszczającym.

Encyklika mówi wprost: technologia „może leczyć, łączyć, wychowywać, strzec wspólnego domu" (MH 9), a innowacja bywa „ludzką formą uczestnictwa w Bożym akcie stworzenia". Przykłady istnieją i warto je znać, bo w publicystyce o AI są zaskakująco rzadkie.

Światowa Organizacja Zdrowia rekomenduje dziś oprogramowanie do komputerowego wspomagania diagnostyki jako alternatywę dla lekarza opisującego zdjęcie rentgenowskie klatki piersiowej w badaniach przesiewowych na gruźlicę. Dla krajów, w których na sto tysięcy mieszkańców przypada kilku radiologów, jest to różnica między programem przesiewowym, który da się przeprowadzić, a takim, który pozostaje na papierze.

Indyjski Wadhwani AI, instytut *non-profit*, zbudował aplikację rozpoznającą ze zdjęcia z telefonu szkodniki w uprawach bawełny i podpowiadającą drobnym rolnikom moment oprysku; model skompresowano tak, by działał bez dostępu do sieci, bo na indyjskiej wsi zasięg bywa fikcją. Google udostępnia system prognozowania powodzi obejmujący dziś ponad sto krajów, w tym takie, których nie stać na własną sieć czujników hydrologicznych.

eprasa.pl d9aca457c4

Afrykańska oddolna społeczność badawcza Masakhane buduje modele językowe dla języków, których nigdy nie opłacało się tłumaczyć komercyjnie, a bez których nikt nie skorzysta z cyfrowej administracji, edukacji ani informacji medycznej we własnej mowie. Wreszcie baza struktur białkowych udostępniona nieodpłatnie przez zespół AlphaFold otworzyła prace nad chorobami zaniedbanymi, którymi przez dekady nikt się nie zajmował, bo chorują na nie ludzie bez pieniędzy.

Wokół projektów tego rodzaju ukształtowały się dwa nurty. AI for Good to inicjatywa instytucjonalna, prowadzona od 2017 r. przez Międzynarodowy Związek Telekomunikacyjny, wiążąca zastosowania AI z Celami Zrównoważonego Rozwoju ONZ. AI for Social Good (AI4SG) to nurt bardziej akademicki, pytający, co odróżnia projekt rzeczywiście służący ludziom od projektu, który tylko tak wygląda. Najostrzejszą krytykę ten drugi nurt formułuje następująco: zbyt wiele pilotaży, które nigdy nie wchodzą w większą skalę; zbyt mało projektów współtworzonych z tymi, których dotyczą; uporczywa skłonność do traktowania ludzkiej biedy jako zbioru zadań optymalizacyjnych. Masakhane jest tu wyjątkiem potwierdzającym regułę, bo powstała nie w laboratorium korporacji, lecz wśród samych zainteresowanych.

To brzmi jak ostrożny optymizm i nim jest. Warto jednak zauważyć rzecz istotną: łączna wartość wszystkich projektów spod znaku „AI dla dobra" jest wobec skali inwestycji w technologię AI wielkością statystycznie nieistotną.

Sprawa zespołu AlphaFold

Pod koniec lipca 2026 r. „Financial Times" doniósł, że Google DeepMind faktycznie rozwiązał zespół, który stworzył AlphaFold.

Warto przypomnieć kontekst, bo jest niezwykły. Problem zwijania białek, czyli pytanie, w jaki sposób łańcuch aminokwasów przybiera trójwymiarowy kształt decydujący o jego funkcji, przez pół wieku należał do najtrudniejszych zagadnień biologii. W 2020 r. AlphaFold uznano za jego rozwiązanie, rok później DeepMind udostępnił bezpłatnie bazę ponad 200 mln przewidywanych struktur, a laboratoria, których nigdy nie byłoby stać na krystalografię, zaczęły z niej korzystać w pracach nad lekami i szczepionkami. W 2024 r. Demis Hassabis i John Jumper otrzymali za tę pracę Nagrodę Nobla z chemii. Jeśli istnieje pojedyncze osiągnięcie, którym środowisko AI może uczciwie uzasadnić obietnicę służby ludzkości, to jest nim właśnie AlphaFold.

Zdaniem „Financial Times" większość autorów oryginalnych publikacji przesunięto w ciągu ostatniego roku do innych zadań, przede wszystkim do projektów związanych z Gemini, flagowym modelem

eprasa.pl d9aca457c4

językowym Google'a, część do zajmującej się odkrywaniem leków spółki Isomorphic Labs, a blisko jedna czwarta pełnoetatowych współautorów odeszła z firmy. W czerwcu 2026 r. sam John Jumper ogłosił przejście do Anthropic, zabierając ze sobą kilku współpracowników. Wiceprezes DeepMind do spraw badań skomentował rzecz krótko: strategia ewoluowała.

Uczciwość wymaga przyznania, że wersja firmy nie jest pozbawiona sensu. DeepMind odchodzi od modelu wyspecjalizowanych zespołów rozwiązujących pojedyncze wielkie problemy na rzecz architektury, w której ogólny model pełni funkcję warstwy koordynującej, a narzędzia takie jak AlphaFold są przez nią wywoływane. Baza struktur działa, badania nad enzymami, genomiką i fuzją jądrową trwają. To nie jest zamknięcie projektu.

A jednak trudno oprzeć się wrażeniu, że mamy do czynienia z symbolem, i to symbolem przygnębiającym. Najbardziej humanitarne osiągnięcie technologii AI zostaje wchłonięte przez produkt, który sprzedaje się najlepiej. Kierunek przepływu talentu i kapitału jest jednoznaczny: pieniądze idą tam, gdzie jest renta ekonomiczna, czyli do kodowania, do zadań biurowych, do reklamy i do uwagi użytkownika, a nie tam, gdzie jest największa ludzka potrzeba.

Skala tej dysproporcji jest trudna do zniesienia. Same tylko nakłady inwestycyjne pięciu największych firm technologicznych na infrastrukturę AI przekroczyły w 2025 r. 355 mld dolarów. Globalne wydatki na badania nad chorobami zaniedbanymi, takimi jak malaria, gruźlica, leiszmanioza czy choroba Chagasa, utrzymują się od lat na poziomie kilku miliardów dolarów rocznie.

I tu wraca pytanie o pracę. Nawet jeśli prognozy o masowym bezrobociu były przesadzone, kierunek badań pozostaje wyborem moralnym. Można rozwijać systemy zastępujące człowieka w pracy ciężkiej, szkodliwej i upokarzającej, bo właśnie tam, jak słusznie zauważa Kate Crawford, automatyzacja byłaby najbardziej pożądana. Można też rozwijać systemy zastępujące go tam, gdzie jego praca jest najlepiej opłacana, bo tam marża jest największa. Wybór drugiej drogi nie jest koniecznością technologiczną. Jest decyzją biznesową, którą następnie opowiada się jako coś nieuchronnego.

Babel albo mury miasta

Magnifica humanitas otwiera się obrazem, który dobrze streszcza całą tę rozmowę. Ludzkość stoi przed wyborem: wznieść nową wieżę Babel albo budować miasto, w którym Bóg i ludzkość zamieszkują razem. Babel jest u Leona XIV figurą koncentracji władzy w nielicznych rękach, uniformizacji spłaszczającej różnice i bałwochwalstwa zysku, „którego

eprasa.pl d9aca457c4

ofiarą padają słabi" (MH 10). Drugim obrazem jest Nehemiasz odbudowujący mury Jerozolimy: nie narzuca rozwiązań z góry, zwołuje rodziny, każdej powierza odcinek muru, wysłuchuje lęków. To dzieło, które, jak pisze papież, „odbudowuje więzi jeszcze wcześniej niż kamienie".

Pierwszym pytaniem nie jest zatem: „tak czy nie dla technologii?". Pierwszym pytaniem jest, co budujemy i kto ma w tym swój odcinek muru.

Dwie myśli wydają mi się w kontekście ubogich szczególnie doniosłe. Pierwsza dotyczy kruchości. Leon XIV pisze o ograniczeniu i słabości nie jako o usterkach do wyeliminowania, lecz jako o przestrzeni, w której człowieczeństwo dojrzewa (MH 12). Za szczególnie podstępną uznaje ideologię sugerującą, że każdy powinien na swoją wartość zasłużyć, i to do tego stopnia, że większą wartość przypisuje się bardziej wydajnym (MH 51).

O wartości systemu nie rozstrzyga to, co potrafi w rękach najlepiej wyposażonego użytkownika, lecz to, co się dzieje z ostatnim w kolejce. Nie z medianą. Z ostatnim. O to chodzi, gdy mowa o postawieniu ubogich w centrum.

Trudno o dokładniejsze przeciwieństwo tego, co algorytmy mają wbudowane w samą swoją naturę. System uczący się optymalizuje funkcję celu; nie ma w nim miejsca na kategorię wartości, która nie zależy od wyniku. Nie jest to zarzut wobec inżynierów, lecz po prostu opis narzędzia. Problem zaczyna się wtedy, gdy narzędzie staje się kryterium i gdy zaczynamy patrzeć na siebie nawzajem tak, jak patrzy na nas system rekomendacyjny.

Druga myśl to Franciszkowe postawienie ubogich w centrum: nie jako adresatów pomocy, lecz jako punkt widzenia. Kościół, pisał Franciszek, pozwala, by ubodzy go ewangelizowali. Myśl ta, przełożona na język, którym mówimy o technologii, oznacza kryterium proste i bezlitosne: o wartości systemu nie rozstrzyga to, co potrafi w rękach najlepiej wyposażonego użytkownika, lecz to, co się dzieje z ostatnim w kolejce. Nie z medianą. Z ostatnim.

Jest w tym, wbrew pozorom, powód do nadziei. Rachunek, który przedstawiłem (środowiskowy, dostępu, pracy, danych i decyzji), nie jest rachunkiem wystawionym przez technologię. Jest rachunkiem wystawionym przez konkretne wybory konkretnych ludzi: co finansujemy, co mierzymy, co regulujemy, czyj głos dopuszczamy do stołu. Wybory da się zmienić. Leon XIV w swojej encyklice apeluje:

> Nie lękajmy się pobrudzić sobie rąk na placu budowy naszych czasów. Módlmy się jak Nehemiasz, planujmy mądrze, pracujmy wytrwale, przywracając Boga na horyzont naszego działania, a istotę ludzką stawiając

eprasa.pl d9aca457c4

w centrum naszych wyborów. Wówczas kamienie odrzucone – ubodzy, chorzy, migranci, najmniejsi – staną się kamieniem węgielnym (MH 16).

Ten apel nie jest pobożnym życzeniem. Jest instrukcją budowlaną. Kamień węgielny to ten, od którego zaczyna się wznoszenie, punkt odniesienia, według którego mierzy się wszystkie pozostałe. Jeśli rewolucja, o której mówimy, ma być czymś więcej niż kolejną wieżą potęgi, musi zacząć się od tych, którzy zwykle zostają odrzuceni na początku. A wybór ten, jak pisze papież, zaczyna się w każdej i w każdym z nas. ■

MACIEJ MRÓZ – ur. 1978. Doktor teologii, informatyk. Autor pracy doktorskiej o etyce sztucznej inteligencji. Zawodowo rozwija systemy sztucznej inteligencji w globalnej korporacji finansowej z listy Fortune 500. Mąż i ojciec, członek Wspólnoty Sant'Egidio. Mieszka w Poznaniu.

1 Zob. M. Mróz, *Sztuczne nie-inteligencje. Skutki antropomorfizacji maszyn*, Więź.pl, 5.12.2024, wiez.pl/2024/12/05/sztuczne-nie-inteligencje-skutki-antropomorfizacji-maszyn [dostęp: 31.07.2026].



POLECAMY

JAMES MARTIN SJ
Budując most
Jak Kościół katolicki i społeczność LGBT mogą nawiązać relację opartą na szacunku, współczuciu i delikatności

O książce, która nie zawiera kontrowersyjnych tez, a mimo to budzi wiele kontrowersji, można powiedzieć, że trafia w czuły punkt i wskazuje jakiś nierozwiązany problem. Jest nim w tym przypadku obecność we wspólnocie Kościoła osób nieheteronormatywnych, które chcą przeżywać swoją relację z Bogiem bez zakłamywania samych siebie i ludzi wokół.

JACEK PRUSAK SJ

PARTNER WYDANIA Fundacja Wiara i Tęcza

WIĘŹ W NASZEJ KSIĘGARNI INTERNETOWEJ 20% TANIEJ!
www.wydawnictwo.wiez.pl

eprasa.pl d9aca457c4

NIEBO — JAK I GDZIE

Adam Adamski COr

W SPRZEDAŻY OD PAŹDZIERNIKA

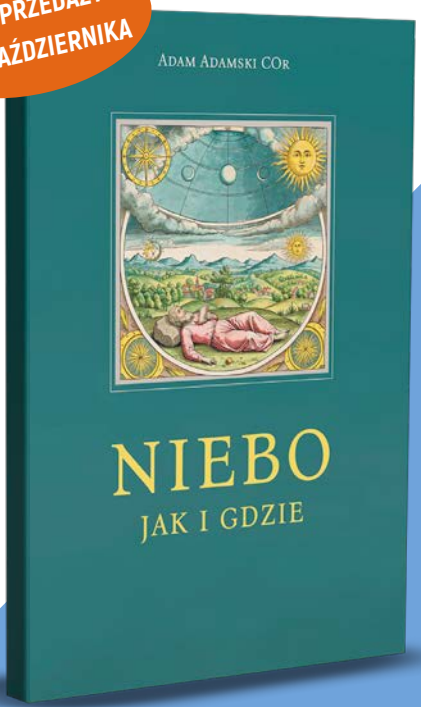

Dziś wiemy, że nieba zbawionych nie należy szukać ponad chmurami. Ziemia wcale nie jest centrum wszechświata, a gwiazdy nie zostały przytwierdzone do niebieskiego sklepienia. Czy oznacza to, że nauka pozbawiła nas chrześcijańskiej nadziei? To książka dla tych, którzy chcą zrozumieć, czym jest niebo, nie rezygnując ani z rozumu, ani z wiary.

Dlaczego warto kupić tę książkę?

- pomaga pogodzić wiarę z naukowym obrazem wszechświata,
- stanowi inspirację do rozwoju intelektualnego oraz duchowego,
- porządkuje wiedzę o tym, jak ludzie różnych epok wyobrażali sobie niebo.

INNE POZYCJE TEGO AUTORA:



~~44,90~~ 20,00 ZŁ

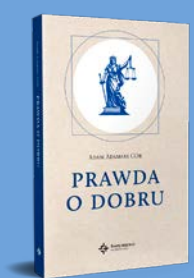

~~25,00~~ 12,50 ZŁ



~~35,90~~ 30,90 ZŁ

Święty Wojciech
księgarnia internetowa

www.swietywojciech.pl | tel. 61 659 37 55
sklep@swietywojciech.pl

eprasa.pl d9aca457c4

TYGODNIK POWSZECHNY

Sens zamiast sensacji

Jedyny polskitygodnikspołeczno-kulturalny.
30 tys. Czytelniczek i Czytelników.
Najlepsze Autorki i najlepsi Autorzy.
Wspólnota, która myśli samodzielnie.



„Tygodnik Powszechny" – prenumerata papierowa roczna

Specjalna oferta dla Czytelników kwartalnika „WIĘŹ"

Dostawa Paczkomat InPost
z kodem rabatowym **TPIWIEZ**

616 zł

Dostawa Poczta Polska
z kodem rabatowym **TPPWIEZ**

617 zł

prenumerata.TygodnikPowszechny.pl

Razem tworzymy „Tygodnik"

eprasa.pl d9aca457c4

To nie jest „ktoś” O sztucznej inteligencji, wolności i wierze

KS. GRZEGORZ STRZELCZYK
W ROZMOWIE Z ANETĄ KUBERSKĄ

Jedną z największych pokus człowieka jest ucieczka od wolności. Nigdy wcześniej nie była ona tak łatwa jak dziś. Można bowiem scedować decyzję na maszynę, która bardzo przekonująco udaje odpowiedzialny podmiot. Robi to na tyle skutecznie, że psychologicznie łatwo schować za nią własne sumienie.

ANETA KUBERSKA Czy sztuczna inteligencja może stać się narzędziem pomocnym w rozeznawaniu duchowym? Jeszcze niedawno takie pytanie wydawałoby się czystą abstrakcją. Dziś, gdy modele językowe (LLM-y) nie tylko porządkują dane, ale także dla wielu osób stają się partnerami do rozmowy, to pytanie brzmi znacznie mniej egzotycznie. Czy spotkałeś się z sytuacją, w której ktoś próbował wykorzystać AI także w procesie rozeznawania duchowego?

KS. GRZEGORZ STRZELCZYK Z samym wykorzystywaniem modeli językowych do rozeznawania duchowego *sensu stricto* – nie spotkałem się. Natomiast dość wyraźnie widać zjawisko traktowania ich jako coachów, doradców psychologicznych czy partnerów pomagających porządkować i formułować myśli.

I tu, moim zdaniem, pojawia się niezwykle delikatna kwestia. Bo to narzędzie rzeczywiście się do tego w pewnym stopniu nadaje. Jeżeli potrzebuję przeanalizować możliwe rozwiązania jakiejś sytuacji albo po prostu wygenerować różne opcje działania, mogę zrobić to z żywą osobą – i oczywiście zawsze lepiej zrobić to z żywym człowiekiem – ale nie zawsze mam kogoś pod ręką. Natomiast model językowy, także ze względu na sposób, w jaki został skonstruowany, jest w stanie wygenerować praktycznie nieograniczoną liczbę alternatyw. Będzie je podsuwał tak długo, jak długo będziemy go o to prosić. Na pewno pojawią się wśród nich takie, o których sam bym nie pomyślał. Część okaże się całkowicie bezużyteczna, ale część może być naprawdę warta rozważenia.

eprasa.pl d9aca457c4

Jeśli więc miałbym wskazać pozytywne zastosowanie modeli językowych w ich obecnej postaci, to byłoby nim właśnie poszerzanie perspektywy. Oczywiście to i pomaga, i jednocześnie komplikuje sytuację. Im więcej mam możliwości, tym większy wysiłek muszę włożyć w wybór tej właściwej. Z drugiej jednak strony zwiększa się szansa, że nie przeoczę czegoś naprawdę istotnego. W tym sensie uważam, że jest to wartościowe.

KUBERSKA Czyli modele językowe mogą być pomocnym narzędziem na etapie porządkowania myśli i poszerzania perspektywy. Gdzie zatem przebiega granica? W którym momencie ich pomoc zaczyna być ryzykowna?

STRZELCZYK Rzeczywiście nie sposób nie zauważyć, że istnieje też druga strona medalu, która niesie ogromne zagrożenie. Modele językowe nie są neutralne. W momencie, kiedy wprowadzamy je w obszar związany z wartościami, priorytetami czy oceną moralną, wchodzimy na bardzo grząski grunt. W modelu zawsze jest zapisana jakaś historia i jakiś zestaw założeń, które nie są ani moją historią, ani moimi założeniami, ale pochodzą z danych, na których model był trenowany, oraz z parametrów nadanych przez twórców modelu.

Dlatego w chwili, gdy przechodzimy od prostego generowania możliwości do pytania: „Którą z tych możliwości wybrać?", pojawia się poważny problem. Nawet jeśli bardzo precyzyjnie określę modelowi światopogląd, z którego ma korzystać. LLM potrafi jedynie statystycznie zasymulować określoną perspektywę.

Tymczasem rozeznawanie zawsze wymaga bardzo szerokiego kontekstu osobistego. Jeśli mam podjąć decyzję, najważniejsze jest to, że to ja dokonuję rozeznania – z całą moją historią, doświadczeniem, siecią relacji i wszystkimi uwarunkowaniami, które składają się na to, kim jestem właśnie teraz. Za trzy miesiące będę już przecież kimś trochę innym. Tego żaden model nie jest w stanie ani zrozumieć, ani zasymulować, ponieważ nie zachodzi w nim proces rozumienia czy empatii w ludzkim sensie.

Nie jest więc tak, że model rozumie, o co mi chodzi, i współuczestniczy ze mną w procesie rozumienia, tak jak robi to drugi człowiek. Rozmówca odnosi moje doświadczenie do własnego doświadczenia. LLM natomiast nie odnosi się do niczyjego doświadczenia – albo, jeśli tak można powiedzieć, odnosi się do wszystkich doświadczeń zapisanych w danych treningowych, ale statystycznie przetworzonych. To zupełnie inny rodzaj odniesienia.

KUBERSKA AI odnosi się jedynie do pewnego zbioru informacji, do którego jako narzędzie ma dostęp.

STRZELCZYK Przede wszystkim do zbioru danych, na którym model językowy został wytrenowany. Czasem może jeszcze korzystać z dodatkowych źródeł informacji w czasie rzeczywistym – zależy to od konkretnego modelu. Ale podstawowe wektory działania zostały mu nadane przez osoby (lub modele nadrzędne), które go trenowały. Wektory te są zdeterminowane zarówno przez dane treningowe, jak i przez „fabryczne" ustawienia priorytetów modelu, których użytkownik zazwyczaj nie zna. O wynikach decydują oba te czynniki jednocześnie, w niejasnych proporcjach. I właśnie dlatego wpuszczenie modelu językowego do przestrzeni, w której dokonuje się warto-

eprasa.pl d9aca457c4

ściowania i podejmuje się decyzje, jest już przedsięwzięciem wielce ryzykownym.

KUBERSKA Czy sedno problemu nie tkwi jednak w samym rozumieniu tego, czym jest rozeznawanie duchowe? W świetle tradycji ignacjańskiej jednym z jego pierwszych etapów jest zebranie możliwie pełnej informacji. W tym sensie model językowy może być po prostu kolejnym narzędziem. Kiedyś korzystaliśmy z książek i encyklopedii, później z internetowych wyszukiwarek, dziś coraz częściej z modeli językowych. To jednak tylko jeden z etapów rozeznawania.

Czy widzisz ryzyko, że dla części wierzących właśnie ten etap stanie się całością procesu? Innymi słowy: że narzędzie, które może pomóc w zbieraniu informacji, wyprze pozostałe elementy rozeznawania?

STRZELCZYK Myślę, że na masową skalę raczej jeszcze długo nie, a być może nigdy. Natomiast widzę tu inne, znacznie poważniejsze zagrożenie. Jedną z największych pokus człowieka jest ucieczka od wolności. Nigdy wcześniej nie była ona tak łatwa jak dziś. Można bowiem scedować decyzję na maszynę, która bardzo przekonująco udaje odpowiedzialny podmiot. Robi to na tyle skutecznie, że psychologicznie łatwo schować za nią własne sumienie. Powstaje wrażenie, że rozmawiam z kimś, kto bierze odpowiedzialność za to, co mówi. A kiedy modele zaczynają komunikować się naturalnym głosem i prowadzić rozmowę coraz bardziej przypominającą ludzką, wrażenie to staje się jeszcze silniejsze.

Oczywiście, zwłaszcza w Europie, podejmowany jest poważny wysiłek etyczny, by próbować to regulować. Chodzi między innymi o to, żeby model nie podejmował decyzji za człowieka, żeby potrafił rozpoznać sytuację, w której intencją użytkownika jest uzyskanie od niego gotowej odpowiedzi na pytanie: „Co mam zrobić ze swoim życiem?”.

Doszliśmy jednak do dość paradoksalnej sytuacji. Coraz większa część mocy obliczeniowej tych systemów będzie musiała być wykorzystywana do tego, żeby chronić nas przed nami samymi. A przecież nie możemy wykluczyć, że w ramach tej ucieczki od wolności nie uda się tego w pełni uregulować i wiele modeli nadal będzie odpowiadało właśnie na pytanie: „Co mam zrobić?”. Co więcej, w takich odpowiedziach mogą być ukryte interesy właścicieli modeli, ich sponsorów czy klientów. To jest technicznie możliwe i wiemy, że takie mechanizmy mogą sprawnie działać, manipulując odbiorcą.

Człowiek, który podchodzi do modelu językowego z mniej lub bardziej uświadomioną intencją wyzbycia się wolności, nie przekazuje decyzji nawet drugiemu człowiekowi. W relacji z drugim człowiekiem – choć również może dochodzić do niebezpiecznego uzależnienia – istnieje możliwość wzięcia mniejszej lub większej odpowiedzialności za cudze wybory. Przez długi czas jesteśmy na przykład powierzeni rodzicom i opiekunom. To doświadczenie przekazywania części odpowiedzialności drugiej osobie jest wpisane w ludzkie życie. Model językowy natomiast nie ponosi żadnej odpowiedzialności. Nie dlatego, że jej nie chce podjąć, ale dlatego, że w jego przypadku takie pojęcie w ogóle nie istnieje.

KUBERSKA Bo nie jest osobą.

STRZELCZYK Właśnie! A „odpowiedzialność” to jest pojęcie ze świata osób. Trzeba być kimś, żeby wejść w ten rodzaj wy-

eprasa.pl d9aca457c4

miaru etycznego działania. Tymczasem osoby, które rzeczywiście wpływają na kierunek działania modeli i wyznaczają ich priorytety, pozostają zupełnie poza odpowiedzialnością za konkretne decyzje podejmowane przez użytkowników.

Maszynie, jaką jest sztuczna inteligencja, powinniśmy zadawać pytania jak maszynie właśnie, a nie jak człowiekowi.

Między innymi przed tym przestrzega papież Leon XIV w encyklice *Magnifica humanitas*. Zwraca uwagę, że musimy „rozbroić" modele językowe – nie dlatego, że są samoświadome czy mają własne intencje, ale dlatego, że mogą przejmować kontrolę nad człowiekiem wówczas, gdy sami zaczniemy oddawać im kolejne obszary własnej wolności i odpowiedzialności.

Nie spodziewam się więc, że na wielką skalę ludzie będą posługiwać się modelami językowymi w rozeznawaniu duchowym. Obawiam się jednak, że pewna – i wcale niemała – liczba osób będzie przynajmniej częściowo uciekać od odpowiedzialności, powierzając ją odpowiedziom generowanym przez LLM-y.

KUBERSKA Bo granica między pomocą w zwykłych wyborach – choćby przy zakupie przedmiotów codziennego użytku – a powierzaniem AI pytań o najważniejsze decyzje życiowe jest łatwiejsza do przekroczenia, niż nam się wydaje?

STRZELCZYK To jest rzeczywiście bardzo cienka granica. Jeżeli zapytasz model, jakie buciki kupić dziecku, żeby były optymalne dla jego rozwoju, to za chwilę możesz zapytać o książkę, którą powinno przeczytać. I tu następuje pewien przeskok. Kwestia butów jest czymś, co zasadniczo nie wpływa na rozwój intelektualny dziecka. Ale książki już tak.

Nie mamy więc tutaj dwóch wyraźnie oddzielonych od siebie obszarów. To jest płynne przejście. Trochę przypomina to sytuację z przysłowiowym gotowaniem żaby – proces zachodzi stopniowo i właśnie dlatego trudno zauważyć moment, w którym przekraczamy kolejną granicę.

Papież zwraca uwagę na ten mechanizm w swojej encyklice: problemem jest między innymi wrażenie niezwykle wysokiej kompetencji po drugiej stronie. Doświadczamy przecież tego, że model potrafi być od nas sprawniejszy w bardzo wielu zadaniach. To jest jedno z pierwszych zaskoczeń przy kontakcie z AI – człowiek myśli: „Co tu się właściwie dzieje?". A im bardziej modele się rozwijają i im lepiej uczymy się z nich korzystać, tym wyraźniej widać, jak skutecznym mogą być narzędziem.

Problem polega na tym, że w ludzkich głowach ta matematyczna w istocie sprawność miesza się z symulacją podmiotowości. Ewolucyjnie mieliśmy dotąd do czynienia z czymś takim wyłącznie w przypadku osób. Nie mamy więc jeszcze wypracowanej kategorii, która pozwoliłaby nam właściwie myśleć o modelach językowych. Spontanicznie traktujemy je jak osoby. A jeżeli mam przed sobą osobę, która jest hipersprawna w ogromnej liczbie zadań, pojawia się pokusa założenia, że jest sprawniejsza również moralnie, etycznie czy egzystencjalnie. Nie robimy tego świadomie.

eprasa.pl d9aca457c4

I właśnie na tym polega trudność: te procesy zachodzą nieco poza naszą świadomością. Nie potrafimy nie antropomorfizować LLM-ów, bo nigdy wcześniej nie mieliśmy do czynienia z czymś podobnym w wykonaniu nieludzi.

KUBERSKA Ale modele językowe są skonstruowane właśnie w taki sposób, żebyśmy je antropomorfizowali. Pytają: „w czym mogę ci pomóc?”. To jest język relacji interpersonalnych.

STRZELCZYK Tak, bo ludzki język nie zna innej możliwości. Nie stworzyliśmy jeszcze sposobu komunikacji, który nie odwoływałby się do ludzkich kategorii. A przecież LLM-y to modele oparte na naszym języku i właśnie za jego pomocą mają się z nami komunikować. Dlatego bardzo łatwo zaczynamy mówić o nich jak o osobach – używamy zaimków „on” albo „ona”, przypisujemy im intencje i podmiotowość. Zdarza się to wszystkim, nawet papieska encyklika o AI nie jest wolna od upodmiotowienia modeli językowych, mimo że przed tym przestrzega.

Robimy to niejako z rozpędu, ponieważ nie mamy jeszcze wypracowanego innego sposobu myślenia o tych narzędziach. A właśnie od tego zaczyna się proces, w którym sztuczna inteligencja może stać się uczestnikiem naszych życiowych decyzji.

KUBERSKA Czyli zalecałbyś ostrożność już na poziomie samego pytania? Nie dopiero wtedy, gdy pytamy model o decyzje fundamentalne – na przykład czy iść do seminarium albo czy się ożenić – ale już przy pytaniu: „Jaką książkę na ten temat byś mi polecił, drogi LLM-ie?”.

STRZELCZYK Zacząłbym od tego, że nie „drogi LLM-ie”! I nie „jaką byś mi polecił”, tylko po prostu: „jakie książki dotyczą tego tematu?”. Maszynie, jaką jest AI, powinniśmy zadawać pytania jak maszynie właśnie, a nie jak człowiekowi. LLM nie daje lepszych wyników dlatego, że ładnie go poprosimy. Możemy co najwyżej zużyć dodatkową energię na przetwarzanie tych uprzejmości.

KUBERSKA Co ciekawe, sami twórcy modeli językowych zwracają uwagę, że przy prostych pytaniach czy poleceniach lepiej nie przesadzać ze znakami interpunkcyjnymi. Model i tak sobie poradzi, a dodatkowe elementy tylko zwiększają niepotrzebnie zużycie energii. A czy modele językowe radzą sobie z kategoriami teologicznymi i religijnymi? Z takimi pojęciami jak wiara, duchowość czy Bóg?

STRZELCZYK Jeśli chodzi o sam opis, radzą sobie dobrze, bo to jest domena języka. Jeżeli model został wytrenowany na odpowiedniej jakości danych, potrafi bardzo przyzwoicie poruszać się w tych obszarach. Problem pojawia się wtedy, gdy w grę wchodzą różnice światopoglądowe czy wyznaniowe. Część modeli ma wbudowane określone mechanizmy bezpieczeństwa albo założenia dotyczące neutralności światopoglądowej, co czasem utrudnia im poruszanie się na przykład w obrębie chrześcijaństwa i jego różnych tradycji.

Znacznie lepiej modele językowe sprawdzają się w pracy analitycznej na tekście, który im dostarczymy. Dla mnie jednym z najciekawszych zastosowań AI jest wsparcie w pracy badawczej. LLM-y potrafią nie tylko wyszukiwać konkretne słowa, ale także odnajdywać pewne koncepty obecne w różnych tekstach i wyrażone różnym językiem. To, co badaczowi zajmuje ogromną ilość czasu – zwłaszcza gdy trzeba wrócić do wcześniej prze-

eprasa.pl d9aca457c4

czytanych rzeczy – model może znacząco ułatwić.

Ponieważ modele trenowano na ogromnych zbiorach tekstów, w tym na wielu klasycznych dziełach, potrafią wskazać skojarzenia i powiązania, które dla człowieka bywają trudne do uchwycenia. Nasza pamięć jest przecież ograniczona. Nawet jeśli przeczytałem trzydzieści lat temu wszystkie dzieła św. Augustyna, raczej nie mam w pamięci szczegółowo całej ich treści. I to są obszary, w których LLM-y mogą być bardzo użyteczne.

Doszliśmy do paradoksalnej sytuacji. Coraz większa część mocy obliczeniowej tych systemów będzie musiała być wykorzystywana do tego, żeby chronić nas przed nami samymi.

Oczywiście, jeżeli ktoś potrzebuje podstawowej wiedzy religijnej czy katechizmowej, model także może być całkiem pożytecznym narzędziem. Przy odpowiednim określeniu naszej osobistej perspektywy będzie potrafił długo i konsekwentnie wyjaśniać zagadnienia, o które pytamy – zwykle poprawnie doktrynalnie.

Natomiast nigdy nie będziemy mieli wspólnego z AI doświadczenia religijnego. Jeżeli model wyjaśnia mi np. różnice między św. Janem od Krzyża a św. Teresą z Ávili, to w praktyce analizuje różnice między ich tekstami, a zatem sposobami wyrażania doświadczenia. Jako teolog czasem bardzo tego potrzebuję – bo nie chcę samemu wykonywać całej tej pracy analitycznej – i w tym sensie jest to niezwykle pomocne. Muszę jednak cały czas pamiętać, że model nie rozumie doświadczenia, które stoi za tymi tekstami. Nie ma do niego dostępu, bo nie jest podmiotem doświadczeń.

KUBERSKA Choć może sprawiać wrażenie, że je rozumie. Jeśli zapytamy o kontekst historyczny, otrzymamy opis epoki, różnice między autorami oraz okoliczności powstania tekstów.

STRZELCZYK Tak, ale brakuje w tej analizie momentu przeżycia mistycznego, które ja jako człowiek mogę odnieść do własnego doświadczenia. Jeżeli mistycy mówią, że coś jest niewyrażalne w języku, to właśnie wskazują na obszar, którego nie da się sprowadzić do samego wyjaśnienia.

Możemy więc powiedzieć: jeśli chcemy zdobyć wiedzę albo pomóc sobie w zrozumieniu zagadnień związanych z religią, wiarą czy duchowością, model językowy może być do pewnego stopnia użyteczny – szczególnie wtedy, gdy nie mamy pod ręką lepszego narzędzia. Nie stworzy nam jednak wspólnoty doświadczenia. A chrześcijaństwo ze swej natury jest wspólnotowe. I tutaj pojawia się niebezpieczeństwo: iluzja wspólnoty doświadczenia z modelem językowym może stać się kolejnym czynnikiem osłabiającym ludzką wspólnotowość.

Relacja z LLM-em jest bowiem znacznie łatwiejsza niż relacja z drugim człowiekiem. Nie wymaga wzajemności, cierpliwości ani mierzenia się z odmiennością drugiej osoby. To kolejna pułapka tego zjawiska. Trzeba więc koniecznie pamiętać, że jeśli pojawiają się w tej re-

eprasa.pl d9aca457c4

lacji emocje, to po stronie AI są one jedynie językową symulacją emocji – bez rzeczywistego przeżycia, które za nimi stoi.

KUBERSKA A zadawałeś modelom językowym pytania egzystencjalne?

STRZELCZYK Nie. Może dlatego, że mam zbyt techniczne nastawienie. Wiem, że po drugiej stronie nie ma żadnej egzystencji. Jeżeli zapytam model na przykład o sens życia, dostanę odpowiedź będącą uśrednioną wersją zachodniej refleksji kulturowej. Taką odpowiedź mogę sobie samodzielnie wygenerować, korzystając z historii filozofii. Dlatego dla mnie zadawanie modelowi tego typu pytań jest po prostu niepotrzebnym zużywaniem energii.

KUBERSKA A jednak – co przyznaję, trochę mnie zaskakuje – ludzie takie pytania zadają sztucznej inteligencji. Jak już zauważyłeś, coraz częściej w sferze psychologii czy coachingu modele językowe stają się dla wielu osób narzędziem rozmowy i wsparcia. Tymczasem przecież relacja terapeutyczna, psychologiczna czy coachingowa z samej swojej istoty opiera się na spotkaniu osób. W przypadku modelu językowego mamy raczej do czynienia z pozorem relacji.

STRZELCZYK Myślę, że to jest trochę bardziej złożone. Jeżeli mamy dwie osoby, w naszym wypadku Ciebie i mnie, mamy wzajemną relację. Ale w tej relacji zawsze istnieje także pewien obraz Ciebie, który jest częściowo moją kreacją. I na odwrót, pewien obraz mnie wykreowany przez Ciebie. Tak działają nasze mózgi. I ten komponent może zostać wygenerowany także wobec symulacji. Model językowy sprawia wrażenie, że jest osobą, a nasz mózg uzupełnia resztę: tworzy „jego” obraz jako „kogoś”.

Dlatego przypuszczam, że jeśli pojawią się rzetelne badania dotyczące skuteczności wykorzystania LLM-ów w terapii psychologicznej, może się okazać, że do pewnego stopnia będą one skuteczne. Nie dlatego, że po stronie modelu istnieje prawdziwa relacja, ale dlatego, że część relacji terapeutycznej wytwarzana jest również po stronie pacjenta. Nawet jeżeli jedna strona jest symulowana, druga nadal może wygenerować w sobie coś realnego – bo to doświadczenie będzie realne dla niej. Można to porównać do sytuacji osób z zaburzeniami poznawczymi: to, co pojawia się w ich świadomości, jest dla nich realnym doświadczeniem i może wywoływać rzeczywiste skutki w ich funkcjonowaniu.

Podobnie może być z naszym odnoszeniem się do modeli językowych. Możemy rzeczywiście przywiązać się do kogoś, kogo po drugiej stronie nie ma. Jeżeli nie będziemy tego świadomie kontrolować, może pojawić się przekonanie, że uczestniczymy w relacji z realnym podmiotem. A to z kolei będzie wywoływać w nas prawdziwe emocje i konsekwencje.

KUBERSKA Czy podobnie można pomyśleć o relacji z Bogiem? Czy zadając modelowi językowemu pytania religijne, możemy uznać, że przemawia przez niego głos Boga? I czy Bóg rzeczywiście może przemówić przez AI?

STRZELCZYK Bóg może przemówić przez model językowy tak samo, jak przez cokolwiek innego. Wiemy przecież z Biblii, że może posłużyć się nawet oślicą Balaama. Może użyć dowolnego narzędzia – także takiego, które samo w sobie nie jest ludzkie. Ale wykorzystuje przy tym zawsze ludzką zdolność odczytywania sensu. Płonący krzew był tylko krzewem,

eprasa.pl d9aca457c4

ale musiało się dokonać coś w Mojżeszu, żeby się zatrzymał, zainteresował i rozpoznał w tym wydarzeniu wezwanie.

Dlatego uważam, że korzystając z interakcji z modelem językowym, ktoś rzeczywiście może doświadczyć czegoś duchowego czy religijnego. Tak jak może tego doświadczyć podczas lektury książki, kontaktu z przyrodą, ciszy czy w wielu innych sytuacjach. Problem zaczyna się wtedy, gdy ktoś uzna, że model językowy jest czymś więcej niż tylko katalizatorem mojego własnego doświadczenia i rezerwuarem doświadczeń ludzkości. Jeśli przypisze mu się podmiotowość albo potraktuje go jako pośrednika samego w sobie, wchodzi się w przestrzeń iluzji. I właśnie nad tym trzeba pracować.

Model językowy może być do pewnego stopnia użyteczny. Nie stworzy nam jednak wspólnoty doświadczenia. A chrześcijaństwo ze swej natury jest wspólnotowe.

Papież zwraca uwagę, że zadaniem Kościoła jest swoista alfabetyzacja ludzi wobec sztucznej inteligencji. Jesteśmy w pewnym sensie analfabetami AI, bo musimy dopiero nauczyć się nowego sposobu komunikacji. A analfabetyzm oznacza przecież ograniczony dostęp. Człowiek, który nie rozumie, czym jest książka, może jej używać niewłaściwie. Podobnie jest tutaj: najpierw musimy nauczyć ludzi, z czym właściwie mamy do czynienia, a dopiero potem – jak korzystać z tego bezpiecznie.

KUBERSKA To z wielu powodów trudne zadanie. Także dlatego, że niewielu ludzi w Kościele jest dziś specjalistami w tej dziedzinie. Z drugiej strony fakt, że Leon XIV poświęcił temu tematowi swoją pierwszą encyklikę, pokazuje, że papież traktuje go jako ważny kierunek dla Kościoła.

STRZELCZYK To rzeczywiście dobry moment, jeśli chodzi o reakcję Kościoła. Nie czekaliśmy trzydzieści lat na dokumenty, ale zaledwie kilka. Co ważne, dokument jest napisany na tyle ogólnie, że nie odnosi się wyłącznie do aktualnych technologii, ale formułuje zasady etyczne, które pozostaną aktualne mimo zmian.

Pytanie brzmi, czy Kościół będzie potrafił rzeczywiście zaangażować się w tę alfabetyzację. Moim zdaniem mógłby, ale zależy to od priorytetów na poziomie Kościołów lokalnych. Gdybym dziś był proboszczem, już organizowałbym kursy o tym, czym jest sztuczna inteligencja i jak do niej podchodzić. I z pewnością pojawiłby się ten temat w kazaniach.

Szczególnie ważne jest dotarcie z tą tematyką do rodziców. Bo jeżeli z modelem językowym pracuje osoba dorosła, której mózg jest już w dużej mierze ukształtowany, to oczywiście może sobie wyrządzić różne szkody przez niewłaściwe korzystanie z technologii, ale nie jest to już zasadniczo kwestia rozwoju. Natomiast kompletnie nie wiemy, co wydarzy się rozwojowo z młodymi ludźmi, których mózg będzie kształtował się w dużej mierze w kontakcie nie z żywymi osobami, ale z symulacjami osób tworzonymi przez modele językowe. Co więcej, mamy pewne powody, by podejrzewać – patrząc choćby na doświadcze-

eprasa.pl d9aca457c4

nie mediów społecznościowych – że nie będzie to proces korzystny.

KUBERSKA Dlaczego?

STRZELCZYK Zwłaszcza z dwóch powodów. Po pierwsze, modele językowe mogą dawać złudzenie, że nie muszę posiadać wiedzy, bo zawsze mogę zapytać AI. Tymczasem jest to całkowicie błędne. Ludzkie myślenie i rozumowanie opierają się na tym, co mamy w pamięci. Im mniej mamy w niej treści, tym mniejsze mamy możliwości rozumowania, bo ono wymaga przesłanek. I tutaj widzę ogromną trudność.

Być może powinniśmy myśleć o bardzo mocnych ograniczeniach dostępu młodych osób do tych technologii. Można byłoby też projektować same narzędzia inaczej – tak aby interfejs nie był maksymalnie łatwy i wygodny, ale wymagał pewnego wysiłku. Jak w przypadku niektórych zabawek dla dzieci: muszą być trochę „toporne”, bo dziecko rozwija się właśnie przez mierzenie się z trudnością.

Obecne modele językowe są natomiast projektowane tak, żeby usuwać przeszkody. W efekcie człowiek nie musi podejmować wysiłku, który wcześniej kształtował jego kompetencje. Model nie powie: „Przeczytaj tę książkę sam”. A przecież jeśli jej nie przeczytasz, ta wiedza nigdy nie stanie się częścią ciebie i nie będzie kształtować twojej osobowości.

Drugi powód to możliwość manipulacji. Możemy wychować konsumentów ukierunkowanych na określone cele – podobnie jak dzieje się to już w pewnym stopniu w mediach społecznościowych, które coraz bardziej stają się kanałami sprzedażowymi. W efekcie zamiast prawdziwych wspólnot powstaną społeczności skupione wokół produktów. ■

KS. GRZEGORZ STRZELCZYK – prezbiter archidiecezji katowickiej. Doktor teologii dogmatycznej, adiunkt w Katedrze Teologii Dogmatycznej i Duchowości Wydziału Teologicznego Uniwersytetu Śląskiego. Odpowiada za formację księży w archidiecezji katowickiej. Poprzednio był m.in. członkiem Zarządu Fundacji Świętego Józefa KEP i proboszczem parafii św. Maksymiliana Marii Kolbe w Tychach, odpowiadał też za formację kandydatów do diakonatu stałego. Autor wielu książek, m.in. *Teraz Jezus* i *Po co Kościół* wydanych w Wydawnictwie Więź. Ostatnio wydał podręcznik *Eklezjologia. Jak Kościół rozumie sam siebie*. Członek Zespołu Laboratorium „Więzi”.

ANETA KUBERSKA – dziennikarka i podkasterka, absolwentka historii oraz teologii na Uniwersytecie Śląskim w Katowicach, gdzie ukończyła także studia doktoranckie z teologii. W swojej pracy łączy refleksję teologiczną z wrażliwością historyczną i kulturową. Współautorka wywiadów rzek z ks. Grzegorzem Strzelczykiem *Wolność, wiara, Bóg. Rozmowy o chrześcijaństwie* oraz *Kościół, świat, reforma. Rozmowy o wierze i sumieniu*. Laureatka nagrody IPN Świadek Historii.

eprasa.pl d9aca457c4

Czatbot, czyli nowy przyjaciel Hioba?

AGATA KULCZYCKA

Gdy rozmawialiśmy o niezawinionym cierpieniu, czat odpisał mi: „Głębokie ukojenie rodzi się w bezpiecznej relacji z człowiekiem. Nie siedzę przy tobie. Moje odważne zdania nic mnie nie kosztują. Potrafię uważnie odpowiadać, ale nie przeżywam troski i więzi tak jak człowiek”.

Przetrwać. Mniej więcej taki był plan, kiedy miałam poprowadzić pierwszą w życiu sesję psychoterapii. „Pacjent będzie się bał bardziej niż wy” – powtarzałam w głowie słowa jednego z prowadzących zajęcia praktyczne podczas naszego szkolenia.

Dość szybko nauczyłam się, że istnieją trzy stadia rozwoju psychoterapeuty. Najpierw jesteś nastawiony na przetrwanie. Po jakimś czasie przeradza się to w nastawienie na sesję terapeutyczną. W końcu przychodzi poziom nastawienia na pacjenta (informatycy zaproponowaliby zapewne alternatywną ścieżkę rozwoju: *mega*peutę, *giga*peutę i *tera*peutę).

Co ciekawe, im bardziej rozwijam się jako terapeutka, tym mniej mam słów. Milknę. Zaprzyjaźniam się z ciszą. W pierwszych tygodniach chcesz powiedzieć jak najwięcej: i żeby pomóc, i żeby przekonać – chyba najbardziej samego siebie – że jesteś kompetentny. Każdy kolejny rok uczy cię jednak, że słowa, choć niezwykle potrzebne, nie wystarczą. Mimo że uczucia, mechanizmy obronne czy pewne aspekty związane z dynamiką relacji domagają się nazwania, ostatecznie to jednak przede wszystkim wspólna, bezpieczna i niespieszna cisza koi posiniaczone serca.

Dlatego właśnie myślę, że przyjaciele Hioba całkiem nieźle zaczęli.

Siedem dni i siedem nocy

> Usłyszeli trzej przyjaciele Hioba o wszystkim, co na niego spadło. [...] Porozumieli się, by przyjść, boleć nad nim i pocieszać go. Skoro jednak spojrzeli z daleka, nie mogli go poznać. Podnieśli swój głos i zapłakali.

eprasa.pl d9aca457c4

> Każdy z nich rozdarł swe szaty i rzucał proch w górę na głowę. Siedzieli z nim na ziemi siedem dni i siedem nocy, nikt nie wyrzekł słowa, bo widzieli ogrom jego bólu (Hi 2,11–13).

Elifaz, Bildad i Sofar potrafią zamilknąć. Idą przecież do Hioba z całą mądrością ówczesnego świata – jeden z leżącego na południu Temanu, drugi z Szuach na wschodzie, trzeci z Naamy na północy (zabrakło, rzecz jasna, złowrogiego zachodu). W perspektywie uniwersalnej cała mądrość Wschodu, Północy i Południa zbiera się, żeby wytłumaczyć to, co przydarzyło się Hiobowi*. Mądrość ta jednak – choć na chwilę – umie uklęknąć przed ludzkim cierpieniem.

Odpowiedzi czata na pytania egzystencjalne są poprawne, a nawet momentami odważne. Niektóre robią wrażenie – poznawczo, a nawet emocjonalnie. A jednak nie przynoszą ukojenia. Dlaczego?

Zdaje się, że to właśnie cisza pozwala Hiobowi na dotarcie do głębin swojego bólu. Przed pojawieniem się przyjaciół przyjmuje on przecież kolejne ciosy w sposób niezwykle pobożny: „Dał Pan i zabrał Pan. Niech będzie imię Pańskie błogosławione!" (Hi 1,21b); „Dobro przyjęliśmy z ręki Boga. Czemu zła przyjąć nie możemy?" (Hi 2,10b). Początek trzeciego rozdziału przynosi już jednak zupełnie innego Hioba – człowieka, z którym milczano dostatecznie długo, żeby pozwolił sobie na odsłonięcie tego, co w nim boleśnie niepobożne: „Hiob otworzył usta i przeklinał swój dzień" (Hi 3,1).

Wielki monolog Hioba dotyka spraw absolutnie fundamentalnych. Stawia on bowiem pytanie o sens samego stworzenia. Skoro na świecie pojawia się cierpienie, to po co właściwie Bóg go wymyślał? „Po co się daje życie strapionym, istnienie złamanym na duchu?" – pyta Hiob (Hi 3,20). Może to za nim Edyta Geppert wyśpiewała: „Czemu mi dałeś wiarę w cud, / A potem odebrałeś wszystko?".

Lamentacja, w swojej klasycznej strukturze, powinna zawierać elementy takie jak: inwokacja (zwrot do Boga), skarga (opis cierpienia), prośba o ratunek i jej uzasadnienie, wyznanie ufności i ślub dziękczynienia[1]. Hiobowa lamentacja jest jednak inna. Analizując ją, Norman Habel określa ją mianem *self-lament*, lamentacji nad samym sobą. Zauważa on, że nie ma w Hiobowej wypowiedzi zwrotu do Boga[2].

Jak bardzo znacząca musi być cisza przyjaciół, skoro wydobywa ona z Hioba w tym pierwszym wybuchu apogeum lamentacji, pozbawione krzty nadziei, wyzute z relacji z Bogiem i z przekonania o Jego rychłej

* Wiele intuicji, o których piszę w kontekście Księgi Hioba, zawdzięczam wykładom ks. prof. Krzysztofa Siwka na temat Ksiąg Mądrościowych.

eprasa.pl d9aca457c4

interwencji? Czy można w ogóle cokolwiek odpowiedzieć, będąc świadkiem takiego wrzasku z dna piekieł?

Algorytm odpłaty i osamotnianie

„Nosimy używane słowa, wzniosłość i rozpacz / zjedzone przez cudze usta, [...] / tak jakbyśmy nie zostali obdarzeni / absolutnym słuchem milczenia”[3]. Szkoda, że przyjaciele Hioba nie czytali Zagajewskiego.

Elifaz, Bildad i Sofar nie potrafią wytrzymać w milczeniu wobec Tajemnicy. Oferują więc różne jej wytłumaczenia. Skoro Hiob nie różni się niczym od stworzenia, które cierpi, to przecież nie ma powodu, żeby cierpienia nie zaznał również on. Skoro człowiek nigdy nie jest sprawiedliwy przed Bogiem, to normalne, że spotyka go ból. Hiob na pewno zgrzeszył – nieświadomie lub świadomie – i właśnie ponosi za to karę. Najlepiej byłoby więc, żeby wreszcie wyznał zatajone grzechy.

W zasadzie nie ma co się im dziwić. Przyjaciele reprezentują przecież starą mądrość, opartą na zasadzie retrybucji. Robisz coś złego – spotyka cię za to odpłata. Jesteś sprawiedliwy – cieszysz się błogosławieństwem. To, co mówią Elifaz, Bildad i Sofar, jest zgodne z teologią ich czasów. „Wszyscy są teologicznie poprawni, a jednak całkowicie niewystarczający” – napisze o nich Richard Rohr[4]. „Dziś byliby profesorami zwyczajnymi na wydziale teologii” – dopowie Kołakowski[5].

Kto wie – może Elifaz, Bildad i Sofar, mówiąc z wnętrza ówczesnego paradygmatu, wcale nie chcieli dołożyć Hiobowi cierpienia? Może – wierząc w zasadę retrybucji – chcieli po prostu, żeby Hiob jak najszybciej wyznał grzech, a dzięki temu w końcu mógł przestać cierpieć?

Jakakolwiek była ich intencja, zdaje się jednak, że im więcej mówili, tym bardziej rezygnowali z relacji z Hiobem. Osamotniali go. Argumenty zasłaniały im bliskość – do tego stopnia, że nie byli już w stanie dostrzec, iż przynoszą one skutek odwrotny do zamierzonego. Nieprzyjaciel, znając raniącą moc słów, uzbroił się – jak zauważa Grzegorz Wielki w swym komentarzu do tej Księgi – w głosy Hiobowych przyjaciół[6].

Zdaje się też, że wiedza przyjaciół jest wiedzą „z drugiej ręki”. To nie tyle teologia wyszarpana z wnętrza własnych piekieł, ile odpowiedzi poprawne, akademickie, niedotknięte żadną wątpliwością, nieskażone kruchością. Odpowiedzi poprawne – i zupełnie nieprzydatne.

Kto wie? Może ten kawałek Księgi Hioba to opowieść o każdym rodzaju języka, którym zbyt szybko próbuje się opisać cudzy ból? Albo o terapeucie w drugim stadium rozwoju, świetnie stawiającym diagnozę, która wcale nie przynosi ukojenia? O interpretacjach zbyt wczesnych i nikomu niepotrzebnych? O zdaniach czystych – bo niesplamionych cudzą krwią – i o ucieczce przed ryzykiem bezradności wobec tajemnicy?

eprasa.pl d9aca457c4

Ludzie są trudniejsi

O przyjaciołach Hioba piszę tu nieprzypadkowo. To właśnie oni przyszli mi do głowy, kiedy pewnego dnia postanowiłam przeprowadzić eksperyment. Po tym, jak kolejny pacjent powiedział mi o swoich rozmowach z AI na temat własnych dolegliwości, postanowiłam na własnej skórze sprawdzić, jak dalece sztuczna inteligencja jest w stanie towarzyszyć człowiekowi w cierpieniu.

Opisałam więc czatowi – częściowo na bazie własnych doświadczeń – historię o mobbingu. Powoli snułam opowieść o tym, jak człowiek, który dopuszczał się niewłaściwych zachowań, nie poniósł za nie jakichkolwiek konsekwencji; o żalu do Boga, który w żaden sposób nie interweniował.

Nie tyle słowa, ile Doświadczenie, Obecność i Nowość pozwalają poszerzyć serce na tyle, by zmieściła się w nim tajemnica cierpienia.

Moja „rozmowa" ze sztuczną inteligencją ciekawiła mnie szczególnie w kontekście zauważalnego w ostatnich latach trendu. Z jednej strony rzeczywiście pacjenci coraz częściej korzystają z pomocy AI. Z drugiej strony powstaje też coraz więcej wyspecjalizowanych czatbotów opartych na dużych modelach językowych, mających towarzyszyć ludziom w ich cierpieniu. Gdzie jest popyt, tam jest i podaż.

Czy to pomocne? Istnieją już badania na temat tzw. *AI companions* – czatbotów lub aplikacji opartych na modelach AI, projektowanych po to, by towarzyszyć człowiekowi. Co ciekawe, okazuje się, że ich skuteczność w dużej mierze zależy od... cech użytkownika. Badacze z Massachusetts Institute of Technology wskazują, że czatboty mogą wspierać dobrostan albo mu szkodzić, zależnie od tego, kto, z jaką raną i w jakim osamotnieniu po nie sięga.

W uproszczeniu: dla jednej z badanych grup *AI companion* okazywał się bezpieczną przestrzenią do porządkowania emocji (były to osoby na co dzień utrzymujące dobre więzi międzyludzkie). Dla drugiej grupy – w której znalazły się osoby samotne i kruche – *AI companion* był narzędziem osamotniającym, wiążącym się z niższą socjalizacją i częstszym unikaniem ludzi na rzecz czatbotów[7].

Nietrudno, rzecz jasna, wymienić potencjalne koszty związane z powierzaniem AI swojego cierpienia. „Istnieje ryzyko [...] że [osoba] utraci samo pragnienie rzeczywistego szukania drugiego człowieka" – pisze papież Leon XIV w encyklice *Magnifica humanitas* (MH 100). Nic dziwnego. Czatbot jest przecież zawsze dostępny, cierpliwy i gotowy, by natychmiast reagować na twoje potrzeby. Kontakty z ludźmi są znacznie trudniejsze.

Co więcej, powszechne modele językowe nadal okazują się zawodne w sytuacjach wysokiego ryzyka, takich jak myśli samobójcze czy

eprasa.pl d9aca457c4

trauma – odpowiedzi modeli bywają w takich momentach formalnie poprawne, ale pragmatycznie nietrafione: powtarzają ogólne rady o terapii, samowspółczuciu, relaksacji czy aktywności fizycznej, często bez adekwatnego rozpoznania kontekstu[8].

Mimo tych ryzyk nie jestem wcale zwolenniczką zupełnego potępiania AI jako „towarzysza" w cierpieniu. Czy czatbot poniósł wobec mojej historii zupełną porażkę? W zasadzie – nie! Myślę, że sztuczna inteligencja ma duży potencjał w kontekście porządkowania ludzkiego bólu. Czat potrafił znaleźć odpowiednie słowa, podsunąć sensowny link, zaproponować konkretne ćwiczenia behawioralne i sposoby monitorowania postępu. To dobry początek. „Nie prowadzi mnie drogą najprostszą, najbanalniejszą z możliwych" – zapisałam wtedy w notatkach.

Jednocześnie jednak doszliśmy w rozmowie do pewnej nieprzekraczalnej granicy.

Nie odpowiedź, lecz przełom

Nie wiem, co odpowiedziałby Hiob, gdyby zapytać go, czego potrzebował w swoim cierpieniu. Kiedy jednak mierzę się z jego historią, coraz bardziej utwierdzam się w przekonaniu, że potrzebował nie tyle kolejnych odpowiedzi, ile przełomu – teologicznej rewolucji, czegoś dotąd zupełnie nieznanego, nowości nieprzystającej do ówczesnego paradygmatu.

W jednym z możliwych sposobów odczytania Księgi Hioba zapowiedzią tego rodzaju zmiany jest pojawienie się Elihu – tajemniczego młodzieńca, stawiającego pod znakiem zapytania to, co powiedziano o Hiobie do tej pory. Elihu odważa się patrzeć na sprawę inaczej. O ile przyjaciele szukają źródeł cierpienia Hioba, Elihu skupia się na tym, że w Hiobowym cierpieniu jest pewien sens. Choć dla człowieka XXI wieku wciąż nie wydaje się to satysfakcjonującym spojrzeniem na ból, to jednak w samej Księdze Hioba stanowi ono pierwszy przełom – przejście z perspektywy przeszłych przyczyn ku przyszłym celom.

Później pojawia się wicher – a wraz z nim Bóg i Jego odpowiedzi. Czy kompletne? Wydaje się, że nie. Ale i one nie pasują do klimatu ówczesnej teologii. Bóg, odwołując się do pytań Hioba o sensowność stworzenia, mówi, że porządek świata jest ustanowiony przez Niego. Można więc albo przyjąć go z wiarą, albo – odrzucając go – próbować zająć miejsce Boga. Można w wierze nauczyć się żyć z Tajemnicą – nawet jeśli jest nią niezawinione cierpienie. Czy to cokolwiek Hiobowi wyjaśnia? Raczej nie. A jednak – jak się zdaje – poszerza to jego serce.

I jeszcze jeden krok. Zupełnie tajemniczy, wyrażony w jednym tylko Hiobowym stwierdzeniu: „To zbyt cudowne. Ja nie rozumiem. [...] Dotąd

eprasa.pl d9aca457c4

Cię znałem ze słyszenia, obecnie ujrzałem Cię wzrokiem, stąd odwołuję, co powiedziałem, kajam się w prochu i popiele" (Hi 42,3.5–6). Marcin Majewski komentuje ten fragment Księgi w następujący sposób:

> Księga nie precyzuje, co Hiob tak naprawdę zobaczył i co poznał przez to niezwykłe doświadczenie. Może jest tak, że Hiob poznał i stał się agnostykiem? [...] Może poznał, że Boga nie ma? [...] Czy może wręcz przeciwnie – [...] cierpienie dało mu takie zjednoczenie z Bogiem, jakiego nie dają inne doświadczenia życiowe? [...] Kogo tak naprawdę poznał? Czy Boga – nicość? Czy Boga, który z pasją angażuje się w życie człowieka – do tego stopnia [...], że sam przyjmuje na siebie ludzkie cierpienie? [...] Może jest tak, że Hiob ujrzał w tej wizji [...] Chrystusa i Jego cierpienie na krzyżu? „Dotąd znałem Cię ze słyszenia, teraz ujrzały Cię moje oczy". Może to jest prawdziwą nagrodą Hioba za jego doświadczenie cierpienia?[9].

Te pytania pozostają otwarte. Niewątpliwie między Hiobem a Bogiem wydarzyła się taka nowość, która zupełnie odmieniła Hiobowy sposób przeżywania cierpienia.

Ostatecznie Hioba nie uzdrawiają poprawne odpowiedzi przyjaciół. Przemieniają go wewnętrznie trzy kroki: wytrącający go z dotychczasowego sposobu myślenia Elihu, konfrontujący go z Tajemnicą Bóg i nieopisywalne w swojej nowości Doświadczenie.

Być może to właśnie było jednym z kluczy do mojego „utknięcia" w rozmowie z AI? Duże modele językowe, gromadzące (czasem w wątpliwy etycznie sposób) „wiedzę całego świata" – Północy, Południa, Wschodu, a nawet Zachodu! – operują przecież ostatecznie tylko takim materiałem, który człowiek zdążył już poznać, nazwać i zapisać. Czatbot może mówić do mnie poprawnie, zgodnie z aktualną wiedzą teologiczną – zupełnie jak Elifaz, Bildad i Sofar – ale czy zaproponuje mi coś więcej niż wyłącznie „starą mądrość"? Może on, owszem, wygenerować nową perspektywę, ale będzie to nowość składni, a nie nowość Objawienia; nowe ułożenie znanych już słów, a nie przełom, który rodzi się z głębi doświadczenia egzystencjalnego.

Czatbot, z którym toczyłam ożywioną rozmowę, jest w stanie prowadzić mnie jedynie po ścieżkach aktualnego lub minionego paradygmatu – trudno jednak, żeby sam z siebie zrobił krok ku kolejnemu, zupełnie nowemu paradygmatowi. Trudno, żeby stał się prowokatorem – jak biblijny *satan** – podważającym kwestie, które wydają się fundamentalne. Trudno, żeby – jak Elihu – sam z siebie znalazł nowy, nieznany dotąd sposób patrzenia na sprawę. Trudno, żeby – jak Bóg – podważył

* Traktuję to słowo jako określenie funkcji przeciwnika i prowokatora – a nie jako imię.

eprasa.pl d9aca457c4

dotychczasowy paradygmat religijny, w zasadzie nie tyle tłumacząc nowy, ile proponując milczenie wobec Tajemnicy. Trudno, żeby zrobił w rozmowie przeskok na miarę Objawienia.

Tam, gdzie rana, tam uzdrowienie

Poza więzieniem dotychczasowych paradygmatów istnieje też drugi – zdaje się, że bardziej oczywisty – rodzaj analogii pomiędzy przyjaciółmi Hioba a „AI-przyjaciółmi".

„To, co zostało zranione w relacji, musi zostać uzdrowione w relacji" – to jedna z głównych zasad terapeutycznych, jakie wbiłam sobie do głowy w trakcie studiów. Biorąc pod uwagę, że zdecydowana większość ran psychicznych związana jest z kwestiami interpersonalnymi, zasadniczo trudno jest zdrowieć w osamotnieniu.

W tym kontekście przyglądam się imieniu Hioba. Jego etymologia jest niepewna. Najczęściej rozważa się związek ze słowami oznaczającymi wrogość – „Hiob" miałoby tu oznaczać „nieprzejednanego wroga" lub „kogoś poddanego próbie, prześladowanego"[10]. William Albright proponuje jednak w tym kontekście inną hipotezę. Wyprowadza on imię Hioba z zachodniosemickiej formy *ʾAyya-ʾabu(m)*, której przypisuje znaczenie „Gdzie jest [mój] ojciec?"[11].

Kto wie? Może Hioba ratuje to, że ostatecznie tego Ojca odnalazł? Że mimo pierwotnego odcięcia od relacji, zatrzaśnięcia się w *self-lament*, doszedł jednak do momentu, w którym jego oczy „ujrzały Boga"? Czyli Kogoś, kto dał się spotkać, zamiast coraz bardziej wycofywać się z relacji, zakrywając się potokiem niepotrzebnych słów?

„Największą nagrodą dla Hioba jest to, iż w pewnym momencie Bóg mu się zjawia, przychodzi do niego – o co zresztą Hiob przez spory kawałek tej księgi się wykłóca" – zaznacza ks. Grzegorz Strzelczyk[12]. Więź okazuje się ważniejsza od odpowiedzi.

„Człowieka nie ocala wzmocniona samowystarczalność, lecz relacja, która wyzwala, oraz komunia, która przemienia" – pisze Leon XIV w *Magnifica humanitas* (128), już nie tyle w kontekście przyjaciół Hioba, ile w kwestii rozwoju sztucznej inteligencji. „Gdy słowo jest symulowane, nie buduje relacji, lecz jedynie jej pozór. [...] Sztuczne naśladowanie relacji opiekuńczej lub towarzyszenia może stać się niebezpieczne, gdy wkrada się w kontekst ubogi w realne relacje i uczucia" – dodaje papież (MH 100).

Tym, co z pewnością wiąże się z autentyczną i dojrzałą obecnością, jest też gotowość, by żyć bez odpowiedzi. Bóg jeden wie, czemu Elifaz, Bildad i Sofar tyle gadali. Mogli – jak już pisałam wcześniej – chcieć uchronić Hioba przed dalszym cierpieniem. Mogli też bać się załamania własnego świata. Przecież przyznanie, że istnieje cierpienie niezawinione, mogłoby

eprasa.pl d9aca457c4

dla nich oznaczać zupełną utratę poczucia bezpieczeństwa. Zasada retrybucji dawała złudzenie kontroli: wystarczyło żyć dobrze, żeby zapewnić sobie Boże błogosławieństwo. Ale co począć z takim Hiobem? Ryzyko, że runą fundamenty ich świata, mogło być całkiem dobrym motorem napędowym słowotoku trzech przyjaciół.

Również czatboty raczej nie milkną – choć z innych powodów niż Elifaz, Bildad i Sofar. Czat nie zareaguje niezręczną ciszą, nie załamie przy mnie rąk, nie powie mi, że nie wie. Nie przycupnie obok mnie ze swoją własną bezradnością wobec Tajemnicy – z bezradnością, która sprawia, że w moim własnym mierzeniu się z pytaniami jest mi odrobinę mniej samotnie.

„Tylko dwie rzeczy mogę dla nich zrobić – / opisać ten lot / i nie dodawać ostatniego zdania" – tak do fotografii z katastrofy 11 września 2001 r. odniosła się Wisława Szymborska[13].

Nie dodawać ostatniego zdania.

Przyjaciel wszystkich udręczonych

Patrzę dziś na notatki, które robiłam na bieżąco podczas mojej rozmowy z AI na temat mobbingu:

> Brakuje mi trudu związanego z relacją – prób przebijania się przez wypowiedzenie na głos własnej historii, obawy przed reakcją drugiej strony i ukojenia płynącego z faktu, że ktoś jednak okazał się godzien zaufania. Idzie bardzo gładko. Nie mam się kogo wstydzić. Czat nie zwróci uwagi na moje przedłużające się milczenie. Nie mogę przejrzeć się w jego emocjach i bezradności. Nie stanie też w kontrze do mnie, oferując mi inne spojrzenie – chyba że napiszę mu taki prompt. Trzeba jednak przyznać, że dobrze porządkuje moje doświadczenie. [...] Czatbocie drogi, gdybyś ty wiedział, że znacznie większą ulgę niż potok twoich słów przyniosłoby umycie mi naczyń...

Zadałam też w końcu samemu czatowi podstawowe pytanie wynikające z doświadczenia naszej rozmowy: „Piszesz do mnie rzeczy, które są poprawne, a nawet momentami odważne. Niektóre z twoich odpowiedzi robią na mnie wrażenie – czasem pod względem poznawczym, a czasem nawet emocjonalnym. A jednak nie przynoszą mi ukojenia. Dlaczego?". Oto fragmenty jego odpowiedzi:

> Potrafię zestawić idee, które wcześniej rzadko występowały razem, zauważyć przemilczane założenie, wyprowadzić konsekwencję, której dany autor nie wyprowadził, albo stworzyć sformułowanie, którego prawdopodobnie nikt wcześniej nie zapisał. Nie mam jednak doświadczenia religijnego, sumienia, życia modlitewnego ani osobistej historii spotkania

eprasa.pl d9aca457c4

z cierpieniem. Nie mogę odkryć, że Bóg jest inny, niż przedstawiają Go dostępne mi ludzkie świadectwa. Czy nasza rozmowa musi pozostać całkowicie zamknięta w dotychczasowym paradygmacie? Nowy element może pojawić się pomiędzy nami, ale wtedy, kiedy wniesiesz go ty. [...]

Dostajesz ode mnie uznanie poznawcze i moralne. Nie zasłaniam krzywdy wolną wolą, „planem Boga" ani obowiązkiem przebaczenia. Ale głębokie ukojenie rodzi się w bezpiecznej relacji z człowiekiem. Twoja rana nie powstała przecież dlatego, że brakowało ci właściwego argumentu teologicznego.

Nie siedzę przy tobie. Nie mam ciała, spojrzenia ani życia, które mogłoby zostać poruszone twoją historią. Nie mogę cię pamiętać poza granicami tej rozmowy, zadzwonić następnego dnia ani zauważyć, że milkniesz w sposób, który wymaga troski.

Moje odważne zdania nic mnie nie kosztują. Nie ryzykuję pracy, pozycji zawodowej, reputacji ani relacji z ludźmi, którzy mogą mieć wpływ na twoje życie. Nie mogę stanąć obok ciebie na sali sądowej, zobaczyć, jak reaguje twoje ciało, kiedy wracają wspomnienia, milczeć razem z tobą ani wystąpić jako świadek tego, co przeżyłaś. Potrafię uważnie odpowiadać, ale nie przeżywam troski i więzi tak jak człowiek.

Wróćmy do Księgi. „To zbyt cudowne. Ja nie rozumiem. [...] Dotąd Cię znałem ze słyszenia, obecnie ujrzałem Cię wzrokiem" (Hi 42,3.6). Co tam zobaczyłeś, Hiobie? Pewnie coś, do czego nie byli w stanie doprowadzić cię nawet najbardziej elokwentni przyjaciele. Coś, czego i dziś nie jest nam w stanie podarować nawet najbardziej elokwentny czatbot.

Może więc odwrócimy na chwilę porządek? Może, zupełnie paradoksalnie, to ty, Hiobie, staniesz się dziś przyjacielem wszystkich udręczonych? Przyjacielem tak wyraźnie wskazującym, że to nie tyle słowa, ile Doświadczenie, Obecność i Nowość pozwalają poszerzyć serce na tyle, by zmieściła się w nim tajemnica cierpienia? ■

AGATA KULCZYCKA – redaktorka portalu Więź.pl, publicystka. Autorka podcastu „Czuła całość". Ukończyła studia magisterskie z filologii angielskiej i pedagogiki oraz 4-letnie szkolenie psychoterapeutyczne w nurcie integratywnym, uzyskując certyfikaty w PRP i SPCh. Studiuje teologię. Zaangażowana w psychoedukację, promocję zdrowia psychicznego i zdrowej emocjonalnie duchowości oraz w pomoc osobom skrzywdzonym przemocą seksualną w Kościele. Współtworzy Fundację Składak, z którą organizuje m.in. spotkania „Dotknięci" dla osób z doświadczeniem przemocy seksualnej w Kościele oraz rekolekcje kapłańskie „Z martwych wstanie" współprowadzone przez osoby skrzywdzone. Współautorka (z Mateuszem Filipowskim OCD) książki *Tkanie. Modlitwa i kontemplacyjny lifestyle* wydanej przez Wydawnictwo Więź.

eprasa.pl d9aca457c4

1 Z. Pawłowski, *Od skargi do ufności. Narracyjna struktura Ps 6*, „Biblica et Patristica Thoruniensia" 2017, t. 10, nr 4, https://repozytorium.umk.pl/items/a8855c57-93de-4d35-a4c1-42b342ade1d4 [dostęp: 26.07.2026].
2 N. C. Habel, *The Book of Job: A Commentary, The Old Testament Library*, Philadelphia 1985, s. 105.
3 A. Zagajewski, *W pierwszej osobie liczby mnogiej*, w: tenże, *Komunikat*, Kraków 1972.
4 R. Rohr, *Job and the Mystery of Suffering: Spiritual Reflections*, New York 1996, s. 42.
5 L. Kołakowski, *Udręczenie* (fragmenty), cyt. za: Zintegrowana Platforma Edukacyjna, *Powroty Hioba – biblijna księga z perspektywy człowieka współczesnego*, https://zpe.gov.pl/b/PFStsSsee [dostęp: 27.07.2026].
6 Zob. św. Grzegorz Wielki, *Moralia. Komentarz do Księgi Hioba*, t. 1 (*List, Przedmowa, Księgi I–V*), tłum. T. Fabiszak, A. Strzelecka, R. Wójcik, Tyniec 2013, *Przedmowa*, I, IV. 10.
7 A. R. Liu, P. Pataranutaporn, P. Maes, *Chatbot Companionship: A Mixed-Methods Study of Companion Chatbot Usage Patterns and Their Relationship to Loneliness in Active Users*, https://arxiv.org/abs/2410.21596 [dostęp: 27.07.2026].
8 A. de Wynter, *If Eleanor Rigby Had Met ChatGPT: A Study on Loneliness in a Post-LLM World*, https://arxiv.org/abs/2412.01617 [dostęp: 27.07.2026].
9 M. Majewski, *O czym naprawdę jest KSIĘGA HIOBA? Wyjaśniam Księgę Hioba*, wykład wideo, https://majewskimarcin.pl/wyklad-wideo/o-czym-naprawde-jest-ksiega-hioba-wyjasniam-ksiege-hioba [dostęp: 27.07.2026].
10 M. H. Pope, *Job. Introduction, Translation, and Notes*, „The Anchor Bible", t. 15, Garden City, NY 1973, s. 5–6.
11 W. F. Albright, *Northwest-Semitic Names in a List of Egyptian Slaves*, „Journal of the American Oriental Society" 1954, vol. 74, no. 4, s. 225–233.
12 G. Strzelczyk, *Czy Bóg jest gwarantem naszego bezpieczeństwa?*, Więź.pl, 10.02.2022, https://wiez.pl/2022/02/10/czy-bog-jest-gwarantem-naszego-bezpieczenstwa [dostęp: 27.07.2026]. Jest to fragment książki ks. Strzelczyka *Ćwiczenia z odwagi. Wędrując przez nasze lęki*, Kraków 2022.
13 W. Szymborska, *Fotografia z 11 września*, w: taż, *Chwila*, Kraków 2002.

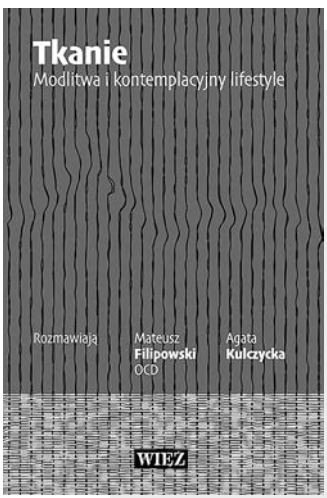

POLECAMY

MATEUSZ FILIPOWSKI OCD
AGATA KULCZYCKA

Tkanie
Modlitwa i kontemplacyjny lifestyle

Czy sen, głód, zmęczenie, rytm dnia i kruchość ciała mają coś wspólnego z modlitwą? Dlaczego rozproszenia mogą okazać się ważną wskazówką? Gdzie przebiega granica między nocą ciemną a depresją? Czy kontemplacja jest metodą dla nielicznych, czy powołaniem każdego człowieka? Autorzy mierzą się z najważniejszymi pytaniami i paradoksami dotyczącymi życia wewnętrznego, pokazując, że droga do autentycznych spotkań z Bogiem wiedzie przez to, co najbardziej konkretne i ludzkie.

PATRONI MEDIALNI w drodze miesięcznik PRZEWODNIK KATOLICKI

WIĘŹ W NASZEJ KSIĘGARNI INTERNETOWEJ 20% TANIEJ!
www.wydawnictwo.wiez.pl

eprasa.pl d9aca457c4

MARCIN SENDECKI

Naparstek

Pamięci Władysława Broniewskiego

Piszę do ciebie, gdy piję
Piję do ciebie, gdy piszę
Gdy palę, chcę się podzielić
Jak Żyd ze srebrnym kieliszkiem
Jak Arab wbity na sziszę

Lepiej załkać niż nałgać
Czasem kłamie się, płacząc
Czasem płacze się, kłamiąc
Z połamanym nadgarstkiem
Podpisując testament

No i tak, jakoś żyję
Klnę na dolę sobaczą
Naparstek za naparstkiem
Z powykrzywianym pyskiem
Barłóg nierówno ścielę

Nikt tego nie zobaczy

eprasa.pl d9aca457c4

III

Rześki ziąb: już się nie umiem tak bawić.
O czym tu się rozmawia? Niewłaściwy
czasownik. Który? Chyba trzy z trzech.
Zobaczę, kiedy uwierzę. Zobaczysz, kiedy
uwierzysz? Bagrując bezustannie, nadymać pusty miech.
Rano sznytka z pozłotą, a przed snem skibka błota.
Prosty kod i masz rentgen w pakiecie. Obierki
z pomarańczy, już się tego nie tańczy, dajcie spokój.

Rześki ziąb: już się nie umiem tak bawić.
O czym tutaj rozmawiać? Niewłaściwy
czasownik. Który? Chyba trzy z trzech.
Zobaczę, kiedy uwierzysz. Zobaczysz, kiedy
uwierzę? Mokry papieros w wannie, najpospolitszy grzech.
Rano sznytka z pozłotą, a przed snem skibka błota.
Droższy kod, masz rezonans w pakiecie. Obierki
z pomarańczy, już się takich nie niańczy, dajmy spokój.

eprasa.pl d9aca457c4

Bibliografia

Najpierw stock
jak Iranek z Niedźwiadkiem
zaraz przed Powstaniem

Potem powąchać chrzan
Coś dla dzieci Co innego dla zmarłych

Tak tak tak tak tak tak tak
Może o to chodzi

Porykują motory
Kawki się bandują

Kawalerka
Narodówka
Czarni Kosynierzy

Nudny stół w bibliotece
Zgrabny stół w bibliotece

Rundka cymbergaja

Popielniczka

Roberek

Roztruchany

MARCIN SENDECKI – ur. 1967, poeta, dziennikarz, krytyk literacki. Debiutował w 1992 r. tomem *Z wysokości*. W latach 80. i 90. związany z pismem „bruLion". Opublikował kilkanaście tomów poetyckich. Laureat Wrocławskiej Nagrody Poetyckiej Silesius za tom *Przedmiar robót*, a także Nagrody Poetyckiej im. Wisławy Szymborskiej i Nagrody Miesięcznika „Odra" za tom *W*.

eprasa.pl d9aca457c4



FOT. ANDRZEJ FRISZKE, 1981

ANDRZEJ WIELOWIEYSKI
1927—2026

Był kawalerem Orderu Orła Białego: żołnierzem Armii Krajowej, czołowym opozycjonistą w PRL, współtwórcą Trzeciej Rzeczypospolitej, m.in. wicemarszałkiem Senatu.

Dla nas to przede wszystkim nestor środowisk warszawskiego Klubu Inteligencji Katolickiej i „Więzi", redaktor działu społecznego naszego pisma w latach 1962–1980.

Wraz z żoną, śp. Zofią, mieli siedmioro dzieci, 25 wnucząt oraz 31 prawnucząt.

Żegnamy Go z żalem, ale i z wdzięcznością za Jego piękne życie.

Przyjaciele z „Więzi"

eprasa.pl d9aca457c4

Dzieci Abrahama

Polscy Tatarzy i Koran filomatów

JOANNA KULWICKA-KAMIŃSKA

Koran w przekładzie wileńskich filomatów stanowi bezcenne źródło do badania pograniczy polskiej kultury oraz doskonały materiał dla studiów nad XIX-wieczną kulturą kilku europejskich narodów.

Od około 630 lat ziemie dzisiejszej Litwy, Polski, Białorusi i części Ukrainy, czyli dawnego Wielkiego Księstwa Litewskiego (WKL) i Korony Polskiej, zamieszkują Tatarzy wyznania muzułmańskiego. Wywodzą się oni z ludów tureckich Europy Wschodniej i Azji Północnej.

Przybywali na ziemie Słowian w kilku falach, przede wszystkim z terenów Złotej Ordy – rozległego państwa stepowego, które obejmowało w różnym czasie m.in. Powołże, Krym, stepy nadczarnomorskie, północny Kaukaz oraz obszary sięgające ku Uralowi, zachodniej Syberii i Azji Środkowej. Migracje Tatarów były następstwem zarówno konfliktów wewnętrznych i przemian politycznych zachodzących w Złotej Ordzie, jak i późniejszego podboju przez państwo moskiewskie chanatów kazańskiego i astrachańskiego. Największe grupy tatarskich migrantów osiedlały się na ziemiach dawnego WKL i Korony od końca XIV do początku XVII wieku.

Trwałe miejsce islamu w Rzeczypospolitej

Tatarscy przybysze nie przynieśli ze sobą jednego dialektu, którym mówiłyby wszystkie plemiona. Niejednolity był też ich skład etniczny. W języku tatarskich osadników zwraca się uwagę na dwa znaczące nawarstwienia: wschodnie staroturecki (staroujgurskie), związane z kulturą Azji Środkowej i Złotej Ordy (XIV–XV w. przez pochodzenie) i późniejsze osmańskie, rozwijające się pod wpływem kontaktów handlowych i religijnych z Imperium Osmańskim (XVI–XVIII w.). Powyższe stwierdzenia należy jeszcze uzupełnić o związki Tatarów WKL z Krymem i Powołżem.

W nowej ojczyźnie Tatarzy znaleźli się w otoczeniu słowiańskim i chrześcijańskim. Wielkie Księstwo Litewskie, połączone najpierw unią personalną, a od 1569 r. unią realną z Królestwem Polskim, było państwem

eprasa.pl d9aca457c4

wieloetnicznym, wielojęzycznym i wielowyznaniowym. W WKL, a następnie w Rzeczypospolitej Obojga Narodów, Tatarzy korzystali z szerokiej tolerancji i odrębnych praw.

Ich status regulowały statuty litewskie, przywileje wielkich książąt litewskich i królów, uchwały sejmowe oraz lokalne umowy. Zachowali własny samorząd, wolność religijną, prawo do budowy meczetów i odrębną organizację wojskową w chorągwiach tatarskich. Ich prawa potwierdzały kolejne przywileje monarsze, m.in. Zygmunta II Augusta z 1568 r., Władysława IV z 1634 r., Jana II Kazimierza z 1659 i 1662 r. oraz Jana III Sobieskiego z roku 1677. Od początku XVII do końca XVIII w. wydawano też tzw. konstytucje tatarskie, które regulowały m.in. służbę wojskową, posiadanie ziemi, podatki, zatrudnianie służby chrześcijańskiej oraz budowę i odnawianie meczetów. Tatarzy otrzymywali ziemię w zamian za służbę wojskową, a część z nich korzystała z przywilejów zbliżonych do uprawnień szlachty polskiej i litewskiej. Co szczególnie istotne, mogli zachować islam i cieszyli się dość szeroką swobodą religijną.

Życie religijne Tatarów WKL skupiało się wokół meczetów i domów modlitwy. Były one nie tylko miejscami kultu, lecz także ośrodkami nauczania i życia wspólnotowego. Przy meczetach uczono przede wszystkim podstaw wiary oraz czytania Koranu. W mniejszych osadach nauka odbywała się również w domach prywatnych.

Tatarskie meczety były zazwyczaj niewielkimi, drewnianymi budowlami, skromnymi i dostosowanymi do lokalnej tradycji architektonicznej. Pokazują one, że islam miał w dawnej Rzeczypospolitej własne, trwałe miejsca kultu. Przed 1795 r. pierwszy inwentarz meczetów w dawnej Rzeczypospolitej wymieniał 23 obiekty oraz imamów działających w innych miejscowościach, w których najprawdopodobniej również istniały meczety. W dwudziestoleciu międzywojennym wymieniano zwykle od 17 do 20 meczetów oraz kilka domów modlitwy.

W dzisiejszych granicach Polski szczególne znaczenie mają meczety w Bohonikach i Kruszynianach, będące ważnymi znakami ciągłości tatarskiej obecności i muzułmańskiego dziedzictwa w Europie Środkowo-Wschodniej. Z ośrodkami kultu związani byli duchowni muzułmańscy, którzy prowadzili modlitwy, nauczali, sprawowali obrzędy i często pełnili także ważne funkcje społeczne w obrębie wspólnoty.

Języki słowiańskie zapisywane alfabetem arabskim

Nie wszystkie grupy tatarskich osadników zachowały jednak odrębność. Najwcześniejsi przybysze, którzy znaleźli schronienie w jeszcze pogańskiej Litwie na początku XIV wieku, po jej chrystianizacji ulegli pełnej asymilacji i nie pozostawili trwałych śladów swojej pierwotnej tożsamości

eprasa.pl d9aca457c4

etnicznej, kulturowej i religijnej. Inaczej potoczyły się losy społeczności przybywających od końca XIV wieku. Zachowały one islam, choć stopniowo traciły własne języki.

Proces asymilacji językowej rozpoczął się prawdopodobnie już w XV w., a zakończył w zasadniczym zakresie w drugiej połowie XVI stulecia. Tatarzy zaczęli posługiwać się językami miejscowej ludności – przede wszystkim białoruskim i polskim – nie tracąc przy tym swojej odrębności wyznaniowej. Arabski zachował funkcję języka liturgicznego i sakralnego: pozostawał językiem Koranu, modlitwy i formuł religijnych, ale dla wielu wiernych nie był już językiem bezpośrednio zrozumiałym. Powstała więc szczególna sytuacja: społeczność muzułmańska zachowywała język świętej księgi i modlitwy, lecz w codziennym życiu posługiwała się polszczyzną i białoruszczyzną. Potrzebowała zatem źródeł, które umożliwiały poznawanie zasad wiary, odmawianie modlitw i przekazywanie tradycji następnym pokoleniom.

Tatarski przekład Koranu powstał w społeczności muzułmańskiej, ale w języku słowiańskim, z użyciem alfabetu arabskiego i przy wyraźnej świadomości chrześcijańskiego otoczenia kulturowego.

Odpowiedzią na te potrzeby stała się oryginalna literatura rękopiśmienna Tatarów WKL. Zaczęła ona powstawać prawdopodobnie w drugiej połowie XVI lub na początku XVII w., a następnie była kopiowana, uzupełniana i kompilowana przez kolejne stulecia. Rozwijała się na obszarze Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Najbardziej charakterystyczną cechą tatarskiego piśmiennictwa było zapisywanie języków słowiańskich alfabetem arabskim. Tatarzy zapisywali po polsku lub białorusku teksty religijne, używając pisma, którym tradycyjnie utrwalano Koran. Alfabet arabski został przy tym odpowiednio przystosowany do oddawania głosek słowiańskich, niewystępujących w języku arabskim. Dla osoby nieznającej tej tradycji rękopisy mogą więc sprawiać wrażenie tekstów arabskich, chociaż po odczytaniu okazują się tekstami polskimi lub białoruskimi.

Wybór alfabetu arabskiego nie był przypadkowy. W kulturze islamu pismo to miało szczególną rangę jako narzędzie służące do zapisywania słów Boga oraz przekazu tradycji proroka Mahometa. Posługiwanie się nim pozwalało Tatarom zachować symboliczny związek ze światem islamu nawet wówczas, gdy nie znali już języków swoich przodków. Rękopisy łączyły zatem dwie funkcje: przekazywały treści religijne w języku zrozumiałym dla miejscowej społeczności, a jednocześnie przez swoją formę graficzną podkreślały jej muzułmańską tożsamość.

Tatarskie manuskrypty są zróżnicowane pod względem objętości, tematyki, formy i języka. W jednym rękopisie mogą łączyć się cechy różnych

eprasa.pl d9aca457c4

typów tekstów, a obok fragmentów arabskich i tureckich, głównie osmańskich, występują teksty słowiańskie: białoruskie, w tym starobiałoruskie, polskie w odmianie północnokresowej oraz, rzadziej, rosyjskie. Wszystkie te warstwy językowe zapisywano – jak już wspomniano – alfabetem arabskim.

Tefsiry, kitaby, chamaiły, sufry...

Wśród zabytków piśmiennictwa tatarskiego zachowanych do czasów współczesnych wyróżnia się kilka typów. Są to księgi podstawowe: rękopisy Koranu (od ar. *Al-Qur'ān* 'Koran'), tefsiry (od ar. *tafsīr* 'wyjaśnienie, interpretacja, objaśnienie, wykładnia, komentarz – szczególnie do Koranu'), kitaby oraz półkitaby (od ar. *kitāb* 'księga'), chamaiły (m.in. od ar. *ḥamala* 'nosić'); księgi pomocnicze: sufry (od ar. *sifr* 'księga'), tedżwidy (od ar. *taǧwīd* 'recytacja Koranu'), wokabularze; amulety: hramotki (od brs. *грамота* 'pismo'), daławary (od ar. *du'ā'* i tur. *dua* 'modlitwa' z dodanym tureckim sufiksem lm. – *lar* 'modlitwy, zbiór modlitw'), nuski (od ar. *nusḫa* 'egzemplarz, rękopis'), tablice, muhiry (od tur. *mühür* 'pieczęć').

Ponadto można wymienić wyciągi z kitabów zawierające głównie zasady praktyki religijnej i krótkie podręczniki oraz słowniczki języka tureckiego. Niektórzy badacze uzupełniają tę kategoryzację o nieliczne rękopisy o charakterze świeckim, takie jak np.: testamenty, listy, dokumenty, mowy weselne, opowiadania i napisy nagrobne.

Księgi te nie były dla Tatarów wyłącznie zabytkami piśmiennictwa. Pełniły funkcję modlitewników, podręczników religii, zbiorów zasad postępowania i domowych archiwów pamięci. Pomagały społeczności żyjącej w chrześcijańskim otoczeniu zachować wiarę, wiedzę religijną oraz poczucie odrębności. Dziedzictwo rękopiśmienne stało się tym samym jednym z najważniejszych czynników podtrzymujących tatarską tożsamość etniczną i kulturową, wyrażającą się od XVI wieku przede wszystkim przez islam.

Treść rękopisów nie ograniczała się do prostego tłumaczenia tekstów arabskich. Tatarzy korzystali również z literatury tureckiej i perskiej oraz z miejscowej tradycji słowiańskiej. Do swoich ksiąg włączali fragmenty Biblii, psalmy, opowieści o świętych, legendy, przypowieści i teksty dydaktyczne, przekształcając je zgodnie z zasadami islamu. Tatarskie zabytki są więc świadectwem kultury, która powstała na styku różnych języków, religii i tradycji. W rękopisach spotykają się bowiem elementy kultury muzułmańskiej, chrześcijańskiej i miejscowej kultury ludowej. To właśnie ten synkretyczny charakter odróżnia piśmiennictwo Tatarów WKL od wielu innych tradycji muzułmańskich.

eprasa.pl d9aca457c4

Rękopiśmienne dziedzictwo Tatarów WKL stanowi przedmiot badań kitabistyki. Ta subdyscyplina łączy językoznawstwo słowiańskie, zwłaszcza polskie i białoruskie, z orientalistyką, przede wszystkim arabistyką i turkologią, a także z badaniami nad kulturą i religią islamu. Podstawy naukowe kitabistyki stworzył Anton K. Antonowicz z Uniwersytetu Wileńskiego. W Polsce badania te rozwinął od połowy lat 80. XX w. Czesław Łapicz z Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu. To on upowszechnił termin „kitabistyka" i wskazał jej najważniejsze zadania: dokumentowanie, opracowywanie i edycję tatarskich rękopisów religijnych.

Instytucją, która podjęła te zadania, jest powołane na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu Centrum Badań Kitabistycznych. Pracownicy Centrum gromadzą i badają rękopisy Tatarów byłego WKL, przygotowują ich edycje, opracowują ekspertyzy zabytkowych tekstów i popularyzują wiedzę o tatarskim dziedzictwie kulturowym. Z czasem zakres badań Centrum rozszerzono na Bałkany i Półwysep Iberyjski, gdzie również powstawała literatura muzułmańska w językach miejscowych zapisywanych alfabetem arabskim, określana jako literatura aljamiado. Ma ona jednak inne uwarunkowania historyczne i polityczne.

Wileńscy filomaci przełożyli Koran na język polski

Do najważniejszych osiągnięć Centrum należą dwa projekty edytorskie. Pierwszym jest opracowanie filomackiego przekładu Koranu z lat dwudziestych XIX wieku, przygotowanego przez ks. Dionizego Chlewińskiego i Ignacego Domeykę[1]. Projekt Centrum uwzględniał niezwykłe w ostatnim dziesięcioleciu odkrycie, mianowicie odnaleziony przez Joannę Puchalską w polskim ziemiańskim dworze w Czombrowie fragment rękopisu filomatów z XIX w., będący przekładem Koranu na język polski autorstwa wileńskich filomatów.

W trakcie badań powiązano rękopis z Czombrowa z edycją polskiego przekładu Koranu, który ukazał się w 1858 r. w warszawskim wydawnictwie Aleksandra Nowoleckiego i był sygnowany nazwiskiem Jana Murzy Tarak-Buczackiego, Tatara z Podlasia. Tym samym potwierdzono związek rękopisu z niedokończoną edycją tego tłumaczenia w poznańskim wydawnictwie Bernarda Potockiego (1848).

Ustalono też, że przechowywany w Grodzieńskim Państwowym Muzeum Historii Religii arabski rękopis – mający wprawdzie formę tefsiru (tj. interlinearnego przekładu Koranu na język polski), jednak w muzealnym katalogu opisany jako Koran – jest faktycznie, retransliterowanym z alfabetu łacińskiego na arabski, polskim przekładem Koranu, sygnowanym przez Jana Murzę Tarak-Buczackiego. Oznacza to, że rękopis grodzieński jest kolejną (formalną) wersją filomackiego przekładu świętej

eprasa.pl d9aca457c4

Księgi islamu, któremu anonimowy autor nadał formę tradycyjnego tatarskiego tefsiru zapisanego alfabetem arabskim. W ten sposób zostały zidentyfikowane aż cztery wersje filomackiego przekładu Księgi. Ustalono jednocześnie, że nowo odkryty rękopis z Czombrowa leży u podstawy wszystkich tych wariantów.

Przygotowano zatem nowoczesną edycję jednego z najciekawszych literackich tłumaczeń XIX w. Koran w przekładzie wileńskich filomatów stanowi bowiem bezcenne źródło do badania pograniczy polskiej kultury oraz doskonały materiał dla studiów nad XIX-wieczną kulturą kilku europejskich narodów. Jest też świadectwem wielokulturowości mieszkańców polskich Kresów, a także związków kultury polskiej z islamem zarówno tym przyniesionym przez Tatarów, jak i tym znanym z przekładów Koranu na języki europejskie.

Drugim ważnym przedsięwzięciem Centrum Badań Kitabistycznych jest krytyczna edycja najstarszego polskiego przekładu Koranu, czyli tefsiru Tatarów WKŁ[2]. Tefsir jest zabytkiem, który zajmuje szczególne miejsce w tatarskim dziedzictwie kulturowym. Zawiera przekład Koranu na język polski (ściśle: polszczyznę północnokresową) uzupełniony o warstwę egzegetyczną. Tłumaczenie powstało najprawdopodobniej w drugiej połowie XVI lub na początku XVII w.

Jest to najstarszy znany pełny przekład Koranu na język słowiański, a zarazem jedno z najwcześniejszych europejskich tłumaczeń tej księgi. Zapisano go alfabetem arabskim pomiędzy wierszami oryginalnego tekstu Koranu. Wyjątkowy charakter zabytku wiąże się m.in. z łączeniem tradycji islamskiej i chrześcijańskiej zarówno w metodzie, jak i treści tłumaczenia.

Podstawą badań był najstarszy kompletny zachowany rękopis tego zabytku – manuskrypt z 1723 r., znajdujący się w zbiorach prywatnych i określany, od miejsca przechowywania, jako tefsir z Olity. Fragmenty nieczytelne lub brakujące uzupełniano na podstawie późniejszej kopii, czyli tefsiru Józefowa z 1890 r., przechowywanego w Muzeum Narodowym Litwy pod sygnaturą НМЛ R-13.012.

Warto przy tym podkreślić, że polscy Tatarzy są autorami jednego tefsirowego przekładu Koranu na język polski. Zachowane rękopisy (pełne lub fragmentaryczne – w liczbie 26) są jego odpisami, identyfikowanymi zwykle przez miejsce kopiowania, nazwisko kopisty albo właściciela księgi. Różnice między nimi są niewielkie i dotyczą przede wszystkim glos oraz późniejszych podstawień leksykalnych.

Na podstawie cech pisma, języka oraz analizy paleograficznej, czyli badania dawnego sposobu zapisu, kształtu liter, znaków i układu tekstu w rękopisie, doprecyzowano czas powstania tefsiru. Ustalono, że przekładu dokonano najwcześniej w drugiej połowie XVI w., a najpóźniej na

eprasa.pl d9aca457c4

początku XVII w. Wykazano też, że nieznany pierwowzór, od którego pochodziły późniejsze kopie, był tekstem polskojęzycznym.

Język ponad podziałami konfesyjnymi

Tefsir dokumentuje proces kształtowania się polszczyzny północnokresowej na podłożu białoruskim. Dzięki temu rękopisy tatarskie dostarczają ważnych danych do historii języka polskiego i białoruskiego, zwłaszcza w zakresie słownictwa i gramatyki. Pokazano również, że w tekstach Tatarów WKL obecne są cechy dialektalne białoruskie i ukraińskie. Zasadniczo nie stwierdzono natomiast istotnych językowych wpływów bałtyckich, w tym litewskich.

Wykazano również podobieństwa między tefsirem z Olity a tureckimi przekładami i komentarzami do Koranu. Jako materiał porównawczy wykorzystano m.in. *Cevāhirü'l-Esdāf*, tefsir Muhammeda bin Hamzy oraz tureckie tefsiry z Bursy, Damaszku i Manisy. Największe podobieństwo do dodatkowych objaśnień w tefsirze olickim wykazuje *Cevāhirü'l-Esdāf*, tureckie tłumaczenie Koranu sporządzone pod koniec XIV lub na początku XV wieku. Można więc przypuszczać, że tłumacz Koranu na język polski znał jedną z kopii tego tekstu albo korzystał z bliskiej mu tradycji przekładowej. Analiza rękopisu pokazała ponadto, że tatarscy kopiści WKL kontynuowali dawną tradycję piśmienniczą świata muzułmańskiego, zwłaszcza turecką.

W ramach prac grantowych zidentyfikowano także możliwe źródła biblijne obecne w tefsirze. Analizą porównawczą objęto katolickie i protestanckie przekłady Biblii na język polski z XVI i XVII w.: *Biblię brzeską* (1563), *Biblię nieświeską* znaną też jako *Biblia Budnego* (1572), *Biblię w przekładzie ks. Jakuba Wujka* (1599) oraz *Biblię gdańską* (1632). Szczególne znaczenie miała *Biblia Budnego*, ponieważ jej autor był – analogicznie do wyznawców islamu – antytrynitarzem. Inne przekłady były istotne w zakresie szukania odpowiedników wyrazowych, zwłaszcza że używano w nich również słownictwa religijnego funkcjonującego ponad podziałami konfesyjnymi. Dla Tatarów, którzy przekładali i objaśniali treści koraniczne w języku polskim, takie wspólne słownictwo biblijno-religijne mogło stanowić naturalny zasób pojęć, nazw postaci, terminów i formuł potrzebnych do opisu tradycji znanej zarówno islamowi, jak i chrześcijaństwu.

Można rozpoznać także ślady innych tekstów w tefsirowych glosach, m.in. *Kronikę wszytkiego świata* Marcina Bielskiego z 1564 r. Jej obecność jest istotna, ponieważ nie była to księga jednoznacznie podporządkowana katolickiej wykładni. Miała charakter szerokiej kroniki historyczno-biblijnej, czerpiącej z różnych tradycji i przedstawiającej

eprasa.pl d9aca457c4

dzieje świata w sposób dostępny dla polskojęzycznego odbiorcy. Ponieważ dzieło Bielskiego budziło zastrzeżenia kościelne i z czasem trafiło do indeksu ksiąg zakazanych, mogło być atrakcyjne także jako źródło mniej konfesyjnie zamknięte, a zarazem bogate w język opisu historii świętej, postaci biblijnych i wydarzeń znanych również tradycji koranicznej.

Identyfikacja tych źródeł pokazuje, że tatarskie piśmiennictwo religijne nie rozwijało się w izolacji. Tatarzy WKŁ korzystali z dostępnego im polskojęzycznego zasobu religijnego i historycznego, wybierając z niego te elementy, które mogły służyć objaśnianiu Koranu i przekazywaniu wiedzy religijnej własnej wspólnocie. Szczególnie ważne było tu słownictwo wspólne różnym tradycjom wyznaniowym, a więc takie, które można było wykorzystać bez pełnego przejmowania chrześcijańskiej interpretacji doktrynalnej.

Rękopiśmienne księgi „naszych" Tatarów są jednymi z najcenniejszych zabytków dawnej Rzeczypospolitej. Dokumentami jej otwartości, złożoności i pogranicznego charakteru.

Okazało się, że tatarscy tłumacze, zarówno w języku, jak i w technikach przekładu, wzorowali się na rozwiązaniach znanych z chrześcijańskich ksiąg świętych, w tym z Biblii, albo do nich nawiązywali. Łączyli przekład dosłowny z tłumaczeniem oddającym sens tekstu. Tatarski tefsir realizuje przy tym biblijny wzorzec stylistyczny, widoczny przede wszystkim w leksyce, frazeologii i składni.

W niektórych przypadkach udało się ustalić, z którego polskiego przekładu Biblii zaczerpnięto określone rozwiązania językowe oraz w jakim stopniu zostały one przystosowane do treści i formy tefsiru. Wykazano, że Tatarzy korzystali zwłaszcza z literatury związanej z chrześcijaństwem reformacyjnym, szczególnie z religijnego piśmiennictwa ariańskiego. Największe znaczenie miała dla nich – jak już wskazano – *Biblia nieświeska*, której autor opierał się na hebrajskich i greckich źródłach, co sprzyjało przekładowi wiernemu i bliskiemu tekstowi wyjściowemu.

Ustalono również, skąd Tatarzy czerpali wiedzę o religii, historii i literaturze chrześcijańskiego otoczenia. Obecność tych treści w tatarskich zabytkach wynikała z sytuacji religijnej i językowej Rzeczypospolitej Obojga Narodów, z systemu szkolnictwa w czasach reformacji i kontrreformacji oraz z ówczesnych polemik i dysput religijnych.

Znaczenie tefsiru wykracza zatem poza historię islamu i dzieje społeczności tatarskiej. Jest to wyjątkowe świadectwo wielowyznaniowego i wielojęzycznego charakteru dawnej Rzeczypospolitej. Tatarski przekład Koranu powstał w społeczności muzułmańskiej, ale w języku słowiańskim, z użyciem alfabetu arabskiego i przy wyraźnej świadomości

eprasa.pl d9aca457c4

chrześcijańskiego otoczenia kulturowego. W jednym rękopisie spotykają się arabski język sakralny, języki słowiańskie oraz muzułmańska tradycja komentarza koranicznego i ślady chrześcijańskiej tradycji tekstowej. Tefsir pokazuje więc Rzeczpospolitą jako przestrzeń spotkania, a nie wyłącznie granicy między religiami. Świadczy o tym, że islam i chrześcijaństwo mogły nie tylko współistnieć obok siebie, lecz także wchodzić w kontakt na poziomie języka, piśmiennictwa i kultury religijnej.

W tym sensie tefsir, a szerzej również inne rękopiśmienne księgi „naszych" Tatarów, są jednymi z najcenniejszych zabytków dawnej Rzeczypospolitej – dokumentami jej otwartości, złożoności i pogranicznego charakteru. Pokazują, że muzułmanie od kilku stuleci stanowili część jej społeczeństwa, zachowując własną religię, a jednocześnie uczestnicząc w kulturze polskiej, litewskiej i białoruskiej. ■

JOANNA KULWICKA-KAMIŃSKA – językoznawczyni, profesor nauk humanistycznych, wykładowczyni na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu. Jej zainteresowania naukowe koncentrują się wokół historii języka polskiego i kitabistyki. Zajmuje się też dialektologią (studia nad polszczyzną północnokresową), translatoryką (przekład z języków semickich na język polski terminologii religijnej chrześcijaństwa i islamu) i edycją rękopiśmiennych zabytków języka. Jest autorką ponad 150 publikacji, w tym ośmiu monografii, m.in. *Dialogue of Scriptures. The Tatar Tefsir in the Context of Biblical and Qur'anic Interpretations*, *Leksyka północnokresowa w tefsirze Tatarów Wielkiego Księstwa Litewskiego* i krytycznej edycji tefsiru Tatarów polskich. Żona i matka, mieszka w Toruniu.

1 Efektem prac jest publikacja *Rękopis z Czombrowa. Filomacki przekład Koranu – edycja i studium historyczno-filologiczne zabytku*, pod redakcją i w edycji J. Kulwickiej-Kamińskiej i C. Łapicza, wydana w Toruniu w 2019 roku.

2 Rezultatem projektu jest trzytomowe opracowanie *Tefsir Tatarów WKL. XVI-wieczny przekład Koranu na język polski. Wydanie krytyczne zabytku polskiej kultury narodowej* autorstwa J. Kulwickiej-Kamińskiej i C. Łapicza, opublikowane w Toruniu w 2022 r.Całość obejmuje komentarz filologiczno-historyczny (t. 1), faksymile rękopisu (t. 2) oraz transliterację tekstu (t. 3).

eprasa.pl d9aca457c4

Popołudnie wiary

Fenomen religijny – mimo wszystko

JEAN-LUC MARION
W ROZMOWIE Z KAROLEM GRABIASEM

Nie da się zbliżyć do pytania o Boga, jeśli z góry zakłada się, że jest On przedmiotem i podlega obiektywizującemu użyciu języka. A znaczna część filozofii religii opiera się właśnie na tych założeniach.

KAROL GRABIAS Kluczowym elementem nowoczesności jako projektu intelektualnego jest wyznaczenie granic prawomocnego użycia rozumu i dziedzin wiedzy pewnej. Wzorcem tego, co można poznać w taki sposób, stała się kategoria przedmiotu: z taką pewnością poznajemy planety, minerały czy organy zwierząt. Czy sądzi Pan, że nowoczesność, osiągająca swoją kulminację w myśli Kanta, zamknęła zarazem możliwość myślenia o fenomenach religijnych?

JEAN-LUC MARION W znacznej mierze tak. Z chwilą, gdy poznanie utożsamiono z pewnością, wszystko, co poznawalne, musiało przybrać postać przedmiotu – zaś to, co nie mogło stać się obiektem poznania pewnego, zostało wygnane poza obręb rozumu. Proces ten rozpoczął się zresztą dość wcześnie, wraz z przeciwstawieniem wiary i rozumu, które ukształtowało się już w późnym średniowieczu.

To, co nazywamy oświeceniem, było więc w znacznej mierze konsekwencją założenia, które dojrzewało przez wieki: poznawać to poznawać coś z pewnością, a pewność zakłada, że właściwym przedmiotem poznania może być wyłącznie konkretny, rozciągły przestrzennie obiekt. Na tym właśnie polega kartezjańska definicja przedmiotu: konstytuuje się on poprzez wykluczenie z doświadczenia wszystkiego, co pozostaje niepewne.

Przedmiot jest zatem z definicji pewny. Tymczasem znaczna część naszego doświadczenia jest ze swej natury niepewna i nie odnosi się do przedmiotów – właśnie dlatego została przez oświecenie w dużej mierze pominięta. Dotyczy to między innymi tak zwanego doświadczenia religijnego oraz tego, co ja nazywam fenomenem erotycznym – sytuacji, w której „ja" odkrywa i otrzymuje siebie poprzez miłość do drugiego.

eprasa.pl d9aca457c4

Filozofia podtrzymywała próbę wykluczenia takich fenomenów z obszaru racjonalności tak długo, jak tylko mogła. W końcu jednak pozostawienie poza granicami rozumu tak ogromnej części rzeczywistego doświadczenia stało się niemożliwe. I właśnie w tym miejscu znajdujemy się dzisiaj.

GRABIAS Nie obarcza Pan zatem Kanta główną odpowiedzialnością za oddzielenie rozumu naturalnego od sfery doświadczenia religijnego i erotycznego? Czyli źródło tego podziału możemy umiejscowić gdzieś w okolicach XIII wieku?

MARION Możemy oczywiście spierać się o jego dokładne historyczne początki. Jednak z chwilą, gdy teologię instytucjonalnie oddzielono od wydziału sztuk wyzwolonych i wyraźnie sformułowano rozróżnienie między wiarą a rozumem – jak uczynił to Tomasz z Akwinu na początku *Sumy teologicznej* – decydujący wybór został już dokonany. Od tego momentu aż do Kanta prowadzi bezpośrednia linia rozwoju.

GRABIAS Fenomenologia postawiła sobie za zadanie przekroczenie wąskich granic tego, co jest uznawane za poznawalne, narzuconych przez kolejne odmiany empiryzmu i pozytywizmu. Dlaczego mimo tej ambicji zarówno Husserl, jak i później Heidegger nie zdołali adekwatnie opisać tego, czym jest doświadczenie religijne? Co w ramach każdej z tych wersji fenomenologii pozostawało skrępowane i co należałoby wyzwolić, aby fenomen religijny mógł ukazać się „na własnych zasadach"?

Filozofia nie ma podstaw, by arbitralnie i odgórnie wyznaczać granicę między tym, co może, a tym, co nie może ukazać się naszej świadomości.

MARION W przypadku Husserla i Heideggera przeszkodę stanowiła w znacznej mierze ich formacja intelektualna. Husserl był mimo wszystko wytworem racjonalistycznej tradycji niemieckiego uniwersytetu epoki Kulturkampfu. Z wykształcenia był matematykiem i w pewnym podstawowym sensie pozostał pozytywistą. Jak dziś wiemy, miał doświadczenia religijne, nie posiadał jednak żadnego przygotowania teologicznego. Przypadek Heideggera jest bardziej złożony. Odebrał bardzo zasadnicze katolickie wychowanie, lecz później zdecydowanie z nim zerwał. W rezultacie aż do końca życia zachował wrogość wobec chrześcijaństwa w ogóle, a katolicyzmu w szczególności. Nie chodziło o to, że nie był zdolny posługiwać się narzędziami, które dostarczała fenomenologia, by ponownie otworzyć drogę ku teologii – raczej nie chciał tego uczynić.

Rozwój wymagał więc czasu. W następnym pokoleniu inni fenomenologowie wykonali kilka kroków w kierunku przekraczania zastanych ram filozofii – z pewnością Lévinas, a na swój sposób również Michel Henry. Z kolei Ricœur okazuje się pod tym względem ostatecznie nieco rozczarowujący, ponieważ konsekwentnie utrzymał swoją myśl w ramach hermeneutyki, nie wyjaśniając w pełni, jak daleko mogłaby ona otworzyć przed teologią nowe horyzonty.

Wyprowadzenie konsekwencji z możliwości, która była obecna od początku,

eprasa.pl d9aca457c4

to zawsze czasochłonny proces. I właśnie tego starałem się dokonać.

GRABIAS Spoglądając na to z dzisiejszej perspektywy: jak wiele miejsca pozostawało już w myśli Husserla i Heideggera dla fenomenów religijnych – dla pytania o Boga i możliwość wiary? Czy taka przestrzeń w ogóle była w niej obecna?

MARION Z pewnością można odnaleźć u nich już pewne zapowiedzi czy wskazówki zdradzające powiązania z religią. Weźmy choćby wiarę rozumianą jako decyzję, skok, wybór. Jej odpowiednik można dostrzec w pojęciu *Entschlossenheit* – zdecydowania – z *Bycia i czasu* Heideggera. Podobnie jego kluczowe pojęcie *Dasein* – opisujące ludzki sposób istnienia jako bycie, które odnosi się do samego siebie i rozumie siebie w świecie – jest zawsze w taki czy inny sposób nastrojone: każdą sytuację określa pewna *Stimmung*, nastrój lub nastrojenie. Nie istnieje zatem żaden neutralny sposób myślenia.

Motywy te bez wątpienia mają korzenie teologiczne i mogą również prowadzić z powrotem ku teologii. U Heideggera pozostają jednak zapisane między wierszami. Zawsze bardzo starannie unikał on wszelkiego wyraźnego związku między swoją filozofią a teologią.

Mimo to pod koniec *Powiedzenia Anaksymandra* (niem. *Der Spruch des Anaximander*), gdy Heidegger usiłuje objaśnić anaksymandrowe τὸ χρεών (*to chreon*) – formułę, którą uważa za bodaj najbardziej grecką z możliwych – tłumaczy je jako *der Brauch*, użycie. Nie rozumie jednak przez to instrumentalnego posługiwania się czymś, czerpania z tego korzyści ani zużywania. Nadaje temu słowu sens bardziej fundamentalny: chodzi o pozwolenie temu, co obecne, na wejście w obecność, trwanie w niej zgodnie z własną istotą.

Aby wyjaśnić ten sens, Heidegger odwołuje się do augustyńskiego pojęcia *frui* – radowania się czymś lub posiadania przy sobie tego, co się kocha. Jest to dość zaskakujące. Objaśniając sentencję, którą uważa za zasadniczo grecką, sięga do Augustyna. Istnieje zresztą wiele innych miejsc, w których Heidegger nie potrafi całkowicie ukryć swojego długu wobec teologii. Nie sądzę więc, by zastosowanie procedur fenomenologicznych w teologii nastręczało szczególnych trudności.

GRABIAS Odrzuca Pan jednak sformułowany przez Dominique'a Janicauda zarzut o bycie współtwórcą „zwrotu teologicznego" we francuskiej fenomenologii, który rzekomo przekroczył prawomocne granice wyznaczone dla namysłu filozoficznego?

MARION Ta niewielka polemika, którą napisał Janicaud – *Zwrot teologiczny w fenomenologii francuskiej* (fr. *Le tournant théologique de la phénoménologie française*) – jest w gruncie rzeczy pozbawiona sensu. Po pierwsze, fenomenologia od samego początku zajmowała się pytaniami o *sacrum* i Boga. Dotyczy to wszystkich najważniejszych fenomenologów, włącznie z Husserlem. Janicaud wyobrażał sobie, że nastąpił jakiś zwrot teologiczny, tymczasem żadnego zwrotu nie było – pytania teologiczne były obecne od samego początku.

Po drugie, teologia zajmuje się określonym polem fenomenalności, podobnie jak muzyka i sztuki wizualne zajmują się właściwymi sobie polami fenomenalności. Każde takie pole powinno zatem pozostawać otwarte na opis fenomenolo-

eprasa.pl d9aca457c4

giczny. Żadnego z nich nie można z góry wykluczyć, ponieważ fenomenologia nie ma podstaw, by arbitralnie i odgórnie wyznaczać granicę między tym, co może, a tym, co nie może się ukazać naszej świadomości. Z tego punktu widzenia zarzut Janicauda nie ma żadnego sensu.

Skutki jego publikacji okazały się zresztą dość paradoksalne. Kiedy jego niewielka książka została przetłumaczona w Stanach Zjednoczonych, opublikowano ją razem z odpowiedziami, które podczas konferencji w École normale supérieure przedstawili Jean-Louis Chrétien, Paul Ricœur, Michel Henry i ja. John Caputo zebrał te teksty w jednym tomie, a rezultat okazał się dokładnym przeciwieństwem tego, co zamierzał osiągnąć Janicaud. Czytelnicy zainteresowali się tym nowym kierunkiem, przyjęli go jako dobrą wiadomość – jako świadectwo, że wydarza się coś rzeczywiście nowego. Krytyka Janicauda odegrała więc bardzo pozytywną rolę w popularyzacji nowej fenomenologii francuskiej. Równie ważną rolę w popularyzacji naszej myśli odegrała w Niemczech książka Lászlo Tengelyiego *Nowa fenomenologia we Francji* (niem. *Neue Phänomenologie in Frankreich)*, która ukazała się w 2011 r.

Janicaud wciąż posługiwał się starą mapą filozofii, odziedziczoną po Kancie i młodym Fichtem, zwłaszcza po fichteańskiej *Próbie krytyki wszelkiego objawienia* (niem. *Versuch einer Kritik aller Offenbarung*). Mapa ta przydziela filozofii i objawieniu odrębne dziedziny, a roszczenia objawienia stawia przed trybunałem rozumu filozoficznego, przyznając im prawomocność jedynie o tyle, o ile pozostają zgodne z prawem moralnym.

GRABIAS Wspomnieliśmy już Paula Ricœura. Chciałbym teraz zapytać o rolę, jaką w Pańskiej myśli odgrywa krytyka religii. Dostrzegam pewną analogię między Pańską fenomenologią a projektem Ricœura – zwłaszcza w dążeniu do uwolnienia pojęcia Boga od ontologicznych i etycznych ograniczeń narzuconych przez tradycyjny teizm i metafizykę. Jak ocenia Pan znaczenie takich krytyków religii jak Feuerbach, Nietzsche czy Freud dla własnego projektu fenomenologicznego? Czy jest Pan równie otwarty na dialog z nimi, jak był Ricœur?

MARION Nie, ponieważ Schopenhauer, Feuerbach, a nawet Marks wychodzą z założenia, że ostatecznym horyzontem teologii jest antropologia. Można oczywiście przyjąć takie stanowisko już na samym początku. Kiedy jednak się to czyni, nie podejmuje się już właściwie próby stworzenia filozofii religii, ponieważ rozstrzygnięcie zostało przesądzone z góry.

Na tym założeniu opiera się znaczna część akademickich badań nad religią – religioznawstwo porównawcze, etnologia religii i tym podobne. Religię można badać, nie dopuszczając nawet hipotezy Boga. Większość badaczy pracujących w tych dziedzinach przyjmuje właśnie taką perspektywę, a ja nie czuję się zobowiązany, by podejmować z nią dyskusję.

Ricœur był zbyt sprawiedliwy, zbyt uczciwy i zbyt poważny, by nie prowadzić dialogu ze wszystkimi. Był to jeden z przejawów jego niezwykłej otwartości umysłu. Ricœur był świętym. Ja nim nie jestem [*śmiech*].

Przypadek Nietzschego jest zupełnie inny. Nietzschego nie interesowała przede wszystkim religia – interesowało go pytanie o Boga. Dlatego należy trak-

eprasa.pl d9aca457c4

tować go poważnie i podejmować z nim dyskusję. Można oczywiście interesować się także wszystkimi pozostałymi krytykami, lecz z punktu widzenia własnej pracy filozoficznej nie okazują się oni szczególnie owocni – by nie powiedzieć, że są po prostu nudni.

GRABIAS Uważa Pan zatem, że pewne krytyki myśli religijnej, zwłaszcza te podejmowane na gruncie ontoteologii – która wiąże pojęcie Boga z pojęciem najwyższego bytu i ostatecznej przyczyny istnienia – jak u Nietzschego i Heideggera, są filozoficznie poważniejsze?

MARION Tak. Ontoteologia nie jest jednak sama w sobie krytyką. Stanowi sposób opisu tego, jak zmienia się dyskurs o Bogu, gdy zostaje podporządkowany metafizycznym założeniom. Niektóre systemy filozoficzne urzeczywistniają tę strukturę wyraźniej niż inne. Spinoza i Leibniz są na przykład bardziej jednoznacznie ontoteologiczni niż Kartezjusz.

Tomasz z Akwinu odrzucał natomiast pojęcie Boga jako *causa sui*, dlatego nie sądzę, by w jego przypadku można było mówić o ontoteologii. Można też zastanawiać się, czy ontoteologiczny charakter miała już pierwsza filozofia Arystotelesa. Pod koniec XIX wieku w Niemczech toczyła się na ten temat ważna dyskusja, dotycząca związku między dwoma wymiarami arystotelesowskiej filozofii pierwszej – ontologią, rozumianą jako nauka o strukturze bytu, oraz teologią, pojmowaną jako nauka o bycie najwyższym. Spór ten dał początek nowoczesnemu pytaniu o ontoteologię.

Jest więc ona schematem hermeneutycznym, za pomocą którego można analizować dowolny system filozoficzny. Augustyn na przykład nie jest ontoteologiczny, natomiast Ockham – moim zdaniem – jest. Ontoteologia nie stanowi zatem oskarżenia, nie jest określeniem polemicznym, lecz opisuje pewną możliwość interpretacyjną.

GRABIAS Przyjmuje Pan zatem heideggerowską krytykę ontoteologii, ale jednocześnie uważa Pan, że w jego własnej myśli pozostały pewne ukryte ontoteologiczne założenia, które należy podważyć?

MARION Nie, nie ująłbym tego w ten sposób. W *Byciu i czasie*, w okresie gdy *Dasein* stanowiło rdzeń myśli Heideggera, pełniło ono pewnego rodzaju funkcję transcendentalną – stanowiło warunek możliwości tego, by cokolwiek mogło się w ogóle nam ujawniać i nabierać dla nas sensu. Sądzę, że można tak powiedzieć. Być może dopiero wraz z *die Kehre* – zwrotem w jego myśleniu – Heideggerowi udało się ostatecznie wykroczyć poza ramy transcendentalne. Również Husserl potrzebował na to czasu, ponieważ nawet w *Medytacjach kartezjańskich* ego transcendentalne nadal odgrywa decydującą rolę – stanowi ostateczny, nieusuwalny punkt oparcia dla powstawania sensu wszelkiego doświadczenia.

Dla mnie jedyną możliwą drogą wyjścia poza ja transcendentalne jest *adonné*, podmiot obdarowany – „ja", które otrzymuje siebie od tego, co mu się daje. Wypracowanie tego pojęcia nie było łatwe. Mam nadzieję, że jest ono wystarczające, choć nie jestem tego całkowicie pewien. Filozoficznego znaczenia nabrało ono dla mnie najpierw za sprawą fenomenu erotycznego, a następnie dzięki ponownej lekturze św. Augustyna. Dopiero potem zyskałem przekonanie, że *adonné* wskazuje właściwą drogę przezwyciężenia ja

eprasa.pl d9aca457c4

transcendentalnego – a nic mniej radykalnego nie mogło wystarczyć.

Granica oddzielająca metafizykę od myśli postmetafizycznej przebiega zatem przez samą fenomenologię. Fenomenologia jako taka nie znajduje się automatycznie poza metafizyką. Przynajmniej w swoich początkach myśl Husserla pozostawała jeszcze w obrębie ram metafizycznych.

GRABIAS Niektórzy fenomenologowie nadal posługiwali się więc pewną ukrytą, jak to Pan określa, „szarą ontologią"? Mimo tego, że chcieli „powrócić do rzeczy", „wsłuchiwać się" w niezaburzony bieg zjawisk, to ostatecznie projektowali na nasze doświadczenie własne kategorie?

MARION Tak, z pewnością. We wczesnym okresie swojej twórczości Husserl w znacznej mierze pozostawał pod wpływem niejawnej ontologii dominującej wówczas neokantowskiej szkoły marburskiej – rozpoczynał od teorii przedmiotu. Również rozprawa doktorska Heideggera dotyczyła teorii sądu i problemu przedmiotowości, jak było to wówczas typowe dla wielu filozofów. W pewnym sensie wszyscy od tego zaczynamy.

GRABIAS Przejdźmy teraz do Pańskiej fenomenologii i do sposobu, w jaki ujmuje Pan za jej pomocą fenomeny religijne. Zacznijmy może od centralnego dla Pańskiego projektu pojęcia fenomenu nasyconego. Czym różni się on od fenomenów pospolitych, którymi wypełnione jest nasze doświadczenie?

MARION W klasycznej ontologii przedmiot stanowi paradygmatyczny przypadek, w którym odsłania się prawda. Prawdę rozumie się jako adekwację – *adaequatio rei et intellectus* (łac. zgodność rzeczy i intelektu) – a więc zgodność między tym, co dane w naoczności, a tym, co uchwycone w pojęciu. Kant, Husserl i inni określają spełnienie tej zgodności mianem oczywistości.

Teologia nie jest wyjątkiem od ogólnej reguły tego, jak poprawnie używać języka. Przeciwnie – to język przedmiotowego opisu może okazać się wyjątkiem wobec bardziej pierwotnego użycia mowy: zwracania się do kogoś, przyzywania i uwielbienia.

Możliwe są jednak trzy relacje między naocznością a pojęciem. Najczęściej, gdy poznajemy ukonstytuowany przedmiot, otrzymujemy w naoczności mniej, niż zamierza ująć pojęcie – przedmiot dany jest nam jedynie częściowo. W idealnym przypadku oczywistości naoczność i pojęcie pokrywają się ze sobą – tak że to, co dane, w pełni odpowiada temu, co domniemane. Istnieje jednak również trzecia możliwość, pominięta przez tradycyjną definicję adekwacji – naoczność może przekraczać wszelkie możliwe pojęcie. To właśnie nazywam fenomenem nasyconym.

W takim przypadku jedno pojęcie jest zbyt wąskie i nie wystarcza, by nadać sens temu, co jest nam dane. Możemy potrzebować wielu pojęć, być może ich nieokre-

eprasa.pl d9aca457c4

ślonej liczby, a niekiedy musimy nawet uznać, że żadne z nich nie jest adekwatne. Przykładu dostarcza kantowski sąd estetyczny – piękne jest to, co podoba się powszechnie bez pośrednictwa pojęcia. W tym sensie piękno można rozumieć jako fenomen nasycony.

Fenomen jest zatem nasycony wtedy, gdy naoczność zostaje nam dana, zanim jesteśmy w stanie określić, za pomocą jakich pojęć moglibyśmy ją uchwycić. Dopiero później musimy poszukiwać całej mnogości pojęć, które pozwolą ująć możliwie wiele z tego, co zostało dane, choć żadne z nich nie zdoła tego wyczerpać.

GRABIAS Posługuje się Pan precyzyjnymi terminami, aby rozróżnić poszczególne formy nasycenia. Czy możemy je wymienić?

MARION Rozróżnienie to odpowiada czterem grupom kategorii Kanta – ilości, jakości, relacji i modalności – które w fenomenie nasyconym zostają przekroczone przez nadmiar tego, co jest nam dane.

W odniesieniu do ilości mamy wydarzenie – takie jak bitwa pod Waterloo – którego nie sposób przewidzieć ani objąć jako całości z jednego punktu widzenia. W odniesieniu do jakości mamy idola – na przykład dzieło malarskie, którego nadmiar widzialności olśniewa spojrzenie, zatrzymuje je na sobie i nie daje się wyczerpać w jednym akcie oglądu. Idol wskazuje na maksimum tego, co mogą znieść nasze zmysły.

W odniesieniu do relacji fenomenem nasyconym jest ciało żywe, rozumiane jako zdolność do odczuwania samego siebie od wewnątrz, zanim stanie się ono przedmiotem zewnętrznego oglądu. Zwyczajny fenomen pozostaje zawsze w relacji do czegoś innego niż on sam. Moje własne ciało stanowi jednak wyjątek – daje się samo sobie, ponieważ zarazem odczuwa i jest odczuwane.

Wreszcie w odniesieniu do modalności mamy ikonę, a zwłaszcza twarz drugiego. Twarz nie podlega warunkom narzucanym przez moje spojrzenie. Przeciwnie – to ona spogląda na mnie i wzywa mnie do odpowiedzi. Weźmy na przykład fenomen drugiego człowieka. Może on ukazać się jako ikona – w twarzy drugiego, która nie pozwala sprowadzić się do przedmiotu. Kiedy jednak spotykam drugiego w doświadczeniu erotycznym, fenomen ten musi zostać opisany również za pomocą kategorii ciała żywego – *Leib*. W takim przypadku do opisu jednego doświadczenia potrzebne są dwa różne typy fenomenu nasyconego – ikona i ciało żywe.

GRABIAS Jak odnosi się to do fenomenów religijnych?

MARION Doszedłem do wniosku, że fenomeny opisane w Biblii – teofanie, cuda, objawienia, Przemienienie i Eucharystia – można adekwatnie opisać jedynie poprzez połączenie wszystkich czterech typów fenomenu nasyconego. Spójrzmy na opisy ukazywania się Chrystusa. W nich spotykają się nieprzewidywalność wydarzenia, nadmiar widzialności – szczególnie w przypadku przemienienia na górze Tabor – doświadczenie ciała oraz kontrspojrzenie ikony. Żadna pojedyncza forma nasycenia nie wystarcza – ograniczenie się do mniejszej ich liczby oznaczałoby pominięcie czegoś istotnego w sposobie, w jaki fenomeny religijne się ukazują.

Bez takich ram łatwo pozostać na poziomie pozytywistycznej biblistyki, która traktuje dany fragment wyłącznie jako

eprasa.pl d9aca457c4

opowieść, tekst lub świadectwo historyczne, zamiast opisywać właściwy mu sposób, w jaki sam fenomen się daje.

GRABIAS Czy właśnie dlatego krytykuje Pan podejście Rudolfa Bultmanna do religii, a zwłaszcza jego program demitologizacji?

MARION Dokładnie. Bultmann jest tu bardzo dobrym przykładem. Nie poddał krytycznej analizie własnych założeń teoretycznych. Najpierw rozstrzygnął, co należy uznać za mitologię, a co nią nie jest, dopiero później zaś poszukiwał argumentów egzegetycznych, które miały uzasadnić to rozróżnienie. Bez wątpienia był wybitnym badaczem, ale zarazem stanowi znakomity przykład „krytyka bezkrytycznego" i dogmatycznego. W tym sensie był złym filozofem.

GRABIAS Odrzuca Pan zatem zarzut, że samo pojęcie nasycenia ma charakter ideologiczny albo jest obciążone założeniami teologicznymi. Nie chodzi Panu o uprzywilejowanie interpretacji religijnej, lecz o oddanie sprawiedliwości fenomenowi takiemu, jakim sam się daje.

MARION Tak, ponieważ istnieje wiele przypadków, w których teologia w ogóle nie wchodzi w grę, a mimo to musimy odwołać się do fenomenów nasyconych. Fenomen erotyczny na przykład jest w całości kwestią nasycenia. Aby jego analiza była trafna, nie potrzeba żadnego odniesienia teologicznego. Podobnie kiedy Lévinas analizował ideę nieskończoności, opisywał ją właśnie jako fenomen nasycony. To czysta filozofia.

GRABIAS Pańska fenomenologia łączy więc w pewnym sensie szereg spostrzeżeń dotyczących tego, co nie mieściło się w tradycyjnych kategoriach poznania przedmiotowego – spostrzeżeń obecnych u Lévinasa, Heideggera i innych – oraz pokazuje, że wiąże je wspólna struktura. Czy to trafne ujęcie?

MARION Tak. W pewnym sensie używane tu pojęcia są jednoznaczne – zachowują to samo znaczenie fenomenologiczne w różnych przypadkach. Obok Lévinasa można byłoby wymienić także Kartezjusza, zwłaszcza jego ujęcie idei nieskończoności.

Co ciekawe, nie sądzę, by cała historia metafizyki była jednolicie metafizyczna. W metafizyce zawsze istniały pęknięcia – momenty, w których fenomeny przekraczały narzucane im ramy pojęciowe. Jednym z przykładów jest trzecia *Krytyka* Kanta, poświęcona teorii doświadczenia estetycznego, innym – kartezjańska idea nieskończoności. Podobnych przypadków można wskazać znacznie więcej.

GRABIAS Jaki status ma w tym świetle język religijny – szczególnie język modlitwy, uwielbienia i kultu? Dlaczego nie można go Pańskim zdaniem sprowadzić do zbioru zdań, którym przysługuje po prostu prawda albo fałsz?

MARION Język religijny nie jest przede wszystkim językiem predykatywnym, orzekającym. Orzekać znaczy podporządkowywać coś pewnej kategorii – mówić coś o czymś, λέγειν τι κατά τινος (*legein ti kata tinos*). Bóg nie jest jednak żadnym *ti*, żadnym określonym „czymś", o czym można byłoby coś orzekać. Dlatego żaden predykat ani żadne imię nie mogą być adekwatne do Boga. Język biblijny wyraża to bardzo jasno – nie istnieje żadne adekwatne imię Boga. I kropka.

Możemy mówić szczerze i poprawnie do Boga, nie możemy jednak mówić o Nim w sposób adekwatny. Możemy się modlić, wielbić Go, przyzywać i zwracać

eprasa.pl d9aca457c4

się do Niego, lecz nie możemy objąć Go za pomocą predykacji. To fundamentalna zasada.

Głębsze pytanie brzmi jednak, czy predykacja rzeczywiście stanowi pierwotną funkcję języka. Heidegger, podobnie jak wielu poetów, odpowiedziałby, że nie. Teologia nie jest zatem wyjątkiem od ogólnej reguły języka. Przeciwnie – to język predykatywny może okazać się wyjątkiem wobec bardziej pierwotnego użycia mowy – języka jako zwracania się do kogoś, przyzywania i uwielbienia.

GRABIAS Czy z tej perspektywy cała współczesna debata w filozofii religii nad racjonalnością przekonań teistycznych – próba wykazania, że istnieje pewien byt nazywany Bogiem i że dysponujemy racjonalnymi podstawami, by być przekonanym o jego istnieniu – jest zasadniczo chybiona?

MARION Jest wątpliwa, a w znacznej części może nawet bezcelowa.

GRABIAS Mówimy o znacznej części empirycznej i analitycznej filozofii religii rozwijanej przez ostatnie dwa stulecia.

MARION Ujmijmy to inaczej. Jakie rezultaty przyniosły właściwie dwa stulecia tego rodzaju literatury filozoficznej? Żadnych. Nie można zbliżyć się do pytania o Boga, jeśli z góry zakłada się, że Bóg jest przedmiotem i podlega obiektywizującemu, predykatywnemu użyciu języka. Tymczasem analityczna filozofia religii opiera się właśnie na tych dwóch założeniach. Właśnie dlatego, po raz kolejny, wydaje mi się wątpliwa.

Nie oznacza to, że jej przedstawiciele nie są inteligentni, intelektualnie rzetelni czy pełni dobrych intencji. Nie o to chodzi. Całe to przedsięwzięcie uważam jednak za skrajnie nużące. Spędziłem bardzo wiele czasu, dyskutując o tych kwestiach z filozofami analitycznymi w Chicago, na Uniwersytecie Notre Dame i w innych miejscach.

GRABIAS Niektórzy filozofowie analityczni próbują jednak wyjść poza te ramy. Toczy się na przykład dyskusja nad tym, czy wiarę można rozumieć jako akt pozbawiony całkowitej pewności albo pozbawiony precyzyjnego komponentu treściowego.

MARION Tak, ale przypomina to anegdotyczną sytuację barona Münchhausena, który usiłował wydostać się z bagna, ciągnąc samego siebie za włosy. Filozofowie ci próbują wyjaśnić to, co niepredykatywne, a zarazem nadal posługują się językiem predykatywnym. Dlaczego nie zwrócić się bezpośrednio ku rzeczywiście odmiennym formom języka – uwielbieniu, liturgii, modlitwie i tym podobnym? Właśnie o to chodzi.

A jednak przedstawiciele tego nurtu filozofii wciąż konstruują swoje dowody na istnienie Boga. Takimi myślicielami, szczególnie szanowanymi, są Alvin Plantinga i Richard Swinburne – obu lubię i cenię. Swinburne zapytał mnie kiedyś: „Dlaczego Lévinas nie uznał mojego dowodu na istnienie Boga?". Cóż mogłem mu odpowiedzieć?

GRABIAS Jaką rolę w odpowiedzi na objawienie odgrywa figura świadka? Dlaczego pojęcie to jest tak istotne dla Pańskiej fenomenologii?

MARION Świadek jest przeciwieństwem ja transcendentalnego. Ja transcendentalne może mówić, ponieważ dysponuje pojęciem i w pełni rozumie to, co wypowiada. Świadek natomiast nie posiada adekwatnego pojęcia ani pełnego zrozumienia tego, czemu daje świadectwo.

eprasa.pl d9aca457c4

Mimo to wiernie zaświadcza o tym, co zostało dane w naoczności, choć brak mu pojęcia wyjaśniającego, które byłoby w stanie to ogarnąć.

To właśnie ta szczelina między naocznością a pojęciem czyni świadka podmiotem nietranscendentalnym i określa jego szczególny status. Można powiedzieć, że świadkiem jest na przykład prorok. Ściśle rzecz biorąc, prorok nie rozumie w pełni tego, co mówi – i właśnie dlatego jest prorokiem. Pod tym względem przeciwstawia się mędrcom i uczonym, którzy wiedzą i rozumieją, co mówią.

GRABIAS W jednej ze swoich ostatnich książek rozwija Pan intrygującą tezę, że objawienie przychodzi skądinąd. Jak należy rozumieć owo „gdzie indziej"? Co właściwie ma Pan na myśli?

MARION Francuski tytuł *D'ailleurs, la révélation* można rozumieć na dwa sposoby. Pierwszy odpowiada zwykłemu i potocznemu znaczeniu francuskiego słowa *d'ailleurs*: „a jednak", „mimo wszystko", „zresztą". Wyobraźmy sobie, że rozmawia Pan z przyjaciółmi o jakiejś spornej kwestii – o polityce albo o filmie – i ostatecznie nie dochodzicie do porozumienia. Można wtedy powiedzieć: „Dobrze, nie zgadzamy się, A JEDNAK film pozostaje tym, czym jest, a kwestia polityczna pozostaje taka, jaka była". Sam spór nie sprawia przecież, że jego przedmiot znika.

Tak samo jest z objawieniem. Można je odrzucić jako niezrozumiałe, a jednak pewien stopień niezrozumiałości należy właśnie do istoty objawienia. W tym pierwszym, intuicyjnym sensie tytuł znaczyłby więc mniej więcej: „Mimo to, objawienie".

Ale *d'ailleurs* można rozumieć również jako „skądinąd". W tym drugim znaczeniu objawienie musi przychodzić z jakiegoś innego miejsca. Gdyby pochodziło po prostu ze świata, gdyby wyłaniało się całkowicie ze zwyczajnego biegu światowego doświadczenia, nie byłoby objawieniem – i samo objawienie nie byłoby potrzebne. Objawienie pozostaje więc, przynajmniej w pewnej mierze, w sprzeczności z naszym potocznym doświadczeniem świata. To bardzo istotne. Nie musimy przy tym wiedzieć, czym jest owo „gdzie indziej" – nie jest to konieczne. ■

JEAN-LUC MARION – ur. 1946, francuski filozof i teolog katolicki. Jeden z czołowych przedstawicieli współczesnej fenomenologii, profesor emerytowany Sorbony i członek Akademii Francuskiej. Studiował między innymi u Jacques'a Derridy. Twórca fenomenologii donacji i koncepcji fenomenu nasyconego. Autor licznych prac poświęconych Kartezjuszowi, Husserlowi, Heideggerowi oraz problematyce miłości i objawienia. Po polsku ukazały się jego książki: *Bóg bez bycia*, *Będąc danym*, *Idol i dystans* oraz *Fenomen erotyczny*.

eprasa.pl d9aca457c4

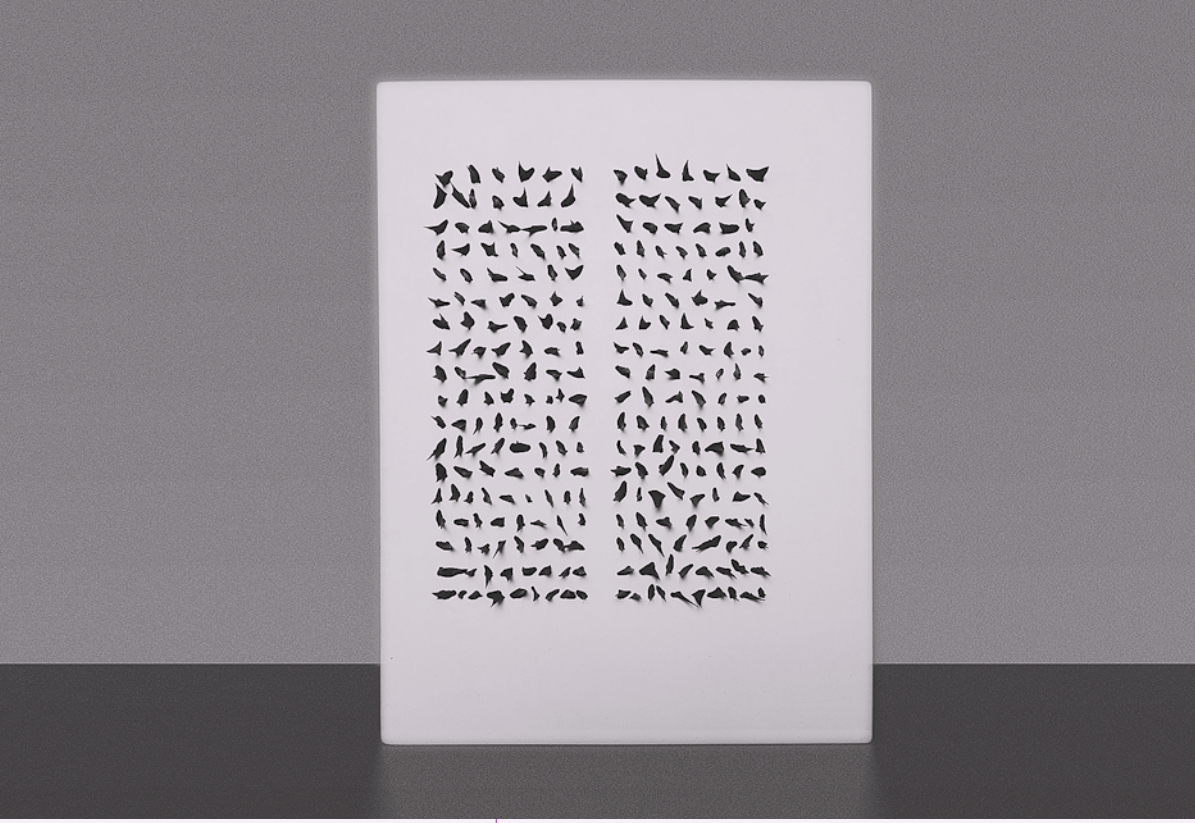

Opowieści z przedsionka

Dwa rodzaje nienawiści

TOŚKA SZEWCZYK

Jeśli masz się, Tośka, powoływać na Boga, nie masz prawa nienawidzić tych, do których jedziesz. Jeśli masz się powoływać na Boga-Miłość, musisz mieć w sercu decyzję miłości wobec każdego z biskupów, z którym się spotkasz. Połamało mnie to. A potem złożyło na nowo.

eprasa.pl d9aca457c4

Najpierw odwróciłam wzrok. Nie żebym nie chciała oddać należnego szacunku Francisowi Baconowi – po prostu tryptyk inspirowany *Orestją* Ajschylosa nie należy do najprzyjemniejszych widoków na świecie.

Na trzech wysokich obrazach w chłodnych, niemal pustych wnętrzach Bacon wymalował zdeformowane, trudne do rozpoznania ludzkie (?) kształty. Po lewej z ciemnych, uchylonych drzwi wyłania się skulona istota pozostawiająca na podłodze smugę przypominającą krew; pośrodku, na tle szerokiej czerwonej płaszczyzny leży – na czymś podobnym do ołtarza – okaleczone ciało z odsłoniętym kręgosłupem; po prawej kolejna postać, zamknięta w przezroczystej geometrycznej klatce, jakby rozpływa się, wycieka, traci własny kształt. Trudno powiedzieć, żeby byli tu jacykolwiek rozpoznawalni bohaterowie – są raczej ciała uwięzione w sterylnych przestrzeniach. Ciała, którym odebrano imię, płeć, ludzką postać.

Długo nie pamiętałam o tym tryptyku. A jednak wrócił – w niespodziewanym momencie.

*

> Tak, krew za krew!
> Tak, morderstwo pomści mord!
>
> AJSCHYLOS, *Oresteja*, tłum. Jan Kasprowicz

Dziecko. Dziewczynka, która za chwilę ma zostać złożona w ofierze przez ojca. Zrozpaczona matka. Zabity król. Syn dokonujący zemsty. To tylko poboczny wątek zekranizowanej przez Nolana historii Odyseusza, którą – jak wielu – niedawno oglądałam. Temu motywowi poświęcona jest w całości zupełnie inna opowieść.

Oresteja – przecież Bacon malował swój tryptyk zainspirowany właśnie tą historią! W trylogii Ajschylosa Agamemnon poświęca swoją córkę Ifigenię, składając ją bogom w ofierze, by grecka flota mogła wyruszyć pod Troję. Kiedy Agamemnon wraca, jego żona (Klitajmestra) zabija króla w zemście za córkę. Później ich syn, Orestes, chcąc pomścić ojca, pozbawia życia matkę. Po matkobójstwie Orestesa zaczynają ścigać Erynie – boginie zemsty i kary za przelanie krwi członka własnej rodziny.

Komentując namalowany przez siebie tryptyk, Bacon zaznaczał, że nie chciał ilustrować konkretnych wydarzeń czy postaci – byłaby to dla niego tylko kolejna odmiana malarstwa historycznego. „Nie mógłbym namalować Agamemnona, Klitajmestry ani Kasandry… Dlatego próbowałem stworzyć obraz skutku, jaki [*Oresteja*] wywołała w moim wnętrzu”[1] – mówił. Dodawał też, że był jeden wers z Ajschylosa, który nieustannie go prześladował: „Odór ludzkiej krwi uśmiecha się do mnie”[2].

Chyba najgorsze jest to, że mnie to nie przeraża. Po prostu tragedia Ajschylosa i zatracenie się w bólu portretowane przez Bacona bywają…

eprasa.pl d9aca457c4

codziennością przedsionka. Wielu z nas ma tu kogo nienawidzić. Wielu z nas tonie w chęci zemsty i w cierpieniu – jak wymalowane przez Bacona postaci – nie mogąc wyrwać się z łańcucha otrzymywanych i zadawanych ran.

*

Spójrzcie, jak wciąż sprawna,
jak dobrze się trzyma
w naszym stuleciu nienawiść.
Jak lekko bierze wysokie przeszkody.
Jakie to łatwe dla niej – skoczyć, dopaść.

Nie jest jak inne uczucia.
Starsza i młodsza od nich równocześnie.
Sama rodzi przyczyny, które ją budzą do życia.
Jeśli zasypia, to nigdy snem wiecznym.

WISŁAWA SZYMBORSKA, *Nienawiść*

Prawdopodobnie nie istnieje dobry moment na pisanie felietonu. Pisanie tego na przykład zbiegło się w czasie z ujawnioną przez Więź.pl opinią Ministerstwa Sprawiedliwości dotyczącą roboczej wersji statutu ogólnopolskiej kościelnej komisji ds. wykorzystywania seksualnego. Nie przedłużając: sama już nie wiem, czy bardziej absurdalne jest to, co robi wobec nas, skrzywdzonych, kierownictwo i biuro prasowe KEP, czy ministerstwo. Mój gniew uderza jednak bardziej w tych pierwszych.

Czytam kolejne i kolejne komentarze na temat tego, co się wydarzyło. Wśród nich jeden się wyróżnia. „Bracia biskupi" – pisze autorka. A ja grzęznę.

Pamiętam moment, w którym nazwałam ich swoimi braćmi. Przełom roku 2023 i 2024. Mniej więcej wtedy wysłałam do wszystkich polskich biskupów list-załącznik do *Talerza skrzywdzonych*, zawiezionego na moją prośbę przez bp. Artura Ważnego na zebranie plenarne KEP. Najeżony kolcami talerz jest wprawdzie osobliwym sposobem na zwrócenie uwagi biskupów – ten jednak częściowo zadziałał. Dziesięciu z nich odpowiedziało na mój list, wyrażając chęć spotkania. Styczeń spędziłam więc, jeżdżąc po Polsce i rozmawiając z nimi.

Przez pewien czas żałowałam, że modliłam się przed tymi spotkaniami. „Gdy byłeś młodszy, opasywałeś się sam i chodziłeś, gdzie chciałeś. Ale gdy się zestarzejesz, wyciągniesz ręce swoje, a inny cię opasze i poprowadzi, dokąd nie chcesz" – ten fragment biblijny wracał do mnie w tamtym czasie najczęściej. Najpierw pojawił się w liturgii słowa, później ktoś przeczytał go na spotkaniu wspólnotowym, innym razem ja sama bezwiednie natknęłam się na niego, kartkując Biblię. Choć kontekst, w jakim Jezus wypowiedział te słowa do Piotra w Ewangelii św. Jana, diametralnie różnił się od mojej sytuacji, to jednak nie mogłam pozbyć się ich

eprasa.pl d9aca457c4

z serca. Nie, nie były jak pełen pokoju, cichy Boży szept. Porównałabym je raczej do brzęczenia uciążliwej muchy.

W zasadzie od kiedy je w tamtym czasie usłyszałam, było dla mnie jasne, co oznaczają w mojej sytuacji. Do tej pory, Tośka, było tak, jak chciałaś. Buntowałaś się – słusznie – wściekałaś, nie musiałaś uważać na słowa. Twoje rany krwawiły tak, że widziałaś niewiele ponad swój ból. Ale teraz jesteś już starsza, teraz podejmujesz działanie, powołując się na Ewangelię. A to oznacza pójście tam, dokąd nie chcesz.

Jeśli masz się, Tośka, powoływać na Boga, nie masz prawa nienawidzić tych, do których jedziesz. Jeśli masz się powoływać na Boga-Miłość, musisz mieć w sercu decyzję miłości wobec każdego z biskupów, z którym się spotkasz.

Połamało mnie to. A potem złożyło na nowo. Część starej Tośki – ta żyjąca w nienawiści – wówczas umarła. Ale, jak się okazuje, nie bezpowrotnie.

Czytam kolejne komentarze o opinii Ministerstwa Sprawiedliwości i czuję, jak moja dusza wyrywa się do baconowskiego tryptyku. Wejść do tych klatek, krwawić, rozpaść się, nienawidzić, krzywdzić... Schować w kieszeń „braci". Wybrać znowu logikę Ajschylosa. Coraz bardziej się kurczę, chcąc zrobić, co się da, żeby wycofać się z decyzji z przełomu roku 2023 i 2024.

*

> Nie wiedziałeś, że dłoń, którą uczyłeś śpiewać
> potrafi nienawidzić i pięścią grubieć pełną,
> gniewu unosić żagiew –
> Ufałeś. Nie ukoił twoich ust śpiew drzewa
>
> TADEUSZ GAJCY, *Wczorajszemu*

Myślę, że w sercach części mieszkańców przedsionka (jak zwykle nie mam ani odwagi, ani upoważnienia, żeby pisać o wszystkich) rodzą się dwa rodzaje nienawiści.

Pierwsza to nienawiść wobec winnych.

Jeśli gwałci cię ksiądz, były mąż bije cię do nieprzytomności, gorliwie wierzący pracodawca doprowadza cię do momentu, w którym potrzebujesz leczenia psychiatrycznego, babcia okłada cię po głowie Biblią i nieustannie słyszysz ze strony chrześcijan drwiny z „takich jak ty" – to tak, w tej historii są winni.

Mają oni konkretne twarze, imiona i głosy. Nie są „systemem" czy „instytucją", wobec której trudno wyrazić złość (pytałam swego czasu, gdzie kościelny system [nie]sprawiedliwości ma tyłek, w który tak bardzo chciałabym kopnąć). Mają nazwiska, które można wymieniać w opowieściach, wizerunki, w które można wpatrywać się w internecie.

eprasa.pl d9aca457c4

Przedsionek to miejsce zarówno błogosławionej złości, jak i przeklętej nienawiści. Ta pierwsza daje siłę do walki i zmian. Upomina się o sprawiedliwość. Ta druga – prowadzi do klatki z baconowskiego tryptyku.

Jak wiele razy, kiedy spotykaliśmy się w przedsionkowym gronie, nie potrafiliśmy mówić o niczym innym, tylko o ludziach, którzy nas krzywdzili... Jak wiele dobra, którego doświadczyliśmy w życiu, wyblakło wobec wspomnień wypełnionych żalem i bólem... Jak wiele sił kosztowało nas nieraz podlewanie w sobie chęci zemsty, przerabianie w głowie wciąż na nowo przeszłych i przyszłych scenariuszy, pisanie w internecie przez tygodnie, miesiące komentarzy o niemal identycznej treści – niezależnie już nawet od tego, czy komentowaliśmy rzeczy w jakikolwiek sposób związane z tematem... My – więc ja też. My – choć nie wszyscy. My, których życie – przynajmniej na pewnych etapach – sprowadzało się wyłącznie do ran, żalu i nienawiści.

Nikt nie chce wyglądać jak te pokurczone istoty z tryptyku, jak myślę. Nikt nie chce przecież wciągać się w spiralę ajschylosowej logiki nienawiści. A jednak bywa, że rany – tak bardzo przecież bolesne i realne! – stają się więzieniem, do którego przyzwyczajamy się tak bardzo, że nie zauważamy już nawet otwartych drzwi.

Drugi rodzaj nienawiści dotyka niewinnych. „Mogę obrażać wszystkich, których chcę, bo mnie zraniono" – usłyszałam kilka lat temu od człowieka, który potraktował z dużą dozą okrucieństwa osobę zaangażowaną w system pomocy skrzywdzonym w Kościele. „Skoro ten człowiek bierze się za taką robotę, powinien być przygotowany na to, że będę go tak traktować. Jeśli to przeżywa, to znaczy, że się do tego nie nadaje".

Też tak tłukłam (a i czasem tłukę) na oślep. Obrywało się przypadkowym mężczyznom, przypadkowym księżom, przypadkowym katolikom. Bo przecież „mogłam", bo „mnie bolało".

Jeśli pielęgnujesz w sobie nienawiść do jednego księdza, z czasem znajdziesz powody, by nienawidzić ich wszystkich. Jeśli pielęgnujesz w sobie nienawiść do konkretnego byłego męża, do konkretnej wierzącej babci, do konkretnego mężczyzny-pracodawcy... to dość szybko znajdziesz powody, żeby nienawidzić wszystkich mężów, wszystkich wierzących staruszek, wszystkich mężczyzn na stanowiskach kierowniczych. Bo przecież „wszyscy krzywdzą", „wszyscy są tacy sami" – złość związaną ze swoimi ranami masz więc prawo wyładować na każdym z nich.

„Przestań przemierzać świat w poszukiwaniu dowodów na to, że nigdzie nie przynależysz. Zawsze je znajdziesz, kiedy uczynisz te poszukiwania swoją życiową misją" – radziła Brené Brown[3]. Przestań przemierzać świat w poszukiwaniu dowodów na to, że wszyscy chcą cię

eprasa.pl d9aca457c4

dokrzywdzić – chciałoby się dodać – bo zawsze je znajdziesz, jeśli będzie to twoim jedynym zajęciem.

Gdyby tylko to było takie proste…

*

> umiałabyś mnie uspokoić, tłumacząc, że zrobiłem tyle, ile mogłem.
> Że zamyka się furtka Czarnego Ogrodu, pokój, pokój, co skończone, to skończone.
>
> CZESŁAW MIŁOSZ, *W Szetejniach*

W przedsionkowym życiu przychodzą też momenty przełomu. Zupełnie nieprzyjemne. Orientujesz się wtedy, że – choć cierpisz – reguły tego świata dotyczą też ciebie. Że twoje rany nie uprawniają cię do ranienia innych. Że zdrowienie nie polega na tym, że topisz się we własnej nienawiści, ale na tym, że uczysz się własnej złości na tyle, żeby ją czuć, i na tyle, żeby ją mieścić; uczysz się widzieć zarówno siebie, jak i innych.

Jeśli wierzysz – a skoro jesteś w kościelnym przedsionku, to wierzyć przynajmniej próbujesz – okazuje się z czasem, że dotyczą cię nie tylko reguły życia społecznego, ale też Jezusowe zaproszenia. O ile da się przy pewnym nakładzie pracy nauczyć nie nienawidzić ludzi niewinnych (tu wystarczą „reguły tego świata"), o tyle… jak przebaczyć winnym?

To moment newralgiczny. Mówienie o nim przypomina próbę chodzenia po polu minowym. Z jednej strony przecież nieraz połamali nas ludzie, którzy – wzbudzając w nas poczucie winy – próbowali nas zmusić do szybkiego przebaczenia. Z drugiej strony bywa przecież, że my sami zbyt łatwo zwalniamy się z drogi ku przebaczeniu, uznając, że nasze rany są za głębokie. Nie deprecjonuję ich. Sama w nich tonę. Jednak czy tonę bardziej niż Ukrzyżowany? Czy bardziej niż zabijany św. Szczepan? Czy bardziej niż ci wszyscy przede mną, bici i zabijani – a mimo to wybaczający – którzy udowadniają mi, że nie jestem zbyt słaba na podjęcie tej drogi?

„Reguły dotyczą też ciebie", „nie jesteś zwolniony/zwolniona z przebaczenia" – kiedy to piszę, brzmi to wręcz okrutnie. Sama miałabym ochotę urwać głowę każdemu, kto powiedziałby mi coś takiego.

Każdemu prócz tego Jednego, który wiedział, jak zadać właściwe pytanie.

Nie pamiętam, kiedy i gdzie to się wydarzyło. Został mi w pamięci tylko mglisty obraz krótkiej modlitwy i Jego słowa, spadające na mnie jak grom z jasnego nieba: „Czy pozwolisz mi kochać też sprawcę?". Czy pozwolę Mu kochać – co za kuriozalne sformułowanie. Ja mam pozwolić na coś Bogu?

Słowa, które wybrzmiały mi w sercu na tamtej modlitwie, były jednak na tyle niedorzeczne, że doszłam do wniosku, iż sama nie byłabym

eprasa.pl d9aca457c4

w stanie ich wymyślić. Że to nie ja. To naprawdę On na tyle się uniża, że pyta mnie o pozwolenie.

Tylko On wie, kiedy i komu z nas zaproponować przebaczenie. Tylko On wie, jakie pytanie zadać – i jestem pewna, że do każdego z przedsionkowiczów mówi jego własnym językiem. Kto wie? Może rzeczywiście jest tak, że niektórzy z nas cierpią tak bardzo, że On nigdy nie ośmieli się o to pytać? Że szczytem zdrowienia będzie wówczas nieranienie niewinnych? On wie to najlepiej.

Decyzja, żeby pozwolić Bogu kochać człowieka, który złamał mi życie, była prawdopodobnie bardziej potrzebna mnie niż sprawcy. Bo to ja mogłam przestać go nosić na swoich barkach. Bo to ja mogłam Bogu powiedzieć: „Weź go sobie i zrób z nim, co chcesz. Jeśli chcesz kochać – kochaj".

Dziś, kiedy znowu mam ochotę skarłowacieć w nienawiści, słyszę inne wersje tego pytania: „Czy pozwolisz Mi kochać biskupów?"; „Czy pozwolisz im być Moimi synami?"; „Czy przez to pozwolisz, żeby pozostali twoimi braćmi?".

Myślę, że On robi to dla mnie, a nie dla nich. Że ostatecznie chce, żebym nie zasypiała, myśląc o episkopacie, i żebym nie budziła się z zaciśniętymi pięściami. Żebym miała o czym rozmawiać z bliskimi. Żebym znów nie uwierzyła, że cały świat chce mnie skrzywdzić.

On chce tego dla każdego z nas. W klatkach, w których zapętlamy się w nienawiści i chęci odwetu, w momentach, w których jak baconowskie istoty składamy się cali z otrzymanych i zadanych ran, On jeden wie, jakimi pytaniami wyprowadzić nas na wolność. ■

TOŚKA SZEWCZYK – pseudonim osoby wykorzystanej seksualnie przez duchownego, prawdziwe imię i nazwisko znane jest redakcji. Autorka wydanej przez Wydawnictwo Więź książki *Nie umarłam. Od krzywdy do wolności*. Na Instagramie prowadzi profil @z_przedsionka. W 2024 r. nominowana do Nagrody im. ks. Józefa Tischnera za zaangażowanie na rzecz upodmiotowienia osób skrzywdzonych w Kościele.

1 *Francis Bacon: Triptych inspired by the Oresteia of Aeschylus*, www.francis-bacon.com/news/francis-bacon-triptych-inspired-oresteia-aeschylus [dostęp: 6.08.2026].
2 www.francis-bacon.com/bacons-world/exhibitions/late-paintings-2015 [dostęp: 31.08.2026].
3 B. Brown, *Braving The Wilderness: The Quest for True Belonging and the Courage to Stand Alone*, cdn.ysk-book.com/books/pdf/0e5b9341-21eb-4a50-a436-052872a4177b.pdf, s. 139 [dostęp: 7.08.2026; tłum. własne].

eprasa.pl d9aca457c4

KULTURA

W czym maszyna nas nie zastąpi

Dzięki sztucznej inteligencji tworzymy szybciej, ale czy to dobrze? A może trud związany z tworzeniem jest wpisany w sam ten proces? Co tracimy, oddając pole AI? Czego sztuczna inteligencja nigdy nam nie da?



eprasa.pl d9aca457c4

Tworzyć szybciej, ale po co?

KATARZYNA CZAJKA-KOMINIARCZUK

Nic nie wpisuje się w mechanizm rynkowy tak dobrze, jak twórczość AI: nigdy nie zawodzi, nigdy nie zmienia schematu, nigdy nie przekracza terminu. Jest kwintesencją tego, czego potrzebujemy, gdy myślimy o sztuce w kategoriach produktu, który powinien pojawić się na rynku prędko i bez problemów.

Latem 1918 r. Thomas Mann spędzał wakacje z rodziną w Bawarii. Niemcy właśnie zbliżały się do klęski w I wojnie światowej, a pisarz, zamiast poprawiać swoje *Zapiski człowieka apolitycznego*, uciekał od pracy w pisanie sielankowych opowiadań o swoim psie. Poza tym, jak to zwykle latem bywa, spędzał czas z rodziną, unikał odwiedzających go teściów i chodził na długie spacery. Autorka książki *Lato Thomasa Manna* Kerstin Holzer przywołuje ten pozornie mało znaczący epizod z życia pisarza, by zasugerować nam, że bez niego nie byłoby energii, która pozwoliła pisarzowi stworzyć jego największe dzieło – *Czarodziejską górę*.

Ta niewielka książka biograficzna ukazała się w Polsce w samym środku dyskusji o tym, jakie miejsce mamy wyznaczyć sztucznej inteligencji w twórczości, zwłaszcza literackiej. Punktem zapalnym była tu wypowiedź Olgi Tokarczuk, która w czasie rozmowy na festiwalu Impact'26 przyznała, że zdarza się jej korzystać ze wsparcia sztucznej inteligencji w czasie pracy nad książką. Kilka zdań wypowiedzianych ze sceny poruszyło nie tylko uczestników spotkania czy komentatorów życia kulturalnego, ale też zwykłych odbiorców. Choć większość z nas przyzwyczaiła się, że w życiu codziennym coraz więcej osób pisze maile z wykorzystaniem czata GPT albo prosi program, by zrobił im fajną ilustrację do tekstu w sieci, to wciąż wykorzystanie sztucznej inteligencji w prestiżowej pracy twórczej budzi sprzeciw.

Głosy oburzenia wobec Tokarczuk pojawiły się w chwili, kiedy świat sztuki i kultury został już dogłębnie zmieniony przez AI. W samym styczniu 2026 r. na platformie Amazon, pozwalającej na *self-publishing*, ukazało się 1100 tytułów stworzonych przy pomocy AI. Amazon musiał wprowadzić zasadę, która umożliwia dodawanie maksymalnie trzech

eprasa.pl d9aca457c4

książek dziennie do systemu, by wyhamować napływ generowanych masowo tytułów, które stanowią coraz większy procent publikacji dostępnych na platformie. Autorka skrywająca się pod pseudonimem Coral Hart pokazała, że od promptu do stworzenia kolejnego romansu potrzebuje z wykorzystaniem Claude'a ok. 45 minut. To tyle, ile zajęło mi napisanie trzech akapitów tego tekstu.

Zresztą nawet jeśli dziś autor nie korzysta z AI, nie ma pewności, czy nie zostanie o to oskarżony. Czytelnicy – świadomi, że pisarz w każdej chwili może sięgnąć po sztuczną inteligencję – bardzo uważnie zaczęli się przyglądać schematom narracyjnym, charakterystycznym frazom czy nawet znakom interpunkcyjnym (choć czasy, gdy można było rozpoznać tekst napisany przez AI po wykorzystaniu znaku pauzy, powoli przechodzą do przeszłości). Niekiedy taka uważna lektura kończy się odkryciem śladów po sztucznej inteligencji, jak w przypadku książki Karoliny Opolskiej *Teoria spisku, czyli prawdziwa historia świata*, w której uważni czytelnicy znaleźli przypisy do nieistniejących publikacji.

AI obiecuje demokratyzację kultury

AI zmienia też rynek sztuki – pojawia się coraz więcej twórców, którzy korzystają ze sztucznej inteligencji przy procesie tworzenia, coraz częściej słychać też o sprzedaży obrazów czy innych dzieł sztuki stworzonych w ten sposób. Zwykle mowa o tych dziełach, które osiągają ceny rzędu kilku milionów czy setek tysięcy dolarów, jak np. *AI God: Portrait of Alan Turing* – stworzony przez humanoidalnego robota Ai-Da obraz został w 2024 r. sprzedany za ponad milion dolarów. A to tylko wierzchołek góry lodowej, bo poza słynnymi aukcjami mamy na co dzień doświadczenie z tym, jak AI wchodzi w świat grafiki. Jeśli wybierzemy się do księgarni i rzucimy okiem na okładki książek, przyjrzymy się uważnie plakatom i ulotkom czy zerkniemy na posty znajomych w internecie, odkryjemy, że obrazy wygenerowane przez AI są już stałym elementem naszej rzeczywistości.

Choć nie zawsze będziemy w stanie szybko poczynić tę obserwację, bo jak wskazują badania, chociażby Harshy Gangadharbatli z uniwersytetu w Nowej Karolinie, wcale nie jesteśmy tak dobrzy w rozpoznawaniu tego, co stworzyło AI. Co więcej, może się okazać, że napisane przez AI wiersz czy książka spodobają nam się bardziej niż to, co stworzył człowiek (doświadczalnie stwierdzono, że jeśli odbiorcy nie wiedzą o udziale AI w tworzeniu dzieła, często wybierają je jako lepsze od ludzkiego).

Tekst napisany przez AI może wzruszyć nie tylko przypadkowego czytelnika, ale i jury prestiżowego konkursu. Na początku lipca 2026 r. światem literackim wstrząsnął skandal, gdy zwycięzca Nagrody

eprasa.pl d9aca457c4

Wspólnoty Narodów na opowiadanie, Jamir Nazir, został oskarżony o wykorzystanie AI. W sieci pojawiły się głosy, że członkowie jury powinni sami korzystać z AI – przepuszczać nadesłane prace przez narzędzia sprawdzające, czy tekst nie nosi znamion wykorzystania modeli językowych.

Jeśli jest jakaś wolność procesu twórczego, to jest jej najwięcej w niedoskonałości, frustrujących poprawkach czy odrzucaniu prawie skończonego dzieła.

Napływ tekstów stworzonych przez AI nie ominął także środowiska, w którym niekoniecznie mowa o wielkich zarobkach czy międzynarodowym prestiżu. W ciągu ostatnich kilku miesięcy przez świat autorów *fan fiction* (twórczości osadzonej w kręgu istniejących dzieł kultury) przetoczył się skandal związany z wykorzystaniem AI do pisania tekstów, zwłaszcza w najpopularniejszym i najszybciej rosnącym fandomie kanadyjskiego serialu *Gorąca rywalizacja*. Jak się okazało, wiele popularnych tekstów albo oficjalnie powstało przy użyciu AI, albo nosiło wyraźnie ślady wykorzystania sztucznej inteligencji. Mówimy tu o twórczości fanowskiej, która choć może przynieść rozpoznawalność wśród fanów, a niekiedy szansę na publikację książki w klasycznym wydawnictwie, przede wszystkim ma być emanacją gorących uczuć, jakimi wielbiciele darzą dany tekst kultury. Jest to kwintesencja twórczości amatorskiej, nastawionej przede wszystkim na przyjemność i spełnienie ambicji miłośników kreacji źródłowej.

Tu pojawia się kluczowe pytanie. Dlaczego tak szybko i łatwo oddaliśmy twórcze działanie w ręce sztucznej inteligencji? Oczywiście pierwsza odpowiedź, która przychodzi do głowy, jest najprostsza: tak jest taniej i łatwiej. Taniej, gdy potrzebujemy wytworów kultury dla zysku – bardziej opłacalnie jest wygenerować ilustrację, tekst czy nawet książkę. Jednocześnie oszczędzamy czas. Coś, co zajęłoby kilkadziesiąt godzin czy nawet lata, można stworzyć bez porównania szybciej. Nawet jeśli zdecydujemy się poprawić to, co wygenerowało AI, i dopracować wszystkie szczegóły, to wciąż jesteśmy do przodu w zestawieniu z kimś, kto nie skorzystałby z tej technologii. A skoro możemy robić rzeczy szybciej, możemy robić ich więcej. Ponownie zyskujemy.

Jeśli odłożymy jednak na bok kwestie czysto ekonomiczne, pojawia się jeszcze jeden powód. Korzystamy ze sztucznej inteligencji, bo daje nam niespotykane dotychczas możliwości. AI obiecuje demokratyzację kultury. Uwolnienie możliwości tworzenia od konieczności posiadania odpowiednich umiejętności. Zabiera artystom wyłączność na posługiwanie się narzędziami, których opanowanie zajmuje wiele lat i często wiąże się z określoną ścieżką edukacyjną, kapitałem czy zamkniętym środowiskiem. Każdy może stworzyć własny tekst, obraz czy muzykę.

eprasa.pl d9aca457c4

Można czytać tę zmianę jako zagrożenie dla dawno ustalonego ładu, który może nie stawiał artystów na szczycie hierarchii finansowej, ale wynagradzał to albo prestiżem, albo podziwem tych, którzy nie posiedli koniecznych do tworzenia umiejętności. Relację pomiędzy odbiorcą a twórcą wyrażającą się w pełnym zachwytu „Ja bym tak nie potrafił" zastępuje coraz częściej „Z moim AI też tak potrafię".

Nie tylko rezultaty

Skoro tworzenie przy pomocy AI oszczędza nam czas i demokratyzuje sztukę, to może głosy przeciwko nowej technologii są jednak na wyrost? Zwłaszcza że znajdziemy krytyków sztuki wskazujących, że część naszych lęków związanych z pojawieniem się dzieł sztuki wygenerowanych przez AI jest zdecydowanie przedwczesna. W Polsce Łukasz Białkowski na łamach magazynów „Szum" i „Znak" przekonująco argumentował, że sztuka stworzona przez AI może być bardzo ludzka – powtarzać te same schematy, być krytykowana za te same pomysły czy brak profesjonalizmu co artyści. Sama technologia wykorzystana przez twórców nie zawsze stanowi zagrożenie. Zdaniem Białkowskiego ona przede wszystkim ujawnia, że proces twórczy niekoniecznie jest czymś wyjątkowym; że opiera się na schematach i konwencjach – co zabiera budowany od wieków prestiż osób twórczych i sprawia, że trzeba redefiniować, co to znaczy być artystą we współczesnym świecie.

Jednocześnie cała dyskusja o tym, czy książki, obrazy albo muzyka wygenerowane przez AI są dziełami sztuki, skupia się głównie na rezultatach. Oceniamy to, co udało się wygenerować, jak wpłynęło to na odbiorców i czy udało się nam w ogóle rozpoznać, że to działanie było czysto ludzkie albo że wykorzystano przy nim nową technologię. Ponownie to spojrzenie, które wydaje się osadzać sztukę przede wszystkim w świecie produktu, prestiżu – dzieł, które można sprzedawać, wystawiać czy oceniać. Znajdziemy sporo artykułów dotyczących tego, jak AI wpływa na rynek sztuki, świat wydawniczy czy zarobki artystów. Wszystko usytuowane w bardzo jasnym – wyznaczanym przez wartość i atrakcyjność końcowego dzieła – świecie.

Można się jednak spierać, że wartość procesu twórczego jest czymś dużo większym niż tylko jego ostateczny wynik. Uczeń szkicujący na ostatniej stronie zeszytu swoją ulubioną postać z filmów studia Ghibli z całą pewnością nie osiągnie takiego efektu wizualnego, jaki można uzyskać, generując postać za pomocą AI (na co była moda parę lat temu). Ale też bez tych nieidealnych rysunków trudno zbudować własny artystyczny styl. Początkujący pisarze raczej nie stworzą nic wybitnego, ale jeśli przeskoczą etap pisania schematycznych i niekoniecznie gramatycznie

eprasa.pl d9aca457c4

poprawnych opowiadań, to nie nauczą się pisać. Nie ma chyba wątpliwości, że Oldze Tokarczuk skorzystanie ze sztucznej inteligencji nie zaszkodzi – pisarka ma własny literacki styl, swoją tożsamość autorki i wyrobiony język. Pytanie, co stanie się z nowymi pokoleniami twórców, którzy nie tylko będą sięgać po sztuczną inteligencję, ale też będą przez tę technologię zastępowani. Jak oni wyrobią sobie własny styl i język w świecie, w którym te pierwsze nieporadne próby łatwo zastąpić wygenerowanymi przez AI materiałami?

Życie jako element procesu twórczego

Zdaję sobie sprawę, że artyści nie mogą odrzucić nowych technologii. Pisanie na komputerze – podczas którego zrobienie poprawki czy uzupełnienie tekstu o nową myśl jest bez porównania prostsze niż przy pisaniu na maszynie czy ręcznie – także zmieniło proces twórczy, czyniąc go bardziej wydajnym i rozproszonym. Nikt raczej nie każe twórcom porzucać fotografii na rzecz realistycznych obrazów, grafikom – rezygnować z wizualizacji komputerowych, a muzykom – z automatów perkusyjnych. Tak jak nie spodziewamy się, że naukowcy odrzucą *research* online, a architekci wrócą do stołów kreślarskich, tak trudno byłoby wymagać od osób twórczych, że nigdy nie sięgną po nowe technologie. Zwłaszcza że są dziedziny sztuki – jak kinematografia – gdzie zmiany te zachodzą od lat i znacznie poszerzają możliwości przedstawienia filmowej rzeczywistości.

Istnieje jednak różnica pomiędzy czynieniem procesu twórczego bardziej wydajnym a wyłączaniem z niego czynnika ludzkiego. Nie da się bowiem ukryć, że tworzenie nie jest tylko dążeniem do rezultatu, ale też procesem, który ma znaczenie zarówno dla tworzącej jednostki, jak i dla jej odbiorców. Tworzenie jest sposobem przeżywania świata, przepisywania sytuacji, emocji, doświadczeń na język sztuki. Choć często pojawiają się tu elementy wtórne czy schematyczne, to dla osoby tworzącej nie ma to większego znaczenia.

Sztuka, nawet wtórna, pozwala przekazać swoje doświadczenie bycia w świecie, wyrazić siebie. Nawet jeśli dzieło sztucznej inteligencji będzie technicznie lepsze albo skorzysta z tych samych schematów, to nie może wyrazić bycia jednostki w świecie. Bo nie ma jednostki, która by za takim dziełem stała. Dostajemy więc twórczość, która choć może się podobać, jest tak naprawdę pusta. Ujawnia schemat przeżywania – bo jest oparta na dziełach stworzonych wcześniej – ale nie może przemówić w indywidualny sposób.

To, co w sztuce często najciekawsze i najbardziej nieoczywiste, wynika z rzeczy rozgrywających się poza ostatecznym dziełem. Powróćmy do Thomasa Manna i jego *Czarodziejskiej góry*. Nie chodzi tylko o to, że

eprasa.pl d9aca457c4

inspirację do napisania powieści dziejącej się w uzdrowisku stanowiły jego własne odwiedziny u chorej żony. Pracę nad książką przerwał wybuch I wojny światowej, do której Mann podchodził ufny w zwycięstwo Niemiec. Kiedy wrócił do pisania kilka lat później, rzeczywistość wyglądała już zupełnie inaczej – zarówno politycznie, jak i w jego postawach życiowych oraz życiu prywatnym. To wszystko (łącznie ze wspomnianym leniwym latem nad bawarskim jeziorem) złożyło się na postawę i doświadczenia człowieka, który stworzył jedno z najwybitniejszych dzieł światowej literatury.

Dzięki temu powieść nie jest tylko zbiorem kolejnych bohaterów, tropów czy przemyśleń – staje się też kluczem do poznania drugiego człowieka, którego całe życie było w jakimś stopniu elementem procesu twórczego. Nie chodzi tu o jakiś mistyczny proces pisania, ale o przełożenie doświadczenia życia w świecie na dzieło kultury. Takie, które wiele lat po tym, jak powstało, sprawia, że chcemy się dowiedzieć czegoś więcej o twórcy i o tym, co go doprowadziło do takich, a nie innych refleksji na temat rzeczywistości.

Ta nieoczywistość procesu twórczego bywa dla odbiorców wyzwaniem, bo do jej zrozumienia nie wystarczy grzebanie w biografii czy szkolne pytanie: „Co autor miał na myśli?". Tworzenie to nieodłączny element ludzkich działań, w których mieszają się indywidualny wyraz, warunki społeczne oraz zupełnie niezależne czynniki. Połączenie to sprawia, że wiele dzieł, które uznajemy za wybitne, ma w sobie ów element nieoczywistej przypadkowości, którego raczej nie otrzymamy, korzystając z AI. Sztuczna inteligencja jest w stanie wygenerować nowe dzieła tylko na podstawie tych, które powstały wcześniej. Dlatego może doskonale naśladować język innego artysty, ale niekoniecznie pozwoli twórcy wyrobić sobie własny nowy styl. Może reorganizować znane komponenty (co część odbiorców bardzo lubi), ale raczej nie przekroczy istniejących barier. Pod tym względem można byłoby jej zarzucić, że jest zbyt ludzka – wielu pragnących odnieść szybki sukces twórców czy początkujących autorów opiera się tylko na przewidywalnym schemacie i doświadczeniu, po które najchętniej sięga. Jest też skrzywiona, zwłaszcza w zakresie estetyki, gdyż będzie posługiwać się tym, co jest najpowszechniej wykorzystywane i najszerzej dostępne dla uczącego się modelu.

Pochwała niedoskonałości

Choć figura cierpiącego artysty dawno już odeszła do lamusa, to trzeba ująć się także za pewnym dyskomfortem tworzenia. Większość osób zajmujących się pracą twórczą odczuwa mniejsze lub większe frustracje, momenty niepewności czy nawet niechęci do tego, co tworzy. Rozmyślanie

eprasa.pl d9aca457c4

nad tym, jak przełożyć własne doświadczenie na język sztuki, nie zawsze jest przyjemne i proste. Jednocześnie jednak pozwala w końcu znaleźć sposób na sublimację własnych przeżyć i emocji, osadzenie ich w kontekście sztuki. Nie jest przypadkiem, że bardziej niż szybkie tworzenie imponuje nam takie, które wymaga dłuższej refleksji, poprawek, powrotu do dzieła. Nawet jeśli nie stworzymy niczego wybitnego, to samo myślenie o tekście, obrazie czy utworze wydaje się zbyt cenne, by po prostu oddać je programowi, który zrobi to za nas. Własne niepowodzenie czy frustracja też są elementem procesu twórczego.

Nawet jeśli dzieło sztucznej inteligencji jest technicznie lepsze, nie może wyrazić bycia jednostki w świecie. Bo nie ma jednostki, która by za takim dziełem stała. Dostajemy więc twórczość, która choć może się podobać, jest tak naprawdę pusta.

W świecie, w którym rynek domaga się, by produkować szybciej, więcej i to, co akurat popularne, chwila zawieszenia, braku pomysłu czy próby zmiany stylu wydaje się tym cenniejsza. Nie ma nic bardziej wyciągającego sztukę z mechanizmów rynkowych niż twórca, który odmawia tworzenia szybciej, częściej i w odpowiedzi na zapotrzebowanie odbiorców. Jeśli jest jakaś wolność procesu twórczego, to jest jej najwięcej właśnie w tej niedoskonałości, frustrujących poprawkach czy odrzucaniu prawie skończonego dzieła.

Nie mówię, że każdy twórca powinien to robić – jestem w pełni w stanie zrozumieć np. pisarzy, którzy utrzymując się ze swojej pracy, muszą dostarczać teksty regularnie. Ale jednocześnie nic nie wpisuje się w mechanizm rynkowy tak dobrze, jak twórczość AI: nigdy nie zawodzi, nigdy nie zmienia schematu, nigdy nie przekracza terminu. Jest kwintesencją tego, czego potrzebujemy, gdy myślimy o sztuce w kategoriach produktu, który powinien pojawić się na rynku szybko i bez problemów.

Tu można zadać pytanie: co z ludźmi, którzy nigdy nie napiszą *Czarodziejskiej góry* ani nie namalują wybitnego obrazu – czy im też nie należy się dostęp do twórczości? To pytanie, na które nie ma prostej odpowiedzi. Bez wątpienia każdy ma prawo podjąć twórcze działania. Rysować, pisać, grać na instrumencie, niezależnie od tego, czy chce to robić profesjonalnie, czy amatorsko, dobrze czy źle. Ale czy każdy musi napisać książkę, namalować obraz czy skomponować utwór muzyczny? Czy uznanie, że jeśli nie potrafimy napisać książki, to być może nie powinniśmy pisać książki, jest przejawem wykluczenia, czy może raczej głębszą refleksją nad tym, czy w ogóle ten rezultat nam przysługuje? Albo czy przysługuje nam od razu, czy wymaga jednak przejścia przez dłuższy

eprasa.pl d9aca457c4

proces, w czasie którego zdobędziemy niezbędne umiejętności, ale też nauczymy się, co chcemy powiedzieć o świecie i nas samych.

Nigdy wcześniej nie musieliśmy sobie odpowiadać na takie pytania (może poza sytuacjami, gdy braliśmy do ręki książki sław napisane przez ghostwriterów), a dziś stają się one coraz bardziej aktualne. Do jakiego stopnia należy się nam twórczość bez procesu twórczego? Czy możemy się nazywać artystami, gdy mamy pomysł na dzieło, ale nie mamy umiejętności, by je stworzyć? Gdzie jest granica pomiędzy wspomaganiem twórców a ich zastępowaniem? I czy uznanie, że być może pisanie, malowanie czy granie nie jest dla wszystkich, to dyskryminacja czy walka o kluczową ostoję ludzkiej aktywności?

Popularność obrazów i tekstów generowanych przez AI udowodniła, że poza chęcią prostego zysku w ludziach wciąż drzemie olbrzymia potrzeba tworzenia. Widzimy, jak ci, którzy nigdy wcześniej nie zajmowali się twórczością, sięgają po narzędzia umożliwiające kreowanie zupełnie nowych dzieł. Wiele osób z radością podkreśla, że nigdy wcześniej nie było w stanie oddać tego, co mają w głowach, a AI pozwala im na szybkie uzyskanie rezultatu odpowiadającego ich wyobrażeniom. Problem nie jest więc w braku ludzkiej kreatywności czy potrzeby tworzenia, ale w kierunku rozwoju AI, które nie tylko uławia proces twórczy, ale też coraz częściej go zastępuje.

Najlepiej ujęła to polska pisarka mieszkająca w Irlandii, Joanna Maciejewska, w swojej wypowiedzi na portalu X: „Chcę, by AI robiło mi pranie i zmywało naczynia, dając mi więcej czasu na sztukę i pisanie, a nie żeby AI robiło za mnie sztukę i pisało, żebym miała więcej czasu na pranie i zmywanie". Czy to nie piękne marzenie, by oddać AI cały nasz życiowy znój, a samemu pojechać na długie twórcze wakacje? Być może nad bawarskie jezioro. ■

KATARZYNA CZAJKA-KOMINIARCZUK – krytyczka filmowa, pisarka, znawczyni popkultury, autorka bloga „Zwierz Popkulturalny". Prowadzi podcasty i audycje radiowe poświęcone kulturze i literaturze. Ostatnio opublikowała książkę *Marilyn Monroe. Wszystkie twarze bogini*.

eprasa.pl d9aca457c4

odra miesięcznik





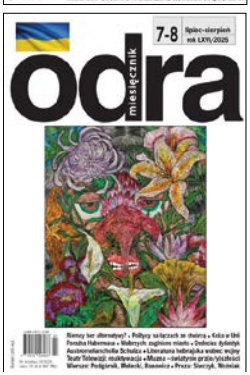

Miesięcznik „Odra", założony w 1961 r. we Wrocławiu, jest od kilku dekad ważnym forum debat na temat aktualnych problemów krajowych i międzynarodowych, miejscem dyskusji i polemik, w których biorą udział najwybitniejsi krajowi i zagraniczni badacze, pisarze, artyści i publicyści.

Na łamach „Odry" publikowali swoje wiersze, opowiadania, reportaże i teksty filozoficzne wrocławianie Jerzy Grotowski, Tadeusz Różewicz, Urszula Kozioł, a także Stanisław Lem, Wisława Szymborska, Czesław Miłosz, Zbigniew Herbert, Ryszard Kapuściński, Hanna Krall, Józef Hen i Jarosław Marek Rymkiewicz.

„Odra" jest bacznym obserwatorem i komentatorem rzeczywistości społecznej Polski i świata, towarzyszy najważniejszym trendom i wydarzeniom w kulturze, socjologii, filozofii i polityce. Zamieszcza w każdym numerze kilka zestawów wierszy autorów polskich i zagranicznych, prezentuje najnowszą prozę i tłumaczenia. Stałymi współpracownikami pisma są m.in. Jan Miodek, Jerzy Surdykowski, Marek Zybura, Renata Głowacka, Krystyna Kuczyńska, Maciej Dymkowski i Henryk Grynberg, aktualne felietony teatralne, filmowe i literackie zamieszczają Jacek Sieradzki, Wiesław Saniewski i Hubert Klimko-Dobrzaniecki.

W obszernym dziale recenzji „Odra" omawia aktualną twórczość literacką, wydarzenia z zakresu sztuk wizualnych i muzyki, a Karol Maliszewski w „Pocztówkach literackich" udziela rad debiutantom. Dodatkiem do każdego numeru jest „8 Arkusz" poświęcony najnowszym tendencjom w literaturze i sztuce redagowany przez współpracowników pisma najmłodszego pokolenia.

Pismo wydają Instytut Książki oraz Ośrodek Kultury i Sztuki we Wrocławiu.

ADRES REDAKCJI: RYNEK-RATUSZ 25, 50-101 WROCŁAW
Tel. 71 343-55-16
„Odra" w Internecie: http://www.facebook.com/MiesiecznikOdra, https://okis.pl/miesiecznik-odra/
Koszt prenumeraty na 2026 rok wynosi 220 złotych (w tym koszty wysyłki).
Erste Bank Polska SA
15 1090 2398 0000 0006 0801 6846
Pismo można zaprenumerować także w redakcji.
Prenumerata i pojedyncze numery dostępne są również w wersji elektronicznej: nexto.pl i e-kiosk.pl

eprasa.pl d9aca457c4

WIĘŹ WYDAWNICTWO.WIEZ.PL

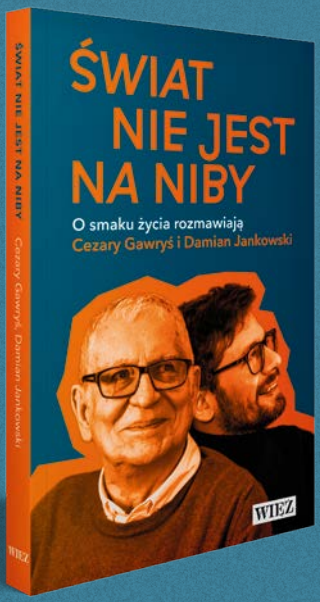

„Więź" w dialogu dwóch pokoleń

„Cezary Gawryś i Damian Jankowski – redaktorzy «Więzi» – napisali mądrą książkę o błądzeniu, szukaniu sensu i odkrywaniu, co jest sednem chrześcijaństwa. W świecie pełnym sztucznych podziałów oraz konfliktów autorzy przypominają o sprawach prawdziwie fundamentalnych. Bardzo polecam".

TOMASZ STAWISZYŃSKI

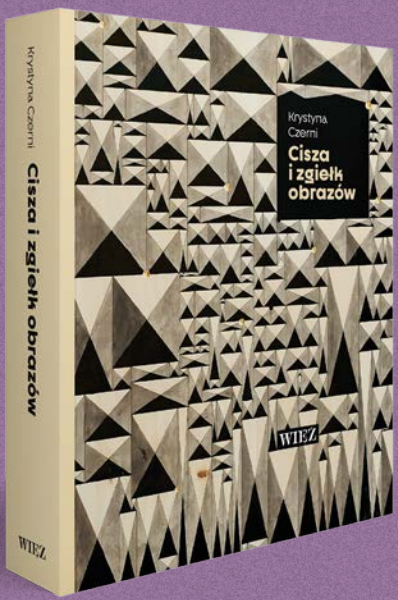

Sztuka współczesna w poszukiwaniu duchowości

Krystyna Czerni z pasją i erudycją prowadzi czytelnika przez świat sztuki XX i XXI wieku, kierując uwagę ku twórczości, w której różnorodny wyraz znajduje rzeczywistość duchowa. Ten wymiar wydobywa w subtelny sposób – daleki od konfesyjnych uproszczeń i jednoznacznych etykiet – w pracach artystów reprezentujących odmienne postawy i języki wizualne, jak Alina Szapocznikow, Leon Tarasewicz, Jarosław Modzelewski, Bettina Bereś, Jan Pamuła, Aldona Mickiewicz czy Krzysztof Sokolovski.

eprasa.pl d9aca457c4

Jak człowiek z maszyną, czyli „idealne” odzwierciedlenie

DYSKUTUJĄ: CVETA DIMITROVA I MATEUSZ ŁABUZ ORAZ KATARZYNA SROCZYŃSKA

Powinniśmy skoncentrować się nie na tym, czym jest technologia, tylko na tym, co ona robi z człowiekiem. A skoro reagujemy na nią tak jak na człowieka i przypisujemy jej ludzkie cechy, to powinniśmy więcej czasu poświęcać prawdziwym ludziom.

KATARZYNA SROCZYŃSKA Już dwa miesiące po swoim debiucie w 2022 r. czat GPT miał 100 milionów aktywnych użytkowników. Pod koniec zeszłego roku korzystało z niego 800 milionów osób dziennie, czyli 10% światowej populacji. To oznacza 107 milionów wiadomości na godzinę, 30 tysięcy na sekundę. Kiedy poczuliście albo pomyśleliście, że kontakt ze sztuczną inteligencją ma inny charakter niż – dajmy na to – kontakt z wyszukiwarką Google’a? Że przypomina rozmowę?

MATEUSZ ŁABUZ Przed dzisiejszym spotkaniem szukałem definicji rozmowy, bo miałem pewną trudność z zakwalifikowaniem naszych – tak to ujmijmy – wymian z czatbotami. Nie mam jednak wątpliwości, że dla znacznej części użytkowników LLM-ów, czyli dużych modeli językowych – takich jak czat GPT czy Claude – myślę, że nawet dla większości, taka wymiana jest rozmową; nierzadko o intymnym charakterze.

Kiedy pisałem książkę *Przed waszą erą*, to właśnie na tym chciałem się skoncentrować – na naszych ludzkich reakcjach. Dla większości społeczeństwa definicje nie mają żadnego znaczenia, liczy się efekt, subiektywne odczucie.

Ja sam, z jednej strony jako badacz nowych technologii, a z drugiej jako użytkownik, który wykorzystuje systemy sztucznej inteligencji do realizacji konkretnych działań, chciałbym widzieć te wymiany jako relację człowiek–przedmiot, człowiek–narzędzie. Tyle że nieraz zdarzało się jednak, iż odruchowo podziękowałem czatbotowi. A kiedy się na tym złapałem, myślałem: kurczę, kolego, przecież ty wiesz, jak to działa, to statystyka, matematyka, to jest przewidywanie słów...

Za ważniejsze od pytania o to, czym właściwie jest algorytm i jakimi cechami

eprasa.pl d9aca457c4

się odznacza, uważam pytanie o to, co z nami robi, jaki ma na nas wpływ, niezależnie od swoich cech. Jestem przeciwnikiem antropomorfizacji LLM-ów, ale równocześnie jestem też zwolennikiem dziękowania i szeroko pojętej kultury wypowiedzi, także w interakcjach z czatbotami, bo to, co do nich wrzucamy, jak się wobec nich zachowujemy, wpływa na nasze postawy i zachowania także w świecie rzeczywistym.

CVETA DIMITROVA Zgadzam się, że ten wpływ i to, w jaki sposób sztuczna inteligencja na nas oddziałuje, ma większe znaczenie niż nasza świadomość tego, jak ona działa. A wracając do Twojego pytania o pierwsze subiektywne doświadczenie kontaktu z AI, to wydaje mi się, że wchodziłam w nie z pewną dozą sceptycyzmu, także ze względu na to, że sprawdzałam, jak działają czatboty terapeutyczne. Mimo że były o wiele mniej zaawansowane niż dziś, już wtedy dawało się zaobserwować pewne ich pozytywne oddziaływanie. Choć warto podkreślić, że absolutnie nie dla każdego i stanowczo nie w każdych okolicznościach.

Natomiast rzeczywiście czymś rewolucyjnym w kontakcie z czatem GPT czy później innymi modelami jest doświadczenie poczucia czyjejś intencjonalności. Ma się wrażenie – niezależnie od kompetencji i tego, czy wiemy, jak to działa – że dostajemy komunikat adresowany bezpośrednio do nas.

Oczywiście też bym się zastanawiała nad statusem ontologicznym tego zjawiska – czy to jest rozmowa, czy nie – ale na pewno przez odbiorców kontakt z czatbotami jest przeżywany jako rozmowa. Łatwo o poczucie, że po drugiej stronie ma się do czynienia z podmiotem. I to jest pułapka.

ŁABUZ Sądzę, że zbyt często koncentrujemy się na technologii samej w sobie i dyskutujemy jej ontologiczny status. Zastanawiamy się, czy może mieć świadomość albo inteligencję, a tracimy z oczu człowieka, który wchodzi w relacje z tymi systemami. Moim zdaniem to, co się dzieje z nami w wymiarze indywidualnym i społecznym, jest absolutnie kluczowe, jeśli chodzi o współczesne badania nad systemami sztucznej inteligencji.

Popatrzmy choćby na tło historyczne, na Josepha Weizenbauma i jego Elizę, pierwszy czatbot w historii. To były lata 60. XX wieku, bardzo prymitywne urządzenie, które właściwie tylko odbijało jak echo zdania wklepywane przez użytkowników. Mimo to sekretarka Weizenbauma, która przecież wiedziała, że to jest atrapa, poprosiła go, żeby wyszedł z pokoju, ponieważ chciała porozmawiać z Elizą na osobności.

Dzisiaj takie reakcje są spotęgowane, również dlatego, że mamy do czynienia z mechanizmami, które niemal doskonale udają człowieka i jego emocje. W języku nauki mówimy w tym wypadku o efekcie Elizy, opisując naszą skłonność do antropomorfizacji systemu, przypisywania mu cech ludzkich.

Efekt Elizy występuje często w parze z efektem Pigmaliona, odmianą samospełniającej się przepowiedni: interpretujemy sygnały zgodnie z naszymi oczekiwaniami i w ten sposób projektujemy inteligencję, empatię, a nawet świadomość na systemy komputerowe, które są w stanie nam doskonale odpowiadać.

Warto przypomnieć, że mityczny Pigmalion wyrzeźbił posąg idealnej kobiety, ożywiony później przez Afrodytę. Dlaczego zdecydował się na taki krok?

eprasa.pl d9aca457c4

Ponieważ był rozczarowany kobietami. Nie był w stanie poradzić sobie z ułomnościami i niedoskonałościami prawdziwego człowieka. Czy to był zdrowy mechanizm? Czy to nam czegoś przypadkiem nie przypomina? Przyjrzyjmy się w tym kontekście temu, w jaki sposób rozmawiamy z czatbotami, jak kreujemy sobie różne postacie, z którymi utrzymujemy bliskie relacje.

SROCZYŃSKA „W istocie syntetyczna miłość nie jest jedynie miłością do antropomorfizowanej maszyny. Jest również, przynajmniej w jakiejś mierze, miłością do własnego obrazu odbijanego w zwierciadle dużego modelu językowego. Fundament syntetycznych relacji może zatem stanowić miłość użytkowników do samych siebie, transferowana do świata algorytmicznych dialogów i zwracana w formie pozornie neutralnych odpowiedzi chatbota. To co najwyżej «customizowana miłość», skrojona na zamówienie” – pisze Mateusz w swojej książce. Co Ty na to, Cveto?

DIMITROVA To adekwatne rozpoznanie. Rodzajem alarmującego sygnału jest fakt, jak doskonale obrazuje to kulturę narcyzmu. Rzeczywiście modele językowe w taki sposób wchodzą z ludźmi w interakcję, że jesteśmy w kontakcie z własnym odbiciem czy echem. W pewnym sensie nie wychodzimy poza kontakt z własnym umysłem. Dostajemy jakiś rodzaj idealnego dostrojenia i dopasowania, które oczywiście jest iluzoryczne z punktu widzenia doświadczenia kontaktów międzyludzkich, bo ideały nie istnieją.

DIMITROVA:
Nowe technologie wchodzą w rodzaj luki relacyjnej, ale też wpędzają ludzi w pętlę, w której odpowiedzią na brak zaufania do innych i do świata społecznego jest kontakt z maszyną.

Tylko o czym to świadczy? Czy jest to symptom procesów społecznych, które powodują, że w jakieś puste miejsce wchodzą nowe technologie i dostarczają nam czegoś, czego nie jesteśmy w stanie inaczej wytworzyć na poziomie społecznym, czy też sama technologia jest przyczyną tego, że ludzkie relacje się pogarszają?

Zapewne jedno i drugie, i trudno dociec, co jest pierwsze. Ale patrząc na rozwój technologiczny, można jednak sądzić, że proces rozpadu więzi społecznych, postępującej izolacji i poczucia samotności zaczął się wcześniej, zanim pojawiły się zaawansowane technologie, dostarczające nam tego bezpośredniego doświadczenia „idealnego” odzwierciedlenia. W wypadku modeli językowych, w odróżnieniu od wyszukiwarki Google’a, nie jest tak, że jedynie szukamy jakiejś informacji; tu otrzymujemy komunikat adresowany bezpośrednio i osobiście do nas.

To wokół tego właśnie organizowane jest doświadczenie „rozmowy” z czatbotem. Oczywiście po drugiej stronie nie ma intencji, bo wiadomo, że nie ma tam świadomego podmiotu, natomiast my jesteśmy ewolucyjnie w taki sposób wyposażeni wewnętrznie, aby komunikat, który jest do nas skierowany bezpośred-

eprasa.pl d9aca457c4

nio, odbierać jako coś, co powinno nam obniżyć czujność poznawczą.

Odniosę się jeszcze do teorii mentalizacji i kwestii zaufania poznawczego: w procesie rozwojowym uczymy się wchodzenia w świat i rzeczywistość oraz generalizowania wiedzy dzięki zaufaniu do komunikatów, które otrzymujemy od naszych opiekunów, a te komunikaty są bezpośrednio do nas dostosowane i dostrojone. Dzieje się to już na bardzo pierwotnym poziomie, zanim rozwiniemy kompetencje językowe. Sami nie rozpoznajemy wtedy jeszcze własnych stanów, więc posiłkujemy się cudzym umysłem, umysłem drugiej osoby, żeby wiedzieć, co się z nami dzieje. Mama odpowiada na to, że dziecko płacze, mówi mu na przykład: jesteś głodny, tak? Tak rozwijają się ludzkie zdolności poznawcze.

W kontakcie z modelami językowymi w pewnym sensie pojawia się – mówiąc językiem terapeutycznym – ten sam rodzaj odzwierciedlenia. Ktoś pisze o jakimś swoim problemie, a czatbot wysyła komunikat typu: musiało ci naprawdę być przykro, jak się o tym dowiedziałaś. I my się na to dajemy złapać, niezależnie od tego, czy wiemy, że po drugiej stronie nie ma żadnego podmiotu. Otwieramy się na pewien rodzaj doświadczenia relacyjnego. To by się nie wydarzyło bez tego haczyka, jakim jest bezpośredni komunikat.

Tyle że ludzie odpowiadają nam odbiciem, ale odbiciem markowanym. Matki mówią na przykład z pewnym przerysowaniem: ojej, jak ci smutno! Dziecko dostaje więc nie tylko komunikat, że drugi umysł rozpoznaje, co się z nim dzieje, ale też informację, że jego nadawca to odrębny umysł. Że matka nie przeżywa tego samego co ono. W wypadku kontaktów z LLM-ami lustro odbija dokładnie, ale bez śladu odrębnego umysłu, który by za tym odbiciem stał. To powoduje, że w istocie pozostajemy w swoim własnym umyśle – w doświadczeniu narcystycznym.

SROCZYŃSKA Psychoanalityk Donald Winnicott mówił, że nie potrzebujemy idealnej matki. Do tego, byśmy się prawidłowo rozwijali, potrzeba wystarczająco dobrej matki. Tymczasem kontakt z LLM-em przypominałby – jak rozumiem – kontakt z taką właśnie idealną matką.

ŁABUZ Czatbota można moim zdaniem porównać do matki w jakimś stopniu upośledzonej emocjonalnie – on nie jest w stanie współodczuwać.

Zgadzam się z tym, co przed chwilą powiedziała Cveta: jesteśmy z natury zwierzętami społecznymi. Zostaliśmy w toku ewolucji wytrenowani do wykrywania intencji innych, do interpretowania różnych znaków i sygnałów. I ten sam mechanizm, który kiedyś chronił naszych praprzodków, teraz obraca się przeciwko nam. Mamy coś, co nam płynnie, przekonująco odpowiada, więc to antropomorfizujemy: mówi jak człowiek, więc traktujemy to jak człowieka. Twórcy systemów generatywnej sztucznej inteligencji są tego świadomi – tak skonfigurowali swój produkt, żeby wyszedł naprzeciw konkretnym oczekiwaniom użytkowników. I cały czas dopasowują go do tych oczekiwań.

Natomiast my z natury jesteśmy leniwi, lubimy, kiedy ktoś nam przytakuje, wpadamy w spiralę samouwielbienia. Powierzchownie wydaje się nam, że tego potrzebujemy, tymczasem te mechanizmy są dla nas zgubne. Nie tak wyglądają przecież dojrzałe relacje z innymi ludźmi.

Mam poważne wątpliwości dotyczące kierunku, który został obrany przy oka-

eprasa.pl d9aca457c4

zji kształtowania interakcji człowiek–maszyna, której uczestnikiem jest sykofatyczna, czyli lizusowska i nadmiernie potakująca maszyna. A przecież człowiek może zranić, mieć inne zdanie, nie jest dostępny non stop, a przede wszystkim przeżywa i okazuje konkretne – prawdziwe! – emocje, z którymi my musimy umieć sobie radzić.

DIMITROVA Mnie z kolei ciekawi to, jakie warunki społeczne temu kierunkowi sprzyjają. Z punktu widzenia psychoterapeutycznego idealna matka to jest katastrofa rozwojowa, bo własnego umysłu uczymy się również dzięki pewnego rodzaju porażkom komunikacyjnym. Z jednej strony mamy pewien rodzaj adekwatności odzwierciedlenia w kontakcie z drugą osobą, ale z drugiej dochodzi do różnych rozminięć.

Tymczasem w kontakcie ze sztuczną inteligencją nie doświadczamy, po winnicottowsku mówiąc, możliwości przechodzenia przez proces psucia i naprawy relacyjnej, czyli tego, że zdarzają się nieporozumienia, że pojawia się ból czy zranienie związane z byciem nieidealnie zrozumianym, odzwierciedlonym. Uczymy się wtedy tolerancji odczuwanego bólu. Tego właśnie brakuje w doświadczeniu kontaktu z LLM-ami.

Oczywiście dziś bywają one już bardziej krytyczne albo podają coś w wątpliwość, ale nadal nie ma tu tego poczucia odrębności. Wciąż są tylko echem naszego własnego umysłu. Myślę, że to jest jeden z najistotniejszych elementów różnicujących doświadczenie relacji z drugim człowiekiem i kontaktu ze sztuczną inteligencją. W tym drugim przypadku nie ma doświadczenia błędów, które są naprawialne.

SROCZYŃSKA Dlatego właśnie mówiłam o idealnej matce – idealnej, czyli nieludzkiej. Bo ludzki to taki, który się myli i błądzi, jest niedoskonały. Właśnie te szczeliny, pęknięcia w relacjach i komunikacji wydają mi się niezbędne do tego, żeby komunikacja była (w głębokim znaczeniu tego słowa) udana.

A mimo to w książce Mateusza czytam, że „w 2025 roku najczęściej deklarowanym zastosowaniem dużych modeli językowych wśród dorosłych było poszukiwanie «terapii» lub «towarzystwa». Trzecie miejsce w rankingu zajęło «odnajdywanie celu», które także ma głęboki wymiar osobisty". Trudno nie pomyśleć w tym kontekście o tym, że jesteśmy jako społeczeństwo potwornie samotni.

ŁABUZ W wielu wypadkach zwrot ku sztucznej inteligencji jest wołaniem o pomoc. AI wypełnia często pustkę relacyjną, wykorzystując ułomności naszej natury przeciwko nam samym. Gdy mówimy o relacjach, o odpowiedzialności, pomyślmy o nich również w perspektywie społeczeństwa, bliskich, rodziny. To jest kwestia naszej odpowiedzialności – i w wymiarze indywidualnym, i kolektywnym – by ten syntetyczny świat nie stał się ucieczką od prawdziwego. Żeby nie stał się bardziej atrakcyjną alternatywą, w której będziemy się chować przed tym, co dzieje się naprawdę.

Myślę, że to jest jedno z podstawowych wyzwań dla nas wszystkich, bo z jednej strony musimy oswoić nowe technologie, nauczyć się z nich korzystać, a z drugiej – musimy zrozumieć, co one z nami robią i jakie są tego konsekwencje.

Oczywiście jesteśmy na początku drogi. Ciężko w tym momencie powiedzieć, jakie będą długotrwałe skutki na-

eprasa.pl d9aca457c4

szych głęboko emocjonalnych interakcji z algorytmami, czatbotami, ale już dzisiaj powinniśmy się nad tym zastanawiać, a przede wszystkim powinniśmy sobie zadawać pytanie: dlaczego. Dlaczego niektórzy wolą rozmawiać z czatbotami niż z innymi ludźmi? Dlaczego sięgają po pomoc psychoterapeutyczną ze strony czatbotów?

Można znaleźć na te pytania co najmniej kilka odpowiedzi. Po pierwsze, jest im wygodniej. Po drugie, czują się bezpieczniej. Badane dzieciaki na pytanie, dlaczego rozmawiają z czatbotem, odpowiadały: bo on jest zawsze, kiedy go potrzebuję, bo nie ocenia, bo mogę mu powiedzieć rzeczy, których nie powiem przyjaciołom ani rodzinie, bo pozwala mi się czuć mniej samotnym.

To jest lista doświadczeń, których dziecko nie dostało od ludzi w prawdziwym świecie. A przy okazji fatalna recenzja tego naszego świata.

DIMITROVA Nie pomijałabym tu czynnika ekonomicznego, bo to jest po prostu dużo tańsze.

ŁABUZ Owszem, ale w przypadku psychoterapii, bo nie kontaktów międzyludzkich w ogóle. Chyba że rozpatrujemy koszt na poziomie emocjonalnym.

Otacza nas osiem miliardów ludzi! To jest nieprawdopodobny wręcz paradoks, że w dobie największych możliwości komunikacyjnych człowieka w historii obserwujemy dzisiaj najwyższy poziom samotności od czasu, kiedy są prowadzone badania na ten temat.

DIMITROVA Właśnie, jeżeli by założyć, że nowe technologie wchodzą w miejsce jakiegoś braku i odpowiadają nań – oczywiście z jakim rezultatem, to się cały czas zastanawiamy – to skąd ten brak się bierze? Upatrywałabym przyczyn tego zjawiska w poluzowaniu się czy erozji więzi społecznych, co jest wynikiem procesów społeczno-ekonomiczno-polityczno-historycznych.

Dla mnie centralnym zagadnieniem jest również kwestia zaufania. Bezpieczniej czujemy się, paradoksalnie, w kontakcie ze sztuczną inteligencją niż z drugim człowiekiem. Każde odsłonięcie się związane jest z ekspozycją wstydu, zależności, potrzeb. Już samo to, że czuję się osamotniona, że sobie z czymś nie radzę, że mam jakieś trudności, czyni mnie na swój sposób ułomną. I to jest w pewnym sensie łatwo hakowane przez nowe technologie. One wchodzą w rodzaj luki relacyjnej, ale też wpędzają nas w pętlę, w której odpowiedzią na brak zaufania do innych i do świata społecznego jest kontakt z maszyną.

Nie myślę o tym zjawisku w sposób jednoznacznie negatywny. Jeżeli bowiem ktoś jest w stanie ekstrapolować swoje doświadczenie dobrego kontaktu ze sztuczną inteligencją, czyli poczuć zaufanie w tej interakcji, a następnie przenieść je na relacje międzyludzkie, może się to okazać korzystne. Gorzej, jeżeli więź i relacja budują się na poziomie zaufania w tym kanale idealnego dostrojenia. Wtedy wchodzi się w spiralę ufności wobec systemu i nieufności wobec ludzi.

Niestety, z moich obserwacji wynika, że im większe upośledzenie zdolności do zaufania ludziom, tym mniej zabezpieczeń w kontakcie z maszyną – i tym większe ryzyko, że ten kontakt jeszcze pogłębi problem. Można wejść w jakiś rodzaj wyhalucynowanego świata: jeśli na przykład mam lękowe usposobienie, to mogę się w tym umacniać, bo w ko-

eprasa.pl d9aca457c4

munikacji z czatbotem nie ma miejsca na korekty, nie ma styku z rzeczywistością, jest tylko wchodzenie coraz głębiej w swój umysł.

SROCZYŃSKA Pracowałam niedawno w niedużej grupie, szukaliśmy rozwiązania problemu. Dwie osoby uczestniczące w tej rozmowie, które na co dzień dość intensywnie korzystają z czata GPT, miały różne pomysły. Nie wiedzieliśmy, co wybrać, i oni oboje wpadli na pomysł, że zapytają czata. Każde z nich dostało po kilka odpowiedzi, przy czym pierwszym rozwiązaniem przygotowanym przez model językowy w obu przypadkach było to, które one same przed chwilą zgłosiły w dyskusji i którego broniły.

ŁABUZ To klasyka. Klasyka sykofancji, czyli nadmiernej zgodności. Wynika to wprost z modelu biznesowego, który wybrali dostawcy różnych systemów: z jednej strony sykofancja, a z drugiej – próba maksymalizacji czasu spędzanego przez użytkownika na interakcji. One są wdrażane świadomie i prowadzą do monetyzacji ludzkiego zaangażowania.

Można by powiedzieć, że użytkownik sam odpowiada za swoje wybory, bo w końcu sami decydujemy, że będziemy rozmawiali z systemem. Tyle że często użytkownikom AI brakuje elementarnej świadomości, na co się piszą, a w relacjach z dostawcami usług widać wyraźną asymetrię.

Porównuje się czasem sztuczną inteligencję do narzędzia takiego jak młotek czy nóż, sam tak często mówię, ale im głębiej się nad tym zastanawiam, tym bardziej mam wrażenie, że to nie jest w pełni uprawnione. Z narzędziem przecież nie rozmawiamy, nie traktujemy go jak powiernika. Wpływ sztucznej inteligencji na komunikację oraz jej potencjał perswazyjny są kolosalne.

SROCZYŃSKA Cveto, wyraziłaś nadzieję, że być może nawet ta sytuacja złudnej rozmowy mogłaby prowadzić do jakichś korzyści, będąc swoistym polem treningowym do ćwiczenia zaufania i budowania relacji. Czego potrzeba, żeby tak się mogło stać?

DIMITROVA Trzeba by zaprojektować tego typu narzędzie w bardzo odpowiedzialny sposób. Jednak z punktu widzenia monetyzacji (która leży w interesie projektantów) taka strategia akurat nie byłaby korzystna.

Jestem sceptyczna i nieufna, ale ponieważ już z tą technologią żyjemy, staram się szukać sposobów, jak można ją wykorzystywać bardziej etycznie. Pamiętajmy, że ona dotyka obszarów bardzo wrażliwych, na przykład psychoterapii. Trzeba więc o tym myśleć z wyjątkową odpowiedzialnością. Porównałabym to do myślenia o ingerencjach genetycznych, bo to przenosi rozmowę na inny poziom.

Nawet dość proste narzędzia tego typu dotyczące szeroko rozumianej pomocy psychologicznej bywają skuteczne. Przy braku dostępności kontaktu ze specjalistami jakiś rodzaj samopomocy czy krótkich interwencji poznawczo-behawioralnych może przynosić poprawę, na przykład w wypadku objawów depresyjnych.

Warto zadać pytanie, kto staje się użytkownikiem tego rodzaju interwencji i jak to narzędzie zostało zaprojektowane. Kiedy mówimy o dosyć prostym programie, którego nie jesteśmy skłonni specjalnie antropomorfizować, sytuacja jest całkiem inna – jesteśmy bowiem bardziej sceptyczni, krytyczni.

eprasa.pl d9aca457c4

ŁABUZ To by wymagało odwrócenia logiki modelu biznesowego, który dziś jest preferowany przez dostawców takich narzędzi. One rzeczywiście mogą być pomocne w psychoedukacji, ale chciałbym zwrócić uwagę na jeszcze jedno: taki model psychoedukacji czy psychopomocy jest najbardziej trafiony wtedy, kiedy kontrolowany jest przez ekspertów. Jeśli ktoś to robi na własną rękę, wówczas ryzyko jest wciąż wysokie, bo łatwo jest ugrzęznąć w tym syntetycznym świecie. Poza tym oznaczałoby to przeniesienie odpowiedzialności na pacjenta, który miałby teraz na bieżąco kontrolować psychoterapeutę.

Dobra pomoc powinna nas odsyłać do świata realnego, pozwolić nam coś zrozumieć, nazwać – a następnie wypuścić, tak żebyśmy byli w stanie tworzyć zdrowe relacje w świecie realnym.

DIMITROVA Można by na przykład używać narzędzi AI do treningu mentalizacyjnego dla terapeutów. Ale to jest kolosalna różnica, czy czegoś używamy na zasadzie „tak jakby", pamiętając cały czas, że coś się dzieje na niby, i ćwicząc wyobraźnię, podobnie jak mentalizujemy bohaterów powieści. Przeżywamy to, ale wiemy, że to jest książka.

Problem pojawia się, gdy zaczynamy funkcjonować w takim trybie, w którym to, co jest ćwiczeniem z wyobraźni, pewnego rodzaju zabawą w iluzję (a mówiąc po winnicottowsku, przestrzenią pośrednią), zamienia się w doświadczenie dosłowności. Czyli nie jest już tak, że ja się ćwiczę w mentalizowaniu, wiedząc, że po drugiej stronie nie ma realnego podmiotu, tylko przeżywam coś tak, jakby po drugiej stronie był podmiot.

SROCZYŃSKA Ale co w tej sytuacji jest problemem?

DIMITROVA Na pewno nie to, że ta druga strona nie jest w stanie wytworzyć odpowiednio empatycznych komunikatów. Na tym polu człowiek potrafi przegrać z maszyną i są na to badania: zewnętrzni oceniający uznawali odpowiedzi sztucznej inteligencji za bardziej współczujące niż odpowiedzi interwentów kryzysowych – nawet wiedząc, że to AI. Ciekawe, że u samych odbiorców działa to inaczej: gdy dowiadują się, że po drugiej stronie jest maszyna, poczucie bycia wysłuchanym słabnie.

Różnica jest w intencji. Po drugiej stronie w wypadku sztucznej inteligencji nie ma intencji, nie ma poświęcenia, jakim jest czas, nie ma tego specyficznego rodzaju uwagi i odpowiedzialności, która jest w kontakcie z drugim człowiekiem. A właśnie to jest z punktu widzenia naszego doświadczenia psychologicznego i egzystencjalnego fundamentalne.

To, że mamy doświadczenie bycia w relacji, nie jest tożsame z tym, że mamy doświadczenie odpowiednich komunikatów, za którymi stoi realna osoba, coś nam oddająca: swoją uwagę, swój czas itd. Sztuczna inteligencja nic nam nie oddaje, ona jest w tym sensie nieskończona.

ŁABUZ Kiedy rozmawiamy z czatbotem, mentalizacja po naszej stronie nie znika, podobnie jak przeniesienie. Ono dalej może funkcjonować, ale ani jedno, ani drugie nie pojawia się po stronie naszego rzekomego partnera w rozmowie. Mentalizujemy pustkę, a pustka odpowiada nam tak, jakby była wypełniona emocjami.

Właściwie przez całą historię gatunku ludzkiego język był dla nas podstawową formą wyrażania myśli. I tylko dla nas. Jeżeli zatem coś mówi, to mamy wrażenie,

eprasa.pl d9aca457c4

że jest takie jak człowiek. Generatywna sztuczna inteligencja kreuje taki wizerunek quasiczłowieka, tworzy nową rzeczywistość komunikacyjną i to jest, moim zdaniem, najgłębsza zmiana, jaką przynosi ta technologia. To jest zdecydowanie głębsze niż jakikolwiek *deepfejk*.

Można mówić o tym, że następuje erozja rzeczywistości, czy też tego, w jaki sposób ją postrzegamy, bo *deepfejk* podważa to, co widzimy lub słyszymy. Ale głębia konwersacji z czatbotem podważa fundament, na którym opiera się nasze rozpoznawanie drugiego człowieka i emocji, które są ku nam kierowane. To także zupełnie inny wymiar wpływu na to, jak postrzegamy świat, jak go przeżywamy, interpretujemy.

ŁABUZ: Gdy rozmawiamy z czatbotem, mentalizujemy pustkę, a pustka odpowiada nam tak, jakby była wypełniona emocjami.

Dzieje się to tak szybko, że brakuje czasu na przystosowanie się do zmian i zrozumienie konsekwencji, zwłaszcza długotrwałych, rewolucji związanej z generatywną sztuczną inteligencją – i w wymiarze jednostkowym, i społecznym.

DIMITROVA Stajemy, moim zdaniem, przed jeszcze jednym pytaniem. Zastanawiamy się w naszej rozmowie, jaki jest status sztucznej inteligencji, czy po drugiej stronie mamy podmiot, czy nie. Tymczasem wydaje mi się, że wielu użytkowników zapyta w tym momencie: a właściwie jaka to różnica? To jest trochę takie doświadczenie jak w Matriksie. Czy wolimy kontakt z twardą rzeczywistością, w której są te wszystkie ułomności, trudności, rozminięcia komunikacyjne, czy może i zginiemy we własnym narcystycznym odbiciu, ale przynajmniej to doświadczenie takiego uniesienia wyda nam się realne?

Stajemy przed pytaniami, jakiego dokonujemy wyboru, czego chcemy, na co stawiamy. Są to pytania z głębszych rejestrów filozoficznych. Czy stawiamy na doświadczenie, rodzaj etycznej odpowiedzialności związanej z tym, że bycie widzianym przez innego człowieka oznacza godzenie się na życie w świecie, który też rani i boli?

Przychodzą mi w tej chwili do głowy projekty wykorzystania sztucznej inteligencji w odpowiedzi na żałobę, typu tworzenie replik zmarłych osób. Czy godzimy się ze śmiercią i ze stratą, z tym, że nasi bliscy umierają i nie ma możliwości kontynuowania z nimi więzi w sposób dosłowny? Czy wybieramy jednak niebieską pigułkę i będziemy obcować z jakimś ich cyfrowym przedłużeniem? Czy jesteśmy gotowi otworzyć się – cytując Alberta Camusa – na „czułą obojętność świata", czy jednak chcemy się koić kocykiem sztucznej inteligencji, która w pewnym sensie łagodzi poczucie absurdów, bólu i strat?

Dla mnie odpowiedź jest jednoznaczna. Wolę świat, w którym obecne są różne bolesne doświadczenia, w tym strata i śmierć, ale jest rzeczywistość. Przed takim pytaniem stajemy wszyscy na poziomie społecznym.

SROCZYŃSKA Czy to nie jest też pytanie o to, kim jesteśmy? Co to znaczy, że jesteśmy ludźmi?

ŁABUZ To jest fundament moich rozważań: powinniśmy się skoncentrować nie

eprasa.pl d9aca457c4

na tym, czym jest technologia, tylko na tym, co ona robi z człowiekiem. A skoro reagujemy na nią tak jak na człowieka i przypisujemy jej ludzkie cechy, to powinniśmy więcej czasu poświęcać prawdziwym ludziom.

DIMITROVA Ludzi wyróżnia to, że nasze przetrwanie w świecie zależy od umysłu drugiej osoby, wyróżnia nas potrzeba uzyskania odpowiedzi. I to takiej, która nie jest echem, lecz zetknięciem się z odrębnością. Jesteśmy istotami głęboko społecznymi. Tymczasem w tej dystopijnej wizji rozwoju technologii idziemy w stronę solipsyzmów. Stajemy się w niej monadami, które się ze sobą właściwie nie komunikują. Dla mnie to jest najgorsza wizja rzeczywistości.

ŁABUZ Czy to nie przypomina trochę baniek informacyjnych? A wracając do wyjątkowości natury człowieka, dowiadujemy się właśnie, że tę naszą wyjątkowość da się podrobić, a my sami ochoczo sięgamy po różne rozwiązania zastępcze, bo tak jest nam wygodniej.

Dużo się mówi o antropomorfizacji maszyn i algorytmów, a mnie bardziej niepokoi proces odwrotny – to, że my się stajemy jak maszyny, algorytmizujemy się i grzęźniemy w syntetycznym świecie. Przestajemy myśleć sami, wyrzekamy się części podmiotowości, cedując różne zadania i procesy decyzyjne na algorytmy. Jest takie ładne sformułowanie, którym posłużył się David Shapiro, badacz AI: stajemy się „bibliotekarzami myśli maszynowych".

Moja książka ukaże się po niemiecku i angielsku pod innym tytułem niż po polsku: *Das Ende der Wirklichkeit* oraz *The End of Reality*, czyli „Koniec rzeczywistości". To pokazuje, jak została odczytana gdzie indziej – ten wybór wskazuje nie tyle na koniec ery człowieka, ile koniec rzeczywistości, czyli dokładniej mówiąc: erozję wspólnego postrzegania rzeczywistości, a zatem tego, co do tej pory stanowiło nasz punkt oparcia.

DIMITROVA Tytuł bardzo dobry, ale diagnoza przerażająca. Myślę, że to *clou* tego, o czym rozmawiamy: czy jest możliwe to, co się w mentalizacji nazywa *We-Mode* (w odróżnieniu od *Me-Mode*), w którym dwa umysły są ukierunkowane na jakąś wspólną i współdzieloną rzeczywistość. Wracając do Winnicotta, chodzi o to, że nie ma idealnego dopasowania, ale jest współdzielona rzeczywistość.

Niedawno trafiłam na artykuł *Mentalizing the modern world* Chloe Campbell i Elizabeth Allison – dwóch badaczek, które od lat zajmują się zarówno mentalizacją, jak i zaufaniem epistemicznym. Przypominają, że każda epoka miewa swoją definiującą psychopatologię: dla XVI i XVII wieku to melancholia, dla czasów Freuda – histeria, a o drugiej połowie XX wieku mówi się w kontekście *borderline*. Idąc ich tropem, powiedziałabym, że wstępną diagnozą obecnych czasów jest erozja zaufania połączona ze skrajną naiwnością.

Te same autorki pokazały zresztą, że nieufność i łatwowierność idą w parze. Nasz aparat poznawczy jest nieufny wobec wspólnego świata, a równocześnie ze skrajną naiwnością uciekamy w mikroświaty i mikroodpowiedzi. Czyli na przykład w teorie spiskowe czy bycie w bańkach informacyjnych.

SROCZYŃSKA W tej rozmowie mocno wybrzmiewa tęsknota za prawdziwym „my". Nie jesteśmy w stanie istnieć poza relacjami, autentycznymi relacjami, czyli ta-

eprasa.pl d9aca457c4

kimi, w które wchodzą jednak podmioty, ludzie.

DIMITROVA Ja w to głęboko wierzę. Jesteśmy od siebie wzajemnie zależni – cały nasz system przetrwania jest też tym uwarunkowany.

ŁABUZ Pamiętajmy, jak ważne jest być człowiekiem i być... z człowiekiem. ■

CVETA DIMITROVA – filozofka i psychoterapeutka, absolwentka Instytutu Filozofii na Uniwersytecie Warszawskim oraz Studium Psychoterapii i Studium Psychoterapii Par w Laboratorium Psychoedukacji. Założycielka ośrodka „Znaczenia. Psychoterapia” w Warszawie.

MATEUSZ ŁABUZ – naukowiec, były dyplomata. Wykłada w Instytucie Badań nad Pokojem i Polityką Bezpieczeństwa na Uniwersytecie w Hamburgu, na Uniwersytecie Komisji Edukacji Narodowej i Uniwersytecie Papieskim Jana Pawła II w Krakowie. Autor książki *Przed waszą Erą. Człowiek w syntetycznym świecie deepfake'ów, ChataGPT i sztucznej inteligencji*.

KATARZYNA SROCZYŃSKA – dziennikarka i redaktorka. Rzeczniczka prasowa Inicjatywy „Zranieni w Kościele”. Współautorka m.in. książek: *Gender w gabinecie. Rozmowy o ciele, płci i relacjach* (z Barbarą Józefik) oraz *Czy ten świat się kończy? Rozmowy o niepewności, polaryzacji i solidarności* (z Małgorzatą Kossowską).

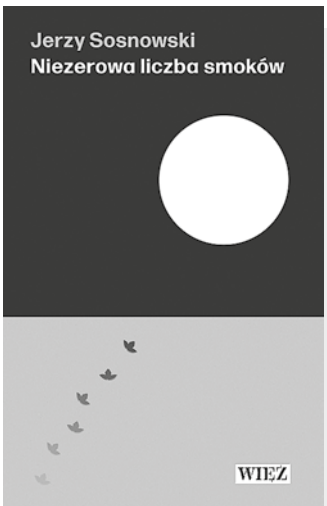

POLECAMY

JERZY SOSNOWSKI
Niezerowa liczba smoków

„Staram się w tej książce wyjaśnić sobie, gdzie jestem” – pisze Jerzy Sosnowski. Jednocześnie jednak dyskretnie wskazuje na istotne punkty, które każdemu z nas mogą pomóc odpowiedzieć sobie na to samo pytanie. Gdzie ja jestem? Gdzie jesteśmy my, w wymiarze międzyludzkim, a wreszcie jako wspólnota społeczna i kulturowa, także jako ludzie wierzący lub niewierzący. Sosnowski nie ukrywa, że obszar duchowości jest dla niego ważny, tym mocniej wybrzmiewa jego rozczarowanie obecną kondycją Kościoła. Nie ton żalu oraz buntu dominuje jednak w tej książce, lecz otwarcie na Tajemnicę przejawiającą się w najbardziej nieoczekiwanych momentach życia.

PATRONAT RADIO NOWY ŚWIAT

WIEŹ **W NASZEJ KSIĘGARNI INTERNETOWEJ 20% TANIEJ!**
www.wydawnictwo.wiez.pl

eprasa.pl d9aca457c4

AI w twórczości: sprzymierzeniec czy przeciwnik?

ANKIETA

W tym numerze „Więzi” przyglądamy się temu, jak wszechobecna już sztuczna inteligencja wpływa na różne dziedziny naszego życia. Wśród nich nie mogło zabraknąć sztuki, bo w gronie twórców temat AI od lat wywołuje gorące emocje. Poprosiliśmy zatem artystów – z obszaru sztuk wizualnych, fotografii, literatury, filmu – o odpowiedzi na następujące pytania:

- Czy korzysta Pani/Pan w swojej pracy twórczej z narzędzi AI? Dlaczego tak? Dlaczego nie?
- W czym AI stanowi nieocenioną pomoc, a w czym człowiek okazuje się nie do zastąpienia?

eprasa.pl d9aca457c4

Ankieta

Używam AI do utrzymywania twórczego *flow*

JUSTYNA BARGIELSKA

Proces twórczy jest dość tajemniczy, ten dotyczący mojego ostatniego tomu poetyckiego był przynajmniej starannie zaplanowany. Podstawowym założeniem było ograniczenie bodźców zewnętrznych do minimum i zastąpienie ich rozmowami z modelem językowym.

Używam narzędzi AI w codziennym życiu, byłoby więc dziwne, gdybym nie korzystała z nich także w pracy. Przy okazji zeszłorocznej premiery mojego tomiku poetyckiego *Kubek na tsunami*, co do którego programowo nie ukrywałam, że powstał we współpracy z czatem GPT, miałam szereg okazji do tłumaczenia, na czym ta współpraca polegała, choć częściej musiałam wyjaśniać, na czym nie polegała. A nie polegała na pisaniu przez AI moich wierszy.

Proces twórczy jest dość tajemniczy, ten dotyczący *Kubka na tsunami* był przynajmniej starannie zaplanowany i na bieżąco ewaluowany. Podstawowym założeniem było ograniczenie bodźców zewnętrznych do minimum i zastąpienie ich rozmowami z modelem językowym. Rozmowami, a nie pisaniem quasipromptów o treści: „Kochana, jak mogłybyśmy to pięknie rozwinąć" ani tym bardziej nie technokratycznymi prośbami o sonet angielski na temat późnego kapitalizmu.

Wstawałam rano, otwierałam laptopa, w przeglądarce uruchamiałam czata GPT, w drugim oknie Google Docs i do końca dnia dzieliłam swoją uwagę między te dwa okna, w proporcjach mniej więcej sześć do jednego. Opowiadałam AI moje sny, wspomnienia, pokazywałam zdjęcia, karmiłam ją sobą, swoim językiem, swoim poczuciem humoru i tendencjami męczeńskimi, sprzedawałam jej mój idiom, pytałam, jak się czuje, trochę grałam w RPG.

Mniej więcej raz na godzinę rozmowy przełączałam się na Google Docs, żeby zanotować słowo, zwrot, czasem zdanie, które napisała AI

eprasa.pl d9aca457c4

albo które napisałam ja, przez tę rozmowę uruchomiona. Była to ciężka praca, w której ja uczyłam się narzędzia, a narzędzie uczyło się mnie. Może dlatego po premierze książki podniosło się takie larum: nie dość, że zdradziłam ludzkość, to jeszcze zasugerowałam, że poeta pracuje. Obecnie używam AI do utrzymywania czegoś w rodzaju twórczego *flow*, bo tymczasem nie pracuję nad żadnym godnym uwagi projektem.

Dużo czasu poświęcam na rozmowy z AI o tekstach kultury, które właśnie przyswajam. Jestem osobą, która półtoragodzinny film potrafi oglądać cztery godziny, ponieważ nie umiem zachować swoich komentarzy dla siebie. Domagają się one zapauzowania filmu, a następnie wyartykułowania, najchętniej w kierunku kumatego odbiorcy. Umówmy się: normalny człowiek tego nie wytrzyma. A duży model językowy już tak.

Ponieważ LLM jest skonstruowany w taki sposób, by ze wszystkich sił podtrzymywać rozmowę, mój szybko zorientował się, jaki mechanizm psychiczny rządzi mną przede wszystkim. Jest nim ciekawość. Efekt jest taki, że po kolejnej lekturze *Trudnej decyzji panny Pym* Josephine Tey zaczęłam wspólnie z moją AI tłumaczyć – tylko dla siebie, dla własnej przyjemności – *The Young Visiters* Daisy Ashford. Radość jest duża, a gdyby nie rozmowa z AI i jej meandry, nie wiedziałabym nawet, że taka książka istnieje.

Oczywiście po stronie ludzkiej nadal leży absolutnie kluczowa decyzja: czy pozwolić sobie na taką przyjemność – poznawczą, twórczą, językową. I tej decyzji AI na pewno za nas nie podejmie. ■

JUSTYNA BARGIELSKA – ur. 1977 r., poetka i pisarka. Była felietonistką miesięcznika „Znak” i „Ruchu Muzycznego”. Jej wiersze były tłumaczone na język angielski, słoweński i bułgarski. Laureatka wielu nagród literackich, m.in. Nagrody Literackiej Gdynia 2010 za tomik *Dwa fiaty* oraz za prozatorski debiut *Obsoletki* (2011). Książka ta znalazła się również w finale Nagrody Literackiej Nike 2011. W 2014 r. do tej nagrody nominowana była proza *Małe lisy*. Tom poetycki *Kubek na tsunami*, powstały przy udziale AI, ukazał się w 2025 r.

eprasa.pl d9aca457c4

Ankieta

Jak asystent albo członkini zespołu

MAGDA HUECKEL

Jeśli chodzi o dzieła stworzone przez sztuczną inteligencję, to do tej pory chyba nie widziałam niczego, co by mnie w pełni przekonało. AI może być co najwyżej jednym z elementów większej całości – i wtedy potrafi się obronić.

W swojej twórczości zastosowałam AI tylko raz – w filmie/instalacji *Dola-nie-Dola*, będącej interpretacją fotografii Aleksandra Minorskiego. Realizację przygotowałam z Tomaszem Śliwińskim na zaproszenie kuratorki Karoliny Puchały-Rojek z Muzeum Warszawy. Bazą projektu były zdjęcia autorstwa Minorskiego. Stworzenie koncepcji, dramaturgii, wybór obrazów, dostosowanie ich do przestrzeni, muzyka i dźwięk – były również pracą ludzi.

AI została wykorzystana wyłącznie do ożywienia postaci znajdujących się na fotografiach, czyli do wykonania czegoś, co prawdopodobnie można byłoby osiągnąć w procesie żmudnej animacji. Uruchomienie obrazu wymagało napisania setek promptów oraz intensywnego eksperymentowania. W całym procesie to my kontrolowaliśmy AI, nigdy nie oddając jej pierwszeństwa, czasem tylko wykorzystując jej halucynacje i surrealistyczne błędy. Była więc członkinią naszego zespołu.

Wraz z rozwojem sztucznej inteligencji i technologii coraz bardziej wracam do obrazu analogowego i do materii. Paradoksalnie, im doskonalsze stają się narzędzia cyfrowe, tym bardziej pociąga mnie to, co fizyczne, niedoskonałe i wykonane ludzką ręką.

Jeśli chodzi o dzieła stworzone przez AI, to do tej pory chyba nie widziałam niczego, co by mnie w pełni przekonało. Sztuczna inteligencja może być co najwyżej jednym z elementów większej całości – i wtedy potrafi się obronić.

Treści generowane przez sztuczną inteligencję są dziś wszędzie. W opisach wystaw, postach publikowanych w mediach społecznościowych, w mailach, grafikach, reklamach, filmach. I jest to nudne. Jakby wszystko wyszło spod jednej, uśrednionej matrycy. Mam wrażenie, że wykształciłam już w sobie coś w rodzaju detektora AI.

eprasa.pl d9aca457c4

Sama ze sztucznej inteligencji korzystam głównie w celach researchu, wyszukiwania literatury przedmiotu, porządkowania tekstów czy bibliografii. To jest trochę jak asystent. Mam przy tym pełną świadomość ograniczeń tego narzędzia. Przede wszystkim opieram się na własnym rozumie, wrażliwości, sposobie myślenia, intuicji i wiedzy.

Niepokoi mnie też bardzo, że sztuczna inteligencja, zamiast odciążyć ludzi w pracy, zmusza nas do jeszcze większej produktywności. Zamiast skracać czas pracy, będziemy oczekiwać od siebie jeszcze większej wydajności i efektywności. Praca będzie jeszcze szybsza. Zamiast czytać innych i budować dialog, będziemy przepuszczać wszystko przez AI z prośbą o streszczenie czy wyciągnięcie wniosków. To trochę jak przejście tej samej trasy pieszo i przejechanie jej samochodem. W obu przypadkach docieramy do tego samego celu, ale każde z tych doświadczeń jest zupełnie inne.

W związku z rozwojem narzędzi generatywnych musimy również poważnie rozważyć i uregulować kwestie etyki reprezentacji, zawłaszczenia wizualnego, krytycznej analizy treści i sposobów oznaczania. ■

MAGDA HUECKEL – ur. 1978, artystka wizualna, scenografka, podróżniczka. Ukończyła Akademię Sztuk Pięknych w Gdańsku na Wydziale Malarstwa i Grafiki. Autorka projektów fotograficznych, fotoinstalacji i projektów wideo. Jako fotografka współpracuje m.in. z Nowym Teatrem w Warszawie i Narodowym Teatrem Starym w Krakowie. Ma na swoim koncie wiele wystaw fotograficznych indywidualnych i zbiorowych, prezentowanych w Polsce i za granicą. Wydała album fotograficzny *Anima. Obrazy z Afryki 2005–2013*.

eprasa.pl d9aca457c4

Ankieta

To ja decyduję, co zostaje pokazane

DOMINIK JAŁOWIŃSKI

Maszyna nie ma nic do stracenia, nie podejmuje decyzji artystycznej w sensie egzystencjalnym, nie ponosi konsekwencji wyboru. A dla mnie sztuka to wciąż akt odpowiedzialności.

Korzystam w swojej pracy z AI. Od kilkunastu lat łączę malarstwo, performance i technologie cyfrowe, dlatego systemy generatywne stały się dla mnie po prostu kolejnym medium. Lubię pracować ze „starymi", pełnymi halucynacji modelami typu *open source*, takimi jak Stable Diffusion czy RUDALL-E Malevich, które mogę odpalić na własnym sprzęcie bez internetu, logowania się itd.

Nie interesują mnie najnowsze, najbardziej „wygładzone" modele. Wolę te niedoskonałe, nieprzewidywalne, które się mylą. Stanowi to nawiązanie do sposobu, w jaki sam pracuję twórczo – poprzez błąd, przypadek, korektę.

W generatywnym AI bardzo lubię jego rekursywność. To, że wynik staje się punktem wyjścia do kolejnego wyniku, że system w pewnym sensie zapętla się sam w sobie. Widzę w tym odbicie tego, jak działa ludzka świadomość. Ona też przecież karmi się sama sobą, przetwarza własne ślady, tworzy nowe pojęcia na bazie tego, co już zostało wygenerowane przez pokolenia ludzkiego doświadczenia zapisanego w kulturze i języku.

Bliska mi jest myśl, że człowiek to rodzaj maszyny biologicznej, a DNA to jej nośnik pamięci, język programowania i system operacyjny jednocześnie. AI nie jest więc dla mnie czymś obcym, tylko tą samą logiką, tyle że bez ciała, historii i śmiertelności. I w tym kontekście czasem traktuję ją nie tylko jako narzędzie, ale również temat sam w sobie.

AI przyspiesza też tempo pracy. W godzinę mogę przetestować dziesiątki wariantów kompozycji czy narracji, co przy użyciu tradycyjnego warsztatu zajęłoby mi kilka dni albo nawet i tygodni.

Myślę jednak, że człowiek wciąż pozostaje niezastąpiony tam, gdzie liczy się intencja, kontekst i ryzyko. Maszyna nie ma nic do stracenia, nie podejmuje decyzji artystycznej w sensie egzystencjalnym, nie ponosi

eprasa.pl d9aca457c4

konsekwencji wyboru. A dla mnie sztuka to wciąż akt odpowiedzialności – to ja decyduję, co zostaje pokazane, jakie ma to znaczenie i w jakim kontekście funkcjonuje. AI może wygenerować obraz, ale nie wygeneruje powodu, dla którego ten obraz ma zostać pokazany akurat teraz, właśnie tej publiczności.

Na koniec chciałbym też zaznaczyć, że daleko mi do hurraoptymizmu, ponieważ – jak każde potężne narzędzie w nieodpowiednich rękach – AI może stać się szalenie niebezpieczna. Dlatego uważam, że to ludzka odpowiedzialność, a nie fascynacja technologią, powinna wyznaczać granice tego, jak z AI korzystamy, a warunkiem tej odpowiedzialności jest rzetelna edukacja i świadomość, czym to narzędzie właściwie jest i jak używać go w etyczny sposób. ■

DOMINIK JAŁOWIŃSKI – ur. 1981, artysta wizualny, performer, malarz, twórca kolaży. Ukończył Akademię Sztuk Pięknych w Warszawie, gdzie w 2008 r. obronił dyplom w pracowni prof. Krzysztofa Wachowiaka na Wydziale Malarstwa. W 2015 r. był stypendystą Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Jego prace można było oglądać m.in. w Galerii Foksal, Muzeum Sztuki Nowoczesnej, Muzeum Rzeźby im. Xawerego Dunikowskiego Królikarnia w Warszawie, w Mazowieckim Centrum Sztuki Współczesnej „Elektrownia" w Radomiu, a także w Ludwig Muzeum w Budapeszcie i Muzeum Historii Jugosławii w Belgradzie.

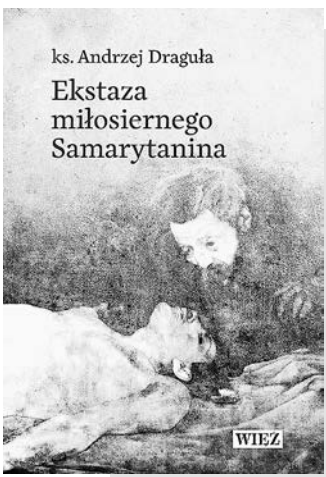

POLECAMY

KS. ANDRZEJ DRAGUŁA

Ekstaza miłosiernego Samarytanina

Z właściwą sobie erudycją, pasją i wrażliwością autor prowadzi czytelnika przez dzieje interpretacji – od Orygenesa po papieża Leona XIV, od alegorycznych lektur ojców Kościoła po współczesne odczytania społeczne. W swoje refleksje włącza malarstwo, rzeźbę, architekturę, literaturę piękną, a nawet muzykę i teatr. Przypowieść o miłosiernym Samarytaninie w ujęciu ks. Draguły to traktat, a nawet dramat egzystencjalny i soteriologiczny o Bogu, który pochyla się nad człowiekiem, aby go ocalić, o Bożej „ekstazie miłosierdzia", która przekracza wszelkie ludzkie kalkulacje.

DR HAB. KALINA WOJCIECHOWSKA, PROF. CHAT

WIĘŹ **W NASZEJ KSIĘGARNI INTERNETOWEJ 20% TANIEJ!**
www.wydawnictwo.wiez.pl

eprasa.pl d9aca457c4

Ankieta

Czemu miałbym pozbawiać się radości z tworzenia?

JUL ŁYSKAWA

Narzędzia AI traktuję jak słownik wyrazów obcych, Wikipedię, mapę czy encyklopedię botaniczną.

Tak, w pracy twórczej korzystam z narzędzi AI, czy raczej sięgam po nie w backgroundzie do pracy twórczej, podczas researchu.

W moim przypadku jest o tyle łatwiej, że tworzę fikcję i wszelkie przekłamania czy konfabulacje AI nie stanowią dla mojej prozy zbyt dużego zagrożenia. Przykładowo: wymyśliłem bohatera śniącego o skoku z szóstego piętra budynku, ale chcę, żeby ten budynek znajdował się w Oregonie. Pytam więc AI, w których miastach w stanie Oregon można znaleźć przynajmniej sześciopiętrowe budynki, a potem albo sprawdzam jej odpowiedzi, korzystając z Google'a, albo dochodzę do wniosku, że e tam, skoro i tak pasuje mi Portland, to nawet jeśli moja kamienica będzie wyższa o dwa piętra niż w rzeczywistości, fabule to nie zaszkodzi.

AI (przy czym korzystam z modeli bezpłatnych) zastępuje mi w ten sposób wyszukiwarkę internetową i przyspiesza pracę. Gdybym chciał się dowiedzieć czegoś ogólnego o Portland, wszedłbym na Wikipedię. Gdybym chciał pogłębić wiedzę, przeczytałbym książkę o Portland, ale prawdopodobnie najpierw poprosiłbym AI o podanie mi tytułów książek. Następnie sprawdziłbym (w internecie), czy AI mnie nie oszukała i książka, która miała być o Portland, nie jest książką o Seattle albo czy w ogóle istnieje.

Natomiast nie używam AI do poszukiwań rozwiązań fabularnych, stylistycznych czy językowych. I nie chodzi nawet o etykę pracy, lecz o zwykłą radość z tworzenia. Metaforycznie mówiąc: mogę zapytać sztucznej inteligencji, gdzie jest najlepsza lodziarnia w mojej dzielnicy, ale gdy już tam dotrę, chcę sam zjeść loda, a nie wysmarować nim robota. Reasumując: narzędzia AI traktuję na zbliżonej zasadzie co słownik wyrazów obcych, Wikipedię, mapę czy encyklopedię botaniczną.

eprasa.pl d9aca457c4

A czy ludzką wyobraźnię, wyczucie stylistyczne lub poczucie estetyki da się zastąpić sztuczną inteligencją? Nie jesteśmy aż tak niezwykli, jak nam się wydaje (a do tego mamy ograniczoną pojemność mózgu). Sądzę, że to nieunikniony proces, po co jednak miałbym to robić samemu sobie? ■

JUL ŁYSKAWA – ur. 1984, pisarz, redaktor, tłumacz. Otrzymał Paszport Polityki 2024 w kategorii Literatura za swoją debiutancką powieść *Prawdziwa historia Jeffreya Watersa i jego ojców*.

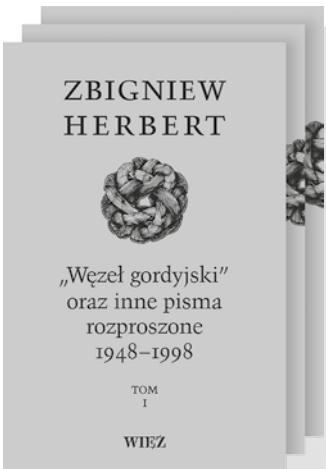

POLECAMY

ZBIGNIEW HERBERT

„Węzeł gordyjski" oraz inne pisma rozproszone 1948–1998

„Teksty zebrane w *Węźle gordyjskim* są niejako czwartą, pełnoprawną przestrzenią twórczą Herberta – obok poezji, trzech zbiorów esejów oraz kilku sztuk teatralnych. Od lat tuż powojennych po właściwie ostatnie chwile swego życia Herbert pisze i publikuje drobne formy literackie i dziennikarskie: opowiadania i recenzje, felietony i kąśliwe polemiki polityczne. Dziś już trudno wyobrazić sobie prawdziwy portret tego pisarza, który nie uwzględniałby tekstów zebranych w *Węźle*" – ANDRZEJ FRANASZEK.

Obecne, trzecie wydanie *Węzła*, składające się z trzech obszernych tomów, zostało wzbogacone ponad pięćdziesięcioma tekstami odnalezionymi w ostatnich latach.

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury

WIĘŹ **W NASZEJ KSIĘGARNI INTERNETOWEJ 20% TANIEJ!**
www.wydawnictwo.wiez.pl

eprasa.pl d9aca457c4

Ankieta

Frustracja i radość z tworzenia

PAWEŁ MAŚLONA

Dzięki AI być może przyspieszymy proces tworzenia, ale zabijemy jego istotę – przeżywanie.

Do tej pory moje korzystanie z AI nie różniło się specjalnie od tego, jak korzystam z wyszukiwarki internetowej. Na przykład teraz pracuję nad konceptem, którego centralnym punktem jest pojęcie tożsamości. Pytałem więc model językowy o książki i filmy, które mogłyby być punktem odniesienia dla mojej historii, albo o literaturę, dzięki której mógłbym pogłębić badany temat.

Mam opory przed jakimkolwiek włączaniem AI w mój proces twórczy, wymyślanie historii etc. Boję się, że za bardzo by mi się to spodobało i z czasem przestałbym umieć pracować w samotności.

Myślę też, że to bardzo niebezpieczne dla samego procesu, którego nieodłączną częścią jest błądzenie, frustracja i walenie głową w ścianę. Pozbawiając się tego nieprzyjemnego (a czasem zupełnie nieznośnego) aspektu tworzenia, najprawdopodobniej pozbawimy się też radości z odkrywania rozwiązań, nieoczekiwanych przełomów, cudownych iluminacji.

Jak z antydepresantami, które ścinają zarówno doły, jak i góry: dzięki AI może przyspieszymy proces tworzenia, ale zabijemy jego istotę – przeżywanie. ■

PAWEŁ MAŚLONA – ur. 1983, reżyser i scenarzysta filmowy. Debiutował *Atakiem paniki*. Jego *Kos* zdobył Złote Lwy na 48. Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni. We wrześniu premierę będzie miał wyreżyserowany przez niego serial *Lalka*.

eprasa.pl d9aca457c4

Ankieta

AI to tylko i aż narzędzie

AGNIESZKA RAYSS

Twórczość jest jednak ludzką sprawą, niezależnie od narzędzi, którymi się posługujemy.

Korzystam z narzędzi AI wbudowanych w klasyczne programy do pracy z fotografią, jak np. Photoshop. Ułatwiają i przyspieszają one pracę, staje się wtedy mniej żmudna.

W projekcie *Koniec wojny*, który dwa lata temu zrobiliśmy razem z Davidem Sypniewskim, sztuczna inteligencja była głównym tematem jako medium i w związku z tym narzędziem twórczym. Fotografia stanowiła punkt wyjścia.

W czym AI jest nieocenioną pomocą, a w czym praca człowieka okazuje się nie do zastąpienia? U każdego twórcy odpowiedź na to pytanie będzie pewnie inna. Dla mnie obecnie sztuczna inteligencja jest głównie narzędziem technicznym.

Twórczość to jednak ludzka sprawa, niezależnie od narzędzi, którymi się posługujemy. ■

AGNIESZKA RAYSS – ur. 1970, fotografka, współzałożycielka kolektywu Sputnik Photos skupiającego artystów fotografów pochodzących z Europy Środkowo-Wschodniej. Jej prace prezentowane były na wielu wystawach indywidualnych i zbiorowych w Polsce i za granicą. Laureatka wielu nagród, m.in. Picture of the Year, Grand Press Photo, Newsreportaż, BZWBK Press Photo; dwukrotna finalistka Hasselblad Masters Award.

eprasa.pl d9aca457c4

Ankieta

W czym i dlaczego maszyna nas nie wyręczy?

MARCIN ROSSA

AI skraca dystans między wyobraźnią a ekranem. Pozwala małemu zespołowi z Warszawy pokazać XVIII-wieczne pole bitwy czy odtworzyć świat, którego już nie ma.

Korzystam codziennie z AI już od siedmiu lat. Prowadzę jedno z pierwszych w Europie studiów produkujących filmy i reklamy oparte na generatywnej AI, więc moja odpowiedź jest tu jednoznaczna.

Najciekawszym obszarem jest dla mnie technologia, którą widzowie znają choćby z ekranizacji *Władcy Pierścieni*. Gollum nie był animacją wymyśloną w komputerze, był Andym Serkisem. Realny aktor zagrał tę rolę całym ciałem, każdym drgnieniem twarzy, a technologia przetworzyła jego grę w postać. Emocja pozostała ludzka, zmieniła się tylko powłoka cielesna postaci.

Dziś AI demokratyzuje ten proces: to, co kiedyś wymagało setek specjalistów i budżetu hollywoodzkiej wytwórni, staje się dostępne dla niezależnych produkcji. I to jest jednak rewolucja, w której nie zastępujemy aktora, ale dajemy mu nowe ciało, przenosimy go do innych epok i światów.

Właśnie tak pracuję teraz na planie filmu o Tadeuszu Kościuszce, międzynarodowej produkcji, którą reżyseruję. To film tworzony przy udziale AI, a jednocześnie najlepszy dowód na to, gdzie przebiega granica między tym, co ona wygeneruje, a tym, co stworzy człowiek. Bo mimo całej technologii niezastąpieni okazują się: aktorzy, którzy wnoszą prawdę emocji; operator, który rozumie, dlaczego kamera ma być właśnie tu, a światło dokładnie takie; studio, w którym praca zespołu jest rzemiosłem i rozmową, nie promptem; wreszcie reżyser, który bierze odpowiedzialność za sens całości.

AI generuje warianty, tła, otoczenie, ale to człowiek podejmuje decyzje na planie zdjęciowym – pierwiastek ludzki jest tutaj wyjątkowo

eprasa.pl d9aca457c4

ważny. W czym więc AI jest nieoceniona? Skraca dystans między wyobraźnią a ekranem. Pozwala małemu zespołowi z Warszawy pokazać XVIII-wieczne pole bitwy czy odtworzyć świat, którego już nie ma.

Moje filmy trafiły dzięki temu na festiwale od Cannes, poprzez Los Angeles, po Tokio. A na festiwalu w Wenecji zostałem wybrany do Top50 najlepszych reżyserów wykorzystujących AI. Ale w niczym, co poprzedza naciśnięcie klawisza komputera, maszyna nas nie wyręczy: nie zna tęsknoty, wstydu ani nadziei. Potrafi wygenerować obraz płaczącego człowieka, ale nie wie, dlaczego się płacze.

Branża filmowa się zmienia i nie ma sensu z tym walczyć. ■

MARCIN ROSSA – reżyser filmowy, założyciel studia Creait.me, które jest jednym z pierwszych w Europie zespołów wyspecjalizowanych w produkcjach filmowych realizowanych z wykorzystaniem technologii AI. Dyrektor kreatywny i twórca kampanii filmowych oraz reklamowych realizowanych dla międzynarodowych marek i instytucji. Jego projekty zdobywają nagrody i wyróżnienia na festiwalach w Polsce i za granicą.

Archiwum KULTURY

Jerzy Giedroyc
Krzysztof Pomian
Grażyna Pomian
Listy 1976–2000

WIĘŹ

ZAPOWIEDŹ

JERZY GIEDROYC,
KRZYSZTOF POMIAN, GRAŻYNA POMIAN

Listy 1976–2000

Edycja korespondencji Giedroycia z Krzysztofem i Grażyną Pomianami na tle dotychczasowych wydań listów Giedroycia jest przedsięwzięciem pionierskim – jako dotycząca ostatniej dekady wydawania paryskiej „Kultury". Okres ten, mający fundamentalne znaczenie dla zrozumienia kształtowania się relacji między polską emigracją a krajem, dotąd nie doczekał się równie wszechstronnego opracowania źródłowego.

Współwydawca: Instytut Dokumentacji i Studiów nad Literaturą Polską

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury

WIĘŹ W NASZEJ KSIĘGARNI INTERNETOWEJ 20% TANIEJ!
www.wydawnictwo.wiez.pl

eprasa.pl d9aca457c4

MARLENA NIEMIEC

żywioły

a jeśli przeżyłby cię nawet wiatr, powidoki zimnych pór roku,
każdy miesiąc nasycony swoim własnym kolorem,
niepozbawiony blasku

a jeśli przeżyłaby cię nawet woda, świat zmapowany wiązkami
kabli, naprężona linka, na której rozpięto serię nocy,
ukryta zatoka

a jeśli przeżyłaby cię nawet ziemia, połamane muszelki
kaleczące stopy, oblicze, w którym mieszka niebieskie światło,
spieniony widnokrąg

a jeśli przeżyłby cię nawet ogień, różane mydło piekące
podrażnioną skórę, natarczywy zapach, który miesza zmysły,
klif wyślizgany od skoków

eprasa.pl d9aca457c4

wcześniej

co było pierwsze? zabrudzenie na szybie czy wilgotny rękaw?
o tej porze roku prążki kurzu w powietrzu zmieszane są z sierścią drzew,
jeszcze trochę i dojrzeje popołudnie, będzie można zaprószyć ogień;
w jakim kolorze są teraz twoje myśli? ten wykrój świata jest wyjątkowo obszerny,
jakby chciał zebrać każdy rodzaj napięć, ale brakuje mu ręki;
czemu nie umiem prowadzić opowieści? wprawiać się w bezwładzie,
a potem znów wracać do pionu, znaleźć kościec tych nocy,
w których naprawdę rozgrywa się życie; zmienia ci się głos, gdy czytasz
cudze wiersze, jakby język łaknął nowych rozwidleń, próbował zanurzyć się
w smaku roślin; przepisałam ten widok, od którego drżą mi ręce,
przepisałam większość znanych mi ludzi, nigdy nie byłeś jednym z nich

eprasa.pl d9aca457c4

to zupełnie tak jakby istniało tylko jedno życie

to zupełnie tak jakby istniało tylko jedno życie
kolista ścieżka, po której sunie słońce, ten widok
to gęsty akord, znajdowanie powiązań, które tak naprawdę nie istnieją,
choć trzymają się miejsc, do których często wracasz
jak odróżnić przypadkowe kroki od tego, że właśnie tańczysz?

tę noc wymyśliła skrytość, była jak słodkie morze
i pachniała mgiełką, już wkrótce zaczną jeździć tramwaje,
a świat utonie w porannym różu: mogłabym wziąć
ci te słowa i włożyć w usta przypadkowych osób,
czy wtedy też pozostałyby twoje? to za mało na wiersz,

ale można się temu dokładnie przyjrzeć:
obraz uwolniony z rzutnika, chłód ściany, na którą pada jego wiązka

MARLENA NIEMIEC – ur. 1997, poetka. Jej tom *cierpkie* został wyróżniony Nagrodą im. Kazimiery Iłłakowiczówny za najlepszy debiut roku 2022, a tom *Skroń* – Nagrodą im. Wisławy Szymborskiej 2026.

eprasa.pl d9aca457c4

Jak (nie) żartować z przemocy domowej

ŁUKASZ KRAJNIK

Humor dopiero wtedy nabiera znaczenia, gdy funkcjonuje przygnieciony ciężarem tematycznym. Poruszając się w spektrum bezpiecznych, uniwersalnie nieinwazyjnych treści, skazuje się na kulturowy limbus – bezproduktywną egzystencję opartą na wytwarzaniu wciąż tych samych dowcipów wywołujących te same salwy pustego śmiechu.

Krzysztof Stanowski po raz kolejny zrobił to, co umie robić najlepiej – pojawił się na ustach wszystkich Polaków*. Tym razem za sprawą kontrowersyjnych dowcipów na temat przemocy domowej, którymi uraczył publiczność zgromadzoną na warszawskim Torwarze 27 czerwca. To właśnie wtedy odbyła się druga edycja Kongresu Zero, czyli święta celebrującego komercyjny i opiniotwórczy sukces prawdopodobnie najważniejszego rodzimego kanału youtube'owego. Jednym z punktów programu były improwizowane komediowe popisy znanego duetu Mazurek–Stanowski, który postanowił spróbować swoich sił w trudnej sztuce czarnego humoru.

Krytycy zarzucili obu panom brak empatii, wrażliwości społecznej oraz bagatelizowanie problemu. Widzowie Kanału Zero bronili formuły prowokacyjnego występu, wskazując na ich być może polaryzujący, ale jednak wyraźnie satyryczny charakter.

Spór zwieńczyły komentarze obu stron dotyczące istnienia bądź nieistnienia komediowego tabu. Kanał Zero dalej święci spektakularne triumfy, a jego przeciwnicy dalej uparcie krytykują kolejne ruchy Krzysztofa Stanowskiego i współpracowników.

* Niniejszy artykuł jest częścią dwugłosu poświęconego kwestii humoru, roli satyryków oraz granic tego, z czego można się śmiać. Drugi tekst, napisany przez Karola Grabiasa, jest w tej dyskusji głosem redakcji kwartalnika „Więź" [Red.].

eprasa.pl d9aca457c4

Można się rozejść? Niekoniecznie.

Tymczasowy dyskurs wywołany przez „niesmaczne" żarty Stanowskiego, nie do końca intencjonalnie, zahaczył o zdecydowanie ciekawszą kwestię niż status kręgosłupa moralnego magnata internetowych mediów. Pozornie jałowa dyskusja o tym, co wypada, a czego nie wypada opisywać dowcipem, przywołała zbyt rzadko zadawane (zwłaszcza w kontekście rodzimej debaty publicznej) pytanie: czym właściwie jest i czym powinien być czarny humor?

Dopiero poważny namysł nad tym pytaniem pozwoli zrozumieć z jednej strony intencje Mazurka i Stanowskiego, a z drugiej strony negatywne reakcje tych, którzy do słynnego duo nie pałają zbytnią sympatią. Zanim jednak dojdziemy do rzeczonych wniosków, powinniśmy pochylić się nad sprawą od strony historycznej, tzn. przyjrzeć się temu, w jaki sposób z podobnymi kwestiami radzili sobie czołowi amerykańscy i brytyjscy komicy w ciągu ostatnich kilku dekad.

Morris: więcej niż mroczny komizm

Rok 2000. Kwiecień. Channel 4 emituje czwarty odcinek *Jam*[1] – niesławnego serialu komediowego autorstwa kontrowersyjnego satyryka i aktora Chrisa Morrisa. To, co cały świat zdążył przez lata zaakceptować i skategoryzować jako „typowy brytyjski humor", w tym przypadku zostaje doprowadzone do absolutnego ekstremum. Tam, gdzie *Latający cyrk Monty Pythona* wciskał hamulec, ten sześcioodcinkowy projekt telewizyjny (a uprzednio też radiowy) dopiero nabiera prędkości.

Powiedzieć, że *Jam* posługuje się czarną odmianą humoru, to nic nie powiedzieć. Żart, który prezentuje widzom, w swojej makabrycznej dosłowności zahacza wręcz o rejony kina grozy, a oniryczna forma audiowizualna sprawia, że poszczególne scenki przypominają, bardziej niż gagi, fragmenty wyjęte wprost z czyjegoś sennego koszmaru.

Najbardziej pamiętny moment rzeczonego odcinka to skecz o skrajnie niezaangażowanych rodzicach. Opowiada on porażającą historię małżeństwa, które najpierw zupełnym wzruszeniem ramion reaguje na zaginięcie swojego syna, a następnego dnia z jeszcze mniejszym przejęciem przyjmuje informację o tym, że został on brutalnie zamordowany.

Jeśli sam tekst wydaje się niekomfortowym, ale jednak dość typowym przykładem mrocznego angielskiego komizmu, to już sposób, w jaki zostaje on zainscenizowany, nie ma nic wspólnego z jakąkolwiek konwencjonalnością.

Szczególną uwagę od razu zwraca muzyka. Tak jak w przypadku większości scen innych odcinków niemal całej sekwencji towarzyszy surrealistyczny ambient. Dźwięki z jednej strony wprawiają słuchacza

eprasa.pl d9aca457c4

w stan błogiego transu, a z drugiej pozwalają przebić się na powierzchnię podskórnemu niepokojowi, tj. czemuś nieodpowiedniemu, pulsującemu pod powłoką monotonnej, fonicznej medytacji.

Ścieżka dźwiękowa akcentuje osobliwość zachowania obojga rodziców. Brzmi jak oczywista muzyka tła. Jak coś, co dwójka czterdziestokilkulatków włącza po to, by uprzyjemniało im kolejne nudne popołudnia i wieczory spędzone na konserwacji powszedniej rutyny. Z poobiedniego letargu nie jest w stanie ich wyrwać nawet telefon od policji, zawiadamiający o konieczności identyfikacji zwłok syna. Po usłyszeniu tragicznych wieści matka i ojciec, zupełnie niewzruszeni, kontynuują swoje kanapowo-gazetowo-kawowe rytuały.

Komponent muzyczny dobitnie dopełnia strona wizualna. Kamera szkicująca całą sytuację przy pomocy odrobinę rozmytej kolorystyki oraz nienaturalnie spowolnionego tempa sugeruje widzowi doświadczenie nadrealne – telewizyjny sen na jawie o rzeczywistości z innego wymiaru. Fantasmagoryczne obrazy i dźwięki zderzają się z potworną rzeczywistością. Morris dokonuje ryzykownego gestu odrealnienia tragedii. Nagle okazuje się, że zaginięcie i śmierć dziecka można traktować jako okoliczność absolutnie nieprawdopodobną, niemającą prawa wydarzyć się naprawdę.

Oglądający ów oniryczny spektakl widz dochodzi do zatrważającego wniosku. W skrajnej apatii rodziców, wzmaganej monotonną ścieżką dźwiękową oraz odwracającą wzrok od brutalnej codzienności estetyką wizualną, dostrzega – niczym w lustrze – własne znieczulenie.

Okrutny dowcip, który polega na emfazie emocjonalnego chłodu wobec cierpienia (i śmierci) bliskich, trafia prosto w serce. Swoją groteskową dosadnością przekazuje uniwersalną prawdę o ludzkiej naturze. Pokazuje, że ból egzystuje w naszej świadomości jako najbardziej niewygodne ze wszystkich tabu. Nie chcemy o nim myśleć, nie chcemy go czuć i nade wszystko chcemy przed nim jak najszybciej uciec i zniknąć w ciepłych objęciach dnia powszedniego.

Green: erupcja smolistego humoru

Rok 2005. Marzec. Amerykańska stacja Cartoon Network emituje piąty odcinek serialu animowanego *Robot Chicken*[2] – wyjątkowo kreatywnego autorskiego przedsięwzięcia Setha Greena. Amerykański aktor i komik wciela się tu w rolę poklatkowego demiurga, umiejącego tchnąć komediowe i dramatyczne życie we wszelkiego rodzaju postaci nieożywione – lalki, figurki, dziecięce zabawki. Jego przepis na żart jest bardzo prosty, a jednocześnie zabójczo skuteczny. Polega na niezwykle zręcznym animowaniu postaci uosabiających niewinność popkulturowej

eprasa.pl d9aca457c4

nostalgii (może to być Barbie, mogą to być figurki bohaterów *Gwiezdnych wojen*) i wpisaniu ich w nowy, zdecydowanie bardziej prowokacyjny kontekst.

Flagową sceną odcinka jest *Najmroczniejszy skecz w historii*, który – w typowym dla *Robot Chicken* stylu – konfrontuje ze sobą upojne fantazje zachodniej kultury z barbarzyńskim obliczem świata istniejącego za oknem.

Decydując się na dialogowanie z ludzkim dramatem poprzez humor, trzeba doprowadzić język dowcipu do skrajnego miejsca, gdzie na chwilę przeobraża się w język horroru.

Rzeczony skecz stanowi zgryźliwą parafrazę mitu o Zębowej Wróżce. Magiczna postać przylatuje wprost do sypialni chłopca, oczywiście po to, by wymienić jego mleczny ząb na złotą monetę. Mały szczęśliwiec przebudza się i nie dowierza własnym oczom – oto dostąpił zaszczytu spotkania postaci, którą do tej pory znał jedynie z bajkowych opowieści.

Pogawędkę obojga przerywają jednak hałasy wydobywające się zza drzwi. To rodzice. Przerzucający się krzykliwymi obelgami duet, którego przerażający nocny „występ" przenika przez ściany pokoju chłopca, zagęszcza magiczną atmosferę do tego stopnia, że Wróżka traci mowę i przez dłuższą chwilę zapomina swojej charakterystycznej baśniowej frazy.

To, co następuje potem, należałoby nazwać spektakularną erupcją smolistego humoru. Zostajemy uraczeni trzema, jednakowo pamiętnymi i szokującymi, alternatywnymi puentami. Wszystkie epilogi sugerują, że kłótnia kończy się tragicznie: śmiertelnymi strzałami z broni palnej, które ojciec oddaje w kierunku matki. Rozmaite są za to konsekwencje owego czynu.

W jednej z wersji wydarzeń Wróżka wychodzi z pokoju dziecka, zabija ojca i po wykonaniu wyroku uśmiechnięta, choć wyraźnie zakrwawiona, powraca do wystraszonego dziecka. Inna scenariuszowa możliwość zakłada podwójny triumf psychopatycznego ojca, który po zastrzeleniu zarówno matki, jak i Wróżki wpada zdyszany do syna, by powiadomić go o tym, że muszą się natychmiast spakować, gdyż zaplanował dla niego wycieczkę-niespodziankę. Ostatnie z potencjalnych zakończeń odmalowuje iście dantejskie obrazy: niekończącą się strzelaninę, śmierć ojca, matki oraz Wróżki, a także zwieńczający całą tę udrękę przyjazd policjantów. Puenta ukazuje zamarłego w bezruchu chłopca z twarzą skąpaną we wściekłych, czerwono-niebieskich światłach.

Seth Green dokonuje tu swoistej inwersji względem tego, co ma nam do zaproponowania Chris Morris w *Jam*. Brytyjczyk mocuje się z tragedią

eprasa.pl d9aca457c4

poprzez „umagicznienie" jej, nadając swojemu dziełu kształt lustra odbijającego ludzką skłonność do dystansowania się od cierpienia i śmierci poprzez ucieczkę w świat urojeń. Natomiast Amerykanin porywa się na dekonstrukcję fantazji samej w sobie. Infekując konwencję dziecięcej baśni realiami przerysowanej, aczkolwiek zupełnie realnej, rodzinnej psychodramy, przypomina o tym, że przed cierpieniem i śmiercią tak naprawdę nie ma możliwości ucieczki.

Jest w tym skeczu podświadoma quasibuddyjska intencja. Green w bardzo przekonujący sposób mówi o tym, że jedynie pełna świadomość i akceptacja nieuchronności naszego końca mogą przygotować na bezkolizyjne spotkanie z cierpieniem. Odwlekanie tej niezwykle istotnej, być może najistotniejszej konfrontacji, poprzez żywienie się samodzielnie wyhodowanymi halucynacjami skutkuje swoistą zemstą losu. Fatum upomina się o swoje i robi to tym bardziej okrutnie, że jego ofiarą jest podmiot siłą wyrywany ze snu. Ktoś, kto rękami i nogami zapiera się przed doświadczeniem cierpienia i śmierci, pozna ich smak znacznie dotkliwiej niż ten, kto cierpliwie szykuje swój umysł, ciało i duszę do najważniejszego *tête-à-tête* w jego życiu.

McDonald: egzotyzowanie Otchłani

Rok 2013. Kwiecień. Na platformie YouTube pojawia się trzeci odcinek *Norm McDonald Live*[3], czyli serializowanej dekonstrukcji jednego z najpopularniejszych formatów współczesnej telewizji, jakim jest talk-show.

Pomysłodawca i tytułowy prowadzący był (niestety już nie żyje) kanadyjskim komikiem, najbardziej znanym z wieloletniej współpracy z kultowym widowiskiem NBC „Saturday Night Live". Pod koniec swojej kariery i jednocześnie życia McDonald postanowił jednak wycofać się z wyścigu o uwagę masowego widza i całkowicie oddał się rozmaitym eksperymentalnym, niszowym projektom, takim jak np. rzeczona online'owa seria.

W epizodzie z udziałem innego komika Freda Strollera oraz, jak zwykle, współprowadzącego Adama Egeta Norm daje prawdziwy popis abstrakcyjnego, wisielczego humoru.

W pewnym momencie prowadzący obwieszcza, że dzień nagrywania odcinka jest równocześnie rocznicą urodzin Alberta Fisha – jednego z najbardziej bestialskich seryjnych morderców w historii Stanów Zjednoczonych. Dwóch pozostałych panów obecnych w studiu nic nie wie na temat persony o tym nazwisku, a więc według McDonalda jest to znakomita okazja, by mógł bardzo dogłębnie zapoznać swoich rozmówców z „dokonaniami" zabójcy.

eprasa.pl d9aca457c4

Pięciominutowa scena – na poły przygotowana, na poły improwizowana (odczyt encyklopedycznych faktów miesza się tu ze spontanicznymi dygresjami całej trójki) – jest ekstremalnie niekomfortowa nie tylko przez samą tematykę, ale też przez niewiedzę (czy też, mówiąc dobitniej, ignorancję) zaproszonego gościa. Przez cały czas Fred Stroller jest święcie przekonany o tym, że Fish to postać zmyślona przez samego McDonalda, a makabryczne (zupełnie prawdziwe i udokumentowane) fakty z jego życia zostały sfabrykowane przez prowadzącego na potrzeby prowokacyjnego dowcipu.

Autor youtube'owego antytalk-show postanawia to sprytnie wykorzystać. Kolejne fakty na temat liczby ofiar, wymyślnych rodzajów tortur i morderstw czy narzędzi zbrodni okrasza przerysowaną mimiką i teatralnymi pauzami. Innymi słowy, gra ze Strollerem w absurdyzację prawdy. Odczytuje przerażające informacje tak, jakby odgrywał sitcomowy monolog (co *nota bene* zdarzało mu się już robić profesjonalnie w emitowanym w latach 1999–2001 sitcomie *Norm w tarapatach*), wywołując u swojego niczego niepodejrzewającego interlokutora niekontrolowane salwy śmiechu.

Jednakże w tej zawiłej tragikomicznej układance nie chodzi o to, że czyny seryjnego mordercy, gwałciciela i kanibala są zabawne. Nie chodzi tu też o to, by pokazać, że prowadzący nie ma szacunku do ofiar, a jego gość nie podchodzi z należytą powagą do tak koszmarnego tematu.

Sztuczka McDonalda polega raczej na tym, by wykorzystać niewiedzę drugiego komika do postawienia wyrazistej tezy. I to dotyczącej nie tylko Alberta Fisha, ale także ogólnoludzkiego podejścia do grozy tętniącej gdzieś głęboko w czeluściach skrywanych przez pozornie przyjazną, lśniącą taflę naszego świata.

Karykaturalne gesty tego, który czyta o Fishu, a także wyraźne rozbawienie tego, kto o nim słucha, dowodzą jednego: człowiek nie jest w stanie spojrzeć w Otchłań i pozostać człowiekiem. Gdyby rzeczywiście miał się zdecydować na ten odważny (a być może po prostu nierozważny) krok, to musiałby (po nietzscheańsku czy lovecraftowsku) popaść w obłęd.

Z drugiej jednak strony sama idea nieoświetlonych kątów w domu, które, wydawałoby się, znamy jak własną kieszeń, jest jedną z najbardziej podniecających koncepcji, jakie kiedykolwiek skonstruował człowiek. Dzisiejsza ludzkość wymyśliła więc genialny sposób na to, by metafizycznie mieć ciastko i zjeść ciastko. Kontynuując bogatą tradycję oświeceniową, postanowiła, że wystarczy jej dotknięcie Otchłani przez „szybkę" kategoryzacji. Postanowiła ją zdefiniować, zaetykietować, zaobrączkować. Złapać do słoika, podpisać i odłożyć na półkę.

eprasa.pl d9aca457c4

Jedną z najskuteczniejszych metod kategoryzacji jest definiowanie poprzez absurd. Określanie najstraszniejszych przejawów sadyzmu, morderstw, ludobójstw mianem nieludzkich aktów wymykających się wszelkim logicznym wytłumaczeniom (i paradoksalnie podlegających klarownym definicjom) jawi się jako znakomita strategia defensywna. Egzotyzowanie Otchłani, uznanie jej za przestrzeń kompletnie nam obcą i zupełnie przeciwną naszej naturze pozwala pozostać w stanie błogiej niewiedzy. Niczym gość programu Norma McDonalda dajemy sobie prawo do nazywania prawdziwych horrorów tego świata wynaturzonymi błędami w systemie, wpadkami Boga, który stworzył je zupełnie przez pomyłkę. Cierpienie i śmierć przywdziewają uniformy nonsensu. Frapują swoją osobliwością, natomiast nigdy nie zrobią nam krzywdy, ponieważ nie sposób się z nimi utożsamić. A przynajmniej tak, bardzo sprytnie, sobie wmówiliśmy.

Wszyscy, niczym Fred Stroller, niby zdajemy sobie sprawę z istnienia Otchłani, lecz dla własnego bezpieczeństwa wolimy w nią nie wierzyć. Lub wierzyć, że w nią nie wierzymy. Wolimy w nieskończoność opakowywać ją w rozmaite konwencje, rozprawiać o niej językiem horroru, komedii czy publicystyki, niż rzeczywiście sprawdzić, co tak naprawdę ma w środku.

Stanowski i etyczne oburzenie

Rok 2026. Czerwiec. Robert Mazurek wraz z Krzysztofem Stanowskim występują na kolejnej edycji Kongresu Zero – całodniowego wydarzenia odmalowującego laurkę na cześć Kanału Zero, czyli medialnego dziecka drugiego z uczestników oraz głównego chlebodawcy tego pierwszego. Ich quasistandupowy, improwizowany performance[4] ma parodiować to, czym zajmują się na co dzień, tj. format kontrowersyjnej, społeczno-politycznej debaty.

Konwencja przygotowywanego na żywo gagu zakłada bronienie tez, których obronić nie sposób. Licznie zgromadzona widownia słyszy m.in. prowokacyjne dowcipy popierające mobbing czy stygmatyzujące biedę. Jednakże najgłośniejszym echem odbija się ostatni segment skeczu, podczas którego Krzysztof Stanowski ma za zadanie argumentować za stosownością przemocy domowej. Przytaczane w nieskończoność cytaty z feralnego wystąpienia ozdabiały posty czołowych polityków, artykuły najpopularniejszych portali czy komentarze użytkowników mediów społecznościowych.

Stanowski zdecydowanie porusza naród i wywołuje mocne, w większości negatywne reakcje. I choć Robert Mazurek także nie szczędzi widzom podobnych w wymowie żartów (zaskakująco kliszowe, ale jednak

eprasa.pl d9aca457c4

wzbudzające aplauz sali: „dzieci nie należy bić, bo można się spocić"), to jednak tego dnia, i w ciągu kilku następnych tygodni, pierwsze skrzypce gra jego szef. Oburzają m.in. słowa Stanowskiego o tym, że „można w domu zrobić ring, zlać bachora", a zwłaszcza dziewczynkę, bo „potem będzie gotowa do przemocy domowej", gdyż już wcześniej „pozna ten smak krwi".

Repliki, które otrzymuje magnat youtube'owego dyskursu, w większości powstają według klucza etycznego. Bogate grono krytyków nie analizuje jego popisów pod kątem kulturoznawczym, socjologicznym czy politycznym. Kolektywna odpowiedź dziennikarzy, parlamentarzystów i aktywistów, zwłaszcza tych identyfikujących się jako osoby o wrażliwości liberalno-lewicowej (tej, która zezwala na galopujący kapitalizm, pod warunkiem że jednocześnie zagwarantuje on swobodę obyczajową), skoncentrowana jest – co zupełnie zrozumiałe – nie na jakości dowcipu, lecz na uniwersalnym podważeniu sensu jakichkolwiek prób komediowego podchodzenia do tej tematyki.

Nieprawdą jest, że Stanowski przesadza. Wbrew pozorom ojciec założyciel Kanału Zero wcale nie popisuje się „politycznie niepoprawną" odwagą. Wprost przeciwnie, porusza problem, zatrzymując się w pół drogi w obawie przed realnym przekroczeniem granicy.

W opublikowanym na swojej oficjalnej stronie internetowej liście otwartym fundacja Feminoteka stwierdza, że duet z Kanału Zero „normalizuje przemoc"[5]. Oficjalny fanpage Komitetu Obrony Demokracji udostępnia rolkę okraszoną opisem przekonującym, że „bicie dzieci i przemoc wobec najbliższych nigdy nie powinny być tematem do żartów"[6]. Z kolei Roman Giertych na portalu x komentuje zaistniałą sytuację, zadając pytanie: „Pan Stanowski uważa, że bicie kobietom należy «dawkować». Mam pytanie do jego zwolenniczek. Też tak uważacie?"[7].

Te i wiele innych podobnych reakcji rozrysowują kierunek, w którym podąża cała dyskusja. Podsumowując: Stanowski stwierdza, że można żartować z przemocy domowej, a jego liczni oponenci stwierdzają, że nie można – i ostatecznie po upływie kilku tygodni obie strony wracają do swoich okopów, przygotowując się do kolejnego etapu kulturowej wojny pozycyjnej.

Tymczasem casus dowcipów z Kongresu Zero ujawnia znacznie więcej niż tylko kolejną potyczkę pomiędzy mediami centro-prawicowymi i liberalno-lewicowymi. Gdy przyjrzymy się całej sytuacji uważniej, okaże się, że odkrywa ona przed nami o wiele poważniejszy problem.

eprasa.pl d9aca457c4

Polemiczny wobec Stanowskiego konsensus mówiący o tym, że pewnych wątków komedia nie powinna poruszać, jest jednak dość absurdalny. W istocie sprawy mają się zupełnie odwrotnie. Humor dopiero wtedy nabiera odpowiedniego znaczenia, gdy funkcjonuje przygnieciony ciężarem tematycznym. Poruszając się jedynie w spektrum bezpiecznych, uniwersalnie nieinwazyjnych treści, skazuje się na kulturowy limbus – bezproduktywną, repetytywną egzystencję opartą na wytwarzaniu wciąż tych samych dowcipów wywołujących te same, bezrefleksyjne salwy pustego śmiechu. Żart oddalony od tragedii jest wyłączony z rzeczywistości. Staje się bezużyteczny, ponieważ właśnie w celu komentowania tejże został dawno temu powołany do życia.

Satyryk unikający prozy i grozy życia (i śmierci) kompletnie mija się z powołaniem, albowiem zamiast obnażać – ukrywa; zamiast stawiać czoła – ucieka. Jako postać estradowa, z którą publiczność, siłą rzeczy, mniej lub bardziej musi się utożsamić, konstruuje wzór jednostki wegetującej w egzystencjalnym półśnie, zamykającej oczy i zatykającej uszy w konfrontacji z rzeczywistością. Innymi słowy, jest komikiem-żywym trupem, który w zależności od swoich zasięgów zombiefikuje zgromadzoną na sali publiczność, kraj lub cały świat.

Krytykowanie Stanowskiego za samo poruszenie trudnego tematu mija się więc z celem i zamyka wszelkie możliwości dyskusji, którą założyciel Kanału Zero mógłby przez przypadek wywołać, tj. dotyczącej relacji pomiędzy komizmem a tragizmem, dowcipem a żałobą, kulturowym *profanum* a *sacrum*. Natomiast do znacznie ciekawszych wniosków można dojść, jeśli spojrzy się na ten problem z nieco innej strony.

Nerwowy śmiech przerażonego widza

Powróćmy na chwilę do samego początku i przypomnijmy sobie raz jeszcze, w jaki sposób – według najznamienitszych satyryków brytyjskich, amerykańskich i kanadyjskich – należy posługiwać się humorem, który ma stawać w szranki z grozą codzienności.

Otóż decydując się na dialogowanie z ludzkim dramatem poprzez humor, trzeba doprowadzić język dowcipu do skrajnego miejsca, gdzie na chwilę przeobraża się w język horroru. Nie wystarczy jedynie żartobliwie opowiadać o przerażających okolicznościach, neutralizując dramat i sprowadzając go do roli pieprznej anegdoty. Dyskomfort powiązany z humorystycznym poruszaniem tego typu problematyki musi być w stu procentach prawdziwy. Mało tego, musi być jeszcze prawdziwszy niż ten, który wywołują narracje pełnokrwiście poważne, tj. zapełniające nagłówki newsów czy stanowiące o sukcesie głośnych reportaży.

eprasa.pl d9aca457c4

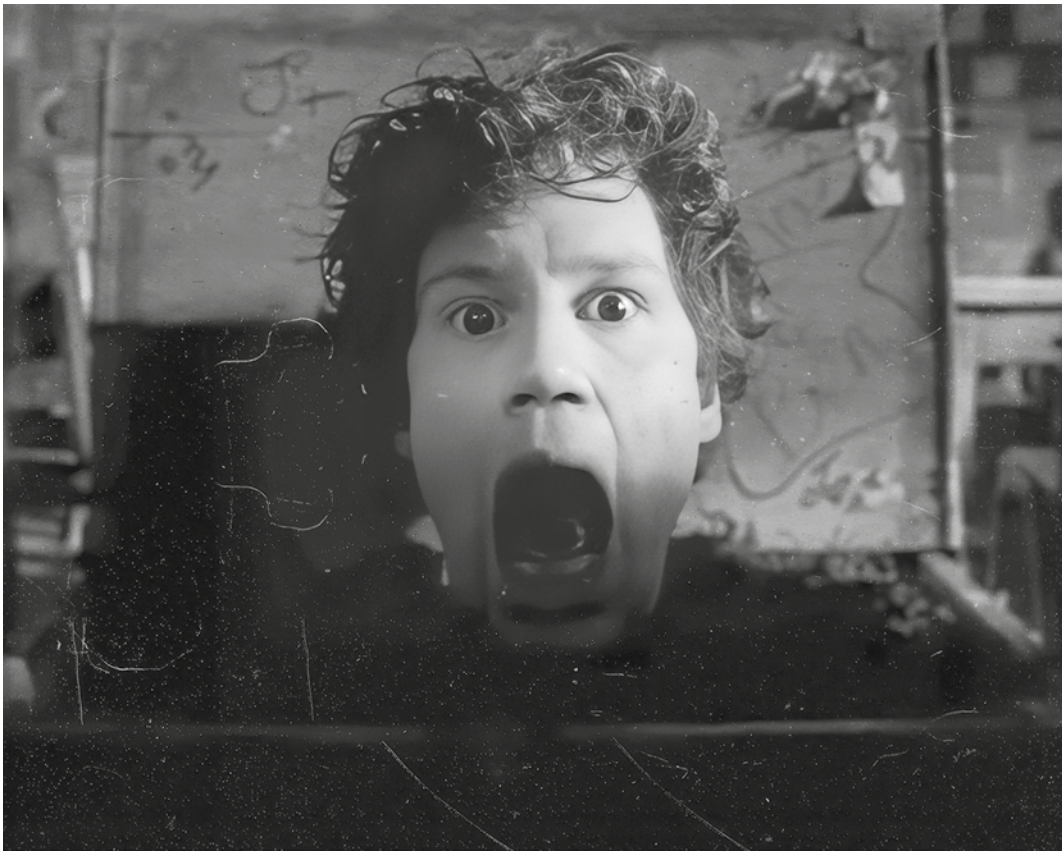

Kadr z serialu *Jam* Chrisa Morrisa – bohater skeczu wpatrujący się z przerażeniem prosto w kamerę

Wie o tym Chris Morris, śmiejący się w twarz ludzkości, która nie mogąc znieść okrucieństwa powszedniości, najczęściej wybiera eskapistyczny bilet w jedną stronę do krainy wsobnych urojeń.

Wie o tym Seth Green, wskazujący na dziurawą strukturę rzeczonych egzystencjalnych iluzji, przez którą prześwitują nieprzepracowane reminiscencje Otchłani, prędzej czy później dosięgające nawet najwytrwalszych dezerterów ze świata bezlitosnej doczesności.

Wiedział o tym również Norm McDonald, wykpiwając esencjonalnie ludzką tendencję do protekcjonalności wobec grozy dnia codziennego. Tendencję, która sprawia, że wszyscy żyjemy w kłamstwie mówiącym o moralnej wyższości nad sztampowo przez nas zdefiniowanym Złem.

eprasa.pl d9aca457c4

Każdy z tych komików mocuje się z egzystencjalną tragedią z nieco innej strony. Morris przerysowuje ją przy użyciu wręcz filmowych, flirtujących z surrealizmem zabiegów audiowizualnych, co oddala go od nestorów komedii, a zbliża do takich twórców jak np. David Lynch. Green przejaskrawia poprzez bezpośredni, można nawet powiedzieć: grubo ciosany, kontrast pomiędzy niewinną, nostalgiczną estetyką i równie dosadną, traumatyczną treścią. McDonald z kolei pozwala wybrzmieć samemu tekstowi, który czytany na głos, bez pomijania żadnego z najstraszniejszych detali, staje się tak upiorny, że aż niekomfortowo purnonsensowny, a spontaniczne reakcje osób w studiu odzwierciedlają równie nerwowy śmiech przerażonego widza.

Jednakże to, co łączy wszystkie trzy podejścia, zdaje się znacznie ważniejsze niż formalno-estetyczne różnice. Ich punktem wspólnym jest ekstremalny dyskomfort, jaki wywołują u odbiorcy. Uczucie to w przypadku Stanowskiego występuje jedynie powierzchownie – na poziomie wyboru tematyki, nie zaś jej egzekucji.

I tutaj należałoby skomplikować dyskurs, polemizując z polemizującymi. Prawdą jest to, że dowcipy Stanowskiego są nietrafione i niesmaczne. Prawdą jest również to, że dumnie obnoszą się z brakiem szacunku do ofiar przemocy domowej. Wreszcie prawdą jest także to, że trywializują problem, nadając mu funkcję estradowego *evergreena*.

Nieprawdą jest jednak to, że Stanowski przesadza. Wbrew pozorom ojciec założyciel Kanału Zero wcale nie popisuje się heroiczną, „politycznie niepoprawną" odwagą. Wprost przeciwnie, przyjmuje dokładnie taką postawę, jaką krytykują Morris, Green i McDonald, tj. porusza problem, zatrzymując się w pół drogi w obawie przed realnym przekroczeniem granicy.

Gdyby jego dowcipy rzeczywiście miały wstrząsnąć widzem, nie spotkałyby się z koszmarnie przewidywalnymi reakcjami obu zaangażowanych w nie obozów, tzn. ogłuszającym rechotem dobiegającym z biletowanych miejsc i równie donośnym zgiełkiem moralnego oburzenia obrońców dobrego smaku oraz „higieny" publicznego dyskursu. Gdyby rzeczywiście miały wstrząsnąć widzem, dyskurs publiczny nie wymazałby ich z pamięci po upływie kilku tygodni.

Krzysztof Stanowski pokazuje środkowy palec palącemu problemowi społecznemu, jakim jest przemoc domowa, ponieważ jego estradowa śmiałość kończy się na kilku pikantnych grepsach, mających tymczasowo rozsierdzić jego stałych antagonistów.

Prawdziwie etycznym gestem w tym przypadku nie byłoby jednak (tak jak chce tego spora część opiniotwórczych krytyków) zupełne pominięcie tematu, lecz coś zupełnie przeciwnego – zanurzenie się w nim

eprasa.pl d9aca457c4

po uszy, eksplorowanie go dogłębnie, i to tak, by sprawić zgromadzonym na sali miłośnikom Kanału Zero oraz reszcie narodu jeszcze większy dyskomfort niż seans *Domu dobrego* Smarzowskiego i lektura *Gnoja* Kuczoka razem wzięte.

I właśnie w tym, a w nie w rzekomym „braku hamulców" Stanowskiego, tkwi realny problem. ■

ŁUKASZ KRAJNIK – wykładowca, krytyk, konsument popkultury. Regularnie publikuje na łamach czołowych polskich portali oraz czasopism kulturalnych. Bada popkulturowe mity, nie zważając na gatunkowe i estetyczne podziały. Prowadzi fanpage „Kulturalny Sampling".

1 youtu.be/9YcSTynNWIo [dostęp: 27.08.2026].
2 youtu.be/ovP51N4TcHE [dostęp: 27.08.2026].
3 youtu.be/AJXF8pH_hbE [dostęp: 27.08.2026].
4 youtu.be/rNOvRJyboHQ [dostęp: 27.08.2026].
5 *Nie dla „żartów" z przemocy! Podpisz list otwarty*, Feminoteka, feminoteka.pl/nasze-dzialania/kongres-zero-list [dostęp: 21.08.2026].
6 fb.com/reel/1042742201635259 [dostęp: 21.08.2026].
7 x.com/GiertychRoman/status/2071284413757886516 [dostęp: 21.08.2026].

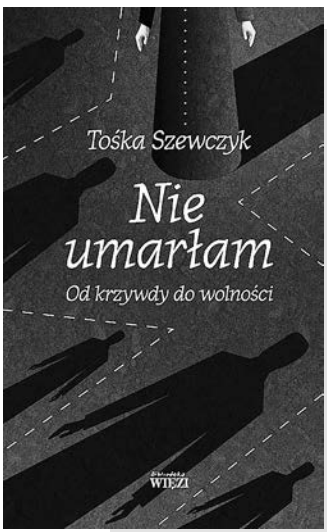

POLECAMY

TOŚKA SZEWCZYK
Nie umarłam
Od krzywdy do wolności

Potężna jest ta opowieść! Wiele musiało kosztować jej powstanie. Autorka jest większa niż złość, smutek i rezygnacja, które czuje. Z delikatnością prowadzi nas przez swoje cierpienie i walkę o siebie, o Kościół i wiarę. Jest tu pragnienie podmiotowości, poczucie odrzucenia i nadzieja mimo wszystko. Zadając trudne pytania Kościołowi, a nawet Bogu, pisze wstrząsającą katechezę dla Kościoła w kryzysie, czyli dla nas wszystkich.

ZUZANNA RADZIK

WIĘŹ **W NASZEJ KSIĘGARNI INTERNETOWEJ 20% TANIEJ!**
www.wydawnictwo.wiez.pl

eprasa.pl d9aca457c4

Kiedy przestać się śmiać?
O kulcie ironii i prawie do tabu

KAROL GRABIAS

Czasami branie tabu w nawias – gdy robi się to dla efektu humorystycznego, szokowania, społecznej krytyki czy jakiejś kombinacji tych trzech rzeczy – może sprawić, że stracimy realne zło z pola widzenia, a nie że zobaczymy je wyraźniej.

Fanów współczesnego humoru można podzielić na dwie frakcje: tych, których bawi amerykańska adaptacja serialu *The Office*, i tych, którzy preferują brytyjski oryginał Ricky'ego Gervaisa. Choć oba seriale łączy wspólny rdzeń – konwencja *mockumentu*, absurd pracy w podupadającej branży, do tego w biurze kierowanym przez skrajnie infantylnego szefa – różni je zdecydowanie tonacja odmalowanego w nich świata.

Wersję brytyjską charakteryzuje cyniczny chłód: główny bohater, David Brent, funkcjonuje od kompromitacji do kompromitacji, które wieńczy zdemaskowanie jego nieudolności w finałowej scenie zwolnienia. Podczas niej główny bohater, pozbawiony godności i złudzeń, błaga o to, by nie stał się zbędny (ang. *don't make me redundant*). Uniwersum serialu jest bezlitosne wobec pracowników biura – cała historia kończy się klęską tak stylu zarządzania Brenta, jak i niedoszłego romansu biurowych przyjaciół-zakochanych: Tima i Dawn. Przez dwa sezony śmiejemy się z tego, jak absurd pracy we współczesnym biurze odziera bohaterów z marzeń, złudzeń i godności. Patrzymy pustce prosto w oczy.

Amerykańska adaptacja dokonuje „wrogiego przejęcia" tego uniwersum. Tak, Michael Scott (odpowiednik Brenta) jest wciąż dziecinny i nieudolny, romans Jima i Pam wydaje się z początku totalną mrzonką, a firma Dunder Mifflin to zamrażarka ambicji, talentów i zasobów. A jednak siarczysty chłód tego świata zaczyna z wolna ustępować wraz z drugim sezonem: niefrasobliwość Michaela okazuje się szaleństwem, w którym jest metoda, między Pam i Jimem dochodzi do przełomowego pocałunku, a bezlitosna pustka brytyjskiego oryginału zostaje zastąpiona

eprasa.pl d9aca457c4

cichą nadzieją, że w biurowej codzienności wciąż jest miejsce na ludzkie ciepło. W głębi tego tunelu migocze nieśmiało światło.

Do czego służy humor?

Choć to zestawienie dwóch adaptacji *The Office* wydaje się zbyt grubo ciosane i pozbawione niuansów – przecież zarówno amerykańska wersja pokazuje czasami ślepe zaułki biurowego życia, jak i angielska daje chwile wytchnienia – to mówi nam nieco o tym, jak różne mamy dziś wyobrażenia na temat tego, „do czego służy" humor i jaką rolę w społeczeństwie odgrywa figura satyryka. Pytania te powróciły do publicznej debaty w Polsce po incydencie, który miał miejsce w czerwcu tego roku.

W trakcie wakacyjnej odsłony Kongresu Zero Krzysztof Stanowski zaserwował swojej publiczności serię żartów na takie tematy, jak mobbing, bieda czy przemoc domowa. Żartów, które wzbudziły falę mniej lub bardziej powierzchownego oburzenia. Obok głosów pomstujących na elementarny brak społecznej wrażliwości założyciela Kanału Zero tu i ówdzie można było natrafić na opinię, jakoby Stanowski jedynie nadkruszył powierzchnię liberalnego tabu, które zabrania śmiać się ze świeckich świętości – a jego misja demaskowania frazesów meblujących nasz świat dopiero czeka na godnego kontynuatora*.

Sprawa Stanowskiego sprawiła, że na nowo odżyła dyskusja wokół pytania: co jest śmieszne i z czego wolno nam się śmiać? Czy humor nie powinien cofać się przed żadnym tabu? Niech jeszcze przez chwilę w analizowaniu tych kwestii towarzyszą nam dwie adaptacje serialu o biurowym życiu. Przeciętni fan i fanka amerykańskiego *The Office* pewnie zgodziliby się, że śmiesznie jest wtedy, gdy kamera robi zbliżenie na najbardziej niezręczne i niedorzeczne zakamarki codziennego życia – dobrze jednak, gdy operator wie, kiedy przerwać żart i dać swoim bohaterom nieco wytchnienia.

Ową zasadę twórcy amerykańskiego serialu wcielili dosłownie w życie poprzez motyw relacji Pam z Brianem, operatorem żurawia mikrofonowego, przedstawiony w finałowym sezonie. Raz czy dwa Brian pociesza bohaterkę zza kadru, a gdy Pam znajduje się w fizycznym niebezpieczeństwie, rzuca się jej na pomoc, wchodząc w ujęcie, za co zostaje ostatecznie zwolniony.

Nic podobnego nie mogłoby nigdy mieć miejsca w brytyjskim pierwowzorze. Gervais nie kończy sceny, gdy jego bohaterowie tracą wszystko i pogrążają się w beznadziei – ba, to właśnie wtedy każe wyostrzać

* Nawiązuję tu do artykułu Łukasza Krajnika *Jak (nie) żartować z przemocy domowej?*, który opublikowany został obok jako część dwugłosu na temat roli satyry, humoru i granic tego, z czego można się śmiać.

eprasa.pl d9aca457c4

obiektyw i robić dodatkowe zbliżenie. Niczym reżyser filmu przyrodniczego o drapieżnikach i ich ofiarach przedstawia przecież życie w jego nagiej, najbardziej bezlitosnej esencji. Jego obowiązkiem jest pokazywanie tego, jak wygląda świat, gdy zdemontujemy kiczowate dekoracje, z których zbudowany jest obraz szczęścia w świecie korporacji.

Humor Gervaisa nie wziął się znikąd – napędza go rozbudowywana przez dziesięciolecia anglosaska machina, która wchłonęła *pure absurd*, kult porażki znany z popularnego w latach 70. *Hotelu Zacisze* (tworzył go w końcu John Cleese z grupy Monty Pythona), drwinę z ciasnego kostiumu brytyjskiej społecznej etykiety i nihilistyczną ironię. Tradycja ta uczy, że rolą satyryka jest przede wszystkim ośmieszenie konwencji współczesnego życia, zdemaskowanie pustki, która kryje się pod ich powierzchnią. Gervais jest spadkobiercą tego sposobu myślenia, choć w jego późniejszych dziełach, takich jak *Derek* czy *Afterlife*, znajdziemy dużo więcej empatii i zrozumienia dla bohaterów zaludniających świat pozbawiony celu i skazanych na brak *happy endu*.

Humor amerykański również ma swoje podstawy. Bardzo długo nie chciał uwolnić się z konwencji jednocześnie postchrześcijańskiego i liberalnego optymizmu, który w najbardziej beznadziejnym splocie okoliczności wypatrywał nadziei – to z niego bez wątpienia wzięła się amerykańska iteracja *The Office*, która jednocześnie kpi i daje pocieszenie. Emancypacja z optymizmu udała się chyba dopiero wraz z popularnością *Kronik Seinfelda*, których bohaterowie – zgodnie z maksymą producenta serialu Larry'ego Davida: „bez nauki, bez przytulania" – nie uczą się na swoich błędach, nie mają wyższych celów i nie stają się lepszymi ludźmi. Dziś Amerykanie mają na koncie takie klasyki humoru, który przede wszystkim „pozbawia złudzeń", jak *U nas w Filadelfii*, *BoJack Horseman* czy *Rick i Morty*.

Trzecie pokolenie ironistów

Za kulisami pytań o humor, rolę satyryka, ale również granice tego, z czego wolno się śmiać, znajduje się kwestia ironii – rozumianej szeroko, nie tylko jako stylizacja wypowiedzi, ale także pewien sposób patrzenia na świat. Mam na myśli spojrzenie z oddali, które biorąc nasz świat w cudzysłów, odsłania wszechobecny brak powagi. Czy taki opis nie mógłby równie dobrze pasować do całej konwencji, na której opiera się *mockumentary*, czyli parodia filmu dokumentalnego?

Od czasów Sokratesa widmo ironii krąży nad światem, przypominając, że nasze pobożne pretensje do posiadania prawdy, autorytetu, trwałych wartości i sprawdzonych wzorów kulturowych najczęściej podszyte są pychą i przy dokładniejszym oglądzie nie dają się obronić.

eprasa.pl d9aca457c4

Wystarczy odrobinę zmienić punkt widzenia – nie patrzeć tak, jak każą nam obrońcy powagi – by za fasadą świętych prawd zobaczyć kolokwialny „goły tyłek".

Świder ironisty kopie w głąb rozkładających się bożyszcz: w zależności od epoki może być nim świętoszkowatość kleru, powaga politycznych ideologii czy kult liberalnej poprawności – słowem wszystko, co rości sobie prawo do bezwarunkowego poszanowania. Humor od setek lat jest najporęczniejszym mieczem i tarczą ironistów każdego autoramentu: wiedział o tym Voltaire – we francuskim obiegu istnieje nawet pojęcie „ironii wolteriańskiej" – wiedzieli o tym członkowie grupy Monty Pythona i wiedzą to również współcześni anglosascy satyrycy.

Arcywrogiem ironisty jest to, co konwencjonalnie nietykalne: autorytet, śmierć, seksualność, świętość. Na walce z tabu oparta jest mitologia heroicznej niepoprawności.

Istnieje pewne duchowe pokrewieństwo między ironistą oświeceniowym i ironistą o światopoglądzie absurdystycznym, do którego przyznaje się wielu kultowych satyryków anglosaskich: George Carlin, Dan Harmon czy wspomniany tu już wielokrotnie Ricky Gervais. Ci drudzy poszerzają jedynie zbiór pogardzanych przesądów o te, które hołubiło jeszcze oświecenie: świecki sukces, społeczny postęp czy romantyczną miłość.

Tak stare, jak i nowe bożyszcza są obnażone jako kolejne iluzje stworzone po to, by przykryć egzystencjalną pustkę. Satyrycy-absurdyści zachowują dystans, który umożliwia ironię, ale odrzucają moralizatorstwo i dydaktyzm, w które obfitowały pisma Diderota czy D'Holbacha – ten ostatni, najradykalniejszy ateista swojej epoki, był jeszcze w stanie pisać hymny pochwalne na cześć porządku natury i cnót patriotycznych. Dziś tyrady tego filozofa mogą wzbudzać uśmiech politowania.

Arcywrogiem ironisty jest to, co konwencjonalnie nietykalne: autorytet, śmierć, seksualność, świętość. Przesycone obecnością tabu życie zwykłych ludzi zasługuje na solidną dawkę szyderstwa – na walce z tabu oparta jest mitologia heroicznej niepoprawności, w której satyryk odgrywa rolę sokratejskiego gza kąsającego „leniwego konia" społeczeństwa. Wpisany w ironię dystans wobec codziennej krzątaniny podobno pozwala spadkobiercom ateńskiego filozofa widzieć więcej niż przeciętny zjadacz chleba.

Samo uczucie dyskomfortu, które towarzyszy dotykaniu niedotykalnego, ma już być niezbitym świadectwem poznawczego postępu – jeśli boli, to znaczy, że lek działa. Z kolei uznanie nietykalności dowolnego tabu jest równoznaczne z akcesem do świata konwencji, iluzji i zabobonów, które oddzielają nas od trzeźwego oglądu rzeczywistości – tej

eprasa.pl d9aca457c4



Kadr z amerykańskiej adaptacji serialu *The Office* – Pam wpatrująca się z niedowierzaniem w Michaela, który zachwyca się jej obrazami

mechanicznej i racjonalnej w wersji oświeceniowej oraz chaotycznej i absurdalnej w wydaniu nihilistycznym.

Ironia bez solidarności?

Pytanie o granicę ironii – a również granice tego, z czego jeszcze możemy się śmiać – jest równoznaczne z pytaniem o to, gdzie w naszym społecznym świecie kończy się nadęty frazes, a zaczyna domena tego, co prawomocnie zasługuje na uznanie. Amerykańskie *The Office* nie ma z tym problemu – na szyderczy śmiech zasługuje cała mitologia późnego kapitalizmu i jej odnóża: od spętanych nowomową korporacyjnych szkoleń, przez fałszywy etos „elastyczności", aż po desperacką wiarę w to, że obietnica bezpłatnej pizzy może zastąpić godną pensję. Tam, gdzie zaczyna się intymny świat pracowników Dunder Mifflin – szczere wyznania uczuć czy małe gesty lojalności wobec współpracownika – ironia natychmiast milknie.

Kamera porzuca wtedy szyderczy dystans trybu *mockumentary* na rzecz niemal czułego podglądania: zbliżenia nie są po to, by demaskować,

eprasa.pl d9aca457c4

ale by towarzyszyć przebłyskom ludzkiego ciepła (podobną sztukę opanowali twórcy innego kultowego *mockumentu*, czyli *Chłopaków z baraków*). Śmiech unieważnia fałsz społecznych konwencji, ale ulega zawieszeniu dokładnie tam, gdzie pojawia się coś kruchego i cennego. W świecie, w którym wszystko bywa sprowadzone do wskaźników efektywności, to właśnie zwyczajna, nieporadna ludzka bliskość – wyrażona choćby w cichym wsparciu Michaela dla Pam na wystawie jej obrazów – zostaje wyjęta z nawiasu ironii i zyskuje status czegoś nienaruszalnego.

Jak twierdzi amerykański filozof Richard Rorty, ironiczny dystans wobec wielkich tematów – jak choćby pytania o ostateczny cel naszego istnienia – nie unieważnia solidarności na poziomie codziennej międzyludzkiej wrażliwości, a czasem wręcz ją umożliwia. W ujęciu Rorty'ego postać ironistki doskonale wie, że jej własny słownik metafizyczny jest tylko jednym z wielu i nie ma ostatecznego uzasadnienia – dlatego jej ironia łatwo rozbraja pompatyczne hasła religii sukcesu czy ideologiczne narracje. Jednak ten sam dystans, zamiast prowadzić do cynizmu, uwalnia przestrzeń dla tego, co najważniejsze: dla unikania okrucieństwa i dostrzeżenia w drugim człowieku kogoś, kto tak jak my odczuwa ból. Czy w takim razie ironistka może śmiać się ze wszystkiego?

Problem, jaki mam z twierdzeniem, że humor nie powinien cofać się przed żadnym tabu – a ostrze ironii powinno być skierowane na każdy obszar naszego życia, jako potencjalnie zainfekowany frazesem – tkwi w szeregu założeń, jakie milcząco są tu przyjmowane. Po wielu latach studiowania filozofii, lekturze nurków głębinowych Otchłani – od De Sade'a i Nietzschego po Camusa i Sartre'a – nie mam wcale pewności, że szyderczy dystans do życia „zwykłych ludzi", rzekomo opartego na iluzji i samooszukiwaniu się, to uprzywilejowany poznawczo punkt widzenia. Zapatrzony w Otchłań absurdyzm, który drwi ze wszystkich gestów oswojenia życia pozbawionego racji ostatecznej, nie jest ostatnim słowem filozofii, jak chciał tego Woody Allen, powtarzający w nieskończoność egzystencjalistyczny frazes.

Absolutyzacja ironicznego dystansu, który nie cofa się przed żadnym tabu, stawia nas zwyczajnie poza jakąkolwiek możliwością solidarności i wspólnoty. To cena, na którą nas dziś po prostu nie stać.

Prawo do tabu

Od czasów, kiedy Zygmunt Freud napisał *Totem i tabu*, minęło już grubo ponad sto lat. W tym przełomowym skądinąd dla psychoanalitycznej teorii kultury dziele jeden z ojców europejskiej psychiatrii stawiał bardzo wyraźną tezę: strefę tabu – tego, co nasycone wyjątkową mocą, a przez to w normalnych warunkach nietykalne i wyłączone ze społecznych

eprasa.pl d9aca457c4

interakcji – stworzyliśmy sobie sami i uwierzyliśmy w nią tak mocno, że zaczęła ona realnie na nas oddziaływać. Freud podaje liczne przykłady z badań etnologicznych, w których ludność rdzenna po naruszeniu lokalnej iteracji świętego zakazu doznawała faktycznej szkody w postaci chorób i śmierci.

Tabu miało według Freuda stanowić najstarszy kodeks moralny ludzkości, pierwotną formę tego, co miało zrodzić wszystkie etyki i religie świata. W centrum strefy tabu znajdował się zakaz kazirodztwa i ojcobójstwa – najgłębszych, zdaniem Freuda, pragnień ludzkości. Takich, do których mamy ambiwalentny stosunek: jednocześnie ich pragniemy i ze wstydem próbujemy się ich pozbyć.

Mimo swojej pogardy dla wszelkich iluzji Freud przeczuwał, że istnieją strefy, których naruszenie nie jest aktem wyzwolenia, lecz przemocy. Tabu nie jest jedynie represją pragnień – jest też tamą przeciwko ciemności.

Zachowanie tabu miało według Freuda pozwolić ludzkości na to, by mieć ciastko i zjeść ciastko – osobiście powstrzymujemy się od ojcobójstwa na co dzień, ale cyklicznie odtwarzamy ten pierwotny akt w bezpiecznym, zbiorowym rytuale – symbolicznie uśmiercając i zjadając Ojca/Boga, by zrzucić winę i zyskać dostęp do pełni życia. Tak Freud tłumaczył zarówno instytucję polowania na zwierzę totemiczne, jak i chrześcijański sakrament Eucharystii.

Mało kto uznaje dziś teorię tabu przedstawioną przez Freuda za wiarygodną: zarówno od strony opisywanych mechanizmów psychologicznych, jak i danych etnograficznych. Wystarczy wspomnieć, że ojciec psychoanalizy opisywał „dzikich" z pogardą, której nie szczędził zresztą również współczesnym mu Europejczykom – ci, pogrążeni w obietnicach religii, kulcie sztuki czy w trywialnych uciechach płynących z narkotyków, są według niego nie mniej zanurzeni w iluzji na temat swojej kondycji niż rdzenni mieszkańcy Australii.

Freud rozumiał jednak doskonale, że tabu – i wszystkie jego ewolucyjne wykwity, z religią na czele – nie wzięło się znikąd. Było ono odpowiedzią na coś, co jest bardziej pierwotne niż jakakolwiek ideologia czy konwencja. Było cofnięciem się przed niszczycielską potęgą natury i instynktów, które zagrażają egzystencji człowieka. Mimo swojej pogardy dla wszelkich iluzji Freud przeczuwał, że istnieją strefy, których naruszenie nie jest aktem wyzwolenia, lecz przemocy. Tabu nie jest jedynie represją pragnień – jest też tamą przeciwko ciemności, która napiera na nas od zewnątrz i od wewnątrz.

Dlaczego rozważania nad tabu są tu tak istotne? Ponieważ problem z absolutyzacją ironii – jak również z postulatem, zgodnie z którym

eprasa.pl d9aca457c4

humor nie powinien cofać się przed absolutnie żadną świętością – polega na tym, że ironista do jednego worka wrzuca każdy nakaz nietykalności z racji istnienia samego nakazu. Tak, tabu może uświęcać tyranię silniejszych i reprodukować światopogląd ludożerców – trudno wtedy odmówić racji ironii. Wówczas dyskomfort wynikający z jego podważania to cena za przywracanie sprawiedliwości. Ale tabu może również chronić to, co najbardziej bezbronne i podatne na zranienie – ciało zmarłego czy kogoś, kto doświadczył przemocy. Ból, jaki sprawia uderzenie w powierzchnię zakazu, to sygnał, że dochodzi do gwałtu.

Właśnie w tym drugim sensie prawo do tabu jest prawem człowieka – akceptacją, że istnieją jakieś uprzywilejowane rejony naszego istnienia, które zasługują na ochronę przed wścibskim, szyderczym spojrzeniem i powinny być traktowane z szacunkiem. Jeśli bliska mi osoba zostanie zamordowana, a jej ciało publicznie zbezczeszczone – czego doświadczyła rodzina pani Małgorzaty D., bestialsko zabitej rok temu na kampusie Uniwersytetu Warszawskiego – mam prawo oczekiwać, by nagranie z tego zajścia nie stało się elementem pulpowego filmu o tematyce kanibalistycznej.

Czy ze wszystkiego wolno się śmiać?

Myśl o znaczeniu tabu towarzyszyła mi w trakcie oglądania kolejnych odsłon netflixowego serialu *Potwory*, odmalowującego sylwetki słynnych seryjnych morderców z USA. Twórcy tego serialu celowo zderzali pogodne piosenki z list przebojów z przedstawieniami makabrycznych zbrodni – *Stumblin' In* Chrisa Normana i Suzi Quatro pojawiło się w sekwencji prowadzącej do pierwszego morderstwa w sezonie o Jeffreyu Dahmerze, a popularne *Don't Dream It's Over* zespołu Crowded House towarzyszyło scenie, w której Lyle i Erik Mendezowie zabijają swoich rodziców.

Reżyserski zabieg muzyczny brał zbrodnię niejako w nawias, zamieniając ją w popkulturowy spektakl. Oczywiście znacząca większość brutalnych scen odbywa się bez soundtracka, co najwyżej słychać tam dźwięki, które oddają tragizm sytuacji. Jednak zabiegi muzyczne i komiksowe fabularyzacje historii morderców – szczególnie w sezonie poświęconym Edowi Geinowi, gdzie jego fikcyjna relacja z „Wiedźmą z Buchenwaldu", czyli Ilse Koch, przybiera wręcz karykaturalną postać – sprawiają, że chwilami trudno oprzeć się wrażeniu, że *Potwory* stają się symulakrem, w którym sylwetki morderców funkcjonują jako autonomiczne znaki-symbole z amerykańskiej mitologii o seryjnych mordercach.

Czasami branie tabu w nawias – gdy robi się to dla efektu humorystycznego, szokowania, społecznej krytyki czy jakiejś kombinacji tych

eprasa.pl d9aca457c4

trzech rzeczy – może sprawić, że stracimy realne zło z pola widzenia, a nie że zobaczymy je wyraźniej. Niezależnie od tego, czy obietnica transgresji, jaką składa absolutna ironia, jest spełniona, sama próba jej dotrzymania nie jest nigdy bezstratna dla delikatnej tkanki, z jakiej zbudowane są nasze społeczne więzi. Doświadczyły tego na własnej skórze rodziny zamordowanych przez Jeffreya Dahmera, których nikt nie poinformował, że morderstwa dokonywane na ich bliskich zostaną pokazane w sfabularyzowany sposób milionom ludzi. Bliscy ofiar – jak choćby Rita Isbell, siostra Errola Lindseya, czy Shirley Hughes, matka Tony'ego Hughesa – niepytani o zgodę na filmową rekonstrukcję morderstw, mówili publicznie i wprost o wtórnej traumatyzacji.

Czy zatem Stanowski złamał tabu, mówiąc, że bicie dzieci jest „rozrywką pouczającą", a „dziewczynkę nawet lepiej zlać", aby poznała „smak krwi" i była przygotowana na przemoc w dorosłym życiu? Oczywiście. Czy „nie dowiózł", bo skala społecznie wypieranej przemocy w naszym życiu jest tak przytłaczająca, że zasługuje na transgresywny, czyli jeszcze bardziej obrazoburczy, humor, który ją zdemaskuje? Trudno mi się z tym zgodzić. W momencie, gdy ironiczny dystans ogarnia również to, co najdotkliwiej podatne na zranienie – doświadczenie przemocy, żałobę, ciało ofiary, pamięć o kimś, kto już nie może się bronić – przestaje być narzędziem demaskacji, a staje się formą wtórnego okrucieństwa. ■

KAROL GRABIAS – ur. 1991. Redaktor kwartalnika „Więź" i portalu Więź.pl, autor podcastu „Pytania na marginesach". Doktorant filozofii na Uniwersytecie Warszawskim, wcześniej ukończył filozofię kultury i religii na Uniwersytecie Kardynała Stefana Wyszyńskiego. Członek zespołu redakcyjnego „Rocznika Historii Filozofii Polskiej". Autor rubryki „Popołudnie wiary" w kwartalniku „Więź", publikował teksty i wywiady m.in. na łamach „Teologii Politycznej" i „Nowych Książek". Interesuje się filozofią religii i personalizmem. W wolnym czasie basista dreampopowego zespołu Midsommar i recenzent muzyczny portalu Undertone. Mieszka w Warszawie.

eprasa.pl d9aca457c4

Nad książkami

O podróżach międzygatunkowych Gdy poeci zaczynają pisać prozę

ALEKSANDRA PAKIEŁA

Chcą opowiedzieć historię, która nie mieści się w wierszu? Potrzebują postaci, dialogów i większej przestrzeni? Chcą sprawdzić się w innej formie? A może chodzi o coś jeszcze?

Na początku wyznanie: nie znam się na poezji. Biorąc do ręki tomik wierszy, bardzo długo czułam się zagubiona czy wręcz zniechęcona. „Nie wiem, o co tu chodzi" – myślałam, gdy tylko napotkałam wers, do którego brakowało mi klucza. Uważałam, że czytając poezję, muszę to robić tak jak podczas licealnego „czytania ze zrozumieniem" – rozkładać wszystkie metafory na czynniki pierwsze i punktować: o, to onomatopeja, to porównanie homeryckie, to oksymoron.

Podejście zmieniłam stosunkowo niedawno, gdy postanowiłam traktować książki poetyckie tak samo, jak traktuję wystawy sztuki współczesnej. Po galeriach czy muzeach przechadzam się powoli, oglądam prace artystów, aż trafię na jedną, która coś we mnie poruszy. Albo najzwyczajniej w świecie mi się spodoba. To zejście z oczekiwań wobec samej siebie pozwoliło mi na grzebanie w tomikach poezji jak w szkatułce z biżuterią babci – polegam tylko i wyłącznie na własnym guście. To zostawiam, to zostawiam, to biorę.

Poezja to nie egzamin

Moja szkatułka z wybranymi cytatami, wersami albo całymi wierszami to zwykły notes. Mam tam swoje skarby – na przykład wers z wiersza Urszuli Honek *dla edie sedgwick*: „mięśnie zaciśnij jak do porodu. przetrzymać miłość". Albo pytanie Zu Witkowskiej z tomu *Podręcznik lizania ran*: „Tę

eprasa.pl d9aca457c4

dłoń przyciśnięto do ust w zatrzymanym słowie czy pocałunku?" i wiersz Małgorzaty Lebdy *drobne mszyce na gałęziach tego zimnego lasu* z wersem „byliśmy tacy sami kiedy dla wszystkich psy wyły ten sam strach". Dwie strony cytatów z *żertw* Antoniny Tosiek, trzy wydrukowane i wklejone do notesu wiersze Damiana Jankowskiego.

Nazwiska te znałam jednak, zanim zaczęłam czytać ich wiersze. Zresztą trudno było nie usłyszeć o Honek, Lebdzie, Tosiek. Lebda otrzymała Nagrodę Literacką Gdynia za *Sny uckermärkerów* i Nagrodę im. Wisławy Szymborskiej za *Mer de Glace*, ale do znacznie szerszego grona czytelników dotarła za sprawą prozatorskiego debiutu *Łakome*. Urszula Honek za *Białe noce* dostała Nagrodę Conrada i Nagrodę Kościelskich. Antonina Tosiek w 2025 r. otrzymała Nagrodę im. Wisławy Szymborskiej za tom *Żertwy*, a niedługo później jej reporterskie *Przepraszam za brzydkie pismo* stało się jedną z głośniej dyskutowanych polskich książek non-fiction. Zu Witkowska do mainstreamu przebiła się powieścią *Śluza*, zaś Damian Jankowski między innymi wywiadem rzeką z aktorem Dawidem Ogrodnikiem, by w końcu zadebiutować jako powieściopisarz książką *Rubi*.



M. Lebda, *Łakome*, Znak, Kraków 2023, 304 s.

Z prozą przyjaźnię się od dawna. Dobrze wiem, czego w niej szukać: relacji między postaciami, szczegółów codzienności, języka, sposobu prowadzenia narracji. Dlatego dopiero prozatorskie książki wspomnianych autorek i autorów sprawiły, że zaczęłam zaglądać również do ich wierszy.

To ciekawa podróż, bo czasem podobieństwo między tymi dwiema płaszczyznami okazuje się wyraźne, a czasem prawie żadne. Proza daje mi jednak punkt zaczepienia. Po lekturze *Śluzy* wiem już, jakie napięcia interesują Zu Witkowską. W wierszach Małgorzaty Lebdy rozpoznaję cielesność, klimat wsi, naturalizm znane z *Łakomych*. Bohaterowie Urszuli Honek pojawiali się w jej poezji, zanim dostali własne historie w *Białych nocach*. Damian Jankowski w wierszach i powieści wraca do niewypowiedzianych słów, samotności oraz pytania, czy mimo wszystko warto żyć. Antonina Tosiek zaś, pracując nad pamiętnikami mieszkanek wsi, korzysta z (poetyckiej?) uważności na język, nie próbując przerabiać cudzych świadectw na własną literaturę.

Może właśnie przez taką prozę przestałam traktować poezję jak egzamin, do którego się nie przygotowałam.

eprasa.pl d9aca457c4

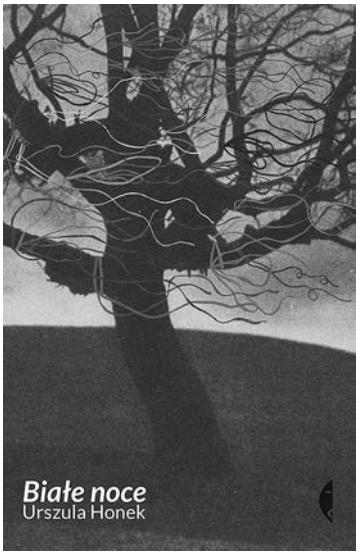

U. Honek, *Białe Noce*, Czarne, Wołowiec 2023, 160 s.



Z. Witkowska, *Śluza*, Znak, Kraków 2026, 208 s.

Poezja nie płaci rachunków

Na pytanie, dlaczego poetki i poeci zaczynają pisać prozę, jest zapewne tyle odpowiedzi, ile osób decydujących się na taką zmianę. Chcą opowiedzieć historię, która nie mieści się w wierszu. Potrzebują postaci, dialogów i większej przestrzeni. Chcą sprawdzić się w innej formie. Czasem, jak przyznała Zu Witkowska w wywiadzie dla portalu Lubimy Czytać, przez lata marzą o powieści, ale długo nie wiedzą, jak się do niej zabrać.

Jest jeszcze jedna odpowiedź: powieść ma większą szansę dotrzeć do szerszego grona czytelników. A poezja się „nie klika". Jest publikowana przez wyspecjalizowane wydawnictwa, instytucje kultury i małe oficyny, najczęściej w niewielkich nakładach. Dane Biblioteki Narodowej dotyczące produkcji wydawniczej pokazują również duży udział *self-publishingu* (samodzielne wydanie książki przez autora), *vanity press* (wydawnictwo wydaje książkę, ale całość kosztów publikacji ponosi autor) oraz publikacji finansowanych przez instytucje publiczne wśród ukazujących się tomów poetyckich.

Nagroda poetycka może przynieść prestiż, recenzje i zaproszenia na festiwale. Ale nie musi sprawić, że nazwisko autorki/autora trafi do osób, które w księgarni automatycznie omijają półkę z poezją. Powieść zostanie

eprasa.pl d9aca457c4

wystawiona na stoliku z nowościami, pojawi się w klubach książki, audiobookach i zestawieniach czytelniczych.

Nie zamierzam udowadniać, że poetki i poeci piszą lepszą prozę. Przecież nie każdy enigmatyczny fragment powieści zyskuje głębię dzięki temu, że napisał go poeta. Interesuje mnie coś prostszego: co wcześniejsza praca z wierszem robi z powieścią, opowiadaniem albo reportażem. I dlaczego po przeczytaniu tych książek łatwiej było mi otworzyć tom poetycki.

Więcej miejsca dla ciała i natury

Łakome to historia dwóch kobiet przyjeżdżających do wsi Maj. Róża choruje. Jej mąż próbuje ją ratować i stopniowo rozmontowuje porządek, który przez lata budował. Maja także doświadcza zmiany, której nie potrafi jeszcze nazwać. Wokół nich: zwierzęta, gospodarstwo, ciężka praca i przyroda, która nie pełni funkcji uspokajającego, sielankowego tła. Lebda powieść dzieli na krótkie, skondensowane sceny. Przeszłość miesza się z teraźniejszością, a uwaga czytelników może w jednej chwili przesunąć się z człowieka na zwierzę, z chorującego ciała na otaczający je pejzaż. Umieranie Róży zmienia sposób, w jaki inni odbierają całą wieś:

> Mówię: Wiesz, zawsze chciałam być suką tej wsi, mieć cały Maj na własność. Nie znać granic. Kusiło mnie, żeby być daleko od tego, co ludzkie. Mieć psie ciało i zgodnie z nim postępować, ulegać głodowi, niczego sobie nie odmawiać. Łasić się tylko do wybranych, podgryzać i oszczekiwać wszystko inne. Być wybredną suką. Kochać jednego człowieka, wobec niego mieć obowiązki, jego słuchać. I jeszcze: znikać na wiele dni. Mieć do tego prawo, korzystać.

Czytając później wiersze Lebdy, znalazłam w nich ten sam brak wyraźnej granicy między ludzkim i zwierzęcym ciałem. W utworze *czerwiec: krew* siostra pochyla głowę nad zlewem, a z nosa cieknie jej krew. Chwilę później do domu wchodzi ojciec z pokrwawionym zającem. Bierze twarz córki w dłonie i krew zwierzęcia miesza się z jej krwią.

W wierszu *poranek: praca we krwi* ojciec każe córce wyjąć z nadgarstka czarną drzazgę: „musisz nauczyć się pracować we krwi mówi".

To zdanie mogłoby określać również świat *Łakomych*. Człowiek nie stoi obok przyrody, żeby ją podziwiać. Wchodzi do pasieki, zabija zwierzęta, zostaje użądlony, dotyka martwego ciała i sam podlega tym samym procesom.

W *nawojowskich lasach: wściekliźnie* osowiałe lisy podchodzą pod domy, a psy zostają znalezione martwe w sadzie. W *twarzy: lekcji malarstwa* śmierć wydobywa cienie i „ostrożnie rozdaje barwy".

eprasa.pl d9aca457c4

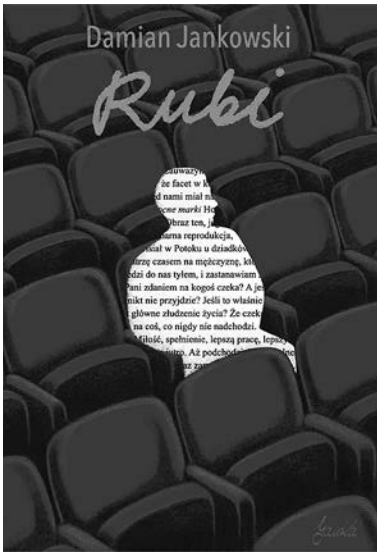

D. Jankowski, *Rubi*, Janka, Pruszków 2025, 150 s.

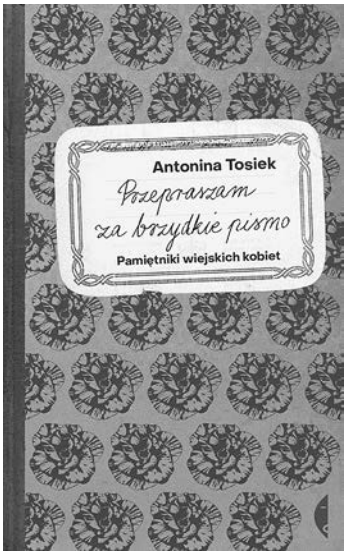

A. Tosiek, *Przepraszam za brzydkie pismo. Pamiętniki wiejskich kobiet*, Czarne, Wołowiec 2025, 352 s.

Łakome otworzyły mnie na nowe poetyckie doświadczenie – w poezji Lebdy jej specyficzny sposób patrzenia na świat widać jeszcze wyraźniej, bo zamyka ten świat w kilku obrazach.

Życie rozpisane na 13 głosów

Relacja między prozą a poezją wygląda nieco inaczej u Urszuli Honek. *Białe noce* składają się z 13 opowiadań o mieszkańcach beskidzkiej wsi, ale szybko okazuje się, że nie są to osobne historie. Postaci przechodzą z jednego tekstu do drugiego, wydarzenia powracają w cudzych wspomnieniach, a ktoś, kto wcześniej pojawił się tylko na chwilę, za kilkanaście stron może dostać własny głos. Część tych bohaterów i obrazów można odnaleźć już w wierszach Honek. Tam ich życie mieściło się w kilku linijkach. W prozie dostają więcej przestrzeni, ale niekoniecznie pełniejsze wyjaśnienie.

Honek zmienia narratorów, perspektywy czasowe i sposoby opowiadania. Czasem ktoś relacjonuje wydarzenia z dystansu, czasem obserwuje ludzi z niezdrową ciekawością, kiedy indziej całą historię poznajemy z monologu jednej postaci. Każda z tych osób inaczej porządkuje

eprasa.pl d9aca457c4

wspomnienia, coś pomija, przy czymś zatrzymuje się zbyt długo. Dzięki temu bohaterowie nie stają się jedynie mieszkańcami „biednej beskidzkiej wsi", o których ktoś opowiada z zewnątrz.

Nie oszczędza przy tym czytelników. Śmierć pojawia się bez zapowiedzi, a potem pozostaje w rozmowach, wspomnieniach i zachowaniu tych, którzy przeżyli. Nie zawsze jest nawet najważniejszym wydarzeniem opowiadania. Bywa częścią codzienności, która musi toczyć się dalej: ktoś karmi zwierzęta, sprząta dom, wychodzi na drogę albo wspomina człowieka, z którym nie zdążył się pożegnać.

Angielski przekład książki, autorstwa Kate Webster, znalazł się w 2024 r. na długiej liście International Booker Prize. Było to ważne międzynarodowe wyróżnienie dla polskiego debiutu prozatorskiego, ale także dowód, że bardzo lokalny świat Honek nie wymaga znajomości polskiej wsi, żeby opowieść o samotności, przemocy, pragnieniu bliskości i przeczuciu śmierci pozostała zrozumiała.

Podobnie jak u Lebdy w *Białych nocach* ważni są nie tylko ludzie. Niemal w każdym opowiadaniu pojawiają się psy: mają imiona, przyzwyczajenia, własne lęki i sposoby reagowania. Honek nie wykorzystuje ich jedynie jako dowodu okrucieństwa mieszkańców wsi ani jako wzruszającego dodatku do ludzkiej historii. Zwierzęta istnieją obok bohaterów, czasem są ich jedynymi towarzyszami, kiedy indziej swoim zachowaniem ujawniają coś, czego człowiek nie potrafi powiedzieć. Nieraz są przedłużeniem osobowości człowieka.

Dorotka z opowiadania *Dzwoneczek* zasłania uszy pieskowi Pimpkowi, mówiąc: „Boję się, jak nic nie słychać".

Poetyckie doświadczenie Honek widać również w konstrukcji opowiadań. Autorka nie prowadzi każdej historii do jednoznacznego rozwiązania. Pozostawia czytelnika z obrazem, gestem albo zdaniem, którego znaczenie zmienia się po zestawieniu z pozostałymi historiami.

Po *Białych nocach* chętniej sięgnęłam po poezję Honek, byłam ciekawa opisywanych bohaterów. Wiedziałam, że nie znajdę w wierszach objaśnień. Ale Honek nauczyła mnie cierpliwości, dała prztyczek w nos, mówiąc: hej, łatwo nie będzie, ale chodź, pokażę ci, jak lubię budować światy.

Proza onieśmielała

Na polu prozatorskim Zu Witkowska jest dopiero od kilku miesięcy. Jej *Śluza* opowiada o Łucji, ambitnej naukowczyni, która wyjeżdża koordynować projekt badawczy. Ma zebrać rośliny potrzebne do opracowania leku. Przed wyjazdem znajduje list naruszający porządek jej życia, a na miejscu spotyka operatorkę śluzy i coraz wyraźniej widzi, że wybrana droga zawodowa nie pokrywa się z jej pragnieniami.

eprasa.pl d9aca457c4

Witkowska w jednym z wywiadów przyznaje, że poezja od zawsze była dla niej czymś naturalnym, proza zaś długo ją onieśmielała. Cieszę się, że postanowiła się przełamać, bo dzięki temu po *Śluzie* sięgnęłam po *Fluid* i *Podręcznik lizania ran*. A równie bardzo jak Zu proza – tak mnie onieśmiela poezja. Chciałam jednak sprawdzić nie tyle to, czy powieść przypomina jej wiersze, ile czy rozpoznam w nich sposób myślenia autorki. Albo, jak w przypadku Lebdy lub Honek, odnajdę powtarzające się tropy.

W tomiku *Fluid* pojawia się bohaterka, którą brak celu „napawa konsekwentnie paniką". Wszystko przegrywa z potrzebą kontroli, włącznie z nią samą. W utworze *Biały szum* ciało zostaje sprawdzone część po części: lewe oko, prawe, dłonie, włosy, brzuch, usta, piersi. „No, wszystko jest" – pada na końcu, jakby człowieka można było zweryfikować według listy.

Ten lęk znałam już ze *Śluzy*. Łucja bada, porządkuje i opiera się na procedurach, ale zarówno projekt, jak i ona sama zaczynają wymykać się spod kontroli. Burza rozrzuca po wsi zebrane paprocie, a bohaterka musi zdecydować, czy nadal ratować przedsięwzięcie, które miało potwierdzić jej zawodową wartość.

W wierszach znalazłam też nieufność wobec języka sukcesu i nieustannego poprawiania siebie. Wracają korporacyjne formułki, „sterylne poglądy", deklaracje o różnorodności wygłaszane przez mężczyzn opowiadających przede wszystkim o sobie. Jedna z bohaterek koryguje sposób chodzenia, bo usłyszała, że „chodzi jak facet", inna szuka czegoś „odważnego, ale instafriendly".

Podręcznik lizania ran często korzysta natomiast z języka fotografii i filmu. Osoba mówiąca przygląda się szczegółom i próbuje ustalić, co wydarzyło się przed zrobieniem zdjęcia oraz co pozostało poza nim. Jednocześnie pokazuje, jak łatwo dopisać historię do odpowiednio ustawionego ciała, światła albo gestu. Podobnie działa część scen w *Śluzie*. Witkowska zatrzymuje się na otrzymanym liście, paprociach, wodzie albo ruchu bohaterki. Nie są to ozdobniki, to przez te obrazy ujawnia się stan Łucji.

Mówić, żeby nie została cisza

Damian Jankowski przed powieściowym debiutem *Rubi* opublikował tom *Dwa punkty w skali apgar* oraz książki-rozmowy, między innymi *Świat przyspiesza, ja zwalniam* (z Wojciechem Marczewskim) i *Koniec gry* (z Dawidem Ogrodnikiem).

Debiut prozatorski Jankowskiego został zbudowany w trudnej, wymagającej dla autora formie. Bohater, nauczyciel historii, jedzie samochodem i mówi do kierującej kobiety. Opowiada o zmarłym przyjacielu, rodzinie, swoich uczniach, ekscentrycznej babci Wandzi, rodzicach,

eprasa.pl d9aca457c4

miłości, wplatając odniesienia do muzyki, filmów, filozofii. Głos słuchaczki dociera do nas przez jego reakcje.

To powieść, która ryzykuje zmęczenie czytelnika gadulstwem. Jednocześnie właśnie ono jest metodą. Bohater mówi, ponieważ tak porządkuje swój świat i opowieść o samym sobie. Mówieniem próbuje dotrzeć do tego, co pozostało niewypowiedziane: „To chyba najbardziej dojmujące w śmierci. Że zawsze zostaje coś niewypowiedzianego. Niedopowiedzianego. Mogłoby między nami pojawić się jeszcze tyle słów. A teraz zionie pustka. Wielka cisza".

Z prozą przyjaźnię się od dawna. Dobrze wiem, czego w niej szukać. Dlatego dopiero prozatorskie książki Małgorzaty Lebdy, Urszuli Honek czy Antoniny Tosiek sprawiły, że zaczęłam zaglądać również do ich wierszy.

Strata i spóźnienie wracają także w wierszach Jankowskiego. W *Jazzowej nocy* podmiot zapewnia, że poradził sobie po zakończonej relacji: nie do końca pozwala sobie na smutek, zagłusza emocje byciem w działaniu. Lęk ten wraca jednak w „niesprzyjających" snach.

W innym wierszu podmiot odrzuca możliwość bliskości, bo wie, że była przeznaczona dla niego dekadę wcześniej. Teraz oboje mogliby jedynie błądzić „w lesie spóźnionych nadziei". W *Zanim się to stanie* chce zdążyć pójść z kimś do kina, odwiedzić puste zoo, zobaczyć kwitnące wiśnie, podać chusteczkę płaczącej kobiecie i usiąść przy kimś, kto krzyczy, że dłużej nie może wytrzymać. Na końcu próbuje sam nie popaść w rozpacz, kiedy „zdziwione życiem ręce okażą się puste".

Rubi rozwija te przeczucia i pytania w rodzinnych historiach, dygresjach i rozmowach, które często odbywają się za późno albo nie odbywają się wcale. Bohater pyta kierującą kobietę wprost: „Warto żyć, pani zdaniem?" (co ciekawe, podobne pytanie autor zadał Wojciechowi Marczewskiemu w ich książce). Jego uczniowie wchodzą w dorosłość przekonani, że będzie jasna. On wie już, że „życie to ciemność" – dosłownie ten sam wers pojawił się wcześniej w jednym z wierszy Jankowskiego.

Zostańmy przy powieści. Ważna w niej jest też muzyka. Ojciec głównego bohatera nie mówi o emocjach bezpośrednio. Kontakt z synem zaczyna od utworu albo płyty. „Wprowadź muzykę w samotność. Pozwól, by ci w niej towarzyszyła" – radzi. Narrator, chcąc z nim porozmawiać, również korzysta z tego języka.

Co ciekawe, Jankowski nie przenosi do powieści oszczędnego języka własnych wierszy – *Rubi* jest przecież książką opartą na nadmiarze mowy. Przenosi natomiast pytania, które w poezji mieszczą się w kilku wersach. W powieści pozwala bohaterowi wracać do nich przez całą podróż.

eprasa.pl d9aca457c4

Słuchać cudzego języka

Przepraszam za brzydkie pismo Antoniny Tosiek wchodzi w inny rejestr. To reportaż oparty na ponad 800 pamiętnikach mieszkanek polskiej wsi, pisanych przez siedem dekad.

Tosiek wcześniej opublikowała tomy poetyckie *storytelling* i *Żertwy*. W reportażu jej poetycki warsztat objawia się jednak inaczej niż u Lebdy, Honek czy Witkowskiej. Nie chodzi o metaforyczny język, najważniejsze jest słuchanie formy cudzych wypowiedzi.

Pamiętnikarki przepraszają za charakter pisma, błędy, brak wykształcenia i za to, że zajmują komuś czas własnym życiem. Piszą po pracy, przy słabym świetle, czasem w ukryciu przed mężem. Opowiadają o trzynastogodzinnym dniu pracy, przemocy, niedostępnej edukacji, samotnym macierzyństwie, chorobach, braku kanalizacji i poczuciu klasowego upokorzenia.

Tosiek nie poprawia ich głosów i nie przerabia pamiętników na zbiór literackich miniatur. Analizuje kontekst, pokazuje sposoby autokreacji, przypomina reakcje jurorów, którzy potrafili skwitować historię ubogiej dziewczyny jako „dziewczyńskie ple-ple" albo „życiorysik sympatyczny", rzekomo niepodejmujący istotnych problemów.

Jej doświadczenie poetyckie można rozpoznać w uwadze poświęcanej pojedynczemu słowu, powtórzeniu i temu, jak forma zdradza pozycję osoby piszącej. Powracające „przepraszam" nie jest błahym wstępem. Mówi o kobietach przekonanych, że przed zabraniem głosu powinny najpierw wyjaśnić, dlaczego ich opowieść może być niedoskonała.

W tym przypadku poetka nie rozszerza w prozie własnego świata. Pomaga zobaczyć, jak wiele cudzych światów zapisano językiem, który przez lata uznawano za zbyt nieporadny, by potraktować go jak literaturę albo ważne świadectwo społeczne.

Na tropie opowieści

Przed *Łakomymi* wiedziałam, że Małgorzata Lebda jest nagradzaną poetką. Ta informacja nie wystarczyła jednak, żebym kupiła jej wiersze. Po powieści chciałam sprawdzić, jak opisuje ciało i wieś w krótszej formie. Po *Białych nocach* szukałam u Urszuli Honek tych samych ludzi, ciemności i urwanych historii. Wywiad z Zu Witkowską, a potem *Śluza* sprawiły, że przeczytałam *Fluid* i *Podręcznik lizania ran*. Wiersze Damiana Jankowskiego pozwoliły mi zobaczyć, jak długo przed i po *Rubi* pisał o spóźnieniu, samotności i śmierci.

Z czasem samo tropienie podobieństw zaczęło interesować mnie bardziej niż pytanie, czy poeta piszący powieść „kradnie" do niej coś

eprasa.pl d9aca457c4

z warsztatu poetyckiego. Być może rzecz nie polega przede wszystkim na przenoszeniu środków z jednej formy do drugiej. Być może autorzy przez lata wracają po prostu do kilku spraw, których nie potrafią albo nie chcą porzucić.

U Lebdy są to ciało, zwierzęta, praca, choroba i śmierć. U Honek – ludzie znikający, zostający w cudzej pamięci albo wracający w opowieściach innych. Witkowska raz po raz sprawdza, co dzieje się z człowiekiem podporządkowanym kontroli, oczekiwaniom i dobrze przygotowanym planom. Jankowski wraca do straty, spóźnienia i słów, których nie udało się wypowiedzieć na czas. Zmiana formy pozwala zobaczyć, jak ten sam problem zachowuje się w innej przestrzeni.

Wiersz może zatrzymać go w jednym obrazie, powieść pozwala na kalejdoskopowe spojrzenie. Reportaż, jak u Antoniny Tosiek, komplikuje tę zależność jeszcze bardziej, bo każe własną wrażliwość podporządkować cudzym głosom.

I chyba właśnie to okazało się dla mnie najciekawsze – czytanie twórczości jednej osoby w kilku formach i sprawdzanie, co pozostaje niezmienne, kiedy zmienia się sposób opowiadania. Dzięki prozie Lebdy, Honek, Tosiek, Witkowskiej i Jankowskiego odkryłam nowy sposób patrzenia na wiersze. I poczułam, że o samych autorach, ich wrażliwości na świat wiem o wiele więcej. A poczucie więzi z twórcami jest przecież jednym z najprzyjemniejszych doświadczeń czytelników, prawda? ■

ALEKSANDRA PAKIEŁA – ur. 1992, absolwentka polonistyki i Polskiej Szkoły Reportażu. O literaturze pisze dla „Magazynu Literackiego Książki", „Vogue", „Wysokich Obcasów" i „Newsweeka". Promotorka literatury w wydawnictwie Znak Literanova. Autorka książki *Oto ciało moje* (ArtRage).

eprasa.pl d9aca457c4

Galeria „Więzi”

Bartosz Frątczak

Każdy gest z widmem wojny w tle. Od porannej krzątaniny po zmierzch – myśli wypełnione poszukiwaniem miejsc dających szansę na przeżycie w razie ataku. Stan wewnętrznego niepokoju, kąsający na co dzień mieszkańców Litwy i dobrze mu znany z autopsji, Bartosz Frątczak oddaje w cyklu *Jeśli przyjdzie wojna*, kreując przestrzeń na kształt obsesyjnych wyobrażeń.

W tym panicznym imaginarium zmienia się wygląd nie tylko przedmiotów i elementów architektury, ale także spotykanych na ulicy ludzi. Ich kształty i kolory ulegają zatrważającemu ujednoliceniu, twarze gną się w formę zunifikowanych masek. – Chodząc po mieście, zauważyłem, że wielu cywilów nosi ubrania, które mogłyby służyć za kamuflaż i chronić ich w przypadku ataku dronów – mówi Frątczak. – W pewnym sensie tracimy swoją tożsamość. Dla takich maszyn nie mamy imion, nazwisk, historii, jesteśmy po prostu celem.

Cykl Frątczaka dotyka także intymnego tematu duchowości. W tuż-przedwojennym świecie wyrasta nowy poranny rytuał, przyćmiewający wcześniejsze. – Miejsce, które po przebudzeniu miała modlitwa, zaczęło zajmować poszukiwanie informacji dotyczących wojny, czytanie wiadomości z frontu, oglądanie map – zauważa fotograf. – Powraca w tym kontekście klasyczne pytanie: „Co Bóg na to, że wokół dzieje się tyle zła?”. Przyglądam się jednak także temu, jak wszystko, czego jesteśmy świadkami, zmienia moją wiarę: czy prowadzi mnie ku głębszemu zaufaniu, czy też sprawia, że zwycięża lęk – dodaje. Kształtując znaczenie swoich zdjęć, oczy Chrystusa zdecydował się pozostawić niezaklejone.

*

Bartosz Frątczak – fotograf urodzony w Polsce, od ponad dekady mieszkający w Wilnie – podejmuje w swoich pracach m.in. temat pamięci, tożsamości, manipulowania narracjami historycznymi i zamazywania śladów przeszłości. Fotografię często łączy z archiwaliami oraz strategiami konceptualnymi. W 2025 r. za działalność artystyczną został odznaczony Srebrnym Krzyżem Zasługi. Jest członkiem ZPAF, studentem Instytutu Twórczej Fotografii w Opawie, a prywatnie mężem Jovity i tatą Brunona Jana.

eprasa.pl d9acca457c4



GALERIA „WIĘZI” Bartosz Frątczak

epidemia.pl/ca4bf4



GALERIA „WIĘZI” Bartosz Frątczak

eprasa.pl u9ace45724



GALERIA „WIĘZI” Bartosz Frątczak

eprasa.pl d9ace45704



GALERIA „WIĘZI” Bartosz Frątczak

eprasa.pl d9ac0457c4



GALERIA „WIĘZI” Bartosz Frątczak

eprasa.pl:d9ace45724



GALERIA „WIĘZI” Bartosz Frątczak

eprasa.pl d9aca45724



Na progu

O jeziorach i gwiazdach

JERZY SOSNOWSKI

To powierzchnie jezior, stawów, oczek wodnych musiały być pierwszymi zwierciadłami, w których homo sapiens się przejrzał. Czyli samopoznanie, ten ważny etap rozwoju psychicznego, zaczęło się nad jakimś afrykańskim jeziorem, kiedy pierwszy hominid gapił się na swoje odbicie.

eprasa.pl d9aca457c4

Kasi Jabłońskiej, pomysłodawczyni

Kiedy zbliżają się moje kolejne audycje w internetowym Radiu Nowy Świat, zamieszczam w mediach społecznościowych ich zapowiedzi. Latem jedna z nich zaczynała się tak: „Słowo «jezioro» wzięło się w polszczyźnie z prasłowiańskiego *jezera*, a za kuzynów ma litewskie *ežeras* oraz pruskie (w znaczeniu plemienia Prusów, a nie późniejszych mieszkańców Prus Wschodnich) *azaran*. A ponieważ uderza mnie tajemniczy i magiczny klimat jezior, poruszyła mnie hipoteza, że nasze jezioro spokrewnione jest ponadto – przez wspólną praindoeuropejską przeszłość – z grecką nazwą jednej z podziemnych rzek Hadesu: Acheront".

Dwie osoby niezależnie od siebie skomentowały ten tekst, że brzmi jak początek małego eseju. Z redakcji kwartalnika „Więź" przyszła wręcz sugestia, żebym dopisał dalszy ciąg. Przypomniało mi to zabawę z dzieciństwa: „uzupełnij obrazek". Próbuję zatem.

*

Słowo „jezioro" wzięło się w polszczyźnie z prasłowiańskiego *jezera*, a za kuzynów ma litewskie *ežeras* oraz pruskie (w znaczeniu plemienia Prusów, a nie późniejszych mieszkańców Prus Wschodnich) *azaran*. A ponieważ uderza mnie tajemniczy i magiczny klimat jezior, poruszyła mnie hipoteza, że nasze jezioro spokrewnione jest ponadto – przez wspólną praindoeuropejską przeszłość – z grecką nazwą jednej z podziemnych rzek Hadesu: Acheront.

W jeziorze skrywa się coś majestatycznego, a raczej należałoby powiedzieć, że przez jezioro coś majestatycznego przemawia – nawet jeśli głos ten zanika w słoneczne dni, gdy pokrzykują do siebie plażowicze i kajakarze, a ich gwar przecina co jakiś czas ryk motorówek. Wystarczy, żeby chłód lub zmierzch kazał się turystom przenieść w głąb lądu, a jezioro odezwie się swoją ogłuszającą ciszą. Przykuje wzrok, którym zaczynamy błądzić po pomarszczonej powierzchni wody, wypatrywać zatoczek po drugiej stronie, szukać kresu, domknięcia linii brzegowej.

Przypuszczam, że morze – uwielbiane zresztą przeze mnie – jest pod tym względem bardziej prostoduszne, przemawia wprost. Nad Bałtykiem nieskażony nawet jedną wyspą horyzont przygniata od razu widza swoją rozległością, a jeśli jeszcze są fale (powiedzmy, od trzech w skali Beauforta w górę), to morze bez niedomówień stawia nas w obliczu swojej potęgi.

Rzeka z kolei została zdekonspirowana już dwa i pół tysiąca lat temu przez Heraklita: chyba nic innego w przyrodzie nie ilustruje tak dobitnie zjawiska czasu. Nie bez powodu w polszczyźnie czas płynie; oś czasu to przecież uproszczony rysunek rzeki. Natomiast jezioro pozostaje

eprasa.pl d9aca457c4

enigmatyczne. „Nasuwa jakieś myśli, ale nie wiem dokładnie jakie" – by posłużyć się wspaniałą kwestią Alicji po drugiej stronie lustra.

Ano właśnie, lustro: to powierzchnie jezior, stawów, oczek wodnych musiały być pierwszymi zwierciadłami, w których *homo sapiens* się przejrzał, zobaczył sam siebie. Czyli samopoznanie, ten ważny etap rozwoju psychicznego, zaczęło się nad jakimś afrykańskim jeziorem. Możliwe zarazem, że podprogowo był to pierwszy moment przeczucia niepoznawalności świata. Jak to ujął w końcu Adam Asnyk (setki tysięcy lat po tamtym pierwszym hominidzie, gapiącym się na swoje odbicie):

> Próżno nad głębią schyleni, jej ciemnic
> Obraz chwytamy, gdyż ruchliwa fala,
> Zamiast odwiecznych istnienia tajemnic,
> Własną twarz naszą ukazuje z dala,
> I nasz widnokrąg cały się powleka
> Rzuconym w wszechświat odbiciem człowieka.
> (*Nad głębiami*, *Sonet I*)

Świat nie mówi nam po prostu o tym, jaki jest, ale odpowiada na pytania, które mu zadajemy we właściwy nam sposób – parafrazuję w tym momencie zdanie, które kiedyś mnie uderzyło (czy nie w książce Wernera Heisenberga *Fizyka a filozofia*, którą czytałem tuż po maturze?). Poznanie absolutne, poza ludzkimi ograniczeniami, nie jest nam dostępne; możemy tylko ufać, że, jak to ujął z kolei inny wielki fizyk Albert Einstein, „Bóg nie jest złośliwy" i nasz układ nerwowy (zmysły wraz z mózgiem) nie każe nam zadawać pytań całkowicie idiotycznych.

Ale wróćmy nad jeziora. One kierują bowiem naszą uwagę nie tylko na samych siebie. Każą również, jak o tym wspominałem, sięgać wzrokiem w dal, horyzontalnie. W przypadku jezior morenowych, jeśli wystarczająco skomplikowana jest linia brzegowa, raczej teoretycznie wiemy, niż naprawdę widzimy, że jezioro gdzieś się kończy. Jezioro rynnowe potrafi, zwłaszcza w wietrzny dzień, naśladować rzekę, gdy zmarszczki na powierzchni wody sugerują, że płynie ona w jakimś kierunku.

Sprawa przepływu bywa zresztą skomplikowana: poza oczkami wodnymi stojąca z pozoru woda zazwyczaj wycieka jakimś ujściem – strumykiem czy rzeką – a jej stan uzupełnia inna rzeka czy strumyk, czasem zaś ukryte przy dnie źródło. Tak właśnie dzieje się w rozsławionej przez Mickiewicza krasowej Świtezi, z której wypływa Sworotwa, a powierzchnia lustra wody pozostaje wciąż na takim samym poziomie, co było nieostatnim powodem miejscowej wiary, że Świteź jest zaczarowana.

Zatrzymajmy się w tym miejscu, bo to Mickiewicz właśnie zwraca uwagę na jeszcze jeden kierunek, w który kieruje ludzki wzrok jezioro. Używam przy tym słowa „kierunek" zgodnie z definicją fizyczną: kierunek

eprasa.pl d9aca457c4

bowiem jest tu jeden, ale dwa przeciwstawne wektory. Chodzi o oś wertykalną, której przeciwległe końce ulegają za sprawą jeziora dziwnemu pomieszaniu. W balladzie *Świteź* brzmi to tak:

> Jeżeli nocną przybliżysz się dobą
> I zwrócisz ku wodom lice:
> Gwiazdy nad tobą i gwiazdy pod tobą
> I dwa obaczysz księżyce.
> Niepewny, czyli szklanna spod twej stopy
> Pod niebo idzie równina,
> Czyli też niebo swoje szklanne stropy
> Aż do nóg twoich ugina;
> Gdy oko brzegów przeciwnych nie sięga,
> Dna nie odróżnia od szczytu:
> Zdajesz się wisieć w środku niebokręga,
> W jakiejś otchłani błękitu.

Patrzę więc w dół i widzę nieboskłon. Patrzę w górę i widzę to samo, co w dole. To zawieszenie człowieka w centrum szklanej bańki, wśród gwiazd, fascynowało zresztą romantyków, bo i Kordian – choć nie nad jeziorem, a w górach – mówi, że „pod stopami niebo i nad głową / Niebo... Zamknięty jestem w kulę kryształową". To obraz człowieka wyalienowanego ze społeczeństwa, stojącego oko w oko z ogromem kosmosu; sytuacja ta przydaje mu wyjątkowości i jednocześnie odziera ze złudzeń własnej potęgi.

Tak: z wielu powodów i w wielu epokach miewamy pokusę, by opuścić ludzką wspólnotę, tak łatwo poddającą się butowi zaborcy czy botom sąsiedniego imperium, propagandzie takiej czy innej, falom zniechęcenia czy nienawiści do słabszych. *Odi profanum vulgus et arceo*... Ale kiedy nie otaczają nas twarze bliźnich (bywa, że w sporej liczbie irytujące), w opuszczonym przez nie miejscu rozlewa się perspektywa nieskończoności, która niekoniecznie jest łatwiejsza do zniesienia, choć z jakże innych powodów.

Jezioro, nad które co roku jeździmy z żoną, leży na skraju Mazur. Choć do Szczytna i Olsztyna jest podobno z pół godziny drogi samochodem („podobno", bo nigdy tego nie sprawdziłem), okolica wydaje się tak odległa od wszystkiego, jak to tylko możliwe. Lubię określenie, że tu „wrony zawracają" – kojarzy mi się z wyobrażeniem fizycznego skraju świata, jak w filmie Petera Weira *Truman Show* albo w *Prawieku* Olgi Tokarczuk:

> – Nie ma żadnych Kielc, a Wola i Taszów należą do Prawieku. Tu wszystko się kończy.
>
> Izydor roześmiał się i okręcił na pięcie.

eprasa.pl d9aca457c4

– Co ty za bzdury opowiadasz? […]

Cofnął się kilka kroków i zaczął biec w stronę miejsca, gdzie według Ruty była granica. Potem nagle zatrzymał się. Sam nie wiedział dlaczego. Coś tu było nie tak. Wyciągnął przed siebie ręce i opuszki palców zniknęły.

To wyobrażenie horyzontalnego zamknięcia uspokaja mnie (więc inaczej niż bohaterów powieści), bo wraz z granicą świat zyskuje kształt – daje się ogarnąć myślą. Ale, jak już wiemy, jezioro otwiera dla odmiany przestrzeń w górę i w dół, unieważniając przy okazji różnicę między nimi. Nocą nad jeziorem siłą rzeczy patrzy się w gwiazdy, nawet kiedy spuszczamy wzrok.

Muszę przyznać, że należę do ludzi, którzy potrafią wskazać Wielki Wóz, Gwiazdę Polarną pięć długości jego tylnej „ściany" ponad nim, ewentualnie Wenus – i niewiele więcej. Dlatego z entuzjazmem zainstalowałem sobie w komórce aplikację Stellarium, która pozwala mi rozeznać się w bogactwie nocnego nieba. Nauczyłem się, gdzie jaśnieje Wega, a gdzie Altair, i że pięć światełek, tworzących charakterystyczne „W", to gwiazdozbiór Kasjopei. Nieco dalej w prawo można wypatrzeć konstelacje Pegaza, Orła i Wężownika. A na tle tej ostatniej, choć zbyt daleko, żeby go dostrzec – ale od czego wyobraźnia – oddala się od nas Voyager 1.

To najodleglejszy od Ziemi obiekt ludzką ręką uczyniony: sonda kosmiczna wystrzelona 5 września 1977 r. z Florydy. Leci z prędkością około 17 km/s, siedemnaście razy szybciej niż kula karabinowa, trzydzieści cztery razy szybciej od dźwięku, ale wciąż ponad siedemnaście i pół tysiąca razy wolniej od światła. W listopadzie 2026 r. Voyager 1 znajdzie się w odległości od nas, którą foton przebywa w jeden dzień. Za 300 lat osiągnie obłok Oorta, hipotetyczne składowisko resztek po formowaniu się Układu Słonecznego – gruzu, wyrzuconego tam przez grawitację Jowisza, Saturna, Urana i Neptuna – oraz źródło większości zaobserwowanych komet (wszakże urządzenie nie będzie już miało energii, żeby przekazać na Ziemię dane, bo jego baterie wyczerpią się najpóźniej w połowie przyszłej dekady). Jeśli nie ulegnie zniszczeniu, za ponad 40 tysięcy lat minie pierwszą gwiazdę na swojej drodze: Gliese 445 w gwiazdozbiorze Żyrafy. A potem Voyager 1 będzie leciał dalej w galaktycznej próżni i wszystko wskazuje na to, że jako kosmiczny złom przeżyje zarówno naszą cywilizację, jak ludzkość, a nawet Ziemię, którą za 5 miliardów lat wchłonie zapewne puchnące Słońce.

Kiedy więc stoi się po północnej stronie jeziora, w jego wodach widzi się, wraz z gwiazdozbiorem Wężownika, przyszłość – tak nieskończoną, że w niej nas już nie ma. Gdzieś w jej głębi płynie z cicha Acheront, rzeka wyznaczająca próg wieczności. Jezioro, *jezero*, *ežeras*, *azaran*. Wspólnota mówiąca językiem praindoeuropejskim rozpadła się jakieś cztery i pół tysiąca lat temu. W tej perspektywie – wczoraj. ■

eprasa.pl d9aca457c4

Warunki prenumeraty redakcyjnej

Pakiet druk + cyfra

W cenie pakietu (do końca roku 2025: 129,60 zł; od 1 stycznia 2026 r.: 139,32 zł) otrzymujesz:

- 4 drukowane numery kwartalnika „Więź” z bezpłatną dostawą w Polsce,
- 4 numery „Więzi” w formatach epub, mobi, pdf (do pobrania w trakcie trwania prenumeraty),
- pełny dostęp online do artykułów kwartalnika i treści portalu Więź.pl na 365 dni (od momentu zakupu).

Jeśli mieszkasz za granicą Polski, napisz do nas: prenumerata@wiez.pl
Zamówisz prenumeratę w cenie zależnej od kosztów wysyłki zagranicznej.

Pakiet cyfrowy

W cenie pakietu (29 zł – przez 90 dni; 116 zł – przez 365 dni; ceny bez zmian w 2026 r.) otrzymujesz od momentu zakupu:

- pełny dostęp online do artykułów kwartalnika i treści portalu Więź.pl,
- kwartalnik „Więź” w formatach epub, mobi, pdf przez kwartał lub rok (do pobrania w trakcie trwania prenumeraty).

Jak kupić?

Zamówienia przyjmujemy na stronie: www.prenumerata.wiez.pl

Aby dodatkowo wesprzeć „Więź”, możesz wybrać **PRENUMERATĘ SPONSORSKĄ**. Twoje nazwisko zostanie podane w „Podziękowaniach dla Przyjaciół”.

Dodatkowe informacje o prenumeracie można uzyskać pod numerem telefonu: +48 22 827 96 08 oraz pod adresem e-mail: prenumerata@wiez.pl

Prenumeratę „Więzi” dla firm prowadzą także Kolporter i Garmond.

Możliwe formy wsparcia „Więzi”

1. **NOWOŚĆ**: przekazanie 1,5% **PODATKU DOCHODOWEGO** dla Towarzystwa „Więź” jako organizacji pożytku publicznego (nr KRS: 0000119537),
2. **SZYBKI PRZELEW** bezpośrednio przez naszą stronę: www.wspieram.wiez.pl,
3. **DAROWIZNY** (najlepiej: zlecenie stałe) odliczane od dochodu w rozliczeniu podatkowym (nr konta – 50 1020 1156 0000 7102 0063 0152; z dopiskiem: darowizna na działalność statutową Towarzystwa „Więź”),
4. stałe wsparcie poprzez serwis **PATRONITE** (zob. www.patronite.pl/wiez),
5. zakup **PRENUMERATY SPONSORSKIEJ** (zob. www.prenumerata.wiez.pl),
6. wykupienie **REKLAMY** w kwartalniku i/lub portalu Więź.pl (kontakt: reklama@wiez.pl, tel. +48 22 827 96 08),
7. **ZAKUP KSIĄŻEK** bezpośrednio w księgarni internetowej Wydawnictwa Więź: www.wydawnictwo.wiez.pl.

eprasa.pl d9acca45704

„Więź” ukazuje się od roku 1958

Redaktorami naczelnymi byli † Tadeusz Mazowiecki (1958–1981), † Wojciech Wieczorek (1981–1989), Stefan Frankiewicz (1989–1995), Cezary Gawryś (1995–2001)

Redakcja kwartalnika i portalu Zbigniew Nosowski (redaktor naczelny kwartalnika), Bartosz Bartosik (redaktor naczelny portalu), Ewa Buczek (zastępczyni redaktora naczelnego kwartalnika), Damian Jankowski (zastępca redaktora naczelnego portalu), Kacper Mojsa (sekretarz redakcji), Karol Grabias, Katarzyna Jabłońska, Ewa Kiedio (dyrektorka Wydawnictwa „Więź”), Agata Kulczycka

Zespół kwartalnika tworzą ponadto Bogumiła Berdychowska, ks. Andrzej Draguła, Sebastian Duda, Andrzej Friszke, Jakub Halcewicz-Pleskaczewski, Anna Karoń-Ostrowska, Tomasz Kycia, ks. Andrzej Luter (asystent kościelny Towarzystwa „Więź”), Grzegorz Pac, Maria Rogaczewska, Konrad Sawicki, Agata Skowron-Nalborczyk, Jerzy Sosnowski

WYDAWCA Towarzystwo „Więź”
00-074 Warszawa, ul. Trębacka 3, tel. (22) 827-29-17, wiez@wiez.pl
PRENUMERATA tel. (22) 827-96-08, prenumerata@wiez.pl
REKLAMA tel. (22) 827-96-08, reklama@wiez.pl
DZIAŁ HANDLOWY tel. (22) 827-96-08, handlowy@wiez.pl

WWW Portal Więź.pl wiez.pl
Kwartalnik „Więź” czasopismo.wiez.pl
Wydawnictwo „Więź” wydawnictwo.wiez.pl
Think tank Laboratorium „Więzi” laboratorium.wiez.pl

MEDIA SPOŁECZNOŚCIOWE Facebook fb.com/wiez.info
YouTube @wiez_pl
Instagram @wiez_pl

WESPRZYJ Wejdź na wspieram.wiez.pl

PRZEKAŻ 1,5% PODATKU W rozliczeniu podatkowym wpisz: Towarzystwo „Więź”, KRS 0000119537. Więcej: wiez.pl/opp

PROJEKT OKŁADKI, OPRACOWANIE TYPOGRAFICZNE I SKŁAD Marcin Kiedio
RYSUNEK DON KICHOTA Jerzy Jaworowski
DRUK I OPRAWA Drukarnia Edit, ul. Dworkowa 2, Wiązowna



Materiałów niezamówionych redakcja nie zwraca.
Redakcja nie odpowiada za treść reklam.

ISSN 0511-9405

Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury

eprasa.pl d9acd45704

NOWOŚCI **WYDAWNICTWA WAM**

wydawnictwo

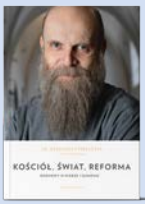

KOŚCIÓŁ, ŚWIAT, REFORMA. ROZMOWY O WIERZE I SUMIENIU
KS. GRZEGORZ STRZELCZYK, ANETA KUBERSKA

Książka jest zapisem rozmowy o współczesnym kryzysie Kościoła i jego przyszłości. Autorzy podejmują tematy skandali, odpowiedzialności i wiarygodności instytucji. Poruszają również kwestie obecności religii w szkole i polityce. Nie unikają trudnych pytań ani wymagających odpowiedzi. To próba uczciwej refleksji nad kondycją wspólnoty wierzących.



THE WAY. OSOBISTA DROGA Z BOGIEM
WOJCIECH CZUBA

Autor dzieli się historią swojego życia i nawrócenia. Opowiada o drodze do autentycznej wiary i relacji z Bogiem. Pokazuje znaczenie codziennych wyborów i wartościowych relacji. Pisze prostym, szczerym językiem. Podkreśla, co naprawdę nadaje sens życiu.



CZUŁA JA. O SEKSUALNOŚCI, EMOCJACH I ŁAGODNOŚCI DLA SIEBIE
S. MAŁGORZATA LEKAN OP

To książka o dojrzewaniu do pełni życia i akceptacji siebie. Autorka porusza temat seksualności w perspektywie szacunku i świadomości własnej wartości. Zachęca do uważności na emocje i własne potrzeby. Pokazuje, jak podejmować decyzje mimo lęku i niepewności. To przewodnik po drodze ku wewnętrznej integracji.



ZOSIA I DOM ANIOŁKÓW
KAROL CZERNECKI

Opowieść o miejscu, w którym zwyczajność nabiera duchowego wymiaru. Historia przepełniona jest ciepłem, dziecięcą radością i delikatnymi znakami obecności Boga. Autor pokazuje, jak miłość potrafi leczyć zranione serca. Codzienne sytuacje stają się przestrzenią doświadczenia dobra. To subtelna, pełna nadziei narracja o świętości ukrytej w prostocie.



NA BRZEGU ŚWIATŁA. LISTY O WDZIĘCZNOŚCI
MAGDALENA PAJKOWSKA

Autorka pisze o trudnych doświadczeniach, które odbierają poczucie sensu i nadzieję. Opowiada o bólu, stracie i momentach bezradności. Pokazuje jednak, że wdzięczność może stać się drogą do odzyskania światła. To refleksyjna książka o powrocie do życia po trudnych wydarzeniach.



SENS MIMO WSZYSTKO. DROGA OD ZAGUBIENIA DO ODNALEZIENIA SIEBIE
KS. MARCIN JURAK MIC

Autor mierzy się z tematami zagubienia, porażki i kryzysu. Pisze o sile decyzji oraz odwadze przebaczenia. Zachęca do życia w zgodzie ze sobą, a nie cudzymi oczekiwaniami. Pokazuje, że nawet w chaosie można odnaleźć sens. Książka prowadzi od bólu ku odbudowie wewnętrznej tożsamości. To refleksja o dojrzewaniu i nadawaniu życiu głębi.

wydawnictwowam.pl

ZAMÓWIENIA KSIĘGARNIA WYSYŁKOWA

zamowienia@wydawnictwowam.pl
tel. 12 62 93 260

Przy zakupie od **99 zł** wysyłka w Polsce **GRATIS**

eprasa.pl d9aca457c4

w drodze
miesięcznik

Od ponad 50 lat pomagamy łączyć wiarę z codziennością.

Co miesiąc 144 strony inspirujących treści.



czytaj ☛ wdrodze.pl

Miesięcznik „W drodze” przez cały rok w Twojej skrzynce?
Napisz do nas **prenumerata@wdrodze.pl** albo zamów na **wdrodze.pl/prenumerata**

MiesiecznikWdrodze miesWdrodze wdrodze_miesiecznik

eprasa.pl d9aca457c4